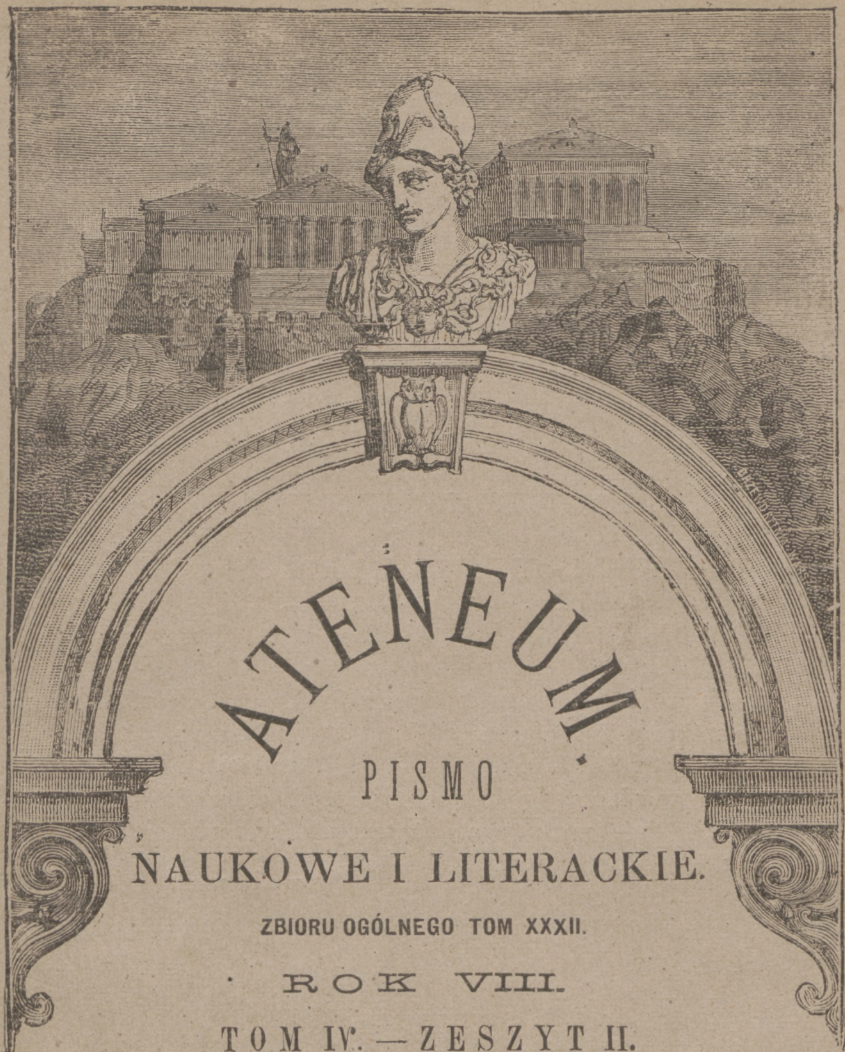


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXII.

ROK VIII.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

I. RODZINA ŁASKICH W XVI WIEKU. III. Olbracht Łaski wojewoda sieradzki. Przez *W. Zakrzewskiego* . . 205

II. GWIAZDA PRZEWODNIA. (Obraz na tle życia wschodniego). Przez *Sahi-beja*. V. Ciąg dalszy . . . 229

III. O MATEMATYCE STAROŻYTNYCH EGIPCYAN. Przez D-ra *Emila Meyersona* 268

IV. KONGRES WIEDEŃSKI i ustalenie Królestwa kongresowego (z Pamiętników Leona Dembowskiego). Przez Aër (Ciąg dalszy) 280

V. TYMON ZABOROWSKI. Przez *Henryka Biegeleisena* 314

VI. POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU. II. Osoby i fakta. Przez *I. Radlińskiego* 346

VII. NOWE WYDANIE DZIEŁ JÓZEFA SUPIŃSKIEGO Przez *K. P.* 366

VIII. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE:

1. Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom pierwszy. Warszawa w drukarni Józefa Ungra, str. VI. 379. 389

2. Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego Polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych Rok. I. 1872. ocenił *M. A. Baraniecki*. 397

Wrażenia literackie 399

Druk ukończono 31 Października 1883 r.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

III. (*)

OLBRACHT ŁASKI

wojewoda sieradzki.

Mikołaj Malinowski. Jakób Heraklides i Olbracht Łaski (w Tece Wileńskiéj, tom 3) Wilno 1858. — A. Przezdziecki. Jagiellonki polskie w XVI w. T. 2 i 5 (wyd. Szujski). Kraków 1868 i 1878.—W. Zakrzewski. Po ucieczce Henryka. Kraków 1878.— Alex. Kraushar. Olbracht Łaski. 2 tomy. Warszawa i Kraków 1882.—August Sokołowski. Olbracht Łaski (w Przeglądzie Polskim z września i października 1882).

Ze śmiercią ostatniego z trzech synowców prymasa, na krótką tylko chwilę ucichł rozgłos imienia Łaskich. Dorosło tymczasem trzecie już téj rodziny pokolenie, dzieci prymasowych synowców. Z nich jeden tylko nabył rozgłośnéj sławy, ale za to ten jeden właśnie, Olbracht Łaski, odegrał ogromną rolę podczas obu elekcyj po wygaśnięciu Jagiellonów; a już przez kilka lat poprzednich powszechną zwracał uwagę zaraz od chwili, kiedy poraz pierwszy czynnie wystąpił, wkrótce po zgonie stryja reformatora.

„Wielkiego to animuszu mąż (1) — powtarzają wszyscy spółcześni o jedynaku Hieronima-Jarosława i Anny z Rytwian Kuro-

(*) Zob. „Ateneum“ z maja i czerwca, oraz z listopada i grudnia 1882 roku.

(1) Tylko tak tłómaczyć należy Kochanowskiego słowa o Olb. Łaskim: „vir magnanimus,“ nie zaś „wspaniałomyślny“ lub „wielkoduszny“, jak czyni p. Kraushar. Przytoczone przez p. Kr. świadectwa spółczesnych o Ł., podnoszą tylko jego animusz, biegłość wojenną, gotowość do rady i czynu, lecz o cnotach jego milczą wymownie; o tych prawi szeroko jedynie Unleszowski, którego pusty panegiryk, nie dający żadnych faktów, dedykowany bliskiemu powinowatemu Olbrachta Ł. (Jakóbowi Pretwiczowi, wojew. podol., który miał za żonę Ciołkównę, siostrzenicę O. Łaskiego) nie może uchodzić za

zwęckiéj — pan czujnego rozumu a wielkiego dowcipu, w rozumie ostry, w odpowiedzi prędki, w dworstwie wdzięczny, w żartach śmieszny, w rzeczach statecznych obaczny." Te przymioty słusznie mu każdy przyznać musi, ale jeżeli niesmaczny i niedorzeczny panegirysta Olbrachta wielbi zarazem jego cnotę i jego miłość ojczyzny — to do tego najmniejszéj niema podstawy. Przeciwnie — Olbracht Łaski całem swém życiem nieustanne składał dowody, że wszelkie pojęcie złego czy dobrego, wszelkie poczucie tego, co się godzi albo niegodzi było mu najzupełniéj obce. Burzliwy i niespokojny charakter ojca odziedziczył w całości jak oddziedziczył po nim jego zdolności, talenta, jego energią i ruchliwość, jego nareszcie ambicyą. Zadowolenie téj ambicyi ogromnéj, interes własny i własna korzyść, były dla Olbrachta Łaskiego jedynym celem, namiętna żądza czynu, trawiąca gorączka rozgłosu kierowały wyłącznie wszystkiemi jego krokami.

Wybić się jak najwyżéj, przytém błyszczeć, słynąć, zawsze i wszędzie przewodzić, używać życia w całéj pełni, tego pragnął namiętnie, za tém gonił przez całe życie. Żadna zasada, żadne poczucie moralne nie nakłady wędzidła jego namiętnościom. Ażeby dopiąć swego celu nie cofał się przed żadnym środkiem, nie krępował się jakiemibądź względami. Każdy środek był mu zarówno dobry byle prowadził prosto do celu; bystry rozum i doskonała znajomość ludzi dawały mu możność trafnego prawie zawsze wyboru. Cudze przymioty lub wady rozpoznać potrafił doskonale, cudzą zasługę chętnie uznawał i umiał zużytkować. Kogo za swego mógł uważać, kto mu się dawał powodować, mógł być pewnym jego pomocy: to mu dawało wpływ wielki na wszystkie strony, zwłaszcza że dziwnie potrafił ludzi sobie zjednywać, wiedząc jak się z każdym obchodzić, a wymowny, potrafił przekonywać albo porwać za sobą. Dzielny, odważny, zuchwały, męstwo téż cenił w innych nadewszystko; dla walecznego żołnierza zwykł zawsze największą okazywać pobłażliwość za jakie bądź zresztą występki (1). Siła jedynie ja-

---

wyraz opinii powszechnéj spółczesnych o Ł., za jaki go p. Kr. uważa. Gdzieindziéj (w Przewodniku lwowskim z kwietnia 1882) zaznaczyłem już wady dzieła tego, którego rzeczywista wartość polega na skupionym bogatym materyale. Nim téż posługiwałem się przeważnie.

(1) Na sejmie lubelskim 1569 r. wzywał posłów marszałek izby poselskiéj, aby wotowali, czy należy wstawić się u króla za Borkowskim i Grodzieckim „jako zaś o to prosił p. wojewoda sieradzki z p. starostą żmudzkim" (zob. Działyński, Źródłopism do dziejów unii, III, 238); ztamtąd się téż dowiadujemy, że Borkowski, „który szlachcica pod sochą dał ściąć, przez którą przyczynę był czci odsądzon," oraz Grodziecki „który ojczyma swego zabił", byli to dwaj waleczni żołnierze.

kiegobądź rodzaju, imponowała Łaskiemu; tam tylko, gdzie widział siłę, garnął się bez żadnego skrupułu, na stronę mocniejszego przerzucał się w każdym wypadku; siłę umiał przeczuć jakby instynktem, który go raz tylko zawiódł, przy elekcyi Stefana.

Z Polską nic prawie nie wiązało zrazu młodego Olbrachta Łaskiego. Zrodził się w Węgrzech na swym zamku Kiezmarskim, który niegdy ojciec od Jana Zapolyi otrzymał, wychował się jako poddany króla Ferdynanda, w którego służbie umarł Jarosław Łaski. Sierota od lat dziecinnych, wzrósł pod nadzorem troskliwego opiekuna; bliski ten krewniak, Maciéj Łabocki (1), postarał się o dobrych nauczycieli, o staranne wykształcenie swego pupila, a równocześnie i jego interesów majątkowych nie spuszczał nigdy z oka. Dla ich poparcia (zmarły Jarosław miał jakieś u Ferdynanda zaległości za dawne służby) słał wcześnie młodzieniaszka na dwory panów habsburskich, cesarza Karola V i króla Ferdynanda, tam się wychował młody Olbracht, tam nabrał tego dworstwa, téj ogłady, z których potém tak słynął. Wykołysany opowiadaniami o wielkich czynach ojca, wzrosły w nienawiści do Turków, którzy wedle tradycyi rodzinnéj tego ojca o śmierć przyprawili, pałający gorącą chęcią zemsty, którą mu testamentem ojciec nakazał, tam, na dworach habsburskich, utwierdził się i umocnił w tych uczuciach. Już wtedy pewno roiły się w zapalnéj głowie młodzieńca zuchwałe pomysły zawziętéj z Turkami walki, awanturniczych wypraw, któreby mu i pomstę i sławę i wyniesienie dać mogły.

Pobyt na kosmopolitycznym dworze cesarskim, ocieranie się nieustanne o ludzi najróżnorodniejszych narodowości, Niemców i Hiszpanów, Włochów i Niderlandczyków dało Olbrachtowi Łaskiemu ten szerszy na świat pogląd, którym potém celował. Jednego dać mu nie mogło: pojęcia ojczyzny i przywiązania do niéj. Nie był Węgrem, chociaż się w Węgrzech urodził, nie poczuł się Polakiem, bo zdala od Polski się wychował. Bodaj czy nie po raz pierwszy dopiero przybył do Polski, kiedy zjeżdżała do Krakowa trzecia Zygmunta Augusta małżonka, owdowiała księżna Mantuańska, arcy księżna Katarzyna. Mianowany świeżo jéj sekretarzem, jako obcy z nią razem ukazywał się w kraju swych przodków.

---

(1) Niesłusznie Przezdziecki i Sokołowski uważają go za Węgra uwiedzeni zwykłą zresztą wtedy pisownią „Łoboczki"; testament prymasa Łaskiego pokazuje, że Łoboccy pochodzili od jego siostry, wymienia nawet Macieja, dziekana łęczyckiego; bardzo być może, iż to właśnie ten sam stan duchowny porzuciwszy (jak wiadomo nieraz wtedy posiadano beneficya bez święceń kapłańskich) z Jarosławem Łaskim na Węgry się przeniósł.

Niedługo tutaj zabawił. Pełnoletni już i od niedawna wolny od wszelkiéj opieki pan swéj osoby i rozległych włości (wtedy właśnie 1553 umarł Łobocki), śpieszył użyć swobody na swoim zamku podtatrzańskim. Zewsząd się zbiegli tutaj pokrewni mu duchem towarzysze, dobrzy z dworów habsburskich znajomi, butna i hulaszcza młodzież wszelkiej narodowości i stanu, prócz Węgrów i Polaków Niemcy, Włosi a nawet Hiszpanowie. Nie braklo także uczonych lub poetów. I z tych, kto się na Kiezmark zabłąkał, znalazł chętną gościnność wykształconego młodzieńca; Łaski rad z nimi obcował w chwilach wytchnienia po uciechach. Ale zazwyczaj brzmiał stary zamek od hucznych uczt i zabaw rycerskich, układano projekty przyszłych walk i dalekich wypraw.

Trzeba było pomyśléć zawczasu o środkach ku temu niezbędnych. Dobra, chociaż rozległe, były zadłużone jeszcze przez ojca, a na rozrzutne życie i hulankę poszedł wnet szczupły zapas zebranéj przez opiekuna gotówki. Dostać jéj znowu i więcéj wprędce znalazł się łatwy sposób. O miedzę prawie, tuż przy Spiżu, w sąsiednim komitacie była bogata wdowa, jak Łaski rodem Polka, Buczyńska, jak on pani można na Węgrzech po świeżo zmarłym mężu Jerzym Seredy i do tego pani wielkich w gotówce dostatków. To w niéj właśnie nęciło naszego Olbrachta najbardziéj, Katarzyna zaś Seredy nieoparła się urokowi tak świetnego kawalera. Wkrótce (1558 r.) związek małżeński połączył z sobą tę parę.

Teraz już tylko potrzeba było sposobności. I ta się nawinęła wnet tém łatwiéj, że Olbracht już wszedł w bliskie dość związki z najruchliwszym w sąsiedniéj Polsce żywiołem, z protestantami Małopolskimi. Pociągnął go urok sławy stryja reformatora. Skoro Jan Łaski zjechał do Polski pewno nieraz odwiedził go synowiec. Jan Łaski nie zaniedbał wszelkiego starania, aby otworzyć oczy jedynaka po ukochanym niegdyś bracie na „światło ewangelii.“ Młody zaś Olbracht dostrzegł odrazu, że protestantyzm w téj chwili przedstawia element siły, że w pełnym właśnie rozwoju działa wszędzie zaczepnie, że w Polsce go ożywia pewność zwycięstwa. To dla niego było decydującém, nie głębsze uczucie czy przekonanie religijne.

I przez kalwinów Małopolskich i na dworze cesarskim zetknął się z awanturniczym samozwańcem, Grekiem podobno z rodu, który szumnych używając tytułów mienił się wygnanym przez Turków władcą (despotą) różnych wysp Archipelagu, a zarazem się za krewnego wojewodów wołoskich udawał. Jan czy Jakób Bazylik Heraklides, pospolicie u nas Despotem zwany, szukał właśnie spo-

sobu, jakby zawładnąć Mołdawią. O zwierzchność nad tym krajem pogranicznym dawniéj nieraz się, jak wiadomo, spierały Węgry i Polska, lecz od dłuższego już czasu przeważał tam wpływ turecki; wojewodowie płacili haracz sułtanowi, równocześnie uznawali się lennikami króla polskiego. Teraz tam rządził Aleksander, z Polski na hospodarstwo wprowadzony, a uznany przez Turków; rządził, jak zwykle hospodarowie, srogo i okrutnie, miał téż mnóstwo wrogów wśród zmiennych zresztą i zdradliwych zawsze Wołochów. Z tych wielu zjednał sobie Bazylik, wdawszy się z nimi w konszachty; protestancy Małopolanie przyrzekli mu swoję pomoc, bo protestantyzm na Wołoszy rozkrzewić im przyrzekał. Liczono na poparcie choć potajemne cesarza Ferdynanda; w ten sposób nie kompromitując się wobec Turków (o pokój z nimi starał się ciągle) odnowiłby dawny królów węgierskich wpływ na Mołdawią i może równocześnie wywołał komplikacye między Polską a Sułtanem, wciągnął Zygmunta Augusta w tę wojnę z niewiernymi, która cesarzowi samemu ciężyła bardzo.

Wszystko się więc składało, żeby związać Łaskiego z Bazylikiem i swemu panu, Ferdynandowi, czynił rzecz miłą i pożądaną, i swoim współwyznawcom dopomagał, i Turkom mógł dokuczyć, i dla siebie zyskać sławę i znaczne stanowisko, pierwszy szczebel do wyższego nierównie w przyszłości. Nęciło go zuchwalstwo przedsięwzięcia, wierna drużyna towarzyszy Kiezmarskich była gotowym zawiązkiem małéj armii, dukaty żony miały dostarczyć dość najemnego żołnierza: w górnych Węgrzech nie brakło podówczas nigdy ochotnika do zyskownéj wojaczki.

Pociągnęli, z niewielką zresztą siłą, Despot z Olbrachtem Łaskim z Węgier przez Ruś ku granicy wołoskiéj. Zahamował ich hetman Sieniawski z rozkazu króla Zygmunta, który nie chciał żadnych na południu zawikłań teraz, kiedy całą uwagę swoję w północną wytężył stronę i o poddanie się Inflant całych właśnie traktował, żeby tam Iwana Groźnego nie dopuścić. Ulękli się Małopolanie zakazu królewskiego, który groził infamią uczestnikom wyprawy na Mołdawią. Ich nalegania i własna słabość zmusiły obu awanturników do odwrotu na Węgry (w samym końcu roku 1560) (1).

---

(1) Datę téj pierwszéj wyprawy, w któréj zresztą Łaski mniéj znaczną jak w drugiéj odegrał rolę, ustala list Despota podany w Lubienieckiego „Hist. reform. Polon.“ 155; w początku lutego 1561 był już Despot w Koszycach po wyprawie. O wszystkich tych sprawach wołoskich wiadomości znaleść można, prócz w źródłach cytowanych przez Malinowskiego i prócz w listach nuncyusza w Polsce u Theinera,

Pierwsze niepowodzenie nie zraziło żadnego. Cesarz Ferdynand zasilił Despota pieniężnie, pozwolił mu robić formalne zaciągi wojskowe w Węgrzech północnych, byle nie jawnie. Olbracht Łaski zaś teraz dopiero gorąco się rzucił do dzieła. Fortelem (udaną śmiercią pretendenta) uśpiono czujność, i hospodara i Polaków, stokami południowemi Karpat pocichu przeszła niespełna 2 tysięczna armia, przedarłszy się przez wąwozy karpackie ukazała się nagle pod Śniatyniem. Jedna bitwa 18 listop. 1561 r. zdecydowała o losie wojewody Aleksandra; dzielność Łaskiego dokończyła tego, co przygotowały tajemne intrygi Bazylika. Zwycięski awanturnik zasiadł na tronie hospodarskim, niebawem odbierał listy z powinszowaniem od swego opiekuna cesarza. Nasz Olbracht, teraz „najwyższy wódz armii ziem mołdawskich“ otrzymał Chocim z całym okręgiem. Despot mu przyznał 100,000 talarów jako zwrot kosztów wyprawy, 30 tysięcy jako dar i oddał mu dochód z cła od bydła niosący rocznie 35,000, byle za to był gotów zawsze z 300-u zbrojnymi dawać mu pomoc, kiedy zażąda.

Zrazu bowiem z najwyższém oburzeniem usłyszano w Stambule o tych zajściach wołoskich. Z rozgłosem gotował się sułtan do walki, nakazywał zbrojenia na pomoc Aleksandrowi. Ale ucichła zaraz cała wrzawa wojenna, gdy zjechali do stolicy posłowie od Despota z ofiarą wierności i większego niżeli dotąd haraczu. Ku zdumieniu weneckich dyplomatów, Soliman uznał i potwierdził na hospodarstwie Bazylika, a strąconego Aleksandra rozkazał internować w Małéj Azyi. Dla Łaskiego zniknęła nadzieja wojny z Turkami, dla Despota znów ustawała potrzeba oglądania się na Łaskiego: niebawem się téż między nimi wszczęły spory.

Nie długo oddalił się nasz Olbracht z Wołoszczyzny, aby poszukać w Polsce sprzymierzeńców przeciwko Despotowi. Kniaź Dymitr Wiśniowiecki, głośny na pograniczu zawadyaka, był gotowym do nowéj walki, jakiéj już w służbie Iwana Groźnego poprobował. Na nich obu skarżył się wkrótce Despot przed Zygmuntem Augustem, bo i z królem polskim wszedł był już nowy wojewoda wołowski w dosyć przyjazne stosunki. Na wezwanie królewskie przybyli obaj, za glejtem (inaczéj nie śmieli się w moc króla oddawać) na sejm piotrkowski (w marcu 1563 r.); usprawiedliwiających się, chociaż kłamliwie, przyjął król do swéj łaski; ale zamiarów swoich na Wołoszczyznę nie zrzekli się wcale, pomsty na Despocie

---

także w listach posła francuskiego w Konstantynopolu Charrière „Negotiations de la France dans le Levant“ II, 680 i nast.; oraz w relacyach ambasadorów weneckich Dandolo i Donini, „Albèri“ III, 3, 168 i 205.

szukać chciał nasz Olbracht, bo załogę jego Despot już wygnał z Chocimia i sam posiadł tę twierdzę.

Wogóle Despot rządził w Mołdawii silnie i energicznie, przepowiadano mu też długie tam władanie spokojne. Ale Wołosi byli mistrzami w zdradliwości wszelkiego rodzaju. Niebawem uprzykrzyli sobie nowego pana, jego związki z protestantami polskimi, jego odmiany kościelne, przedewszystkiém jego chciwość i zdzierstwa, żeby mieć zawsze czém opłacić swoję straż zagraniczną, w któréj głównie pokładał swe bezpieczeństwo. Straży téj część największą zwabiono w otwarte pole, gdy kniaź Dymitr wiodąc nowego do hospodarstwa pretendenta zdawał się Despotowi zagrażać; zwabioną wymordowano podstępnie, a Despot z resztką musiał się spiesznie zamknąć w Soczawie, podczas kiedy Wołosi jednego z pośrodka siebie obwoływali nowym wojewodą (w lecie, lipcu czy sierpniu 1563).

Więc teraz Despot wzywał znowu pomocy Łaskiego i przyznawał, że „to Pan Bóg karze, iż Łaskiemu źle oddał jego dobrodziejstwo.“ Łaski już wtedy siedział znów na Chocimiu, który mu wśród téj zamieszki poddała bez trudności sama załoga, z obcych właśnie najemników złożona. Przysposobił się do téj wyprawy na Bazylika w zmowie z cesarzem Ferdynandem; cesarskie herby świeciły na znakach wojskowych tych „drabów“, których Łaski na pomoc sobie sprowadzał. Teraz byłby może posłuchał wezwania despoty i znów się z nim połączył, bo sułtan śląc na wiadomość o nowém zamięszaniu w Mołdawii swojego tam czausza, nakazywał dostawić sobie i Despota i jego rywala Tomżę, a po Aleksandra przysłał; więc Despot musiałby walczyć teraz z Turkami. Ale kniaź Dymitr, choć niby sprzymierzeniec Łaskiego, chciał go teraz ubiedz, za Despotem się pierwszy oświadczył, z nim się ułożył i natychmiast układ ten złamał, gdy Wołosi jemu samemu panowanie nad sobą ofiarowali. Po niewczasie poznał ich zdradę, w zasadce legły jego zastępy, sam dostał się do niewoli Tomży, i skończył żywot na haku w Carogrodzie, dokąd go Tomża odesłał. Ta klęska musiała teraz i Łaskiego powstrzymać. Sam nazbyt był słaby wobec wszystkich Wołochów, zwłaszcza że się już i znaczne siły tureckie zbierały. Za wielkie mu to powodzenie poczytano, że zdołał się wycofać i dokonać bez straty odwrotu, gdy tymczasem Despot się w końcu (w grudniu 1563 r.) poddawał Tomży i z jego rąk śmierć poniósł.

Nie skorzystał sam Tomża ze swojego zwycięstwa. Turcy wiedli do Mołdawii napowrót Aleksandra, wyprawy Łaskiego miały więc w końcu ten tylko skutek przeciwny jego zamiarom, że w Moł-

dawii wpływ turecki się wzmógł i urósł. Turecką strażą otaczał się przywrócony hospodar, przeciwników swych wymordował wszystkich: mniemano nawet, że się poturczył. Tomża uszedł do Polski, Sułtan żądał jego wydania; nie chcąc tego uczynić, kazał go Zygmunt August stracić. Domagano się i zwrotu Chocimia, który jeszcze trzymał Łaski w swéj mocy. Król nalegał mocno na niego także, a Łaski musiał uczynić zadość żądaniom. Bo o walce z Turkami teraz ani mógł myśléć; cesarz Ferdynand, do którego się jeszcze udał, odmówił mu snać swéj pomocy, on sam zaś nie miał już nic pieniędzy, na ostatnią wyprawę swoją sprzedać musiał macierzyste Rytwiany (1). Żeby znów dostać gotówki, szykował się, owdowiawszy tymczasem, użyć drugi raz doświadczonego już sposobu, wśród warunków, które mu kazały bardzo dbać o przychylność królewską. Ztąd to jego obecna dla rokazów Zygmunta Augusta powolność.

Księzna Ilina, jak ją zwano, 50-letnia prawie Beata Kościelécka, od lat już 25 wdowa po Eliaszu (Ilii) Ostrogskim, największym na całą Ruś i bodaj Litwę także magnacie, była tą drugą oblubienicą naszego bohatera, która go znowu miała podźwignąć majątkowo. Że mogłaby być jego matką, w tém naturalnie żadnéj nie widział przeszkody; młodszéj tak ciepłéj wdówki nie można było znaléźć. A znów dla zawziętéj i chciwéj panowania niewiasty; skłóconéj z królem, z szwagrem, z zięciami, wciąż wiodącéj heroiczną chwilami walkę o władzę nad tą córką, którą jéj podstępem i przemocą wydarto, lecz wiodącéj tę walkę jak dotąd bezskutecznie,—małżonek tak odważny i przebiegły jak nasz Olbracht był ostatnią deską ratunku, któréj się rozpaczliwie chwytała.

Nie tu miejsce powtarzać jeszcze raz znane a niewesołe przygody Halszki z Ostroga; smutna to historya, nie romantyczna wcale, chociaż pouczająca bardzo, jaki to los niefortunny czekał podówczas (nie tylko w Polsce zresztą) posażne jedynaczki, czy to była Jadwiga z Książa w 15-tym czy Halszka Ostrogska w 16 wieku. Księżna Ilina wiedziała, że jeśli córki przez Łaskiego nie wydrze Górce, to przynajmniéj na pewno się pomści na nienawistnym wrogu przez to nowe małżeństwo. Bo Łaski mu nie odda nigdy dobrowolnie ani majątku swéj małżonki, ani tych mnogich włości pasierbicy, które dzierżyła dotąd jeszcze matka w swéj mocy, wciąż się

---

(1) W czerwcu 1564 r. Zygmunt August powiada, że „Łaski żadnej osiadłości pod nami nie ma,“ Kraushar I, 66 z rękopisu; a ponieważ potem Rytwiany w obcych rękach widzimy, więc ztąd wnosić należy, iż właśnie podówczas je sprzedał.

prawując z zięciem po sądach wszelkiéj instancyi. Dla większego w tém bezpieczeństwa niebawem przelewała na młodego małżonka wszystkie swe prawa do dóbr własnych i do dóbr córki. Dobra te zaś leżały w granicach Litwy. Litwini z wielką niechęcią ujrzeliby wśród siebie koroniarza od razu tak możnego; szczególniéj dla stryja Halszki, kniazia Wasila Ostrogskiego, ten obcy intruz na Ostrogu był solą w oku. Dla tego to nasz Olbracht potrzebował przychylności i opieki królewskiéj.

Bardzo być może zresztą, że zapis księżnéj Beaty na rzecz męża nie był aktem dobrowolnym z jéj strony. Zaślepiona swą żądzą zemsty, jednego nieprzewidziała namiętna kobieta: tego, że Łaski ją tylko dla swych celów wyzyska. Dostawszy zapis jéj dóbr; posiadłszy jéj wielkie skarby w gotówce, klejnotach, bez żadnego skrupułu zamknął ją zdala od ludzi na swym zamku kiezmarskim. Otoczona strażą, niemal więziona, nie mogąc utrzymywać żadnych ze światem zewnętrznym stosunków, przestała odtąd zupełnie istnieć dla męża i dla całego świata. Nikt się za nią przez długie lata nie ujął; król i krewni byli radzi, że się pozbyli wreszcie uprzykrzonéj pieniaczki i jéj wieczystych skarg dla wszystkich już nieznośnych. Opuszczona, zapomniana, w niedostatku wielkim pokutowała srodze za dawny upór, w samotności niemal do śmierci rozpamiętując z goryczą dawne znaczenie i dawną świetność swoję.

Przez nabyty łatwo majątek żony nasz Olbracht stał się odrazu jednym z głównych magnatów polskich. Od tego téż czasu dopiero poczyna się jego rola w Polsce, odrazu wielka. Za część skarbów zagrabionych Beacie nabył od braci stryjecznych gniazdo rodziny Łasko (1); niebawem (od lata 1565 r.) jest jak dziad, ojciec i stryj, także wojewodą sieradzkim; w Sieradzkiém używa odtąd zawsze i wpływu wielkiego i popularności u szlachty, radującéj się widać, że po 15 letniéj przerwie znowu jéj przewodnictwo wracało do téj saméj z pośrodka niéj wyrosłéj rodziny.

Umiał téż Olbracht popularność zdobywać, wiedział wybornie, gdzie jéj szukać. W gruncie rzeczy szlachtą gardził i lekceważył ją, sam czując się magnatem; wybrawszy Polskę na pole swego działania, nie przestawał wciąż utrzymywać najściślejszych stosunków z cesarzem tak nienawistnym szlachcie; tak wielce jéj podejrzliwość budzącym. Ale szlachta widziała w nim odwagę i dziel-

---

(1) Łasko sprzedał był Hieronim bratu swemu Stanisławowi z prawem odkupu, z którego widać teraz skorzystał Olbracht, skoro potém jest właścicielem Łaska aż do śmierci; potrzeba zaś było według ustaw, aby wojewoda był osiadły w swém województwie.

ność tém wyżéj cenioną, im wtedy rzadszą; widziała w nim zwolennika i egzekucyi królewszczyzn i unii z Litwą, który czynem, nie tylko słowem, popularnym dziełom pomagał.

Kiedy w r. 1568 wtargnęła w ziemie ruskie jedna z tych mnogich, wałęsających się luzem bez walnéj nawet wyprawy, a zawsze tak niszczących hord tatarskich, kiedy z mnogim łupem i niewolnikiem wracała do domu, nasz Olbracht puścił się za nią i oparł się aż gdzieś pod Oczakowem, twierdzą nadmorską w Turków posiadaniu. Do twierdzy szturmował nadaremnie, ale spalił przedmieście i uprowadził stada koni i bydła, własność Turków mieszkających w pobliżu. Łaski bodaj umyślnie nie rozróżniał własności Turków od tatarskiéj, pragnąc sam wojny z Turkami; umyślnie, może w myśl cesarza, zaczepiając twierdzę chciał Polskę w wojnę z Turkami uwikłać. „Sprośna to pomsta ludzie od Tatarów pobrane tureckiém bydłem sobie nagradzać,“ sarkali zwolennicy pokoju z sułtanem (1), a nawet lepiéj rzeczy świadomi utrzymywali, że Łaski goniąc Tatarów zmylił szlak, którym uchodzili, że główny ich zagon spokojnie za Dniestr uprowadził w jassyr mnóstwo niewolnika. Nie mniéj jednak żwawą pogonią swoją stawał Łaski w oczach wielu ze szlachty, mniéj dobrze rzecz znającéj, w chwale obrońcy od dziczy tatarskiéj, jako bohaterski stróż na granicy.

A znów kiedy się zebrał do Lublina sejm dla przeprowadzenia unii, Łaski znalazł sposobność raz i drugi zjednać sobie nowe szlachty uznanie. Bo kiedy o obronie radzono, to posłowie ziemscy chcieli na nią obrócić dochody z dóbr koronnych, odzyskanych przez egzekucyą statutu Aleksandrowego. Egzekucya ta jak wiadomo dotykała przedewszystkiém senatorów. Większość ich dopominała się teraz jéj „moderacyi.“ Ale Łaski odezwał się w senacie, że nie widzi „aby to była rzecz dobra odstępować od egzekucyi i co się postanowiło już od wszystkich, zaś to targać, zaś w niwecz obracać,“ czem oczywiście tém bardziéj posłów uradował, im mniéj podobnych głosów od senatorów słyszéć przywykli. A kiedy niebawem król, czyniąc zadość posłom ziemskim, i Podlasie i Wołyń od Litwy odłączywszy do korony przywracał, jeden Łaski tylko „poddał się do korony z majętnością swą, którą miał na Wołyniu.“ Wołyniacy, nieobecni nie chcieli uznać królewskiego rozkazu, że aż o ostrych środkach przymusowych na nich myślano.

---

(1) Słowa P. Zborowskiego posła do Turcyi, w sprawozdaniu do króla, wyd. przez Kraszewskiego (w Bibl. Polskiéj Turowskiego). Podróże i posel. polskie do Turcyi, str. 67.

Wolno wątpić, czy Łaski byłby się w ten sam sposób o egzekucyi królewszczyzn odzywał, gdyby go osobiście dotykała. Toć on nie odziedziczył żadnych sum na zastaw starostw wypożyczonych królowi, bo ojciec przez całe życie tylko tracił pieniądze i zastawiał własne włości. Przyłączenie zaś Wołynia do Polski ubezpieczało dopiero na prawdę koroniarza Łaskiego w posiadaniu tamecznych dóbr po żonie. Z tém wszystkiém widziano skutki, w pobudki nikt nie wnikał: słowa i czyny zaś Łaskiego na sejmie unii pomnożyć tylko mogły jego popularność.

Ceniono go więc wszędzie, każde stronnictwo pragnęło go widzieć w swoim obozie. Lecz Łaski właśnie teraz zmieniał obóz, do którego należał, porzucał podczas sejmu lubelskiego protestantów. Skoro raz osiadł w Polsce, skoro się tu mnogim kłótniom między protestantami przypatrzył, ze zwykłą bystrością spostrzegł niedługo, że już nie wśród nich punkt ciężkości państwa spoczywa. Już katolicy, dotąd zawsze na sejmach milczący, ośmielili się odezwać (na sejmie piotrkowskim 1565), już po sprowadzeniu do Polski Jezuitów ukazały się pierwsze, choć jeszcze słabe oznaki przyszéj reakcyi, Łaski je zrozumiał bodaj pierwszy i niewahał się długo. Nie namowy to Hozyusza, nie wywody teologiczne, nawrócenie jego spowodowały; siłę ujrzał w kościele katolickim, uśpioną jeszcze, zaledwo się budzącą, ale siłę, do któréj należy przyszłe w Polsce zwycięztwo.

Tu się przeto obracał zawczasu, póki jego przystąpienie miało wysoką cenę. Czynił to z ostentacyą, z wielkim rozgłosem. Sami protestanci dali mu do tego sposobność „kapłani i powszechność cała wyznawców Chrystusa w Polsce“ (1), w obawie o utratę tak wpływowego męża, odezwali się ze skromném upomnieniem, aby się jeszcze zastanowił, rozmyślił nad tém, co czyni. Łaskiemu dało to tylko pochop, żeby ostro i szorstko wziąść ostateczny rozbrat ze swymi współwyznawcami, żeby wyraźnie zamanifestować swą prawowierność katolicką. „Jeden jest kościół powszechny, a tego przewodnikiem ustanowionym przez Chrystusa jego namiestnik, papież rzymski.“ „Wyście to opuścili Chrystusa,“ — wyrzucał w swéj odpowiedzi protestantom „wyście wzgardzili apostołami i ich następcą;“ „wśród was same niezgody, a przecież Bóg jest Bogiem pokoju.“ Zapewniał, że ani namowy, ani niebezpieczeństwa, ani prześladowanie, ani śmierć najstraszliwsza nie oderwie go od Chrystusa, nie zachwieje stałości jego w téj prawdzie, którą raz poznał.

---

(1) Praecones et universitas tota Christum profitentium in Polonia.

List ten obrachowany był na to, żeby służył duchowieństwu za zakład wierności i stałości jego autora. Dla tego z pewnością on sam postarał się o jak największe listu rozpowszechnienie; niebawem ogłoszono go drukiem. I cel swój osięgnął najzupełniéj: nietylko Hozyusz wnet słał mu z Rzymu błogosławieństwo papieskie, zachętę do gorącéj z protestantami polskimi walki; w kraju czy za granicą wszyscy gorliwi katolicy, szczególniéj wyższe duchowieństwo, widziało w Łaskim główny filar kościoła w Polsce. Biskupi polscy gotowi byli popierać jego zamysły, zamykać oczy na jego nadużycia, wysłańcy stolicy apostolskiéj zwracali się z zaufaniem do Łaskiego, który nawzajem przy każdéj sposobności składał dowody swéj czci i swego posłuszeństwa dla papieża.

Jedną bowiem z pobudek powrotu naszego Olbrachta do kościoła katolickiego była niewątpliwie ta okoliczność, że papież, gorliwy Pius V, wciąż nawoływał monarchów chrześcijańskich do powszechnéj przeciwko Turkom wojny, że tę wojnę, któréj tak bardzo pragnął Łaski, właśnie katolickie mocarstwa zamierzały prowadzić. Gdy Turcy zagrozili Cyprowi przychodziła wreszcie do skutku liga między papieżem, Wenecyą, Genuą i Zakonem Maltańskim; traktowano o przystąpienie do niéj Filipa II, przez co dopiero stałaby się istotnie groźną. Zamierzał papież wciągnąć do ligi cesarza i króla polskiego; nawet z Iwanem Groźnym chciał się o udział w niéj porozumiewać. A chociaż i Maksymilian II i Zygmunt August pragnęli uniknąć starcia z bliską potęgą turecką, mimowoli mogli się zawikłać w wojnę. Toć król polski zgodził się zawrzéć traktat z młodym hospodarem mołdawskim Bogdanem, którego wziął pod swoję opiekę, a na to bardzo krzywo patrzyli Turcy; toć wiódł swego siostrzeńca, Jana Zygmunta Zapolyę Siedmiogrodzkiego, do zgody z cesarzem Maksymilianem i sam się na pośrednika ofiarował, a tymczasem taka zgoda była dla Turków nienawistną. Lękał się téż młody Zapolya wojny z sułtanem, Zygmunt August mu opiekę przyrzekał, jeśliby go Turcy pierwsi zaczepili. Dla tego patrzał przez szpary, gdy kto w Polsce na ten wypadek się zbroił.

Olbracht Łaski brał to wszystko w rachubę; znawca stosunków europejskich, z ogólném położeniem polityczném wiązał swe plany i na nich je opierał. Swoich nadziei na Wołoszczyznę nie zrzekł się on nigdy, tylko je do sposobniejszéj odłożył chwili: teraz chwila taka zdawała się właśnie nadchodzić. Zawczasu się do niéj sposobił, zbroił się i przygotowywał oddawna. Aby utrzymać liczny dwór i zbrojne zastępy, zaciągał nieustannie długi u włoskich kupców w Krakowie (Soderinich), którym zastawiał majątki wołyńskie

oddane mu przez żonę (1). W końcu sprzedał królowi wszystkie dobra po Ostrogskich; król jednak zostawił mu prawo odkupu a część ich dał w dożywotnie posiadanie.

Do sprzedaży królowi Ostroga z przyległościami miał zresztą Łaski inne jeszcze powody. Z kniaziem Konstantynem Wasilem świeżo w nowe popadł zatargi. Ostrogski bowiem, zięć hetmana Tarnowskiego, posiadł przez żonę Tarnów (gdy umarł bezpotomnie syn hetmański), a tymczasem dalszy krewny, Stanisław Tarnowski z Wielowsi, kasztelan czechowski i tytuł hrabiego na Tarnowie przybrał i prawa do dóbr Tarnowskich Ostrogskiemu zaprzeczał. Zanimby sprawę w sądach rozstrzygnięto, chciał kasztelan czechowski dobra posiadać. Z pomocą pozyskanych dla swego planu przyjaciół najechał, 18 kwietnia 1570 r., Tarnów, opanował zamek i rozgospodarował się w okolicznych włościach. Najczynniejszym był przytem Olbracht Łaski; jego zbrojne zastępy zdobyły zamek, nie bez rozlewu krwi, rabując bogate ruchomości. O to też pewno mu głównie chodziło: i opłacić grabieżą i zatrudnić swoich żołnierzy, zanim do wojny tureckiéj przyjdzie. Bo sam najazd, wśród którego córka hetmańska Zofia Ostrogska ledwo że uszła cało, tylko przyśpieszył wyrok ostateczny w téj sprawie. Król przyznał Tarnów Ostrogskim a kasztelan czechowski musiał go im wydać, ale przed zemstą kniazia Konstantyna zasłonił Zygmunt August naszego Olbrachta nabywając od niego Ostróg. Zamiast kary za naruszenie pokoju, Łaski zyskał wdzięcznego przyjaciela w kasztelanie czechowskim.

Najazd Tarnowa, to tylko epizod wśród przygotowań do przyszłéj wojny tureckiéj. Byli i w Polsce jéj zwolennicy, ale Łaski nie ze wszystkimi mógł być w zgodzie. Z polskiego bowiem stanowiska, pragnąc wojny tureckiéj wypadało trzymać z wołoskim Bogdanem, jego wspierać, z nim stosunki zacieśniać. A tymczasem ten Bogdan, to syn owego Aleksandra, którego już raz Łaski był strącił z hospodarstwa. Łaski sam chciał zostać hospodarem w inną się więc zwracał stronę. Dla tego się oglądał na Wenecyą, na Zapolyę, przedewszystkiém zaś zawsze na cesarza. Wdawał się z Wołochami w intrygi przeciwko Bogdanowi, wchodził w zmowę z Tatarami, żeby ich użyć przeciw Wołoszy i Turkom, Zapolyi przyrzekał poprowadzić z Polski znaczną pomoc, gdy się z cesarzem pojedna, cesarza najmocniéj do téj zgody nakłaniał; sam się wybierał jechać do Wenecyi, po drodze miał z Maksymilianem traktować o wszystkiém dokładnie i szczegółowo. Wiedział Bogdan to dobrze, jak mu się

(1) Akta podkanclerskie F. Krasińskiego, w Bibl. Ordyn. Krasińs. z 1871 r., p. 168 i 177 i 230.

trzeba lękać Łaskiego; zwracał więc się do jego w Polsce nieprzyjaciół, chciał zaślubić córkę kniazia Ostrogskiego a spółcześnie łudził Łaskiego obietnicą, że mu dobrowolnie hospodarstwa ustąpi.

Przez cały rok 1570 wciąż słychać o tych zamysłach i usiłowaniach Łaskiego. Dziwna rzecz i niewytłómaczona, dla czego nie wystąpił czynnie w następnym roku, po świetnym tryumfie floty chrześciańskiej, po wielkiem zwycięztwie ligi pod Lepanto. Czemu wtedy nie ruszył do Mołdawii, gdzie go podobno z upragnieniem wyczekiwało wielu? Niewątpliwie rychła śmierć Jana Zygmunta Zapolyi (w marcu 1571) zaraz po zawarciu układu z cesarzem, i wybór (w maju) wojewodą siedmiogrodzkim Stefana Batorego, przeciwnika związków z cesarzem, pokrzyżował plany Łaskiego; połączenie cesarza z Siedmiogrodem było przecież dla tych planów podstawą. Co jednak Łaski robił podówczas, nie wiemy; lecz wiemy, że się coś knuło wtedy na Węgrzech. Cesarz bowiem, obrotem rzeczy w Siedmiogrodzie wielce zaniepokojony, proponował królowi polskiemu przymierze potajemnie przeciw Turkom na ten wypadek, gdyby chcieli Siedmiogród wprost sami zagarnąć. Zygmunt August odrzucił tę propozycyą, zasłaniając się swojem przymierzem z Turkami; oświadczył nawet wyraźnie, że mu to obojętne, co Turcy z Siedmiogrodem zrobią. Za to wnet słychać, że zbiegowie wołoscy gotowali jakiś zamach z Węgier przeciwko Bogdanowi. Zygmunt August ostrzegać musiał Maksymiliana, że tego lennika swego weźmie w obronę, jeśli go kto z krajów cesarskich zaczepi (1). Widocznie więc z wiedzą cesarza Maksymiliana zamierzano na hospodarstwie mołdawskim osadzić inną osobę; widocznie więc cesarz się spodziewał, że ten nowy hospodar większe by mu dawał bezpieczeństwo wpływu na Siedmiogród, niźli związany z Polską Bogdan. Nazwiska Łaskiego nikt przytém nie wymienia; wydaje mi się jednak bardzo prawdopodobném, że w tym ruchu przeciwko Bogdanowi miał i on jakiś udział. Rzecz to jednak niejasna; kto wie, czy z archiwów wiedeńskich nie dałaby się jeszcze wyświecić.

Bądź co bądź stanowisko Bogdana na Mołdawii podkopały i te i dawniejsze agitacye Łaskiego. Lecz nim on sam mógł z tego korzyść odnieść, wprzód skorzystali—Turcy. Z ich pomocą i za ich wsparciem Iwonia opanował rządy w Mołdawii, (zimą 1871/2) gdy Bogdan udawszy się do Polski, uwięziony z osobistych pobudek (przez Krzysztofa Zborowskiego) nie mógł żadnego stawić oporu. Podjęło z Polski kilku panów wyprawę dla restauracyi Bogdana, ale bez skutku; na razie na Mołdawii znów zapanował bez-

(1) Akta podkancler. Krasińskiego p. 106 nast. 221.

względnie wpływ turecki. Ztąd nowa dla Łaskiego pobudka, żeby do walki z Turkami naglić. To też gdy zjechał teraz legat papieski, kardynał Commendone, aby Polskę koniecznie do zwycięzkiéj już ligi wciągnąć, i on się zwracał sam do Łaskiego, jak najkorzystniéj o nim już od Hozyusza uprzedzony, i Łaski też najmocniéj zabiegi kardynała popierał. Wielu senatorów udało się pozyskać; większość senatu jednak i król sam, dogorywający już Zygmunt August, niedawali się wymownym słowom legata przekonać. Już miał bez skutku opuścić Polskę, gdy śmierć Zygmunta Augusta zatrzymała go nadal w kraju. Niebawem się udał do Sulejowa w województwie sieradzkiem, żeby ztąd pod opieką Łaskiego o wybór króla katolika się starać. I w tém mu Łaski miał być największą pomocą; jak dotąd tak i teraz wśród bezkrólewia szedł ręka w rękę z kardynałem, nie tracąc zresztą ani na chwilę z oka swoich zamysłów co do Mołdawii.

Zupełna zgodność co do osoby przyszłego króla panowała między kardynałem a Łaskim. Commendone pozostał w Polsce, żeby pracować nad wyborem jednego z arcyksiążąt, a nasz Olbracht z początkiem bezkrólewia o nikim innym też nie myślał. Żaden z wymienionych podówczas kandydatów nie mógł mu tak dogadzać jak syn cesarski: ani Iwan Groźny, popularny bardzo wśród szlachty lecz nienawistny wszystkim panom, ani Jan III szwecki, protestant i ubogi, ani nakoniec Piast, pożądany przez wielu. Na Piasta najchętniéj jeszcze byłby przystał, ale tylko pod tym warunkiem, że to on sam, Olbracht Łaski, będzie tym królem Piastem. Wymieniali go niektórzy między kandydatami, a myśl o koronie podobno chwilami łechtała jego ambicyą. Zbyt dobrze jednak znał położenie rzeczy, żeby się dał uwodzić takim marzeniom; każdy zaś inny Piast był mu wstrętny, bo ani by go mógł dostatecznie wynagrodzić ani nie przedstawiał téj siły, którą zawsze nasz Łaski cenił nadewszystko, któréj więc szukał i teraz, Element siły wyobrażał w lipcu 1572 r. jedynie arcyksiążę: zanim stał cesarz, zanim stała cała potęga domu Habsburgów, zanim przemawiał papież i jego legat; arcyksiążę wreszcie na tronie polskim znaczył wojnę z Turkami, któréj Łaski tak pragnął, w któréj on sam pierwsząby niewątpliwie odegrał rolę, w któréjby mógł sobie zdobyć upragnioną mitrę wołoską.

Łaski łaknął pieniędzy, honorów, władzy; wszystko to mógł mu dać cesarz. Wiedziano dobrze, iż aby zyskać tron polski dla swego syna Ernesta, cesarz gotów ponieść największe ofiary materyalne, wiedziano, że mu Filip II na ten cel skarbów nowego świata użyczy. Cesarz był najwyższym w chrześciaństwie szafarzem wszelkich zaszczytów i godności; a władzę w Polsce, mniemał Ła-

ski, zleje Ernest największą na tego, kto mu najskuteczniéj do korony dopomoże, kto najdawniéj i w najściślejszych z nim zostawał stosunkach. Łaski zaś choć od lat kilku przeniósł się z Węgier do Polski, ani na chwilę nie przerwał swoich związków z cesarzem. Nikt z panów polskich nie obcował tak nieustannie z posłami cesarskimi przy Zygmuncie Auguście, nikt się tak ciągle do cesarza nie odwoływał, nikt mu tyle co nasz Olbracht nie poczynił przyrzeczeń. Jeszcze świeżo parę miesięcy przed śmiercią ostatniego Jagiellończyka, jeździł był Łaski sam do Wiednia (1) i z cesarzem Maksymilianem umawiał się na wypadek przewidywanéj już śmierci króla.

Zdawał sobie nasz Olbracht dokładnie sprawę ze wszystkich trudności na jakie elekcya arcyksięcia, tak nienawistna masie szlachty, musiałaby napotkać. Wiedział doskonale, że szybkie i energiczne działanie jest niezbędnym warunkiem jéj powodzenia. Wiedział to także i kardynał legat znający wybornie stosunki polskie. Na tém téż, jak wiadomo, już za życia Zygmunta Augusta, Commendone cały swój plan postępowania osnuł. Z jednéj strony porozumiał się z panami litewskimi, że niezwłocznie arcyksięcia Ernesta swym Wielkim Księciem okrzykną; w Polsce znów ułożył się z obu naczelnikami stronnictwa katolickiego, że będą zgodnie działać. Najrzutniejszy z pomiędzy katolickich senatorów świeckich nasz Olbracht, i najzdolniejszy, najruchliwszy z polskich prałatów, biskup kujawski Karnkowski, obaj przyrzekli legatowi, że wspólnie pracować będą nad wyborem króla katolika, a w razie sporu co do jego osoby zdadzą się na sąd rozjemczy kardynała. Niespodzianym, śmiałym zamachem miał Ernest przyjść do korony polskiéj.

Plan był zuchwały i ryzykowny, ale w danych warunkach jedyny, który prawdopodobnie byłby się powiódł. Przeciwnicy kandydatury habsburskiéj, liczni, lecz słabi, bez organizacyi, zaskoczeni z nienacka przez wybór Litwy, nie zdołaliby się opatrzéć ani przeszkodzić elekcyi Ernesta, zwłaszcza skoroby elekt zaraz spieszył do Polski z oddziałem zbrojnym, jak tego od cesarza żądano, skoroby tutaj w Polsce i duchowieństwo i Łaski ze swoim zawsze zbrojnym orszakiem i ze swoimi przyjaciołmi za jego sprawą się ujął. Bo Łaski, przyjaciel duchowieństwa, od którego nawet roczną pensyą pobierał, był zarazem naczelnikiem niezmiernie popularnym całego zastępu młodzieży, ruchliwéj, hulaszczéj, zadłużonéj, tak

---

(1) Że był tam z początkiem wiosny, okazuje list jego (obojętnéj zresztą treści) do Jakóba Marcinkowskiego, pisany z Wiednia 28 marca 1571, znajdujący się w zbiorach hr. Jana Tarnowskiego w Dzikowie, a udzielony mi wraz z kilku innymi oryginalnemi listami O. Ł. za uprzejmem pośrednictwem dr. Jerzego hr. Mycielskiego.

zwanych desperątów albo utracyuszów. Żywioł ten najburzliwszy najmniéj krępował się jakiemi bądź skrupułami. Ci wszyscy byliby za nim poszli.

Taki plan i taka rola dogadzały zupełnie naszemu Olbrachtowi. Posiadał téż wszystkie warunki, żeby się z zadania wywiązać należycie, miał potrzebną energią i ruchliwość. Tylko za tak wielkie usługi chciał być pewnym wielkiéj nagrody, za darmo kompromitować się i ryzykować nie chciał; tak samo jak i Litwini swoje stawiali cesarzowi warunki. Wszyscy więc stronnicy austryaccy czekali na stanowcze słowo cesarza, zanimby zaczęli działać. Tymczasem cesarz Maksymilian ani stanu rzeczy w Polsce jasno nie znał, ani nie mógł się zdobyć na śmiałość i na energią. Cesarz Maksymilian pragnął gorąco korony polskiéj dla syna, ale nie chciał jéj posiąść z rąk jednego stronnictwa, nie chciał nic ryzykować, łudził się do ostatka nadzieją, że wszystkich zjednać potrafi. Nie chciał się związać stanowczo z tymi, którzy sami do niego wyciągali ręce, żeby ich przeciwników sobie nie zrażać; owszem swoich stronników zaniedbywał poniekąd, licząc, że w każdym razie za nim się muszą oświadczyć. Natomiast całą usilność wytężał ku pozyskaniu niechętnych dotąd, prowadząc z wielkim rozgłosem agitacyą powszechną przez swych posłów. W rzeczywistości, nikogo z niechętnych nie pozyskał a dotychczasowych przyjaciół jak Commendone i Łaski obojętnością odstręczył.

I Łaski jak i Litwini nie mógł się doczekać stanowczych przyrzeczeń i zobowiązań. Pisał do niego cesarz niejednokrotnie, do wiernéj wytrwałości go wzywał, o jednanie dalszych stronników upraszał. Ale co do wszelkich obietnic odsyłał go do swoich posłów w Polsce, a ci znów odwoływali się do cesarza. Tymczasem wskutek agitacyi posłów cesarskich rosła w szlachcie niechęć do kandydatury habsburskiéj, rosła więc trudność jéj powodzenia. A tymczasem zjawił się nowy kandydat do korony, o którym prawie nikt przedtém nie myślał.

Niespodziana wiadomość, że przybywa poseł francuski starać się o koronę polską dla ks. Anjou, wywołała zrazu powszechne zdumienie. Z niewiarą prawie donosił swojemu panu o tém poseł cesarski (4 września 1572). Ale niebawem trzeba się było liczyć z kandydaturą Henryka jako z faktem poważnym. Bo wszystkich nieprzyjaciół Habsburskich, niewiedzących gdzie się obrócić, zjawienie się Monluca (1) w Polsce wybawiało z prawdziwego kło-

(1) Używam téj pisowni nazwiska, jako jedynie właściwéj: tak się podpisywał sam poseł, a współcześni mu historycy Heidenstein i Solikowski nazywają go *Monlucius.*

potu — to podobno najważniejszy był powód niezmiernego powodzenia Monluc'owych obietnic bezgranicznych, któremi tylu zdołał odrazu oczarować.

I do Łaskiego zwrócił się Monluc z szumnym listem. Ale na puste słowa nieczułym był wojewoda sieradzki. Innych mógł łowić Monluc na wędkę czczych frazesów, na Łaskiego potrzeba było odmiennych środków, bardziéj namacalnych. Nie Monluc go zjednał dla Henryka, lecz Schomberg, poseł francuski do kilku książąt niemieckich. Wyróżniając Łaskiego przed wszystkimi, Schomberg za poradą landgrafa heskiego słał już w sierpniu 1572 r. własnego brata do wojewody sieradzkiego, niby w odwiedziny do jakiegoś krewniaka, który należał do orszaku dworzan naszego Olbrachta, zawsze ludźmi wszelkiéj narodowości otoczonego. Przez niego obiecywano Łaskiemu 100,000 talarów, jeśli wybór Henryka zdoła przeprowadzić; obiecywano—co ważniejsza— panowanie na Mołdawii, które mu król francuski swoim wpływem u Turków wyjedna. Tu więc przychodziły jasno określone ofiary, jakich cesarz skąpił dotychczas, przychodzily od księcia ściśle katolickiego, miłego duchowieństwu i papieżowi, od księcia dla którego łatwo było pozyskać szlachtę nienawidzącą domu Habsburgów; od kandydata jednem słowem, który przedstawiał wszystkie warunki powodzenia. Nic dziwnego więc, że Łaski pochwycił te ofiary oburącz, że natychmiast słał na odwrót zaufanego szlachcica do Schomberga, z gotowością do usług, ręcząc za powodzenie, byleby mu jak najprędzéj dostarczono pieniędzy na jednanie zwolenników. Schomberg zabrał wysłańca wojewody z sobą do Francyi, żeby z własnych ust Katarzyny de Medicis potwierdzenie przyrzeczeń usłyszał, żeby sama królowa stanowczy z Łaskim zawarła układ.

Gdy cesarz Maksymilian wkrótce od swoich posłów się dowiedział o zwrocie Łaskiego ku Henrykowi, nie chciał zrazu dać temu wiary. Za to w Rzymie wiedziano doskonale o wszystkich sprawach i zamiarach wojewody. Z Rzymu, według informacyi od ministrów papieskich, donosił cesarzowi poseł hiszpański (18 grudnia 1572 r.—przez niego to skarżył się tam Maksymilian na kardynała legata, że nie dosyć gorliwie sprawę Ernesta w Polsce popiera), dla czego to zraził się do cesarza Łaski i Commendone. Przestrzegano cesarza, że obaj straceni prawie zupełnie, że z największą chyba trudnością będzie można ich znowu pociągnąć; cesarz rozkazał swoim posłom, żeby tego poprobowali. A gdy posłowie cesarscy w Polsce poczęli teraz dopiero o ściślejsze związki z Łaskim się starać, on się nie odsuwał stanowczo. Nie wrócił jeszcze jego wysłaniec z Francyi; co więcéj, elekcya ks. Anjou napotykała na nie-

mało trudności. Kompromitowały ją bardzo rozgłoszone w Polsce dość późno (w październiku dopiero) szczegóły o rzezi Św. Bartłomieja. W pismach ulotnych, w malowidłach nawet, które z podniety posłów cesarskich się mnożyły, osobisty w niéj udział Henryka w najjaskrawszém ukazywano świetle. Nietylko protestanci zniechęcali się tém do niego; Łaski więc mógł się bać zawodu i obojętniał także dla Henryka a z posłami cesarza się pilnie znosił. Dostał właśnie od nich pieniędzy (7 stycznia 1573 r.), niby pożyczkę 12,000 złp. od podstawionéj osoby. Wybierał się sam do Wiednia, z cesarzem osobiście o swą nagrodę chciał traktować: wreszcie wyjawił posłom swoje bardzo wysokie warunki. Żądał bowiem przyrzekanéj mu już imieniem Henryka Mołdawii, orderu Złotego runa, który cesarz u Filipa II wyjedna; w Polsce zaś żądał, aby mu nadano starostwo spiskie, przyległe do jego dóbr na Spiżu węgierskim, w Węgrzech chciał wykupu tych dóbr zadłużonych z zastawu. Już to wymagało sum znacznych; ale Łaski żądał nadto jeszcze gotówki natychmiast, na koszta utrudnionego teraz jednania stronników.

Po świeżem doświadczeniu zmienności naszego Olbrachta, i cesarz i posłowie cesarscy pełni byli nieufności. Posłowie ostrzegali, że — kto wie — może po upadku kandydatury francuskiéj znów dla siebie samego zapragnie Łaski korony, że może do poparcia kandydatury własnéj wpływem cesarskim będzie nakłaniał i tłómaczył, że on, Łaski, wróg Turków, jako król polski Mołdawią by zdobył i byłby zawsze cesarza wiernym sprzymierzeńcem, Maksymilian znów, któremu żądania wojewody posłano, upoważniał swych posłów, aby uroczyście zobowiązali się jego imieniem na piśmie, że cesarz spełni wszystko po elekcyi Ernesta; równocześnie jednak zalecał posłom wszelką ostrożność, bo Łaski mógłby użyć tego zobowiązania na niekorzyść kandydatury habsburskiéj. A już ryzykować więcéj gotówki teraz, stanowczo cesarz odmawiał.

A tymczasem powrócił już wysłaniec wojewody z Paryża, przywiózł królowéj matki wyraźne zobowiązania na piśmie, których dotąd nie było od cesarza. Brat Schomberga znów się przekradł przez Szląsk do nadgranicznego Łaska, sam Schomberg zjechać się z wojewodą gdzieś na granicy wybierał. Równocześnie odżyła na nowo w pełnéj sile pogrzebana przez czas jakiś kandydatura Henryka. Monluc potrafił we wszystkich prawie wmówić, że rzeź św. Bartłomieja była tylko aktem koniecznéj obrony przed spiskami Hugenotów. Uwierzono, czemu chętnie uwierzyć chciano, przysłany z Francyi dla pomocy w jednaniu ktoś z Hugenotów służył za żywy dowód, że nie wszystkich protestantów we Francyi

wytępiono, że wiernych i nadal król swą opieką otacza. Równocześnie przysłano Monluc'owi trochę pieniędzy; musiał z tego kilka tysięcy talarów wypłacić najprzód Łaskiemu, bardzo niechętnie, zapewniając, że wszystkim innym same obietnice wystarczały. Nie zrywał jeszcze Łaski zupełnie z cesarzem, słał nawet swego sekretarza do Wiednia, ale spółcześnie słał drugiego do Francyi i coraz jawniéj, coraz głośniéj agitował na korzyść ks. Anjou (1).

W Warszawie na sejmie elekcyjnym skończyły się wszystkie jego wahania. Tu od początku razem ze swoim sprzymierzeńcem Karnkowskim największą w zabiegach za Henrykiem rozwinął Łaski ruchliwość. A kiedy po elekcyi naznaczono go świeckim naczelnikiem poselstwa jadącego po króla, nie czekał aż się zgromadzą wszyscy i ruszą uroczyście. Potajemnie, unikając zasadzek, pędził przodem do Francyi, żeby posiąść czemprędzéj obiecaną nagrodę.

Ani wątpić, że tak zręczny jak Łaski człowiek, tak układny, tak wytrawny we wszelkich intrygach dworak, musiał się w Paryżu bardziéj od innych posłów polskich podobać. Dla niego przynajmniéj nie zabrakło hojnéj zapłaty. Karol IX dał mu 100,000 franków, Henryk przeznaczył 50,000 z dochodów księstwa Anjou. Obaj królowie upraszali w swych listach do sułtana, aby go zrobił wojewodą wołowskim na Mołdawii; poseł francuski w Carogrodzie otrzymał polecenie, ażeby pilnie chodził koło téj sprawy. Łaski marzył, że to tylko początek do większéj potém świetności. Raz posiadłszy za przyzwoleniem Turków tron wołoski, zamierzał przeciwko nim się zwrócić, niedawną ligę państw chrześciańskich odnowić, z nią w przymierzu na lądzie i na morzu krwawą z Turkami rozpocząć walkę, testament ojca wykonać, a sobie—kto wie—najwyższą chwałę i ogromną potęgę zdobyć. Dla tego z Francyi wybierał się do Włoch, do Rzymu i Wenecyi. Zapowiadał już Hozyuszowi swój przyjazd dla złożenia imieniem Henryka obedyencyi papieżowi. Kardynał mu donosił, że papież pełen dla jego osoby najprzyjaźniejszych usposobień.

Bo Łaski świeżo nową zdobył sobie około katolicyzmu zasługę. I on wprawdzie podpisał na konwokacyi warszawskiéj znaną kon-

(1) Unikając mnożenia przypisków przez szczegółowe cytaty, nadmieniam tylko, że listy i akta wydane przez Charriere'a i Noailles'a wyjaśniają zupełnie stosunek Łaskiego do Henryka, do cesarza zaś i Ernesta akta w Archiwum wiedeńskiém; z tych najważniejsze (a przeoczone przez p. Kraushara) są listy cesarza do posłów w Polsce z 17 listopada 1572, z 27 stycz. i 4 marca 1573, oraz list Gerstmanna do podkancl. Webera z 4 lutego 1573 r.

federacyą między różniącymi się w wierze, lecz według jego myśli miała konfederacya mieć moc tylko wśród bezkrólewia, tylko do czasu elekcyi króla. Za elekcyą zaś króla katolika Łaski zawsze najmocniéj obstawał, wprzód nim się zdecydował co do osoby. Za Łaskiego to głównie sprawą przeznaczono Warszawę na miejsce elekcyjne i tém z góry zapewniono zwycięstwo katolickiéj szlachty mazowieckiéj. Teraz w Paryżu nasz Olbracht nie chciał dopuścić, aby nowy król konfederacyą zaprzysiągł. Nie zdołano temu przeszkodzić; Łaski więc razem z dwoma współkolegami protestował głośno przeciw takiéj przysiędze. Wychwalał go też za to Hozyusz; jako wielki penitencyaryusz rozgrzeszał go od wszelkiéj winy za podpisanie poprzednio konfederacyi; doręczył papieżowi list od Łaskiego, który przywiózł z Paryża sekretarz kardynała, zapewniał, że papież go kocha i ceni bardzo. Ciesząc się z rychłego przyjazdu wojewody do Rzymu, Hozyusz do siebie go zapraszał i we własnym chciał go ugościć domu. Niebawem jednak wzywał go do namysłu, czy nie lepiéj usłuży interesom kościoła, jeśli razem z Henrykiem do Polski pojedzie na sejm koronacyjny (1). Tam miała się jeszcze raz ważyć sprawa konfederacyi, tam należało nie dopuścić, aby król ją ponownie uznał w owém zatwierdzeniu wszystkich praw, które, jak zwykle królowie polscy, i Henryk miał wydać po koronacyi. Łaski zdecydował się istotnie wracać do kraju: nimby zdobył to przyszłe świetne stanowisko, należało w Polsce ratować swoje majętności zagrożone tymczasem przez nieprzyjaciół.

O więzioną już od lat wielu na zamku Kiezmarskim drugą żonę naszego Olbrachta, Beatę z Kościeleckich Ostrogską, nikt się dotąd nie troszczył. Nie ujęła się za nią córka, także więziona niemal przez nienawistnego małżonka w Szamotułach, straciwszy podobno rozum i wolę. Niedbał o bratowę kniaź Konstantyn Ostrogski: przez całe te 8 lat nie wspomniał o jéj uwolnieniu cesarzowi, na którego dworze syn kniazia czas dłuższy się chował. Dopiero gdy umarł Łukasz z Górki, gdy kniaź Konstantyn wysławszy swego syna do Wielkopolski, owdowiałą Halszkę do siebie na Wołyń sprowadził (w lipcu 1573 r.), dopiero wtedy, pewien że synowica uczyni wszystko, co on zechce, nagle zapałał wielką gorliwością w obronie uciśnionéj bratowéj. Wierny stronnik cesarza, teraz przez cesarskiego ajenta zaczął natarczywie nalegać (od sierpnia 1573 r.), aby cesarz Beatę z niewoli Łaskiego wyswobodził. W rzeczywistości chodziło o Ostróg i dobra Halszki, które zawsze jeszcze

(1) Hozyusza listy do Ł.: bez daty, wydany w Hosii Opera II, 364, oraz z 30-go stycznia i z 20 lutego 1574 w Ms. Bibliot. Jagiellońskiéj.

dzierżył Łaski wedle swojéj żony zapisów potwierdzonych przez tranzakcye ze zmarłym królem. O te dobra wszczął Ostrogski spór sądowy z bawiącym we Francyi Łaskim; gdyby Beata ukazała się w Polsce, odwołała zapisy, zaniosła skargę na niewdzięcznego męża, proces mógł wziąść dla Łaskiego fatalny obrót. A tego mógł się Łaski bardzo obawiać, bo cesarz był na niego gniewny o zawód przy elekcyi; Kiezmarku zaś, leżącego w krajach cesarskich, Łaski nie miał nawet w swéj mocy, oddawszy miasto w zastaw za długi. Dla tego należało odłożyć na potém podróż włoską, żeby w Polsce burzę jakoś zażegnać.

Za przyjazdem Henryka i Łaskiego przyszła przed sąd królewski sprawa zapisów Beaty na rzecz męża. Ich bezprawność była tak oczywistą, że i Henryk musiał to uznać i orzec. Ale Ostrogskiemu chodziło, aby majątek Halszki wydobyć rzeczywiście z rąk wojewody sieradzkiego. Na to sam wyrok nie wystarczał, trzebaby go chyba przemocą egzekwować. Kniaź Konstantyn wdał się więc w układy z przeciwnikiem. Łaski musiał wydać Ostróg i całe dziedzictwo Halszki, za to zatrzymywał wszystko, co Beaty było własnością, a nawet dwa zamki Halszki (Równo i Połonne) i całe do nich należne klucze pozostawały dożywotnio w jego posiadaniu. Był to więc układ dla Łaskiego dosyć pomyślny, mimo pewnéj ofiary; że się do niéj nakłonił, był to zapewne po części skutek wystąpienia posłów na sejmie, którzy w swéj izbie głośno Łaskiego oskarżyli, że zagrabił majątek Halszki z Ostroga.

Bo Łaski tak popularny u posłów ziemskich na sejmie unii, teraz był dla nich nienawistnym. Całkiem oddany polityce zewnętrznéj, sprawami wewnętrznemi nie wiele się zajmował. Nie zupełnie jest jasném jego wobec tych spraw stanowisko. Tyle jednak widoczna, że miały mu jedynie za środek do wielkiéj akcyi na zewnątrz służyć. Dla tego teraz, gdy był król jakiego on sam chciał i którego wyniósł, chciał silnéj władzy w jego ręku. Przeciwnik wszystkich artykułów t. zw. Henrykowskich, władzę króla uszczuplających, wszystkim się na sejmie koronacyjnym opierał, gdy posłowie ich zatwierdzenia żądali. Król, jak wiadomo, artykułów nie zatwierdził, sejm się rozszedł bez skutku; Łaski, który zwalczał razem z biskupami konfederacyą religijną, znów na wdzięczność duchowieństwa sobie zasłużył.

A właśnie potrzebował bardzo jego pobłażliwości. Do duchowieństwa bowiem należały, jak wiadomo, wszelkie sprawy małżeńskie, małżeńskie zaś sprawy wojewody sieradzkiego niezmiernie go teraz kompromitowały. Mniejsza o to, że już przedtém więżąc żonę żył tymczasem w tak ścisłych stosunkach z jakąś kobietą, że Kata-

rzyna de Medicis zjednać ją podarunkami swym posłom polecała, aby być pewną przychylności Łaskiego dla Henryka. Gorsza, że Łaski w czasie swego pobytu we Francyi, tając wiadomość o żyjącéj dotychczas żonie podszedł — dla zysku czy z namiętności?— jakąś francuskę i w nowy wszedł z nią związek małżeński. A gdy za przyjazdem téj nowéj żony z matką do Polski zaczęła się rzecz cała rozgłaszać, gdy matka poczęła się skarżyć i odgrażać, Łaski podobno niedogodną świekrę o śmierć przyprawić postanowił; z głośnym lamentem u króla i senatu błagała litości i obrony. Odesłano ją na żądanie do klasztoru pod strażą; całą sprawę jednak zatarto. W jaki się to stało sposób, nie wiadomo, lecz wiadomo, że potém żyła długo z Łaskim jako trzecia prawa jego małżonka francuska Sabina de Sève, która go obdarzyła dosyć liczném potomstwem. Zdaje się, że to była ta sama; zdaje się, że Łaski istotnie stał się winnym bigamii; ale ani o to ani o więzienie Beaty nikt z biskupów nie chciał zadzierać z tak gorliwym zawsze katolicyzmu obrońcą. A kniaź Konstantyn Ostrogski, choć przypominał i potém cesarzowi o uwolnieniu Beaty, ale czynił to raczéj dla formy, nie nalegając zbyt mocno, odkąd się z Łaskim pogodził (1). Skoro miał Ostróg w swéj mocy, o los bratowéj, zawziętéj niegdy nieprzyjaciołki, niedbał już wcale; sprawa więc jéj wlokła się po sądach, dokąd ją cesarz zawsze powolny i metodyczny odesłał, dokąd kazał wnieść Beacie skargę wedle form prawnych ułożoną. Dwa lata przeszło przesiedziała jeszcze w więzieniu. Uwolniona nakoniec, wnet zakończyła życie w Koszycach nie zdoławszy powrócić do Ostroga.

Łączyły zresztą teraz kniazia Konstantyna z Olbrachtem Łaskim wspólne w Mołdawii usiłowania. W tę stronę wciąż zwracał Łaski wszystkie swe myśli. Około wyjednania hospodarstwa dla niego u Turków biegał w Stambule z listami Karola i Henryka wysłany tam jego ajent; sam Łaski równocześnie przylgnął odrazu do posła weneckiego w Krakowie Lipomana, prawiąc mu ciągle o swéj przyjaźni dla rzeczypospolitéj, o usługach, jakie może jéj oddać przeciw Turkom o żalu, że z ligą przed paru laty nie mógł wejść w ścisłe porozumienie. Rząd wenecki, któremu doniósł to

(1) Zmiana ta wyraźnie odbija się w odmiennym tonie 2 listów Dudycza do ces. o téj sprawie, z 8 i 30 kwietnia (Przeździecki, Jagiellonki V, 149); według pierwszego Ostrogski „na Boga zaklina W. Ces. M., abyś małżonkę tego zdrajcy z więzienia uwolnić raczył;“ według drugiego „prosi, abyś W. C. W. żonę Łaskiego kazał uwolnić.“ Jakoż ugoda między Ł. a O. stanęła 24 kwietnia, Ibidem II, 284. Dekret zaś królewski zapadł już w lutym, ib. 204, a posłowie ziemscy wstawiali się za Halszką w pierwszych dniach marca, Orzelski I, 228.

poseł, polecił Lipomanowi podziękować Łaskiemu i o wzajemnéj przychylności rzeczpospolitéj dla niego zapewnić. A wtedy Łaski rozsnuł przed posłem wszystkie swe plany wielkiéj wojny tureckiéj, że go olśnił niemi zupełnie. A znów posłów tatarskich do Henryka tak suto ugościł Łaski i obdarzył, że go godnym korony uznawali. Jednał sobie Tatarów na wszelki wypadek, bo skutek zabiegów w Carogrodzie był wątpliwy. Istotnie poseł francuski nie śmiał wspomniéć oficyalnie Turkom o téj sprawie, wiedząc, że się na to nigdy nie zgodzą. To téż Łaski znosił się już z obecnym władcą Mołdawii Iwonią, który już popadł w konflikt z Turkami. Obadwaj, Łaski i Ostrogski, w tém z Łaskim zgodny, przyrzekali Iwonii pomoc; przez niego, jak niegdyś przez Bazylika, chciał tam się Łaski dostać, licząc, że prędzéj lub późniéj Henryk o wojnie tureckiéj także pomyśli.

Król Henryk oswajał się podobno istotnie z taką myślą; wojewoda sieradzki cieszył się ciągle większym niż inni na niego wpływem, brał od niego nowe nadania, pragnął więc z całéj siły, aby się Henryk ustalił w Polsce i nad tém pilnie pracował. I dla niego więc ucieczka Henryka była klęską ogromną. Po tym zawodzie trzeba było powrócić do pierwotnych zamiarów, zwrócić się znowu do cesarza, z którym Łaski od elekcyi Henryka, żadnych zupełnie nie miał stosunków.

(*dok. nast.*) *W. Zakrzewski.*

GWIAZDA PRZEWODNIA

OBRAZ NA TLE ŻYCIA WSCHODNIEGO.

VII.

Szarzało, zaledwo się na brzask zanosiło. Nie słychać było jeszcze nad Bosforem ostrego krzyku mew, słowik kończył śpiew w gęstym klombie mirtowym, wśród jaśminów, róż, pomarańcz, cytryn i olbrzymich oleandrów wielkości wierzby, kwitnących przed nowiutkim pałacem Dołma-Bahcze, bielejącym marmurami jak odaliska schodząca do kąpieli. Przed bramą wjazdową od ulicy, świecącą przepychem nawet w cieniu, z broną kutą maurytańską, z obfitemi złoceniami, stała para szyldwachów, okrytych pelerynami, ziewających szeroko i spoglądających z tęsknotą na niebiosa. Patrzali, patrzali, nareszcie idąc za głosem spółczucia, jak rybki magnesowe za haczykiem, spotkali się na środku, i nic nie mówiąc przykucnęli do ziemi, oparłszy łokcie na kolanach a twarze na dłoniach.

Wpatrywali się jeden w drugiego jak para zakochanych.

— Waj! bracie, ciężko służyć, żeby też prędzéj nadeszła zmiana? — rzekł pierwszy.

— Przed czasem nie zmienią... Mamy dzisiaj pilaf... odpowiedział drugi.

— Pilaf? może znowu z różowego ryżu?...

— Byle świeże masło... „Wekil-charcz“ mało pilnuje tego rajfura dostawcę... „Aman!“ „giömlekczi“ jedzie...

Z ostatniemi słowy, oba szyldwachy wskoczyli na nogi i szybko postawali na miejscu do salutowania. Oko tylko takiego Turka mogło dostrzedz po ciemku o parę set kroków wyraźnie. Jechał człowiek na białym, ogromnym, z półłokciowemi uszami, prawdziwym dardanelskim ośle; obok niego postępował służący z teczką pod pachą i ogromnym cybuchem. Jeździec minąwszy bramę wjaz-

dową i odsalutowawszy szyldwachom, zlazł z osła przed drugą bramą dla służby. Przed wejściem za bramę szeptał służącemu, gdzie ma wierzchowca postawić jakby to było tajemnicą stanu. Gdy przestąpił próg pałacowy, jego krępa, przysadkowata postać, twarz ormiańska z nosem potężnym kształtu dzioba sowiego, ozdobionego kopiastemi jak smoła czarnemi wąsiskami—przybrała wyraz dumy pysznéj, mocno stąpającéj po posadzce pałacowéj. Wszyscy dyżurni lokaje, parobcy, ordynansi, ujrzawszy go, do nóg kłaniali mu się. Nikomu nic nie mówiąc, wszedłszy do garderoby sułtańskiéj, zaczął bieliznę przeglądać.

Był to „giömlekczi“ Hadżi-Osep-Kojusz, oko, ucho, cala głowa padyszachowska...

Mały człowiek do wielkich interesów, zagłębiał się w przeglądzie koszul, skarpetek etc. etc. etc. jakby tu o zbawienie świata chodziło... Łyknął kawy, przyniesionéj przez lokaja, pociągnął parę razy z fajki i i dawszy do rąk niższego famulusa bieliznę, przechylając się z boku na bok, na palcach pośpieszył do pokoju dyżurnych, czuwających nad snem kalifa padyszacha. Prócz kamerdynera i adjutantów, nikogo jeszcze nie zastał; reszta służby starszéj wylęgała się, zanim „izan“ muezzina nie postawi całego pałacu na nogi. Powitał wszystkich, bez wielkiéj wszakże uniżoności; z kamerdynerem zaś rozpoczął zaraz szepty, dobrodusznemi uśmiechami przeplatane co chwila.

Przed kotarę komnaty, poprzedzającéj sypialnię sułtańską, to jeden, to drugi zakradali się na palcach, pilnie nastawiając ucha. Słońce już dobrze było w górze; gdy dał się słyszeć jakiś szmer czy głos nieokreślony z sypialni monarszéj... Giömlekczi z przymileniem skinął figlarnie w stronę kamerdynera i jak koń bojowy z bielizną w ręku poskoczył, na palcach zawsze, ku kotarze. Wszyscy ucha czujnie nastawili, po chwili atoli wyraźnie usłyszeli pochrapywanie monarsze.

— „Iszałła!“ po słoneczku sen lepszy zawitał—szepnął Kojun do kamerdynera—niech pokrzepia członeczki kryształowe, aby wiecznie w zdrowiu były!..

— Światłem jeno żyje—odpowiedział kamerdyner nabożnie—aby hurysy niebieskie pocieszały go swemi uśmiechy.

— Poh! poh! niech się jak kwiatek w świetle i pachnącym zefirze pogrąży...

Nowe huknięcie czy to krzyknięcie z sypialni ściągnęło powtórnie błyskawicą wszystkich do kotary. Kojun zrobił ponownie przymiloną figlarną minkę i szepnął:

— Teraz na pewno się zbudził.

Dzielny „giömlekczi,“ odgadł tą razą, brzęknął srebrny dzwonek, i wszystko pomknęło z rozpromienionemi twarzami do sypialni jakby się do saméj Kaaby zbliżali. Na progu alkowy wszyscy się do ziemi skłonili, a najniżéj, pomimo korpulencyi, Raif-pasza, który z boku wypadł i stanął na czele pochodu przy wstawaniu; że złożonemi rękami na brzuchu i oczami w ziemię spuszczonemi, wyglądali jak służalcza pokora uosobiona. Strojna ta służba, od złota i brylantów, w obec pół nagiego człowieka truchlejąca, dziwnie jakoś wyglądała. Blady, a dosyć pięknéj twarzy Abdul-Medżyd, wcale nie strasznie wyglądał z pod swego baldachimu z „turą“ złotą i kołdry lamowéj;—ale dworacy udawali jakby widzieli przed sobą półboga w koszuli. Skinąwszy z lekka ręką w odpowiedzi na ukłon, zapytał szambelana:

— Jak tam na dworze?..

— Prześlicznie, najjaśniejszy panie—obyś zwyciężał niezwyciężonych!—odpowiedział Raif-pasza przypadając do ziemi—dzień tęskni za twem „białem“ obliczem, by stać się jeszcze piękniejszym...

— A to ty Rajf-pasza? jak się masz synu?..

— Nie godzien prochu twych stóp mem obliczem zamiatać, Ałłach daje mi zdrowie, abym najwyższego szczęścia kosztował na ziemi, ciesząc się twym widokiem panie nad pany, królu królów.

— Kawę!..

Na ostatnią komendę kamerdyner lotem błyskawicy wydobył jakby z pod ziemi złotą tackę a na niéj malutką filiżaneczkę kawy „à la turka,“ w brylantowéj podstawie jak do jaj na miękko. Oczy sług nie śmiały podnieść się do góry, stali jakby im ktoś je poprzykuwał do posadzki. Zaledwo ostatnie chlipnięcie pijącego ucichło, Raif-pasza, z miną jak u faworyta kotka, wskakującego na dzień dobry do łóżka pani, podbiegł na palcach i przyjął próżną filiżankę z niewysłowioną radością i dumą jakby go największy zaszczyt spotkał na ziemi. Sułtan skinął milcząco ręką i całe otoczenie prócz kamerdynera i Kojuna, zniknęło za kotarą.

Sułtan wstawszy, zaczął powoli jak elegantka odbywać najtajemniejszą część swéj toalety rannéj, przy pomocy to jednego, to drugiego sługi. Kojun promieniejący szczęściem jakby samemu Panu Bogu służył, podawał monarsze rozmaite części bielizny z wytężoném okiem i uchem jak u legawca, chcącego odgadnąć myśli swego pana. Abdul-Medżyd zaledwo dwadzieścia parę lat liczący, ale już zupełnie wyniszczony uciechami ziemskiemi, był do tego obecnie rozdrażniony rozmaitemi wieściami o złych sprawach wiernopoddanych, podnoszących rokosze na rozmaitych punktach;—nie dziw przeto, że zobojętniał na wszystko, i dla tego nocował wbrew zwy-

czajowi swemu w męzkiéj połowie, zamiast w „haremliku.“ Żaden ze sług nie śmiał ze słówkiem odezwać się, w obec tych zewnętrznych oznak usposobienia padyszacha.

— Nie zaszło nic nowego w mieście téj nocy? — zapytał sułtan nagle Kojuna, trzymającego koszulę nad jego głową.

— Obyś żył i zwyciężał tysiączne lata królu królów, panie najmiłościwszy! — odpowiedział „giömlekczi“ — śpiąc dziękowali wszyscy Ałłachowi, że dał nam ciebie za panującego...

— Już dobrze... Ależ co się stało w nocy, słyszałem krzyki pożarne?

— To prowadzi do najlepszego, jeżeli nie na teraz, to na przyszłość... W staréj, zbutwiałéj dzielnicy Eski-Mahale, że aż się domiska od pluskiew ruszały, spłonęło tych lepianek coś z paręset... Żałują mieszkańcy sami, że cała dzielnica nie poszła przy téj zręczności z dymem.

— Czy nie ucierpiał kto z ludzi od ognia.

— „Aman!“ najjaśniejszy panie, hultaje pozdrowieli od świeżego powietrza, którego zażywali korzystając z pożaru, zamiast cuchnących wyziewów swych sypialni... Radzi niesłychanie, że im ten ogień oddał nadzwyczajną przysługę oczyszczenia placów, gdyż musieliby i bez tego na nowo budować swe zbutwiałe szatry. Co zresztą poczną z groszem, pleśniejącym w skrzyniach, dzięki twéj szczodrobliwéj wspaniałomyślności? Wierni twoi słudzy pełnili swe obowiązki wzorowo, by naród pobudzić do jeszcze większéj czci dla twéj świętéj osoby...

Sułtanowi oczy się śmiały na to błazeńskie sprawozdanie „giömlekczego“ ulubieńca, nic jednak nie odpowiadał; pomacywał tylko swą bródkę, zaledwo się wysypującą, robiąc jednocześnie przegląd oczu zaspanych w zwierciadle naprzeciwko. Dostrzegł parę zmarszczek koło powiek, trwoga i smutek przeleciały po twarzy; ktośby z boku stojący sądził, że go dotknęła smutna dola pogorzelców, nie domyślając się, że to nieubłagany ząb czasu drasnął boleśnie wypieszczoną młodość monarszą...

Słudzy dopatrzyli tę zmianę i bardzo się potrwożyli.

— Muszą być wystraszeni nieboracy?—pytał sułtan daléj o pogorzelców.

— Gdzie tam, najjaśniejszy panie! przy tak sutem oświetleniu czego się mieli bać?! Owszem cieszyli się wszyscy wspaniałym widokiem pożaru.

— Cóż tam więcéj nowego w mieście?

— Coraz coś piękniejszego i milszego zakwita pod połą twego bezpieczeństwa i chmurą szczodrobliwości... Astrolog twój, królu

królów, pewno nie doliczył się tej nocy paru gwiazd, które widząc tu u ciebie raj na ziemi, pospadały do nas, aby oświecać drogę twych uciech...

Sułtan się uśmiechnął i zerknął z kokieteryą w zwierciadło.

— Aż parami z nieba uciekają?! Powiedz-że mi, co to za jedne?

— Och! och! miłościwy panie, moje niegodne usta nie śmią opowiadać o cudnych wdziękach gwiazdek piękności, co zleciały w postaci hurysek z twarzami jak świątobliwy księżyc, z cerą jaj strusich, warkoczami jak promienie słoneczne, jak gałązka wierzbiny, ustami jak korale a oczami jak czarne dyamenty i ciałem jak alabaster skąpany w olejku różanym.

— Aż tyle przymiotów cudownych?! Powiedz-że przecie, duszko, ich nazwiska i co za jedne?

— Są to Czerkieski, Nedżibe i Nazika, tak cudowne, że cudniejszym chyba ty jeden jesteś najmiłościwszy panie. Uf! uf! słodkie jak pomarańcze z Jaffy, smaczne jak kożuszek śmietanki od bawolic rajskich, wesołe jak ptaszki, śpiewające jak słowiki a tańczące jak fontanny... Smutek wszelki pierzcha przed niemi jak noc przed słońcem... Rozkosz ich wdzięków łyżkami da się jeść...

— „Czapkinie!“ (łobuzie). Pokażcież mi je przynajmniéj?..

— Umierają za tobą z tęsknoty, miłościwy panie, a my ze skóry wyskoczyć gotowi... Dziś-że twe jasne oczy pragną je uszczęśliwić swém wejrzeniem?

— Dobrze, tylko niech to będzie w jakim odleglejszym „kiosku.“ No choćby w Giök-su...

— Słucham najjaśniejszy panie...

Kojuna szczęście i duma rozpierały. Po dotknięciu ręką świątobliwéj posadzki dźwigającéj stopy kalifa-padyszacha, piorunem wyniósł się z sypialni, dając przystęp dygnitarzom państwa i innym urzędnikom pałacowym, napływającym falą zewsząd przed „białe“ oblicze monarchy.

Pierwszym dopuszczony był w. wezyr Reszyd-pasza, szpakowaty, średniego wzrostu, śniadéj twarzy, z nosem długim i czarną brodą; łagodność i inteligencya panowały w wyrazie znakomitego twórcy „Tanzimatu.“ Pomimo godność jego i wysokie przymioty duszy i umysłu, kalif-padyszach przyjął go jak każdego innego sługę. Czyścił sobie paznogcie sułtan, gdy jego zastępca, oddawszy do ziemi ukłon, stał z rękami splecionemi na brzuchu i wzrokiem utkwionym w ziemię. Reszyd-pasza mógł być co najmniéj ojcem Abdula-Medżyda.

— Co nowego synu? — zapytał sułtan w. wezyra.

— Wiele pocieszającego najjaśniejszy panie, na ten raz nie mogę ci zwiastować... Nowa klęska okropnego pożaru dotknęła téj nocy okolicę, musimy zorganizować straże ogniowe po europejsku i przystąpić do odbudowania miasta podług planu prawidłowego.

Sułtan w tém miejscu ziewnął, było to znakiem dla w. wezyra, żeby dał pokój swym planom reformatorskim. Musiał odpowiadać natomiast na drobiazgowe zapytania o osobach tego lub owego ambasadora i ich małżonek; zdać dokładną sprawę o przybywającym transporcie małp i papug do zwierzyńca cesarskiego; o „kiosku“ budowanym gdzieś na ustroniu, o piesku-faworycie oddanym do leczenia najznakomitszemu weterynarzowi. Ale i te rozprawy okazały się w końcu za uciążliwe dla znudzonego monarchy. Wbrew jednak etykiecie dworskiéj, nakazującéj ustąpić w podobnym wypadku, w. wezyr zaczął wywodzić skargi na niezmierne zuchwalstwo niektórych złoczyńców, utrzymujących państwo nad przepaścią zguby i nie dopuszczających do zbawiennych reform. Bystry jego umysł i znajomość swego świata, z zachowania się sułtana, przeniknął odrazu, że Raif-pasza musiał już rozpocząć swe zabiegi; postanowił przeto być na ten raz niedelikatnym.

— Ależ gdzie oni są— pytał sułtan zirytowany — czy nie przesadzasz tylko, synu, twéj chwalebnéj gorliwości?!

— Nie, najjaśniejszy panie. Przecież mamy Kara-Fakiego, a jego złoczyństwa wołają o pomstę do nieba?..

— Myślałem, że z tym łotrem dawno już skończyliście...

— Wojska nie mamy, muszę kontentować się pomocą dobrowolną ochotników milicyantów. Dere-bej siedzi w nader obronnéj pozycyi, nie można go z niéj wykurzyć jak tylko głodem; przy zapasach w jakie się zawczasu zaopatrzył, nie może to iść pośpiesznie, a przytém mając potężnych krewnych i przyjaciół, buntuje téż i cały kraj do koła, żeby sobie tym sposobem dopomagać. Wypada tam ogłosić stan oblężenia i wysłać choć nieznaczny oddział wojska regularnego.

— Dobrze, dobrze, synu; nagotuj rozporządzenia na jutro i podaj mi je do przejrzenia. Tymczasem porzuć troski, bądź gotów towarzyszyć nam w dzisiejszéj wieczornéj wycieczce do Giök-su.

Sułtan skinął zlekka ręką i biedny w. wezyr musiał jak Kojun lub podobni jemu famulusi opuścić progi komnaty.

Podczas gdy się ta scena odgrywała na jednym końcu pałacu, do drugiego, do „haremliku“, zakradał się Kojun czatując nabożnie, aż mu czarny rzezaniec z błękitną wstęgą na kołnierzu, otworzy podwoje boczne uroczego przybytku rozkoszy sułtańskich.

— „Usta-haznadar“ (w. ochmistrzyni) już pytała o ciebie znakomity ago — rzekł rzezaniec z nadzwyczajną czcią otwierając drzwi „haremliku.“

— Nie mogłem, duszko, wcześniéj— i Kojun zrobił przycisk na ostatniém słowie—„haszym-effendim“ daje posłuchanie?

Po otrzymaniu potwierdzenia, Kojun na palcach wsunął się jak cień do sali, w rogu któréj na sofie siedziała niby wielki dygnitarz żółta jak cytryna, zakwefiona po usta, z nosem w kabłąk zagiętym staruszka. Była to znakomita w. ochmistrzyni, na któréj polegał cały zarząd wewnętrzny pałacu sułtańskiego „seraju,“ choć „kizlar-aga“ jest niby do tego z urzędu przeznaczony; taka bowiem „haznadar-usta“ jest w. wezyrem w spódnicy „Walidy-sułtanki,“ rządzącéj w istocie państwem zamiast syna. Tajna sprężyna rządów ottomańskich, zwłaszcza gdy panujący jest miękkim, spoczywa wyłącznie w rękach kobiet. Było tak obecnie, bo choć Abdul-Medżyd swą inteligencyą wywierał górujący wpływ na mężczyzn, jako ludzki i nader łagodny w gruncie a przytém wielki miłośnik uciech i rozkoszy życiowych — zostawał całkiem pod wpływem białogłowskim. Rozmowa Kojuna prowadzona szeptem trwała parę minut, poczem „haznadar-usta“ szargając swemi żółtemi patyczkami pośpieszyła zdać raport matce-sułtana, która natychmiast kazała wezwać do siebie „giömlekczego.“

Nie ledwo na raku, „selamując“ co krok do saméj ziemi, zbliżał się Kojun do „Walidy,“ siedzącéj po turecku w rodzaju loży na tronie z „turą.“ Sługa ukląkł przed lożą i zaczął szeptem znowuż zdawać codzienny raport z wstawania sułtańskiego.

— Koszula była pomięta a na jednéj nodze skarpetka zrzucona — szeptał Kujun jak przed konfesyonałem.

— Co ty? co ty, synu? jesteś-że pewny, że to nie owady spowodowały?—pytała Walida strwożona o zdrowie syna.

— Lepiéj wiesz pani pana mego, niż sługa twój niegodny... Wiemci ja dobrze, że i seraj padyszacha nie może być wolny od owadów, ale nikczemne oko méj przenikliwości troskliwéj dopatrzyło w tém coś innego. . .

— Mów! mów! po co ukrywasz prawdę?

— „Aman!“ najmiłościwsza pani, wszystkie zakątki méj skrytości powywracam jak przed oblicznością sędziego najwyższego... Pan nasz nad pany, oby żył i zwyciężał wiecznie! — obecnie, niestety, ma „serce ściśnięte“ nudami. . .

— „Waj! waj!“ giömlekczi, jakżeście śmieli do tego dopuścić?

— Nie karz, pani mego pana, najnikczemniejszego sługę sług twoich! Bez twego wszakże wszechwładnego i mądrego rozkazu

kroku jednego nie śmiemy stąpić upadając na twarz przed twym majestatem? Byłaby rozrywka, gdyby twa wola na to przystała...

— No i cóż to takiego?

— Och! och! dwa cudne kwiatki niewieście, uszczknięte wprost z „dżennetu“ (raju).

— Zapewne te dwie Czerkieski? Ależ czy posiadają one jakie szczególniejsze zalety prócz wdzięków?

— Największe, pani miłościwa, bo sam najjaśniejszy pan pragnie je widziéć...

— Poh! poh! po cóżeś mi tego odrazu „czapkinie“ nie powiedział? — i Walida uśmiechnęła się radośnie — umiejąż one coś przyjemnego?

— Śpiewają à la franka, tańczą jak europejskie baletnice...

— Przecież nie nauczyły się tego w swych dzikich górach? Zkąd nabyły te wiadomości?

— Umiały one trochę na Kaukazie, ale dopiero doskonałości nabrały w tych sztukach u sławnego Kara-Fakiego, co je przechował u siebie przed rozbójnikami...

— Nie jest że to ten sam Kara-Faki z pod Tirebułu, co to się buntuje?

— Sułtanko, pani pana mego, to potwarz niegodna na najwierniejszego z waszych niewolników, dzień i noc modlącego się o powodzenie waszego zwycięskiego oręża, zdrowie i nabycie sławy. Napadli go źli ludzie, a teraz gdy całkiem przemogli, czernią i oskarżają przez bojaźń, aby nie stanął przed wami osobiście, dla udowodnienia swéj niewinności...

— Mówisz-że ty „giömlekczi“ prawdę?

— Niech ziemia czarna mię pochłonie natychmiast, jeślim przed tobą nie odkrył najtajniejszych upustów méj skrytości!

Walida zrobiwszy jeszcze parę pytań o wstawaniu, wydała następnie pewne rozkazy potajemne „giömlekczemu,“ który czołgając się prawie przy ziemi, tyłem zniknął wnet za portyerą sali audiencyonalnéj. Weszła zaraz po nim „usta-haznadar“, ukrywając coś starannie pod połą swego kaftana z kaszmiru ciemnego w palmy. Walida uśmiechnęła się dobrotliwie i wyciągnęła rękę.

— Pokaż no! pokaż duszko! Pewno jakaś nowa sztuczka frencka? — rzekła wesoło.

„Haznadar - usta“ rozpromieniona, z tajemniczo naiwnym uśmieszkiem, wydobyła na wierzch zielonego słonia aksamitnego, ze złotą trąbą i takimże ogonkiem, z czerwonemi lakierowanemi nogami; podając zabawkę Walidzie podniosła ją nad głową, następnie przycisnąwszy lewicę do serca, prawą ręką oddała z rozko-

szą. Matka-sułtanka z nadzwyczajném, prawdziwie dziecinném zajęciem oglądała zabawkę.

— Niewolnik twój miłościwa pani, Raif-pasza— rzekła „haznadar-usta“ — co sam zrobił ten wynalazek, na klęczkach błaga, byś zezwoliła przyjąć jego cudowną zabawkę... Ma ona niezwykłe właściwości...

— Pokaż mi je duszko, masz! — i Walida podała słonia w. ochmistrzyni.

Z miną mędrca dworaka, odsłaniającego tajemnice świata, „usta-haznadar“ wzięła ogon zabawki do ust i zagrała na nim jak na trąbce. W miarę grania, słoń aksamitny podnosił do góry na przemian to trąbę złotą, to czerwone nogi, co niezmiernie bawiło matkę sułtankę, która po chwili wyciągnęła rękę po zabawkę. Dostawszy do rąk słonia Walida-sułtanka, wnet przycisnęła jego ogon do ust i zaczęła się do rozpuku śmiać, gdy z dźwiękami poruszył nogami i trąbą.

— Toż się Muradek ucieszy — mówiła — nie ma to sługi wierniejszego nad tego poczciwego Raifa, ha! jak myślisz duszko?

— Ty wiesz o tém najlepiéj miłościwa pani, kto czego wart. Nigdy się nie omylisz. Ałłach, imię jego niech będzie wyniesione! dał ci mądrość za nas wszystkich... Raif-pasza zamiata obliczem ślady stóp twoich i żebrze o łaskę stawienia się w swéj osobie przed twym majestatem.

— Owszem, zaraz może wejść. Zasłużył się dobrze ojczyźnie, pragnę go widziéć.

Niebawem z umiloną, promieniejącą służalstwa zapałem twarzą, wszedł szambelan, przypadając do ziemi na każdym kroku. Stanął w téj saméj pokornéj postawie jak przed sułtanem. Walida zwyczajem wschodnim wcale nie dziękowała za słonia, dawała jednak niedwuznaczne oznaki swego monarszego zadowolenia, co ośmieliło Raifa do dalszych kroków. Powoli naprowadził rozmowę na Czerkieski, niewolnice Musy-beja, i potrzebę konieczną ich nabycia, co zostało aprobowane przez Walidę. Następnie poruszył téż z niezrównaną zręcznością sprawę Kara-Fakiego, i tak manewrował skutecznie, że otrzymał od sułtanki-matki przyrzeczenie wstawienia się u sułtana za winowajcą. Po szambelanie przyszła koléj na w. wezyra.

— Radzi jesteśmy z ciebie synu — mówiła walida do Reszyda-paszy— żałujemy cię bardzo, bo się niepotrzebnie zapracowujesz. Pofolguj sobie, nie nalegaj i na innych, daj każdemu żyć... Ot, choćby temu biedakowi Kara-Fakiemu warto dać pokój; proszę cię o to bardzo.

— Ałłach najwyższy dał wam nad nami panowanie — obyście do skończenia czasów nami rządzili! — wiecie sami najlepiéj, co jest potrzebne temu sławnemu państwu. Czy tylko was dobrze objaśniono o Kara-Fakim? Wszak to jawny buntownik, co z bronią w ręku rozbija i opiera się prawowitéj waszéj władzy?

— „Iszałła“! nie pierwszyzna to u nas, że źli dnia wczorajszego stają się nazajutrz najlepszymi poddanymi. O to się synu nie turbuj!..

W. wezyr poznawszy na jakim gruncie stanęła sprawa, uznał za stosowne oddać uniżony ukłon i opuścić w milczeniu salę audiencyonalną. Zaledwo to nastąpiło, powstał wielki ruch, co rozpromienił szczęściem i dumą twarz sułtanki-Walidy. Wszedł sam sułtan oddać dzień dobry matce. Walida z macierzyńską troskliwością wypytawszy sułtana o zdrowie, podrażniona widocznie uporem w. wezyra, poruszyła sprawę Kara-Fakiego, prosząc o przebaczenie dla rozbójniczego możnowładcy z Taun-tepe. Abdul-Medżyd nie śmiał wręcz odmówić lub przyrzekać matce, że spełni jéj żądanie; dawał tylko do zrozumienia, iż może się stać zadość temu życzeniu. Słoniowi atoli aksamitnemu przeznaczono było zostać bohaterem tego poranku monarszego. Zaledwo Walida podała go synowi i odkryła cudowne właściwości ogona, trąby, nóg, sułtan wybuchnął jak dziecko radością i przyrzekł w przystępie wesela to, na co się jeszcze ostatecznie nie mógł zdecydować przed chwilą. Opuszczając matkę obiecał wszystko uczynić dla uratowania Kara-Fakiego.

Rozpalone z rana powietrze ku wieczorowi zaczęło stygnąć. Nad Bosforem gęściéj krążyły stada ptaków morskich a delfiny kłębiły się chwytając pokarm ostatni. Im daléj od środka miasta, tém się ruch coraz bardziéj ożywiał, wskutek „kaików“ wielkiego świata, wiozących swych panów na wycieczki lub do zbytkownych siedzib na ustroniu.

W jedném z najwyższych miejsc ciaśniny, gdzie na europejskim brzegu dumnie sterczą ruiny zamku starożytnego Rumeli-Hiszar, leży naprzeciwko, na Azyatyckim brzegu, Anadol-Hissar z zębatą wieżą i kawałem muru obronnego, tegoż samego pochodzenia i wieku. Z bramy wieży na wysokiém wybrzeżu, u stóp któréj leży miasteczko, wyglądało parę masztalerzy dworskich w świeżéj liberyi, a w głębi, w cieniu, stało kilkadziesiąt wierzchowców posiodłanych; dwa zaś z nich miały tyftykowe pokrowce z „turą“ sułtańską. Ukośne promienie oświetlały tonący w cieniu wieczornym Bebek i Bejlerbej, a statki przed tym ostatnim coraz dłuższą po za sobą smugę rzucały na wodzie. Lazurowa toń cia-

śniny, wartko płynąca pomiędzy obydwoma Hissarami z powodu przeciwnych prądów, zamieniła się na płynny bławat, zmięszany ze złotem i purpurą zachodu. Stuk i pluskanie wioseł, urozmaicone śpiewnym krzykiem robotników, bijących kafarem pale wybrzeży, ożywiały spokój wieczorny. Od lewego brzegu odpłynęły dwa „kaiki,“ jeden z mężczyznami a drugi z kobietami tureckiemi; zawróciły i dążyły na ukos, ku wieży Anadoł-Hissarskiéj. Po gęstéj pozłocie i aksamitnych siedzeniach, z łatwością można było rozpoznać w nich łodzie należące do wielkich panów. Zaledwo téż przybiły do brzegu, sługa dworski, co czatował w bramie wieży, zniknął w jéj wnętrzu, a natomiast ukazały się trzy lektyki i dwa wierzchowce; na ostatnie powsiadali mężczyźni a do pierwszych kobiety z kaików. Posunęło to wszystko w głąb kraju, za miasto.

Wkrótce ozwała się kanonada ze statków wojennych i bateryj przybrzeżnych. Był to znak, że sułtan wyjechał z pałacu i płynie Bosforem; jest to zwyczaj codzienny, nakazany etykietą dworską kalifa-padyszacha. Stajenni i inni posługacze dworscy, z wieży Anadoł-Hissarskiéj, uważniéj zawracali teraz wzrok na zachód. Po półgodzinném oczekiwaniu zrobił się pomiędzy nimi ruch wielki; rzucili się wszyscy do koni, zdejmując z nich pokrowce, przygładzając grzywki i czyszcząc szczotkami kopyta.

— Jedzie! — zawołał stojący na czatach.

Szybko wyprowadzono wierzchowce stawiąc na ich czele pyszne dwa araby, okryte rzędami kapiącemi od złota i drogich kamieni, z czaprakami z sułtańską „turą“ brylantową.

Z niesłychaną szybkością mknęła flotylla wiosłowa sułtańska, prędzéj od parostatków. Na przedzie jeden za drugim jechały dwa kilkunasto-wiosłowe „kaiki“ białe ze złotem, z aksamitnemi baldachimami, z cyframi sułtańskiemi złotemi i niskiemi tronami na tyle; wioślarze ubrani byli w białe szerokie koszule muślinowe. Na pierwszym „kaiku“ jechał sultan, a na drugim w. wezyr. Za nimi kilkudziesiąt innych dygnitarzy i dworzan ze świty, po jednemu lub po kilku płynęli podobnemiż łodziami, tylko bez tronów na pokładzie. Pędzili jak regata wyścigowa w głębokiém milczeniu, a zaledwo dotknęli brzegu, natychmiast powsiadali na koń.

Pyszny sułtański „bahreim“ wdzięcznie poruszał swą prześliczną główkę, gdy uczuł na grzbiecie drogocenny ciężar. Abdul-Medżyd poklepał go po szyi, na co koń odpowiedział parskięciem, które zachwyciło całą świtę. Ukryci żandarmi konni natychmiast pocwałowali naprzód, gdy ujrzeli, że sultan ruszył z miejsca. Świetna kawalkata posunęła tąż samą drogą, po któréj nikła przedtém tajemnicza karawana z lektykami. Rodzaj ulicy brukowanéj

u podnóża pagórka z ogrodami miejskiemi wił się po nad brzegami bagnistéj rzeczułki Giök-su, zarosłéj olbrzymią trzciną, szuwarem, kosaćcem, zielskiem błotném jak u nas. Turcy przepadają za słodkiemi wodami płynącemi, — podobno dla ablucyi wszelkiego rodzaju, dających się najwygodniéj przy nich załatwiać, sułtani podzielają te narodowe upodobania, i dla tego budują swe „kioski,“ letnie pałacyki, w pobliżu stolicy, gdzie tylko się nadarzy lada ruczaj, choćby tak pospolity jak Giök-su.

Przepisy wschodniéj etykiety nakazują sułtanowi zachowywać na ulicy zupełną obojętność i głębokie milczenie. Znakomity to sposób dający możność dźwigania na swéj skroni korony idyocie lub zbydlęconemu prostakowi... Abdul-Medżyd nie należał ani do jednéj ani do drugiéj kategoryi, widok rzeczułki obudził w nim zmysł estetyczny narodowy. Świeżość wieczoru, woda płynąca, bujna roślinność, wszystko to podziałało zbawiennie na rozpędzenie nudów i wyprowadzenie ze stanu obojętności monarchę. Pociskał boki swego wierzchowca, który robiąc coraz szersze kroki poparskiwał częściéj machając głową.

— Raifa-paszę zawołać — rzekł do adjutanta.

Zawiadomiony o sułtańskiém wezwaniu, szambelan pomimo swéj korpulencyi, skoczył z konia na ziemię jak piłka i biegiem dopędził Abdul-Medżyda. Zrównawszy się ze strzemieniem padyszacha, raz w raz przypadał do ziemi, oddając winne uszanowanie.

— A czy po słońcu gwiazdy twoje świecą?! — zapytał sułtan żartobliwie.

— Czekają na miejscu... Gdyby nie miały własnego światła, to odblask twéj nieziemskiéj jasności, królu królów, opromieni je i zrobi widzialnemi... Natężyliśmy łuk naszéj gorliwości, żeby świat cały uśmiechem strzelał do ciebie panie nad pany.

— Aż świat cały? „maszałła“!— uśmiech przelotny ożywił usta sułtańskie. Nieprawdaż, synu, że tu pięknie? Co za śliczne ożypałki!—z ostatnim wykrzyknikiem ręka mówiącego pobiegła w kierunku zielska w rzeczułce — zerwij mi jednę!

Raif-pasza miał na sobie białe letnie pantalony i płytkie lakierki, wola jednak sułtana była dla niego świętą; rzucił się przeto po błocie, aby zerwać ponętną kitkę. Od brzegu suchego, zielskiem a więc moczarem trzeba było przebrnąć z kilkanaście kroków do ożypałki. Zapadł najprzód po kostki, daléj po kolana, a gdy przyszło mu sięgnąć ręką po roślinę, nagle pogrążył się po pas w błocie.

Sułtan zaśmiał się głośno.

— Zmokłeś, synu?! jeszcze krok i dostaniesz...

Szambelan zrobił krok i odrazu wpadł do wody z głową. Nadbiegła eskorta i wyciągnęła niefortunnego dworaka, który pomimo strasznego przejścia zachował na tyle przytomności, że pierwiéj zerwał ożypałkę i nie wypuścił z ręki, choć się dostał pod wodę. Dworak strząchnąwszy się jak pies i obtarłszy twarz, z tryumfem uśmiechnięty podbiegł do sułtana, wręczając mu urwaną ożypałkę. Tragi-komiczny wypadek wprawił sułtana w złoty humor. Dziękował gorąco swemu dygnitarzowi za wierną służbę i przeprosił, iż naraził go na niefortunną kąpiel; następnie potrzymawszy ożypałkę, kazał ją złożyć w muzeum na pamiątkę wieczystą.

— Okryj się synu — mówił sułtan troskliwie do Raifa-paszy— możesz się przeziębić, a ja nie chcę byś chorował. Na pamiątkę zaś tego wypadku i żebyś się nieco zagrzał, mianuję cię kawalerem orderu Medżydyi z brylantami. Reszyd-paszo! wykonaj naszą wolę.

— Szerokiéj twéj dłoni najmiłościwszy panie— odparł szambelan—wdzięczność moja nie pokryje w tysiącznéj części... Żyj i zwyciężaj wiecznie nasz miłościwy padyszachu.

Udekorowanie szambelana, dopiero co ustanowioną dekoracyą i to tak wysokiéj klasy, dało pochop reszcie świty pośpieszyć do szczęśliwca z powinszowaniami. Na około kręciło się co szło, oddając powinne uszanowauie wysokiéj zasłudze.

Przy skręcie na łączkę, przed „kioskiem," stał „han" i „bakał" za razem (karczma ze sklepem korzennym), z podniesioną okiennicą wystawy. Z za lady, z cienia, wyglądała przyczajona w głębi figura, która wnet wyskoczyła na widne i oddała głęboki ukłon, gdy Raif-pasza mijał „bakał." Był to Musa-bej; na piętrze zaś również ciekawie wyglądała Mai-hanym, tylko że według etykiety muzułmańskiéj nie śmiała okazać protektorowi swego królikowego profilu. Raif-pasza zrobił bardzo a bardzo znaczące kiwnięcie głową, od którego serce beja ex-miszuresa zabiło gwałtownie.

Po przybyciu do „kiosku" sułtan, stojąc na ganku przypatrywał się widokowi, robiąc rozmaite zapytania w. wezyrowi. Obdarzony wysoką inteligencyą, wychowany do tego prawie po europejsku Abdul-Medżyd, pomimo wiek młody, miał nadzwyczajne poważanie u swych poddanych, graniczące poniekąd ze strachem przesądnym. Chyba jeden Reszyd-pasza był wolny od téj bojaźliwéj czci, mówił téż swemu panu bez ogródek nie odstępując od raz powziętego zamiaru. Ożywiony świeżym wypadkiem sułtan, zapuszczał się w rozmaite plany reformatorskie kładąc na pierwszém miejscu potrzebę uregulowania brzegów rzecznych i przystani morskich; zatrzymywał się jednak przed olbrzymiemi wydatkami, nieprzystępnemi dla finansów tureckich.

— Środki pieniężne znalazłyby się najjaśniejszy panie, zagranicą—zawołał Reszyd-pasza — ale najprzód trzeba zabezpieczyć żeglugę od piratów...

— Masz słuszność synu. Matka nasza wprawdzie żąda ułaskawienia tego Kara-Fakiego, pomimo to podaj mi jutro „ferman“ na tego psa...

Rozmowa coraz poważniejszy nastrój przybierała, duch opiekun sułtana w postaci Reszyda-paszy skierowywał uwagę jego na właściwe przedmioty. Niespodzianie z wewnątrz kiosku doleciały dźwięki gitary i półgłosem nucona piosenka. Sułtanowi oczy się zaiskrzyły, podczas gdy w. wezyrowi zachmurzyło się oblicze a Raifowi uśmiech tryumfu przelatywał po kocich rysach. Święta osoba monarchy-arcykapłana nie długo opierała się pokusie, błysnęła figlarnie oczyma w stronę szambelana i weszła niby zadumana wewnątrz „kiosku.“

Sułtan znalazł się niebawem w komnacie przystrojonéj z całą elegancyą i przepychem wschodnim, podobnéj bardzo do izby prezentacyjnéj w „jesir-hanie“ Kizira w Trebizondzie. Wyróżniało ją kilka sprzętów europejskich i pyszna alkowa z baldachimem z „turą“ sułtańską. Na niskiéj szerokiéj sofie, otulone w obłoki gazy i batystu, z niezliczoną ilością „jeleków“ (kamizelek) haftowanych złotem, brylantami, perłami, drogiemi kamieniami, z kaftanami (sukniami) ogoniastemi niesłychanéj wartości, pochylały się do siebie główki Nedżibe i Naziki łyskając dyademami w których skrzyły się jak groch bujne dyamenty, rubiny, szmaragdy, szafiry. Nedżibe objąwszy w pół cieniutki stan towarzyszki, połyskujący złotym jak i u niéj paskiem, sypanym podobnemiż kamieniami jak na głowie,— nucąc, przytuliła skroń figlarnie do jéj ramienia a prawą rękę to kładła na sercu, to wyciągała wabiąc lubieżnie. Sułtan za portierą stał i słuchał gry i śpiewu, półgłosem wykonywanych przez obie niewolnice. Raptem podniósł makatę i uśmiechnięty posunął do sofy z dziewczętami.

— „Aman, padiszach!“ — wykrzyknęły obie z udaną trwogą i wskoczyły na nogi oddając do ziemi ukłon ze spuszczouemi w dół oczyma.

— Nie bójcie się dziewczki — odpowiedział sułtan biorąc pod brodę jedną i drugą po kolei — lubię muzykę i śpiew, możecie je teraz głośno wykonywać...

Obejrzenie twarzy i oczu piękności zrobiło dobre wrażenie na sułtanie, nie takie jednak jakiegoby wypadało spodziewać się po nadzwyczajnéj sławie niewolnic. Wzrokiem przymglonym robił przegląd wdzięków nie gorzéj od sportsmana kupującego folbluta.

Turcy są okropnie wymyślni co do piękności kobiecéj, cóż mówić dopiero o podobnym znawcy jak sułtan?!. Dziewczęta jakby nie mogąc ochłonąć od wrażenia obcowania z bogiem ziemskim ani grały, ani śpiewały tuląc się tylko jedna do drugiéj w milczeniu.

— Chybaście zapomniały synogarliczki moje?—rzekł sułtan wesoło.

— Gdybyśmy nawet nie umiały, najjaśniejszy panie, toby sam twój rozkaz święty nauczył wszelkich kunsztów—odparła Nedżibe paląc czarnemi oczami sułtana.

— Doprawdy?! Kto cię nauczył, córko, takich ciekawych rzeczy? Masz jak widzę rozum nad twój wiek...

— Przy twéj jasności, wszystko zakryte staje się widném...

Poklepawszy jak się należy sprytną niewolnicę, sułtan, ponowił prośbę, aby zaśpiewała, przy czém zapytał jedną i drugą o imiona. Dziewczęta były dobrze poduczone i przygotowane, w skutek tajnych instrukcyi „giömlekczego,“ czyhającego z dala na zdobycz jaką upoluje z miłostek sułtańskich. Nedżibé śpiewała śmiało, wtór Naziki wypadł znakomicie. Przybywało coraz ochoty. Na dany znak wniesiono zbytkowną przekąskę z łakoci najwyszukańszych a przy niéj srebrną wanienkę z mrożonym szampanem. Sułtan pił dużo zachęcając do tego i dziewczęta; bawilo go ogromnie, gdy trunek zaczął im zawracać głowy. Żywszych wszakże oznak upodobania monarszego dotąd nie widać było.

Nedżibe choć miała dobrze w głowie, widziała z niepokojem, że czegoś jeszcze brakuje do podbicia serca padyszacha. Spojrzała znacząco na Nazikę.

— Nie będzie ci to przeciwném, niezwyciężony padyszachu, gdybym zaśpiewała jaką frencką piosnkę? zapytała Nedżibe rezolutnie.

— Owszem, owszem, duszko—synogarliczko pragnę właśnie mój naród ucywilizować à la franka... Jako zadatek tego widzicie szampana na naszym stole... cha! cha! cha!

Nazika brząknęła w struny, a Nedżibé pod jéj wtór wprawny zaśpiewała: „Mein Liebchen was willst du noch mehr.“ W miarę jak się nuta niemiecka rozpływała w potopie lubieżnych sentymentalnych dźwięków, sułtan, coraz to miękł i topniał jak lód na słońcu. Ironia przesytu ustępowała, dodając wolny przystęp tkliwości miłośnéj...

Gdy śpiew ucichł, łza się zakręcila w oku monarchy.

— „Maszałła! maszałła!“ mój słowiczku, serce pragnęło właśnie takiego śpiewu. Dogodziłaś mi bardzo, jestem z was obu zadowolony. A no, powtórzcie jeszcze raz!

Po skończeniu powtórzenia, sułtan, rozrzewniony uściskał to jedną, to drugą muzykantkę. Nedżibé przyciągnął do siebie na kolana i rozpływał się w pochwałach, szepcząc do ucha miłośne słówka, od których szczęśliwa Czerkieska kraśniała jak mak, tuląc główkę do monarszéj piersi z gwiazdą brylantową. Śpiewy i ucztowanie przeciągnęło się do późna w nocy, a sułtan wracając do pałacu był tak przepojony szczęściem, że aż go musiano prowadzić pod pachę i zamiast konia, podać lektykę.

Raif-pasza jak legawiec, co podał panu zwierzynę do nogi, stanął w chwili gdy sułtan wysiadał na brzeg z powrotem.

— Zmokłeś i zziębłeś, rajfurze, aleś mnie za to ubawił—bełkotał monarcha pod dobrą datą—mało cię wynagrodziłem... Przyjacielu Reszydzie! robię Raifa-paszę moim „muszyrem“ (marszałkiem); wykonaj moję wolę!..

W. wezyr głęboko dotknięty tą niespodzianą nominacyą, choć widział w jakim stanie był sułtan, musiał jednak w pokorze przyjąć rozkaz do wykonania. Tą razą powinszowaniom nie byłoby końca, gdyby nie spóźniona nocna pora. Wszyscy udawali zręcznie nadzwyczajne zadowolenie z przepędzonego wieczoru; choć nie jednemu pękało serce z zazdrości. Kto jednak na prawdę tryumfował to „giömlekczi,“ który też czując, że był sprawcą tak doniosłego czynu historycznego jak naprawienie humoru monarchy,—bujał w niedościgłych sferach marzeń Ormianina, ulatujących nad stosami złota i klejnotów...

Największy los wszakże wygrał Musa-bej—obiedwie bowiem niewolnice, sułtan rozkazał natychmiast nabyć dla swego haremu. Zaledwo przy portyerze lektyki mogli oboje Moszkowstwo pożegnać Nedżibe i Nazikę doręczając od siebie prześliczne prezenta. Sułtańskie niewolnice rozczulone do żywego tą pamięcią byłego państwa swego, aż się popłakały przyrzekając przyjaźń dla nich dozgonną.

Powróciwszy do domu, Musa i Mał-hanym,—zanim zasiedli do szabasowéj uczty, którą regularnie choć muzułmanie spożywali zawsze—długo, długo stali w niemym uścisku. Hanym pierwsza oprzytomniała z zachwytu i pośpieszyła podać na stół sakramentalny kugiel. Zrobiła przy tém minę nadzwyczajną, gdyż co jest rzadkością w Stambule, dostała skądziś gęsiego szmalcu do szabasowéj potrawy...

— Wybornie, hanym—duszko, to jest teraz na prawdę turecka potrawa!?.. a soj!—rzekł małżonek.

Mał-hanym zrobiwszy figlarny uśmieszek, ujęła po zwyczaju wybielonemi paluchami kosmyk rudéj bródki małżonka i kiwając

głową, pomrugiwała oczami. Nalała następnie kieliszki rodzenkowego wina i biorąc swój do ręki, zawołała:

— Musa-bej, aj waj! będzie Musa-pasza, będzie w złocie pływał jak ten kugiel w szmalcu... Wiwat!

— A Mał-hanym będzie taka wielka jak ten kieliszek—pech tobi—ja chciał powiedzieć jak ta „walida“ sultanka... hoch!

Spełniwszy kieliszek, przyszły pasza, przycisnął do swego łona w futerku połowicę o królikowym profilu, wylewając na jej bindę łzy rozrzewnienia. Gdy zaś Morfeusz posypał czarodziejskie znaki na źrenice uśpionego stadła, widział przed sobą defilujących Mardocheusza, Józefa, Machabejczyków. Czmaknął parę razy i wymówił przez sen:

— Pasza!.. pasza-effendim!.. pan jenerał!.. co to jest?..

VIII.

Wśród odwiecznych lasów, pokrywających góry przepaściste, pomiędzy Tirebołu i Kara-Hissar, jest miejsce bezpieczne—nie tylko dla zwierza dzikiego, ale i dla człowieka, co się z prawem pokłócił. Nie widać tu większych osad, same prawie tylko „jaile“, szalety po halach, z kilku chałup bez podłóg i pułapu, z krąglaków w zamek jak na Polesiu litewskiem. Latem prócz pastuchów mieszkają w nich i znakomitsi obywatele z nizin, podczas upałów sprowadzających straszne febry czarnomorskie.

Miało się ku wieczorowi. W pobliżu jednéj z takich „jail“ zamieszkałéj w obecnéj jesiennéj porze przez samych pastuchów, w gąszczu leśnym, tuż przy źródle kroplistém tryskającem z pionowéj skały,—stała koliba duża, a obok niéj druga, mniejsza. Pod ogromnym słodkim kasztanem paliło się ognisko, przed niém obracała na różnie ogromną szynkę z dzika kobieta; piekła pieczyste za pomocą przyrządu jak w kołowrotku, nogą, w rękach zaś trzymała jakąś robótkę. Obok szynki stało parę naczyń miedzianych wyczyszczonych jakby dopiero co wyszły z magazynu; warzyła się w nich inna strawa. Na gałęziach nad ogniskiem rozwieszone były resztki dzika; w pół mroku wśród podsmalonych liści i dymu, broniącego od much, fantastycznie wyglądała olbrzymia głowizna ze świecącemi białemi kłami. Mocny zapach słoniny skwarzonéj rozchodził się po lesie.

Kobiéta, pracująca i warząca jednocześnie nuciła po polsku kantyczkę. Odłożyła była na chwilę robotę i zaczęła mieszać w miedzianém naczyniu; buchnęło po lesie nowym aromatem, pobu-

dzającym apetyt. Nagle usłyszała jakiś szmer na sąsiedniem drzewie. Spojrzała w tym kierunku, ale nic podejrzanego nie odkryła i mięszała daléj spokojnie. W tém przerażający ryk rozległ się i jakieś ciało spadło na gałęzie, gdzie wisiały resztki dzika. Przerażona kobieta przykucnęła do ziemi, zawoławszy głośno:

— A słowo stało się!..

Pobiegła wzrokiem w górę, ujrzała na gałęzi ogromnego lamparta, z mrukiem zajadle porywającego największy schab dzika. Zapuszczając kły i pazury, dla zdarcia z wieszadła sztuki mięsiwa, warczał wyprężając do góry swój kark cętkowany i kręcąc długim ogonem. Lampart, gdy już dostał zdobycz, dał susa na ziemię i pomknął truchtem w gąszcze leśne. Kobieta cisnęła za nim wślad głownią gorejącą i zaczęła hukać.

— O la Boga! niepoczciwa bestya, chwyciła najlepszy schab— wołała w stronę zwierza.

Upłynęła dobra godzina, szynka już była upieczoną i strawa w naczyniach zdjętą z ognia; gdy tuż rozległ się gon a następnie ujadanie na miejscu ogarów. Dwa strzały położyły koniec psiéj wrzawie. Po kilkunastu minutach dały się słyszéć na dole głosy rozmawiających po polsku. Przed koliby wyszli niebawem: Bartosz z kozłem na plecach a za nim Żelisław z Piruzé, dźwigający na drągu nieżywego lamparta.

— Przenajświętsza Panienko!—zawołała Magda, owa kobieta przed ogniem—prawdziwe to zrządzenie boskie, żeście ubili tego pazurnika niepoczciwego. Skradł mi przed godzinką najlepszy schab com go chciała zawędzić. A taki to zuchwały!—hycnął, kaj krzyki nie pomogły, taj w dyrdy z kradzionem...

— No, nie będziecie już razem gospodarzyli—przerwał Bartosz składając z plec kozła—dobrze, żeśmy go nadybali...

— Dyć niedaleko?

— Zara nad potokiem. Psy prowadził jak zwykle Piruzé, ja szedł poprzód, za mną panicz. Tylkom ci nos wytknął z za skały, cosiek jakby gwizdek zadurzyło—aż tu słyszę gruch, akuratnie koło potoka. Patrzę hyc, skik od wody na drzewo ni to ryś ni to żbik, taj merda ogonem. Piruze głupi spuścił psy, a panicz w skok, jak ci nie palnie raz po razu, taki ci bestya klapła o ziem niby ciasto. Psy do niéj skubać, aż ta jak się nie zwinie w bębełuszek, taj mruczy a łapą jak kot się ogania. Nie można było strzelać za ogarami aleć Piruzy, co to jak małpa ciska, trzasł go w łeb kamykiem aż zdechł...

— „Aman!“ co za kły, co za szpony—wołał Piruze rozwierając wargi lamparta i pociskając łapy.

— Piękna sztuka, całkiem sierścią porosła—zauważał Bartosz siadając na pniaku przed ogniem.

— Chwała Bogu, żeście ubili szkodnika—powtarzała Magda, a to jużby daléj nie podobna siedzieć w lesie.

— Nie zgadliście pani matko—wtrącił Żelisław układając się na ziemi—właśnie teraz nas wygoni z tego nudnego lasu... Za lamparta przyczyną pójdziemy w świat...

— Paniczowi zawsze się żarty darzą—odpowiedziała Magda uśmiechnięta ustawiając rądel z krupnikiem do jedzenia—proszę do stołu!

Myśliwi zgłodniali żwawo jedli smaczny krupnik kukuruziany na mleku.

— Gdzie tam żarty—odpowiedział Żelisław Magdzie po pierwszych łyżkach—mówię to na prawdę. Musimy wyleźć przecie z téj pustyni, zmarnieć chyba wśród dziczy?!. Trzeba dostać się do Stambułu, tam nas ścigać nikt nie będzie; a i cóś z sobą postanowimy—dosyć tego cygańskiego życia!. Kara-Faki siedzi teraz jak mysz pod miotłą; gdy już mu przebaczono, o nas całkiem zapomina. Wiem, goły jest jak święty turecki, inaczejby pomógł, a ten Kasztan Musa ani piśnie, choć przyrzekł pożyczyć skarby świata!.. Radźmy sami o sobie. Trzeba, żebyście wy Bartoszu i Magdo jechali do Stambułu. Pieniędzy dostaniemy na podróż sprzedając skórę lamparcią i lisie, przedtém upolowane. Odszukacie Musę, który jak słyszałem sprzedał sułtanowi Nedżibe i Nazikę i dostaniecie się do nich zanosząc odemnie ukłon i prosząc o pomoc, bym mógł spokojnie mieszkać w mieście.

— A któż przy paniczu pozostanie? - przerwała Magda troskliwie.

— Któż inny jak nie Piruze?—Hej! czarnuchu, zostaniesz ze mną w lesie? i Żelisław klapnął murzynka po ramieniu.

— A gdzież to ja mam być beju, jak nie przy tobie?—i Piruze wypuczył białka odrywając łyżkę od ust—z tobą mnie najlepiéj i najweseléj.

— Ale ja ci płacić teraz nie mogę?

— Po co mnie pieniądze, kiedy mam wszystkiego do syta i mogę po całych dniach polować, zamiast nudzić się na okręcie? Wolę być tu w lesie, żyć na swobodzie, słuchać gonu psów niż rozkazów jakiegoś szatana Nikołakiego. Nie będzie nam tak wesoło, gdy zabraknie Bartosza i Magdy, ale cóż robić! Ałłach wielki sprowadzi nam kogoś innego na pocieszenie...

Piruze ogromnie się był przywiązał do spółwygnańców. Nic mu wprawdzie nie groziło jako niepełnoletniemu, ale on się teraz

bał świata, żeby go nie rozłączył z tém życiem na półdzikiem, wśród ludzi jakich po raz pierwszy spotykał w życiu. Pomimo, że był prawdziwą opatrznością dla polskich tułaczy jako mogący bezkarnie wychodzić z lasu i znający język—uważał dla siebie za największe szczęście przebywać z nimi, nie bez tego żeby tu nie odegrywała ważną rolę kuchnia polska, za którą przepadał. Nauczył się trochę po polsku i pomagał ochoczo Magdzie na każdym kroku jak matce rodzonéj. Za jego pośrednictwem dowiedzieli się Bartoszowstwo że Achmet-bej sprzedał komuś do Stambułu ich Kasię, co było ostatecznie powodem, iż się zgodzili odbyć podróż do stolicy. Żelisław całkiem się wyleczył z rany i nie potrzebował szczególnéj opieki. Za parę dni miała się wyprawa ze skórami po pieniądze uskutecznić. Piruze posmutniał, choć nie ustawał jeść wieczerzy.

— Wy po tém wrócicie do waszego Lechistanu—rzekł Piruze po wysłuchaniu rozporządzeń—a musi tam być jak w „dżennecie," kiedy wszyscy do was podobni?..

— Prawda, w naszym kraju jak w raju—potwierdził Bartosz chlipając strawę aż pot na czole i na nosie wystąpił—naszeńskie ludziska poczciwe, same katoliki, nie takie garuśniki jak tutejsi... che! che!

— Jezusieńku! biedaku Piruzie, gdybyś ty wiedział jak u nas okrutnie pięknie?—dodała Magda posługując—wszędzie kościoły śliczności, naród się modli i mówi po polsku, a co to za piękne dwory i co to za dobrzy państwo w nich mieszkają, aj! aj! Niech Bóg pozwoli tylko wrócić...

Piruze nie wiedział na czém właściwie polega wyższość islamizmu nad chrześcijanizmem; porównywając atoli wiarę i postępowanie Bartoszowstwa, uczuł poniewolną cześć dla ich wyznania. Wywyższali wprawdzie Bartoszowstwo swoję wiarę jak każdy prosty człowiek, nie mniéj przeto nie wpierali weń swych przekonań religijnych i nie namawiali by porzucał muzułmanizm, owszem, przestrzegali nawet, by zachowywał ściśle swe przepisy. Bawiło to ogromnie Żelisława, który jak mógł starał się znowuż sprowadzić Piruzego z prawéj drogi mahometańskiéj. Murzynek właśnie podawał mu smaczny zraz pieczonéj szynki.

— A dajcież i jemu dzika, moja Bartoszowo—rzekł Żelisław—słuchaj Piruze! macie wy tam w waszym raju wołowinę i rybę, trzeba jednak, żebyś poznał się i na wieprzowinie, bo po tém nigdy już jej nie zakosztujesz; wiedz przy tém, że my od niéj nabieramy frenckiego, rozumu.

— Doprawdy? skoro tak, będę jadł—i wyszczerzywszy białe zęby, Piruze, wyciągnął czarną rękę do Magdy.

— Zasię!—i warzęcha Bartoszowéj zawisła nad dłonią murzynka—masz innego żarcia do syta... Po co zbytkujesz? Pilnuj swojéj wiary, bo przepadniesz marnie. Rozumiesz?..

— Ano, kto się w jakiéj wierze zrodził, takci do śmierci musi pozostać—dodał Bartosz, zajadając szynkę aż mu sok po brodzie spływał—panicz z ciebie kpią, a ty myślisz, że to naprawdę... Jedz sarninę, jedz pilaf, toć twoje jedzenie... Jak zostaniesz katolikiem, jedz sobie wtedy, co chcesz...

— Nie ma co, dobrzy z was chrześcianie!..—przerwał Żelisław ze śmiechem—bisurmanin lgnie do waszego zwyczaju, a wy go odpychacie?!

— A bo to wiara w szynce?!. Wiara prostaka cnoty uczy. Mamyż przecie gadkę: „rozum bez cnoty, miecz w ręku djabelskiem"... Może tam u państwa inaczéj, ale u nas tak. Kamień na miejscu porasta, hajno, i wiara przestrzegana od maleńkości, choćby ladajaka, prowadzi prostaka do dobrego...

— Dużo wy tam wiecie?! Bajki, bierzecie za prawdę i wierzycie... che! che!

— Ślepy jak się trzyma płotu, zawsze do domu wróci; a pijany, choćby miał oczy rysia, taki wpadnie do jamy... Prostak jak się będzie trzymał swojéj wiary, to ona go zawsze do dobrego zaprowadzi na tym i na tamtym świecie. Bóg światłości chce wiary, a djabeł rozumu.

— Ksiądz Bartosz!?. Bartosz kazanie prawi!?—i Żelisław wybuchnął śmiechem.

— Bartosz, za swój grosz!..

Nadąsany Bartosz tą ulubioną gadką zakończył dalszą dysputę teologiczną z Żelisławem, który napróżno nowemi żartami i drwinami z wiary usiłował go wciągnąć do rozmowy. Pobrnął do pobliskiego drzewa i zawiesiwszy na niém lamparta, zaczął z niego łupić skórę milcząc jak zaklęty.

Znudzony tém, Żelisław, wziął się do Piruzego:—uczył go chodzić na głowie, na czworaku do góry brzuchem, robić bronią, aż znużony padł na posłanie, troskliwie przygotowane przez Bartoszowę w małéj kolibie. Cisza zapanowała w lesie, zrzadka tylko podsycone na noc ognisko zaszypiało lub trzasnęło. Bartoszowstwo odmówiwszy pacierz, układali się téż do snu.

— Co bo panicza napadacie?—wyrzucała Bartoszowa łagodnie—dyć to młode i chorobą zbiedzone czy dziw, że wydziwia?.. Nie wie, że dla nas wiara to samo, co dla nich nauka. W takiém wielkiém nieszczęściu jak nasze, na cudzéj ziemi, zgody nam pilnować przedewszystkiém...

— A po co psuje czarnucha? Czego to nieboże będzie warte bez wiary... A no widzisz go samego, dokąd to nauka zaprowadziła?! Zalaz pomiędzy te zbereźniki i na rozboje pociągnął... Żal mi go, bardzo dobre panisko, prawdziwa nasza krew; ależ trza mu po sprawiedliwości mówić, kiedy ani pana, ani pani nie ma...

Długo w nocy małżonkowie naradzali się o przyszłéj podróży. Stanęło na tém, że przed Kara-Fakim nie wypada stanąć z próżnemi rękami. Po przybyciu zaś do Stambułu, mieli zaraz pójść do kościoła i dać na mszę; chodziło tylko pod czyjem wezwaniem ma się odprawić nabożeństwo? Magda rozcięła ten gordyjski węzeł, wybrawszy św. Antoniego jako patrona rzeczy zgubionych. Rozwiązawszy te dwa kardynalne pytania, pewni potém pomocy losu co do reszty, usnęli spokojnie z dziecinną wiarą w powodzenie. Chłopski rozum zbadał, że datkiem i prośbą nie tylko przejdzie świat wzdłuż i w poprzek, ale same niebiosa przebije...

W kilka dni Piruze, wyruszył do najbliższego miasteczka i sprzedał skóry za dobre pieniądze, wystarczające nie tylko na podróż, lecz i na zakupienie materyi na przyodziewek, całkiem zniszczony polowaniem. Po sporządzeniu cieplejszego odzienia dla Żelisława i Piruzego, co zabrało Bartoszowéj około tygodnia czasu, odbyło się większe polowanie, na którém zabito jelenia i kilka rogaczy. Zwierzyna ta została przeznaczona na podarek Kara-Fakiemu od Bartoszowstwa, gdy staną przed nim.

Nadszedł zresztą i dzień odjazdu. Piruze przyprowadził muła z jukiem, na który naładowano zwierzynę i nieco odzieży z żywnością. Murzynek miał Dziewoniów podprowadzić pod Taun-tepé tajnemi drożynami. Magda ze łzami w oczach żegnała Żelisława.

— O! mój jasny paniczu, już ja wyproszę u Najświętszéj Panienki, żeby wam z pomocą przyśpieszono. Pójdę ja do téj sułtańskiéj Nedżiby, bo to my dobrze z sobą były i musi dla mnie zrobić...

— Pamiętajcież, moja Bartoszowo, żeby tylko nie zwlekali, bo nudy mnie zabijają na ostatku. Dosyć siedzieć w téj pustyni!...

— Niech panicz będzie cierpliwy— dodał Bartosz — bo to z téj gorączki już nie jedno złe przyszło. Przy pomocy boskiéj jakoś to będzie, tylko cierpliwości...

— Powiedz Kara-Fakiemu, że się przenoszę niebawem do niego, do Taun-tepé, bo tu dłużéj za nic nie wysiedzę...

— Ja bym doradzał tu czekać. Licho wie, po co do tego strasznego dworu bez okien przenosić się? Piruzé potrafi kuchcikować, a tu wygoda nie mniejsza jak po ich tutejszych domach...

— Nie, nie; tego nie przerobisz, pokłońcie się bejowi i powiedzcie, żeby jakoś ułatwił mi u siebie pobyt.

Podjąwszy do kolan panicza i nacałowawszy go po rękach, Bartoszowstwo zapłakani poszli za Piruzé, który służył razem za przewodnika i poganiacza muła. Kara-Faki przyjął ich z radością, zwłaszcza zwierzynę, która była bardzo pożądaną od chwili, gdy po zdjęciu oblężenia niedawno zaszłem, panowały zupełne pustki w spiżarniach Taun-tepeńskich, a wszelkie operacye koło ich napełnienia rozbijały się o nieczułość mieszkańców okolicznych, nie chcących dobrowolnie znosić danin lub opłacać haraczów. Zdjęcie oblężenia z Taun-tepé głównie przypisać trzeba było nie interwencyi Walidy-sułtanki, lecz Nedżibé, którą o to uprosił Musa-bej dla odebrania reszty nałupionych towarów w Kierasundzie, a złożonych w Taun-tepé. Co zaś do przybycia Żelisława, bej okazał na tę wiadomość nieudaną radość nie tylko dla przywiązania jakie czuł do młodego Polaka, ale przedewszystkiém dla zwierzyny, uśmiechającéj się z jego torby myśliwskiéj.

Żelisław polował jeszcze z Piruze z parę tygodni, nareszcie został zawiadomiony przez Kara-Fakiego, że może śmiało przybywać do Taun-tepé. Z początku szło wszystko jak najlepiéj, nikt się nie zapytał o młodego wodza myśliwca. Polował sobie koło „kuły“ i było cicho. Gorączka jednak myśliwska zagnała go pewnego razu pod zdradziecką wieś grecką, gdzie go mieszkańcy przywitali wprawdzie bardzo życzliwie, ale nie omieszkali natychmiast zawiadomić Achmeta-beja w Kierasundzie jako jeden z najniebezpieczniejszych pomocników Kara-Fakiego, wydany za zabitego, nietylko że żyje, lecz jest ponownie przy dere-beju.

Nic nie podejrzywając, zaufany zresztą w to, że Achmet-bej nie odważy się napaść na Taun-tepé, zawsze przygotowane do odparcia niespodzianego napadu, Żelisław pewnego dnia jak zwykle w towarzystwie Piruzego poszedł z ogarami na polowanie. Przeszli spokojnie mostek, nieobsadzony obecnie przez mytników bejowskich i zamyślali skręcić w góry. Jeden z ogarów na sforze u Piruzego zawrócił głowę w tył i warknął. Murzynek z początku szarpnął psa, sądząc, że się chce gryźć z towarzyszem; ale gdy odszedł kroków kilkanaście, coś go pociągnęło w tył spojrzeć. Właśnie z pod mostku wychyliła się była ostrożnie głowa ludzka w fezie i śledziła pilnie każde ich poruszenie. Murzynek coraz się oglądał, czynił to jednak niepostrzeżenie poprawiając niby obroże ogarów. Byli na skręcie drożyny pnącéj się przy pionowéj skale, niemożebnéj do obejścia ani w prawo ani w lewo. Z po za góry, z tyłu, wyskoczyło kilku zbrojnych, a z pod mostka wylazł przebrany za żebraka policyant Achmeta-beja, dobrze znany Piruzemu.

— Beju!—szepnął murzynek do Żelisława—jesteśmy otoczeni przez „kawasów“ Achmeta-beja. Uciekajmy!

— Idźmy wolno, żeby nie poznali że ich widzimy — odpowiedział Żelisław po cichu i badał pilnie pozycyą przed sobą.

Ścieżyna na jednego konia pięła się pół górą przy pionowéj niemal skale; nie było może więc żadnéj wątpliwości, że na końcu jéj policya urządziła zasadzkę. Przytomny i odważny jak zwykle, Żelisław nie tracił fantazyi, nucił głośno piosnkę jakąś a tymczasem świdrował skałę oczyma od dołu do góry, czyby nie dało się po niéj wydrapać. Było parę zakrętów; kto w nie wchodził, stawał się niewidzialnym dla śledzących tak z dołu jak z góry. Weszli właśnie w jedną z takich zaklęsłości. Żelisław odkrył w niéj nad głowami występ z rosnącym krzakiem rododendronu żółtego, po nad którym na wysokości dwóch ludzi zwisły korzenie dębu. Skinął na murzynka, związał jego i swój pasy; kazał mu stanąć sobie na plecy, zarzucić zaimprowizowany sznur na krzak rododendronowy i wyleźć na niego. Gdy ta pierwsza część manewru karkołomnego została wykonaną, Żelisław uchwyciwszy się za koniec spuszczonych pasów, stąpając bokiem po skale, w kilku sekundach stanął obok Piruzego. Nad krzakiem powtórzyło się wdrapywanie dolne; prócz tego Piruze musiał użyć korzeni dębu zamiast pasa, który dopomógł tą razą tylko Żelisławowi. Niebezpieczeństwo życia wywołuje zdumiewającą energię zmysłów, podobną do objawiającéj się u lunatyków, wyłażących na szczyty wież lub jak u dzikich zwierząt, dowodzących niezwykłych zdolności systemu muskularnego, gdy wola owładnie nim całkowicie, dla działania w jednym wyłącznym kierunku.

Wylazłszy na wierzchołek, Żelisław uciął jednym zamachem handżaru korzeń zbawczy i pociągnął za sobą Piruzego do pobliskich zarośli. Widać ztąd było zasadzki policyantów, których aż trzy naliczyli; biegły one za nimi w różnych kierunkach, jedna wdrapywała się w górę. Psy posforowane, pozostawione na dole, oparłszy przednie łapy na skale zaczęły wyć. Nadbiegli stróże bezpieczeństwa; jak lis z bajki spoglądali na gładką skałę i ucięty korzeń, nie śmiąc jednak zaprobować karkołomnéj podróży. Zbiegi tymczasem pomykali coraz daléj, dopóki nie spotkali nieprzezwyciężonéj przeszkody, mianowicie nagiéj przestrzeni, obsadzonéj już przez policyą. Rzucili się w bok, gdzie rosło wśród chrustu kilka starych dębów; ale i tu tupotanie pośpieszne na spotkanie, oznajmiło że pogoń ich obeszła zewsząd.

Żelisław badał pilnie grunt będąc zdecydowany stoczyć bój śmiertelny. Piruze widać odgadywał myśl swego pana, czarna jego twarz spopielała a oczy latały jak szalone.

— Jest kryjówka! — wykrzyknął chwytając za suknię Żelisława — chodź! tylko prędko...

W kilku susach byli przy jednym z dębów. Piruze jak małpa wskoczył na plecy Żelisława i wydostawszy się na widły olbrzymiego pnia, podał mu rękę. Jeden po drugim zniknęli we wnętrznu drzewa, z którego przed niedawnemi czasy z dziupla wydarł Piruze dzikie pszczoły. Stali przyciśnięci jeden do drugiego, oddychając mocną wonią miodową. W kilka minut potém usłyszeli jak pościg wpadł tupocząc mocno pod dęby.

— Nie ucieknie przeklęty frenk, chyba się w ptaka zamieni— wołał głos tuż pod dębem.

Piruze przycisnął usta do ucha Żelisława i szepnął:

— Nikołaki!

Żelisław drgnął i zakląwszy po cichu, podniósł dubeltówkę do góry. Upłynęła dobra chwila, zanim pościg wyruszył daléj, nie wpadłszy na domysł, że miał zbiegów w ręku. Dopiero wieczorem, gdy już dobrze ściemniało i szakale zaskomliły w pobliżu, zbiegi opuścili dąb opiekuńczy. Kołując ostrożnie daleko za północ dotarli do Taun-tepé, gdzie nic nie wiedziano, co ich spotkało. Kara-Faki nazajutrz aż jęczał ze złości, zaklinając się że tego nigdy nie daruje „mordercy“ kierasundzkiemu.

— „Słuchający słuchaj“ synu— rzekł na ostatku do Żelisława— nie spocznę dotąd, aż tego syna ciemności ujrzę z „bosemi nogami“ (zwyciężonym). „Przysięgam na aniołów wyrywających dusze gwałtownie,“ że go strącę do Hawyje (najgłębsza studnia piekielna), nakarmię go owocami Zakunu (drzewa piekielnego)!

Żelisław jednak nie chciał czekać na spełnienie tych pogróżek i oświadczył, że postanowił przenieść się do Stambułu; zkąd mu przed kilku dniami nadesłali list Bartoszowstwo, zapewniający imieniem Nedżibe bezkarność zupełną w stolicy. Jeżeli nie wyjechał dotąd, stała temu na przeszkodzie niesłowność Musy, który pieniędzy nie nadsyłał. Kara-Faki jako prawdziwy gentleman turecki zastawił ostatnie kosztowności i dostarczył gościowi swemu fundusze potrzebne na podróż. Dere-bej miał przytém i swój interes do załatwienia; polecił Żelisławowi aby bądź-co-bądź namówił Nedżibé, żeby wyrobiła mu nominacyą na kajmakama kierasundzkiego i nie dopuściła na to miejsce nienawistnego Achmeta-beja.

Barka niepostrzeżenie wywiozła Żelisława i Piruzego, który za nic nie chciał opuścić swego pana i bez dalszych przygód wysadziła na statek płynący do Stambułu. Kara-Faki obliczał na palcach, kiedy otrzyma swoję nominacyą, tak wierzył w zdolności swego posła.

IX.

Wpływ Nedżibé na Abdula-Medżyda stał się wkrótce wszechpotężnym. Sułtan dla niéj zapomniał o reszcie żon, faworyta zastępowała mu wszelkie rozkosze świata. Nie było też takiego kaprysu, któryby nie został zaspokojony wedle życzenia ślicznéj Czerkieski. Raif-pasza i Kojun ciągnęli z tego ogromne zyski, któremi się jednak musieli dzielić po połowie z Musą-bejem i jego dostojną małżonką. Niepodobna było ex-miszuresa oszukać, gdyż jego Mał-hanym co dnia świeciła w przedpokojach faworyty jako główna faktorka i nowiniarka. Zabiegi te wydały niebawem owoce nader plenne, Musa-bej został przyjęty do wojska w stopniu majora, na podstawie domniemanego paszowstwa tatarskiego. Rudy żydek świecił w uniformie suto galonowanym jak kawałek tombaku w złoto oprawny. Żona, ile go razy zobaczyła w uniformie, klaskała w dłoni i biegała za nim jak dziecko dotykając palcami świecących części stroju wojskowego. Musa jednak nie zasypiał na wawrzynach, mózg jego dzień i noc pracował nad rozwiązaniem zadania, jakby zostać paszą naprawdę i to w najkrótszym czasie. Oboje byli oddani jedynie myślom, czemby się przysłużyć monarchini z niewolnicy. Mał-hanym znosiła stroje, stroiki, biżuterye, owoce, przysmaki, zwierzęta, ptaki,—ale to wszystko już nie wystarczało, dla popsutéj zbytkiem Nedżibé. Prawda, przyjmowała zawsze, dawała przytém ogromnie zarabiać faktorce ulubionéj; nie bawiło to ją wszakże nad chwilkę, dopóki rzecz trzymała w ręku lub miała przed oczyma.

Sułtan był łaskaw przedewszystkiém na tych, którzy się przyczynili do zabawienia choć czemkolwiek jego ulubienicy. Nedżibé nabierała gustów chwilowych to do tego, to do owego przedmiotu. Obecnie zagustowała była ogromnie w czekoladzie i zmusiła nawet swego pana do wyrzeczenia się sakramentalnéj kawy „à la turka." Polubiła też nadzwyczajnie ciastka, spożywane z tą ambrozyą bogów, według magnificyencyi paryskiego uniwersytetu z XVI wieku. Gdy jednak zaczęła zbyt zażywać darów cukierniczo-pasztetniczych, obrzydziła je sobie wkrótce jak chłopcy terminatorzy po cukierniach. Czekolady nie porzucała, gdyż to był napój „à la franka," w dobrym tonie, ale za to bezwarunkowo nie mogła do niéj dobrać żadnego ciasta, ani bułki, ani „simity," ani chleba francuskiego—wszystko to nie smakowało. Wielki stąd niepokój powstał na dworze, sam sułtan bowiem niemiłosiernie docinał swemu otoczeniu, że w tak dziecinnéj rzeczy nie może mu przyjść z pomocą.

Nedżibe aż się rozchorowała, skarżyła się przed Mał-hanym, oświadczając, że nigdzie tak smacznego ciasta nie jadła jak u niéj

w domu. Małżonka Musy aż podskoczyła, gdy to usłyszała. Zaledwo mogła ustać na audyencyi, tak jéj pilno było do domu.

Major Musa-bej powracał właśnie z jakiejś wycieczki quasi służbowéj do „seraskieratu,“ gdzie go jednak wcale obojętnie przyjęto. Chodziło o jakieś racye, ale mu wręcz powiedziano, że dla takich drążkowych majorów jak on wystarcza dobra pensya, bez wszelkich dodatków, należących się tylko oficerom w czynnéj służbie. Smutny i kwaśny przybył do wracającéj z pałacu żony.

— Nu co to jest, że pan major bej-effendi, taki nie wesoły?— pytała Mał-hanym wesoła jak rybka, biorąc jak zazwyczaj małżonka za koniec bródki — nu co to jest, trzeba być bardzo wesołym!

— Za co wesołym? po co wesołym?—odpowiedział Musa opryskliwie — ten „szwarc jur“, „a goj“, „seraskier“, nie chce mi kazać zapłacić racye...

— Bądź spokojny, dostaniesz wszystko, nie tylko takie bagatelki... lubusiu, daj buzi, businkes!..

Dobry humor żony oddziałał zbawiennie na beja, zwłaszcza po dotknięciu jéj ust własnemi wargami. Nastąpiło potém wyjaśnienie i narada, po któréj béj niezwłocznie dosiadł swego araba i ruszył na Gałaty, siedlisko polskich żydów. Znali go tam dobrze rodacy; zaledwo więc stanął w jednéj z cuchnących uliczek, przez nich zamieszkałéj, roje pejsate, brodate, chałatowe obskoczyły go do koła. Żydkowie radzi służyli bejowi wyrosłemu z miszuresa, gdyż był wyjątkowo hojnym. Zbiegli się obecnie pilnie nastawiając uszu.

Najwięcéj miru miał u niego jeden spółkolega z Berdyczowa, który pomimo to, broń Boże nie okazywał, że wiedział kim jest właściwie szanowny bej. Spółkolega nawet na osobności, gdy Musa dawał folgę językowi, nie uznawał za stosowne dawać poznać się jako dawny znajomy. Berdyczowski ziomek, rodzaj tyki pejsatéj, drepcząc jak koń gorący miamlał ustami i kiwał głową, zostawszy obecnie na osobności z bejem, który mu w tajemnicy wydawał jakieś rozkazy.

— Nu, po co szukać, na co szukać? zaraz wam oddam do dyspozycyi moję żonę!...

Przez noc całą w kuchni Musy, Mał-hanym wspólnie z żoną ziomka berdyczowskiego pracowały około pieczywa. Zaledwo dnieć zaczęło, sługa beja z ogromnym koszem w białym jak śnieg obrusie, pomknął ku przystani, zkąd go „kaik“ odwiózł do Dołma-Bahcze. Mał-hanym przeprowadzała go aż do brzegu szepcząc ciągle jakieś tajemnicze instrukcye, w odpowiedzi na które posługacz przykładał nabożnie rękę do piersi.

Sułtan jak zwykle jadł śniadanie u Nedżibé. Ulubienica była nieco znużona, monarsza głowa raz poraz tuliła się do jéj rozkosznego łona, a ciche westchnienia i gładzenia po własnéj piersi mówiły jak gdyby to była pierwsza miłość w życiu obojga. Przemijające osłabienie faworyty, która je zwyczajem powszechnym kobiet powiększała jakby już umierać miała, zrobiło monarchę tém czulszym. Wniesiono czekoladę.

Oczy Nedżibé, zamierającéj z miłości i osłabienia, gotowéj zdawałoby się ulecićć z tego padołu ziemskiego, nie omieszkały jednak zwyczajem kobiet zrobić dokładnego przeglądu śniadania. Skoczyła i klasnęła radośnie w dłonie.

— „Waj! waj!“ panie mego pana, patrz, patrz!—i ręka Nedżibé pobiegła w kierunku tacy — toż nam dogodziła poczciwa Mał-hanym. Mamy sławne tatarskie „simity“, możemy nadal używać czekolady. . .

I ulubienica jak dziecko swawolne porwała z tacy obarzanek nie tatarski, ale najzwyklejszy „bajgełes“ żydowski z czarnuszką. Rozłamawszy go na dwoje, połówkę podniosła do ust sułtana.

— Skosztuj tylko! ciasto jakby z błogosławionego Tuba... Apetyt powraca cudownie.

Sultan śmiał się, głaskał faworytę i wziął do ust obarzanek.

— Wyborny! cudowny! duszo méj duszy, niech ci na zdrowie służy. Zawsze każ mi go podawać do czekolady. Powiadasz, że dostałaś to od?...

— Od żony Musy-beja Mał-hanym, co o mnie biednéj najwięcéj pamiętają. Panie mego pana uszczęśliw go jaką nową łaską!

I Nedżibé złożyła jak do modlitwy ręce, paląc wzrokiem źrenicę rozkochanego monarchy. Sułtan nie wytrzymał, przyciągnął ją do siebie i złożył gorący pocałunek na jéj koralowych usteczkach. Co więcéj po wypiciu czekolady, poprosiła swego rozkochanego pana, by posłuchał nowéj piosnki, którą świeżo od dawnéj nauczycielki przyjęła. Śpiew oczarował do reszty sułtana.

— Och! och! dogodziłaś mi jak nigdy — i sułtan nowemi pocałunkami obsypywał ulubienicę — nagrodzę wiernego sługę, co tak o „kiefie“ (wygodzie) swego pana pamięta... Niech się stawi zaraz przede mną!

Zepsuta łaskami Nedżibé tyle zadowolenia okazała, że miała śmiałość pogładzić kalifa-padyszacha po jego świątobliwéj brodzie. To wykroczenie przeciwko etykiecie dworskiéj, nieznane prawie kobiecie muzułmańskiéj, wprawiło jednak w złoty humor uszczęśliwionego monarchę. Nedżibé aż skakała z radości, i gdy sułtan

wyszedł, słała, aby piorunem sprowadzono do niéj Mał-hanym, którą naturalnie tuż za drzwiami odszukano jako czatującą na skutki swego genialnego wynalazku. Mał-hanym wylawszy cały potop błogosławieństw, komplementów i zapewnień podczas audiencyi, pośpieszyła wyprawić Mojsze Musę, również czekającego koło pałacu, do najwyższego szafarza na ziemi łask i nagród.

„Słów nie wiele trzeba było“, major popędził do sali audiencyonalnéj, mając przy boku tłómacza swego Marifeta-effendiego, który w drodze kładł mu ciągle odpowiedzi jakie będzie musiał robić sułtanowi. Porządek audiencyi został naruszony, Musę-beja wprowadzono przed monarchę, wstrzymując wszystkich.

— Kontent jestem z ciebie—rzekł Abdul-Medżyd miłościwie—mów, cobyś pragnął mieć?

— Blask twéj wspaniałości oślepia mię sułtanie-padyszachu, wiesz ty lepiéj odemnie nikczemnego twego niewolnika, co mi się należy...

Sułtan uśmiechnąwszy się dodał wesoło:

— Zważ, synu, że jestem twoim padyszachem, ale nie prorokiem?!

— Czytasz ty na dnie serc ludzkich i sprawiedliwości pilnujesz przedewszystkiém. Królu królów! byłem ci ja dawniéj paszą, a teraz od ciebie zależy ocenić czy wart jestem téj godności?

— „Maszałła!“ widzę jesteś nader skromnym w twych żądaniach?! Pragnąłbym cię widzieć w dawnym stopniu, ale cóż kiedy u mnie nie wolno przeskakiwać w awansie? No, mianuję cię moim podpułkownikiem!

Musa przypadł do ziemi.

— Ałłach niech pomnaża stokrotnie twe powodzenie! — rzekł.

Sultan tymczasem przebierał ziarnka różańca, a zaledwo Musa skończył podziękowanie, z niezrównanym spokojem dodał:

— Teraz awansuję cię na pułkownika!

— Tyś pan nad pany jak równego nie było i nie będzie na całym świecie — i były podpułkownik obecny pułkownik przypadł ponownie do ziemi.

Znowuż sułtan chwilkę milczał przebierając różaniec.

— Pułkowniku! mianuję cię teraz moim „liwa-paszą“ — obyś mi zawsze wiernie służył! — rzekł podniesionym głosem.

— Olśniłeś mię jak słońce, niezwyciężony zwycięzco! — niegodne usta nie są w stanie tego wyrazić, co serce czuje. Padyszachu, żyj tysiączne lata i zwyciężaj!

— No, dobrze, idźże teraz Musa-paszo do „seraskiera“, pozdrów go odemnie i objaw wolę moję!

Nowomianowany pasza przypadł do ziemi, pocałował dywan na podłodze i raczkując tyłem, zniknął za kotarą sali audiencyonalnéj. Dworacy i dostojnicy witali go z rozpromienionemi twarzami, nie znajdując słów dla wysokich zasług nowoupieczonego paszy. Łaska sułtańska zgięła na chwilę przed nim w pałąk najhardziejsze karki muzułmańskie. Wyrosły na cieście obarzankowém dygnitarz wojskowy nie był ani pierwszym, ani ostatnim w szeregu wypromowanych przez Abdula-Medżyda, który ciekawszych jeszcze się rzeczy niekiedy dopuszczał. Pewnego razu np. sułtan ten awansował swego pokojowego malarza Włocha na „kapudana-paszę“ — najwyższego admirała floty ottomańskiéj. Żydzi polscy wogóle mają szczególniejsze szczęście w wojsku tureckiém, Musę więc spotkał zwykły los na porządku dziennym izraelskiéj fortuny w szeregach ottomańskich.

W tym to właśnie pomyślnym czasie zjawił się u świeżo mianowanego paszy Żelisław, wprawdzie nie zupełnie wygodny świadek przeszłości, ale zarazem bardzo potrzebny dla teraźniejszości. Marifet teraz nie wystarczał; pasza zabierał znajomości z ambasadami, trzeba było mieć koniecznie sekretarza i tłómacza, umiejącego po francusku. Żelisław był biegłym we francuzczyźnie, a przytém swój; jeżeli więc mowy za swoję wydać nie potrafił, to pismo jego pasza mógł sobie przywłaszczyć, co też w rzeczywistości czynił, powiadając, że zna język doskonale, ale ma złą wymowę, dla tego się wstydzi rozmawiać. Za pomocą tego nowego klucza, Musa-pasza otworzył sobie drzwi wszystkich miejscowych bankierów, giełdowiczów, spekulantów europejskich, i zrządził, że złoto płynęło strugami do wiecznie spragnionéj kieszeni izraelsko-muzułmańskiéj...

Żelisław śmiał się i kpił ze swego pryncypała, jednak koniec końców służył mu i to rzetelnie. Bawiło go niezmiernie to olbrzymie miasto z cechą wsi tureckiéj, — tajemnicze i naiwne, ceremonialne i prostacze, dobroduszne i przewrotne, wstydliwe i pełne lubieżności, trzeźwe w dzień pijaniutkie nocami, z czystem niebem i wodą a brudami augiaszowemi na ulicach; pstrym tłumem milczącym, płynącym rzeką głównemi ulicami, a z pobocznemi całkiem wyludnionemi; minaretami i cyprysami, stadami psów ulicznych i gołębi, ryb i ptaków, osłów i arabów. Cieszył się życiem po młodzieńczemu, a mając wszystkiego w bród, używał ile wlazło. Wudżud, od niedawna przybyły do Musy-paszy, nie omieszkał go wprowadzić w hulackie koła tureckie, a znajomi młodzieńcy z ambasad i banków europejskich otworzyli przed nim zakulisowy raj „á la franka“... Miał przytém tyle szlacheckiéj fantazyi i swobody, że

wkrótce został lwem stolicy nadbosforskiéj. Najchętniéj naturalnie przestawał z Europejczykami, cieszącymi się w tamtych czasach niebywałym kredytem u Turków, pchniętych przez młodego sułtana-reformatora na tory zachodniéj cywilizacyi. Kolegów swych w hulatyce zachwycał swemi romantycznemi przygodami, z których szczególniejszego rozgłosu nabrała jedna cudownego charakteru. Lew Polak, aby dostać się do haremu pewnego starowiercy, przebrał się za ducha opiekuna domu „ewlija“, i zawiązał serdeczne stosunki z perłą tego szacownego zbioru kobiecego, słynną na cały Stambuł z piękności... Miał przytém tyle sympatyi w tureckim świecie niewieścim, że się stawał niezmiernie wybrednym w wyborze; szukał umyślnie awantur, bez których obecnie wszelkie sukcesa miłośne traciły dla niego urok.

Odwiedzał go często Bartosz, który zaprotegowany przez Musę u Raifa-paszy, został przyjęty na pomocnika ogrodniczego w pałacu Dołma-Bahcze. Poczciwy towarzysz niedoli, istna opatrzność swego byłego panicza, nieraz z Magdą wspólnie zapraszali go do siebie w odwiedziny, ale rozbawionemu młodzieńcowi nie wystarczało na to czasu, uważał te wylania serdeczne jako hołd należny swemu urodzeniu, nie obowiązujące wszakże aż do odwiedzania dawnych chłopków... Magda często płakała przed nim, że nie może odszukać Kasi, choć jest pewną o jéj pobycie w Stambule.

— Widział ci Piruzy myszkującego Nikołakiego po mieście— mówiła pewnego dnia do Żelisława — ale ten niepoczciwiec z uroczemi oczyskami puścił mu tumana w ślepia i znikł, gdy go zaczął śledzić. Bo to już on koniecznie musi być przystawiony do naszéj Kasiuńci. . .

— At, kobieto, włos u was długi a rozum krótki — przerwał obecny Bartosz — cóż ty myślisz, że Piruzy wyśledzi tego djabła? zkąd ci przyszło, że on wie gdzie Kasia? — i zwróciwszy się do Żelisława dodał:— a ja paniczowi powiem, żebyście Piruzemu zakazali śledzić tego łotra Greka, bo jak go pozna, to gotów nowe jakie szelmostwo z wami urządzić. . .

Żelisław nic na to nie odpowiedział, ale po tém wydał rozkaz Piruzemu, by unikał starannie Nikołakiego i nie śledził go wcale. Mając takich potężnych protektorów jak paszowie, łatwo było wyrzucić z miasta Nikołakiego; ale dumny Don-Żuan stambulski gardził wszelką obcą pomocą, postanowiwszy własnoręcznie ukarać swego nieubłaganego tropiciela. Ta okoliczność jak również niezwykłe ostrożności ze strony Seida-agi i jego protektorów, czyniły nieprzeniknioną tajemnicę z pobytu Kasi na Skutarach. Pomagał do tego i nadzwyczajny rozkład samego miasta, mianowicie jego

dzielnicy azyatyckiéj, oddzielonéj morską ciaśniną i będącéj nawet rezydencyą innego „wiliajetu“, skutarskiego, odrębnego od właściwego stołecznego. Dzisiaj, gdy kursują omnibusowe parostatki, lata całe mijają dla niektórych mieszkańców, nim odwiedzą Skutari, a cóż dopiero podówczas, kiedy „kaikami“ trzeba było przepływać bystrą i niebezpieczną tutaj ciaśninę?

Mał-hanym jak każda białogłowa, zwłaszcza tego rodzaju co ona, skwapliwie odnosiła wszelkie plotki i ploteczki, dotyczące ich sekretarza do nadzwyczaj ciekawéj na tym punkcie Nedżibé. Zazdrość trawiła Czerkieskę, boć myśl o niewierności mężczyzny nie może powstać u kobiety muzułmańskiéj, choć w obecnym wypadku mogłaby mieć słuszną pretensyą; gdyż cała protekcya i hojności, spływające na Żelisława, wypływały ze źródła dawniejszéj dla niego miłości... Słysząc pewnego razu od Mał-hanym opowiadanie o awanturze z przebieraniem się za „ewliję“, nie wytrzymała i nie dając niby poznać, rzekła do paszowéj:

— To dziwna, że spacerując codnia po ulicach nigdym go jeszcze nie spotkała. Ciekawam jak to on teraz wygląda? Ale wierz co, duszko Mał-hanym?—jutro będę o południu na Perze; powiedzże w magazynie Ałtundżego, żeby mi przygotował do pokazania te kolie brylantowe, które mi tak zachwalałaś przed chwilą!..

Sprytna paszowa-faktorka w lot pochwyciła znaczenie tego polecenia, a Musa je ubrał w ciało zawiadamiając *sub secreto* swego sekretarza o całéj rozmowie, oraz godzinie i miejscu, dokąd przyjedzie sławna ulubienica. Żelisławowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, widoki na awanturę nad awanturami nie dały mu spać przez całą noc; nazajutrz ze swym czarnym czibukczim Piruze czekał punktualnie na godzinę przed magazynem Ałtundżego. Gdy ujrzał nadciągającą karetkę pozłocistą Nedżibe, odprawił od siebie murzynka na stronę i tak zręcznie manewrował, że tuż stanął za powozem, gdy się zatrzymał przede drzwiami magazynu.

Nedżibe miała obok siebie nieodłączną Nazikę, która wydała rozkaz obok idącemu enuchowi pałacowemu, aby oznajmił kupca o ich przybyciu. Czarny argus haremowy zniknął, a ulubienica sułtańska nie tracąc chwili, otwarłszy tylne szkiełko kareciane, przesłała ręką pocałunek Żelisławowi i szepnęła:

— Jutro o 8 „à la turka“ bądź za ogrodem Czaragańskim, przy tylnych wrotach; jest tam szpara duża. . .

Żelisław łyskał tylko wzrokiem i na znak zgody, przycisnął nieznacznie rękę do serca. Spojrzał do koła i szepnął:

— Będę aniołku...

W téj chwili wyszedł eunuch z kupcem, przypadającym do ziemi i podnoszącym z czołobitnością żądane kolje do rąk Neždibe. Želisław pooczkowawszy jeszcze chwilę, wydostał się z tłumu cisnącego się oglądać powozy sułtanek. Zawrócił do miejsca, gdzie kazał na siebie czekać Piruzemu, nie widząc wszakże, że jakaś para oczu straszna śledziła go z wyrazem nieubłaganego szyderstwa. Nie spostrzegł niebaczny Don-Żuan jak Nikołaki tuż stojąc za plecyma jego nie tylko widział, ale i słyszał wszystko.

Želisław z wielkiéj uciechy przehulał całą noc. Koledzy nie mogli się nadziwić, zkąd mu tyle ochoty przybyło do zabaw? Do kompanii należał pewien Anglik kapitan okrętowy, który się z radości nie posiadał, spotkawszy towarzysza, mogącego podobnie jak on nie zmrużywszy oka pić przez całą noc. Nazajutrz po przespaniu się parogodzinném, już po obiedzie, lew-sekretarz opuścił konak swego pryncypała paszy biorąc z sobą nieodstępnego Piruzego, którego jednak zostawił w ostatniéj kawiarni na Feri-Kiöj. Tyłami po wygonach pustych, przerzniętych głębokiemi parowami, jak kot zakradł się pod ogrodzenie ogrodowe, nie strzeżone przez nikogo w téj odludnéj stronie. Wrota używane tylko na wiosnę do czyszczenia i nawożenia ogrodu w téj porze były zarosłe chwastami, mogącemi schować człowieka. Bylica i łopuchy odegrywały rolę opatrznościową, w zdobywczych planach uwodziciela. Przypadłszy do szpary, zaglądał do ogrodu, po chwili usłyszał śmiech srebrzysty a w ślad za nim dwie niewieście postacie w przepysznych strojach szybko zmierzające do wrót. Pomimo mocne roztargnienie uczuł nagle potrzebę obejrzenia się w tył. Pusto i odludnie było do koła; o kilkadziesiąt kroków ujrzał słabe drgnięcie badyli zielska lulku i kolokwinty, ale żywéj duszy nie mógł dopatrzyć. Nie miał zresztą czasu do dłuższego rozglądania się, bo Nedżibe przypadłszy do szpary, rzekła namiętnie:

— Nie dobryś! zapomniałeś o mnie...

— Przenigdy, moja ty gwiazdo, bałem się tylko naruszyć twój spokój drogocenny—odpowiedział młodzian.

— Co?! spokój?! alboż to serce kochające może być spokojne bez ciebie?.. Kochasz że mnie jeszcze?

— Kocham więcéj niż dawniéj. Cieszy mię przy tém ogromnie, że tak wysoko stanęłaś...

— Powiem ci prawdę, wolałabym niżéj, byle z tobą. Co mi tam po zniszczonym rozkoszniku, choćby w koronie!?. Słuchaj! musimy być bliżéj koło siebie. Wynalazłam sposób. Namówię mego pana, by cię wziął do świty za adjutanta. Co ty na to?

— Wybornie! zamiast być gwiazdą, zostaniesz wtedy dla mnie dobroczynném słońcem...

— „Maszałła!“ Ałłach z nami...

Nie domówiwszy atoli końca zdania, zbladła i szepnęła trwogą śmiertelną zdjęta:

— Uciekaj! Nikołaki z tyłu...

Żelisław odskoczył w bok od bramy i o kilkanaście kroków ujrzał za sobą Nikołakiego, szyderczo wyszczerzonego i śmiejącego się przenikliwie.

— Nie ujdziesz tą razą—wołał jadowicie.

Złapany na gorącym uczynku, lowelas, nie zwracając wcale na te pogróżki uwagi, w kilku susach był już za murem i zniknął za przyległemi domami.

— Złodziéj! łobuz!—krzyknęła teraz Nedżibe przenikliwie.

Nikołaki stał nieruchomie z szyderczym uśmiechem oczekując aż nadbiegną straże. Mocne tupotanie kilkunastu ludzi rozległo się po ogrodzie; biegli eunusi zbrojni na pomoc swéj pani.

— Ukarzcie zuchwalca, co stoi za bramą!—krzyknęła Nedżibe rozkazująco—podglądał i łajał nas nikczemnik...

Wierzeje się z traskiem rozwarły, wyskoczyli z obnażonemi kordami czarni rzerańcy wprost na Nikołakiego.

— Nie mnie się to należy, znakomici agowie, ale temu co tam uchodzi:—oto uwodziciel Nedżibé!.. Śledziłem go, Żeli-bej mu na imię...

Tymczasem nadbiegł zasapany długi, cybaty nadeunuch ze złotym kołnierzem. Nazika krzyknęła do niego rozkazująco.

— Ten giaur podglądał i zelżył słowem naszą dostojną panią, a teraz okłamuje...

— Bij!—krzyknął nadeunuch strasznym głosem.

Świsnęło parę kordów i głowa Nikołakiego potoczyła się pomiędzy chwasty, zanim zdołała dalsze rewelacye poczynić. Nedżibé z Naziką uciekały co tchu w głąb ogrodu, postąpiwszy sobie z energią i przytomnością przewrotną prawdziwych Czerkiesek. Nikołaki uległ doraźnemu prawu, wymierzonemu podług tradycyi serajów sułtańskich: żywym nie mógł pozostać człowiek, co się poważył wzrokiem lub słowem zwrócić do sułtańskiéj kobiety. Krwawy dramat jak z błyskawiczną szybkością się rozegrał, tak również gdzieś prędko uprzątnięto trupa, żeby skandalowi nie dawać rozgłosu. Porządek ocalony został...

Nedżibe zasłabła, sułtan był tem ogromnie zaniepokojony. Choć mu zdano raport najszczegółowszy, ale on słyszéć nawet nie chciał o jakiemś podejrzeniu, z którém też żaden z zauszników nie odważył się odezwać. Wszystko nadskakiwało choréj, widząc smutek sułtana. Mał-hanym w dowód wielkiéj łaski została przypuszczoną

do łóżka chorej ulubienicy, przy czém ułożyły się co do dalszego postępowania.

Jeżeli jednak sułtan nie podejrzywał wcale, za to kizlar-aga kazał zrobić najściślejsze poszukiwania za Żeli-bejem, osobą wcale nieznaną u dworu. Żelisław narobił sobie zbyt wiele rozgłosu i łatwo go było odrazu wyśledzić. Jeden z eunuchów przebrany w pospolity strój nadybał niby od niechcenia Piruzego na Perze.

— Och! och! podobnośmy rodacy?—rzekł chytrze sługa sułtański do ostatniego—czyjiś bracie?

— Niczyj, duszko, wolny jestem—odparł Piruze zajadając hałwę—służę u sławnego Żeli-beja, choć mi on nie zupełnie do smaku przypada... Bieda zmusiła do ciężkiéj pracy...

— Waj! jeżeli tak ciężka jak obecna, to się nie zapracujesz cha! cha!

— To ty myślisz, że jest tak zawsze? Wyjechał wczoraj z rana za morze, dla tego mam wolnych kilkanaście dni. Nie uwierzysz jak ci Frency są wymagający, każą pracować dzień i noc.

— Ot, zwykle „giaury“ bezlitośni... A dokądże to duszko—baranku pojechał twój bej?

— Popłynął do Grecyi za interesami paszy...

— O jakiéj porze i którym statkiem?..

— Ta zaraz po południu, statek zapomniałem... aha! Ś-ty Georgjosa kapitan, Dmitraki.

Statek tego nazwiska istotnie wczoraj odpłynął z kapitanem Dmitrakim do Grecyi z portu, ale Żelisława na nim wcale nie było, gdyż zaledwo dziś z przyjacielem Anglikiem to uskutecznił, Piruze był dobrze nauczony, co ma mówić, a jako majtek z profesyi, doskonale wykonał, co mu polecono. Okoliczność ta jednak zwichnęła karyerę Żelisława na drodze dworskiéj. Chociaż mu włos z głowy nie spadł, gdy wrócił po paru tygodniach do Stambułu, nie śmiał nosa wytknąć za bramę konaku protektora paszy. Nedżibé tymczasem nie ustawała w zabiegach, żeby mu ułatwić zrobienie w najkrótszym czasie karyery wojskowéj; bo o inną cudzoziemcowi w Turcyi nie podobna się było ubiegać podówczas.

Wybuchły właśnie jakieś rozruchy na granicy greckiéj, odkrywające pole do łatwéj odznaki. Jako Czerkieska wyobrażała sobie, że każdy mężczyzna, zwłaszcza wojskowy, pała chęcią pędzenia do boju. Nie porozumiawszy się poprzednio z Musą—paszą, instancyonowała za nim przed sułtanem, aby go zrobił dowódzcą wyprawy. Sułtan łaskawie przystał na to, kontent po cichu, że mógł nieprawidłowo awansowanego jakąś prawdziwą zasługą zasłonić. Mał-hanym aż zdrętwiała z przerażenia, gdy jéj ulubienica tę radośną niespo-

dziankę zwiastowała; nie było co robić, musiała jednak udać, że jest dumną z zaszczytu jaki spotyka jej małżonka i zrobić za niego przyrzeczenie wyawansowania Żelisława, co najmniéj na kapitana.

Musie zrobiło się słabo, gdy Mał-hanym opowiedziała o zrobieniu go wodzem naczelnym wyprawy przeciwko „kleftom.“ Choroba go rozebrała piorunem, przerażające burczenie w żołądku zmusiło go do wypicia sporéj ilości mięty pieprzowéj... Musiał atoli w końcu zapanować nad sobą i sięgnąć po laury wojskowe...

Jeżeli pasza nie bardzo smakował w marsowéj imprezie, za to Żelisław jakby się urodził na nowo na świat. Stan cywilny w ogóle, zwłaszcza służba u żyda, już mu ciężyć zaczynała; marzył zresztą ciągle jako szlachcic o karjerze wojskowéj—otóż ją miał na ostatku w garści!.. Silniéj mu uderzyło serce. Jak ongi Lisowczyk, wyglądał chwili wyruszenia w pole z niecierpliwością. Przed samym odjazdem odwiedził go Bartosz, zwiastując, że jest na śladzie Kasi; gdyż przypadkiem dowiedział się o bawiącym od dłuższego czasu Seidzieadze u jednego z przyjaciół Achmeta-beja na Skutarach. Ludzie tego wszakże przyjaciela są to sami starowiercy i niepodobna od nich wydobyć tajemnicy. Przy téj zręczności poczciwy ogrodnik upominał swego byłego panicza, by się szanował i nie zapominał o swoich. Żelisław choć słuchał tego wszystkiego jednèm uchem, był pomimo to rozdraźniony. Bartosz żegnając niby od niechcenia—dodał:

— Ot, wchodzicie do służby tureckiéj, to niechże ma nad wami opiekę Najświętsza Panna! Będą może różne pokusy, pamiętajcie jednak naszą chłopską gadkę: „lepiéj płakać ze swoimi niż skakać z obcymi.“

— Nie zupełnie to prawda—mruknął panicz—przedewszystkiém mnie jako szlachcicowi trzeba pamiętać, żebym zdobył sobie należyte stanowisko...

— Hajno, proszę panicza: „szlachetczyzna nie ojczyzna,“ my chłopy powiadamy...

— Et, ktoby tam, mój drogi, zważał dzisiaj na podobne staroświeckie gadaniny?!. Póki czas, trzeba się czegoś dorobić. No, ale gdybyście Kasię odnaleźli, to byłbym niezmiernie rad ją widziéć...

— Bogu to jednemu wiadomo, kiedy ją odnaleziemy... Wracajcie do nas zdrowi i szczęśliwi. Niech będzie pochwalony!

I Bartek odsalutowawszy po turecku, powlókł się niewesoły do domu. Rozmowa znużyła dzisiaj obydwóch nadzwyczajnie, Żelisław uczuł jakby ołowiem zaciężyła mu na sercu, nie mógł się rozerwać; śliczna postać Kasi, ciągle go prześladowała. Rad był niezmiernie, gdy nadeszła pora wyjazdu do komendy przeznaczonéj dla ex-gorli-

brody wojskowego, przerobionego w dziurce od obarzanka na paszę... Żelisław nie tylko wiedział, że jego komendant nic nie umie, ale miał głębokie przekonanie jako jest tchórzem podszyty,—budował na tém ogromnie wiele. Wiedząc, że służył dawniéj we flocie, adjutant, robił mu rozmaite złośliwe zapytania.

— Jakże pasza poprowadzi artyleryą—i drwiąco spoglądał na zwierzchnika—gdy wejdziemy w góry, nie mające dróg wozowych?..

— Nu, gdzie pójdę?—nu jak nie można, to zrobić każę drogę...

— A nieprzyjaciel będzie czekał na miejscu?!.

Tu adjutant parskał śmiechem i uczył swego jenerała, że skoro kołami nie można, więc na ten wypadek istnieje górska artylerya. Zaimprowizowany pasza, choć za taką cenę wydobywał sekreta sztuki wojskowéj, nie mniéj przeto był nadzwyczaj wdzięczny swemu adjutantowi. Po przybyciu na miejsce i objęciu komendy, słuchał bezwarunkowo wszystkich rad Żelisława. Dostawszy dokładne wiadomości z klasztorów greckich o sile i miejscu pobytu „kleftów,“ szybko wyruszył na nich.

Na drugi dzień stanęli u mety, dotarli do Olimpu ze śnieżnemi igłami, podobnego do zamku olbrzymiego, najeżonego wieżycami i blankami. Zniknęły tu upały tessalskie, choć na dole było jeszcze w południe skwarno. Rzeźwy świat górski zaostrzał czujność przytłaczając słabsze serca grozą wojenną, bujającą nad temi szczytami mroźnemi niby orlica skalna, gotowa zapuścić śmiercionośne szpony w kark zajęczy..... O ile ta mara dręczyła paszę, o tyleż była ona obojętną jego adjutantowi, który pomimo wczesnéj młodości tą mocą ducha zapanował wszechwładnie nad oddziałem.

Z dołu widać było stanowisko „kleftów,“ raczéj dymy obozowiska, znakomicie powiększonego ostatniemi dniami, świeżo przybyłym oddziałem albańczyków greckiego pochodzenia z Pindu. Pozycya była tego rodzaju, że oddział turecki musiał być podzielonym na drobniejsze części, mogące z kilku stron działać dośrodkowo. Pasza wedle zwyczaju prowadził główne siły, mając przy boku Żelisława, który w rzeczywistości był prawdziwym komendantem.

Grecy powiadomieni zawczasu o manewrze tureckim, nie czekając, aż się Turcy skoncentrują, uderzyli całą masą na główny ich oddział. Zastąpili drogę w ciasnéj bezleśnéj dolince, i ustawiwszy nad głowami dwa działka górskie, zmiatali kartaczami całe szeregi Turków. Artylerya turecka tymczasem pozostała w tyle, za nic nie mogła dobrać sobie odpowiedniéj pozycyi i nic robiła najmniejszéj szkody nieprzyjacielowi. Grecy korzystając z chwilowéj przewagi wpadli na Turków z „handżarami,“ i zepchnęli ich z ogromnem stratami na dół.

Darmo Musa-pasza hałasował, kryjąc się za skałą; zdziesiątkowane jego szeregi pierzchały przed „kleftami," jako stado kozic spłoszonych. Na domiar popłochu huknęły z tyłu strzały, na drodze odwrotu oddziału tureckiego. Pasza zadrżał jak listek osiczyny, zbladł jak chusta, z oczami szklanemi wybałuszonemi wygramolił się na grzbiet wierzchowca i uchwyciwszy grzywę do rąk a boki ścisnąwszy piętami, rozbijając i tratując szeregi własne, zmiatał co tchu. Grecy wpadli na działa tureckie i obóz, panika powszechna zapanowała u pokonanych; ani krzyki, ani płazy, ani strzały nie pomagały, w dzikim nieładzie pierzchali za swym wodzem.

Żelisław wytężonym wzrokiem jak szermierz przed bojem, mierzył swego przeciwnika postępując wolno z tyłu za uciekającymi. Na raz wyskoczył na kamień i połyskując nad głową obnażoną szablą, krzyknął ostro:

— Nasi górą!.. nasi górą!..

Niektórzy z tureckiéj komendy, odwróciwszy głowy w tył, przystanęli.

— Stać! nasi na górze... Wygraliśmy! — krzyczał Żelisław udając.

I skoczywszy w środek bataljonu, przemyślny adjutant, porwał „sandżak" od chorążego, krzyknąwszy:

— Naprzód! niech żyją Turcy!

Jakby zbudzone, tureckie szeregi, stanęły, zawróciły w tył.

— Ałłach ill Ałłach! zagrzmiały i z pochylonym bagnetem wpadły na nieprzyjaciela.

Jednym tchem odbili swoje utracone działa i obóz, a następnie zdobyli armaty nieprzyjacielskie. Trzeba było dokonać zwycięztwa, uderzyć na *gros* kleftów, którzy zbiegli się zewsząd do jednego miejsca, aby zasłonić sobie swobodny odwrót. Zaczajeni za kamieniami zaczęli dziesiątkować Turków, którzy znowu stanęli.

Wystawiony na pierwszy ogień „sandżak" był postrzelany jak rzeszoto, a ten co go dźwigał mężnie, Żelisław, przypadł był na chwilę do ziemi. Krzyk rozdzierający powstał między Turkami, już gotowi byli tył podać; gdy opatrznościowy chorąży skoczył na nogi i powiewając sztandarem, krzyknął:

— Padiszach czok jasza!" (niech żyje sułtan).

Jak grzmot odpowiedziały na to tureckie szeregi, i pomimo przewagi liczebnéj nieprzyjaciela, zepchnęli go w tył rozpraszając na wszystkie strony. W tymże samym czasie nadciągnęły oskrzydlające oddziały i dokonały zwycięztwa niszcząc do szczętu pozostałych rozbitków. Gdy polowanie na zmykających w pojedynkę koziemi ścieżkami lub czepiających się po urwiskach ustało, Turcy

otoczyli Żelisława i wyrażali swe uwielbienie dla jego waleczności nieskończonemi okrzykami.

Zjawił się zresztą i Musa-pasza otoczony sztabs-oficerami, którzy zwyczajem tureckim poszli w ślady swego wodza pierzchając z nim razem, gdzie już nawet słych bitwy zaginął... Pasza nie darmo był rudy, lisim sprytem postanowił naprawić o sobie opinią w oczach wojska. Dziękował nader wymownie, a Żelisławowi przyrzekłszy order, mianował go zaraz kapitanem z nadzwyczajnemi pochwałami. Żołnierzom obiecawszy pieniężną nagrodę, kazał dać na swój rachunek pilafu i hałwy, zastępujących wódkę i piwo w trzeźwych szeregach ottomańskich.

— Prawdziwy pasza—rozumowali żołnierze cmokając—umie nagradzać zasługę a w bitwie się nie naraża. Och! ch!..

Bitwa ta zakończyła całą kampanią, oddziały tureckie jeszcze parę tygodni pochodziły po Olimpie, i pełne sławy wróciły na stałe leże. Pasza dostał gwiazdę za waleczność, „seraskierat“ potwierdził przytém wszystkie jego przedstawienia do awansu i dekoracyj. Wkrótce z nieodstępnym adjutantem pośpieszył z powrotem do Stambułu, by spocząć na dobrze zasłużonych laurach.

Turcy jakkolwiek naiwni, niebawem jednak przeniknęli tajemnicę zwycięztwa. Żelisław został bohaterem dnia, sułtan kazał go sobie przedstawić i awansował nie czekając przedstawienia na majora. Wszyscy winszowali walecznemu młodzieńcowi i zapewniali, że byle został muzułmaninem, za lat parę będzie paszą. Wudżud nasprowadzał rozmaitych mędrców świętobliwych, którzy raz po raz nachodzili młodziutkiego majora i przedstawiali mu, że islam jest to tylko młodszy chrześcijanizm, niczém w gruncie nie różny od starszego... Co więcéj, młodzi towarzysze hulatyk z pomiędzy Europejczyków, drwili ze skrupułów religijnych szczęśliwca, powiadając, aby chwytał szczęście, dopóki mu lezie samo w rękę. Było od czego zawrócić się głowie szlachcica sandomierskiego.

Gruchnęło wkrótce po mieście, że waleczny Żeli-bej przechodzi na islamizm...

(*dok. nast.*) *Sahi-Bej.*

O MATEMATYCE STAROŻYTNYCH EGIPCYAN.

V.

Po zadaniach „Seqem" w rękopiśmie następują zadania „Han" czyli ilości. Są to— krótko mówiąc — równania pierwszego stopnia z jedną niewiadomą, która oznacza się słowem „Han," właściwie „kupa." Aby się o istocie przykładów tych przekonać, dość jest przejrzéć pobieżnie kilka zadań; np. nr. 24: Kupa, jéj siódma część, jéj całość to czyni 19; lub nr. 28: $\frac{2}{3}$ dodać, $\frac{1}{3}$ odjąć, zostaje 10 i tak daléj.

Ale, jak słusznie zauważył Cantor, istota równań naszych mniéj na zadaniu jak na sposobie rozwiązania zależy. Otóż tu spotykamy się z ważną i nierozstrzygniętą jeszcze wśród badaczy wątpliwością; Eisenlohr mianowicie, a za nim większość widzi w sposobie postępowania Ahmesa metodę algebraiczną—Rodet zaś utrzymuje, że jest tu używaną tylko metoda arytmetyczna t. zw. fałszywego przypuszczenia (*fausse position, falscher Ansatz).*

Nie chcemy czytelnikom naszym tłómaczyć algebry. Przypomnimy tylko, że w algebraicznym rachunku w miejsce niewiadoméj ustawiamy znak lub literę jakąś, zwykle x. Na x-ie tym wykonywamy późniéj wszystkie działania, które przez zadanie są wskazane (ułożenie równania). Nakoniec przez inny szereg działań staramy się odnaleść wyrażenia na x, rozwiązać równanie.

Nie zbytecznem będzie natomiast opisać szerzéj trochę to, co się rozumie przez fałszywe przypuszczenia; a to już przez wzgląd na to, iż sposób ten rachunku, dawniéj bardzo rozpowszechniony, zupełnie dziś z użycia wyszedł. W metodzie téj wstawia się zamiast niewiadoméj jakąkolwiek *liczbę* i z nią się wszystkie działania wykonywa. Rezultat fałszywy jaki się tym sposobem otrzymuje, jest *często* w takim stosunku do rezultatu ścisłego, jak wartość przypusz-

czona w niewiadomą do istotnéj jéj wartości. Aby więc otrzymać tę ostatnią, potrzebujemy się tylko posługiwać regułą trzech. Prawda, że reguła trzech także jest równaniem, ale niemniéj pewném jest że przez długie lata, jak i dotąd w arytmetyce, uważa się ją za metodę czysto arytmetycznego charakteru. Zrozumieją teraz bez trudności czytelnicy, do czego miało służyć w razie użycia fałszywego przypuszczenia, twierdzenie Rodeta: miało ono dowodzić, iż sposób ten postępowania był ścisłym.

Nie chcemy przywodzić z Ahmesa przykładów równań. Wymagałyby one dłuższych komentarzy, a boimy się czyśmy i tak już cierpliwości czytelnika nie nadużyli. Chcielibyśmy zresztą w materyi téj, jako nie dla wszystkich może czytelników zupełnie zrozumiałéj, jak najwięcéj się ograniczyć. Dodamy więc tylko, iż tłómaczenia tak Eisenlohra i Cantora jak i Rodeta równie się dobrze do rachunków stosują, pomimo wielkiéj różnicy, jaką między niemi spostrzegamy.

Przy kim się w walce téj zwycięstwo zostanie, przesądzać niepodobna. Rodet ma za sobą analogią historyczną: wszyscy najsławniejsi nawet matematycy średnich wieków — żyd Aben-Esza, arab Al Qalçâdî i indus Bhâskara, choć znali algebrę, zadania jednak podobne do zadań Ahmesa rozwiązywali za pomocą fałszywego przypuszczenia. Cantor znowu może się oprzéć na pewnéj liczbie zadań, do których trudniéj już nieco stosuje się tłómaczenie Rodeta, a mianowicie tych, w których podług tego ostatniego przypuszczaną wartością niewiadoméj jest jedność.

Zupełna jednomyślność za to panuje co do innego ważnego punktu, dotyczącego zadań „Han"; wszyscy badacze zgadzają się na to, iż szczególne znaki, jakie w niektórych rachunkach spotykamy, są rzeczywistemi znakami matematycznemi. Nie podajemy rysunków, ale czytelnicy powezmą niejakie pojęcie o przedmiocie, gdy im powiemy, iż dodawanie (+) wyraża się parą nóg idącą w stronę pisma, gdy przy odejmowaniu (—) téż same nogi idą w stronę przeciwną. Daléj różnica jest oznaczoną przez 3 horyzontalne strzałki; a spostrzegamy nawet znak, który bardzo prawdopodobnie ma być znakiem równości.

Do rozdziału „Han" zalicza się jeszcze szereg zadań, których istota dokładnie wyjaśnioną dotąd nie jest. Z kilku najwyraźniejszych przykładów możnaby wnieść, że jest-to rodzaj reguły spółki.

Oto tekst zadania 63-go:

„Przepis do podziału 700 chlebów, $\frac{2}{3}$ dla jednego, $\frac{1}{2}$ dla drugiego, $\frac{1}{3}$ dla trzeciego, $\frac{1}{4}$ dla czwartego," co ma znaczyć, po-

dzielić chleby te tak, aby ilości miały się do siebie jak $\frac{2}{3}$ do $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{3}$ do $\frac{1}{4}$. Dla czytelników znających algebrę nie potrzebuję chyba dodawać, iż przykład ten nie jest właściwie równaniem; niemniéj jednak teraz jeszcze uczą rozwiązywania tego rodzaju równań sposobem rozumowania arytmetycznego. W podobny téż sposób prawdopodobnie rozwiązywał je Ahmes.

Większéj jeszcze może godne są uwagi trzy zadania, pomiędzy innémi umieszczone, a z których zdaje się wypływać, iż egipcyanie posiadali pewne pojęcie o postępach arytmetycznych i geometrycznych. Nie będziemy się nad tą materyą rozszerzać, jako więcéj trochę przygotowania wymagającą. Dodamy tylko, iż wzorów odnoszących się do postępów Ahmes niema; same już zresztą sporadyczne znajdowanie się ich w rękopiśmie wskazuje, iż odrębność ich nie bardzo mu jasną być musiała. Jedno z tych zadań zresztą dało powód Rodetowi do nader szczęśliwego odkrycia, zdającego się potwierdzać zarazem jego teoryą o długotrwałości sposobów matematycznych. W zadaniu tém (opatrzoném przez Eisenlohra nr. 479) znajdował się spis potęg liczby 7 i to do piątéj (16807). Wszystkie te potęgi były potém zsumowane, a przy każdéj z nich stało słowo jakieś, które Eisenlohr uważał za nazwę téj właśnie potęgi. Nazwy te nader były dziwne: obraz, kot, mysz, jęczmień, miara. Otóż Rodet w dziele „Liber abaci“ sławnego Leonarda z Pizy (pisarza włoskiego XIII wieku) znalazł zadanie następujące:

Septem vetulae vadunt Romam, quarum quaelibet habet burdones 7; et in quolibet burdone sunt saccali 7; et in quolibet sacculo panes 7; et quilibet panis habet cultellos 7; et quilibet cultellus habet vaginas 7. Quaeritur summa omnium praeditorum (1).

Podobieństwo zaiste uderzające: taż sama podstawa, toż samo przy końcu dodawanie. Ztąd wniosek że i w papyrusie mamy przed sobą rachunek podobnego przykładu, który Ahmes zwyczajem swym miejsce oszczędzając, zdala gdzieś na wolnym kawałku umieścił. I zaiste nie o wiele byłoby dziwniejszém zadanie to od średniowiecznego, dodającego worki do noży, a noże do bab. Eisenlohr i Cantor, którym Rodet odkrycie swe zakomunikował, zaaprobowali je najzupełniéj, wyrażając jednak przytém podziwienie nad trwaniem przez tyle wieków zadania tak bezsensownego.

---

(1) Siedem bab idzie do Rzymu, z których każda ma mułów 7; a na każdym mule jest worków 7; a w każdym worku chlebów 7; a w każdym chlebie siedzi nożyków 7; a każdy nożyk ma rowków 7. Jakaż jest suma wszystkich przedmiotów?

Nim opuścimy tę część zadań Ahmesa, musimy wspomnieć jeszcze o zjawisku literatury matematycznéj, któreśmy w nagłówku na ostatniem miejscu wymienili. Wskazuje ono mianowicie że nasze studya historyczne, nie tak są oddalone od celów i dążeń tegoczesnéj matematyki, jakby to się na pozór zdawać mogło. Oto p. Sylvester, znakomity redaktor. „American Journal of Mathematics,“ spowodowany właśnie badaniami historyków nad papyrusem Rhind, zajął się kwestyą rozkładania jakichkolwiek ułamków, na ułamki „proste“ (wyrażenie to nasze właśnie od niego zapożyczyliśmy—jak czytelnik sobie zapewne przypomina). Badanie jego nad postępami ztąd powstałemi, a które określa nazwą „sorites,“ do ciekawych nader doprowadziły rezultatów. Rezultaty te są za specyalne, abyśmy tu je przedstawiać mogli; nie chcieliśmy jednakże pominąć, bez wzmianki przynajmniéj, znakomitéj pracy amerykańskiego uczonego. Historya matematyki jest nauką samodzielną i jako taka ma prawo istnienia; jest ona sama sobie celem. Nie zaszkodzi jednakże bynajmniéj pokazać czasem, iż może dawać owoce bezpośrednio pożyteczne.

VI.

Z tego cośmy dotąd wyłuszczyli, mógł wnieść czytelnik, iż do sądzenia o stanie arytmetyki u egipcyan mamy z papyrusu Rhind dane dość obfite. Nie tak się rzecz ma z geometryą. Książka Ahmesa podręcznikiem geometrycznym nie jest. Jak to jednakże zdarza się i w teraźniejszych podręcznikach elementarnych—jest tam pewna liczba zadań o geometryą potrącających. Zestawiając pojedyńcze z nich wzmianki, możemy powziąść niejakie pojęcie o stopniu rozwoju, na jakim znajdowała się geometrya w Egipcie.

A stan ten, gdyby wierzyć temu co podają nam o nim grecy, kwitnącym być miał. Podług autorów greckich. Egipt był nawet kolebką geometryi. Był nawet w Egipcie, w którym coroczne wylewy Nilu znosiły ustawicznie miedze, osobny stan „Jeometrów,“ zwanych po grecku Herpedonaptami czyli wyciągaczami sznurów, i w wysokim będących poszanowaniu. Nazwa sama już uczy nas w jaki sposób oni zadanie swe spełniali; że zaś byli zręczni, dowodzi wzmianka Demokryta z Abdery: ten albowiem chwali się, iż z najlepszemi z nich iść mógł o lepszą.

Do wymiaru pól też stosuje się większa liczba zadań geometrycznych Ahmesa. Najłatwiejszą do wymierzenia ze wszystkich, jest, rozumie się powierzchnia prostokąta. Wiedzieli też niezawodnie Egipcyanie, że równa się ona iloczynowi dwóch boków; ale wnosi-

my to więcéj z ogólnego pojęcia o ich wiadomościach geometrycznych. Dowód wyraźny mamy tylko co do kwadratu w zadaniu 44.

Daleko jaśniéj przedstawia się kwestya co do trójkąta. Ahmes używa jedynie trójkąta równoramiennego, który rysuje z podstawą pionową. Powierzchnia tego trójkąta, podług niego, równa się połowie podstawy (Tepra), pomnożonéj przez bok (Merit). Nazwy techniczne wskazują. iż mierzenie to, bardzo często używaném być musiało.

Formułka ta zresztą, jak spostrzegli już zapewne znający geometryą, jest fałszywą. Nie napiszemy tu prawdziwéj, by czytelników, a szczególniéj téż czytelniczki nie przestraszać widokiem skomplikowanéj już trochę formułki matematycznéj; bieglejsi i bez tego albo ją pamiętają, albo téż ją bez trudności żadnéj odnajdą.

Do usprawiedliwienia błędu, jaki Ahmes w tym miejscu popełnia, mogą służyć dwie okoliczności. Po pierwsze, wszystko każe się domyślać, że Ahmes pierwiastka kwadratowego wyciągać nie umiał, nigdzie przynajmniéj niema o tém wzmianki najmniejszéj; podrugie, rezultat przy trójkątach ostrych—jakich podręcznik jedynie używa—bardzo mało od prawdziwego odbiega: w zadaniu np. 51 błąd na 20 jednostek wynosi tylko 4 dziesiętne, czyli 2 procent. Najlepiéj zaś dowodzi praktyczności sposobu egipskiego to, że dziś jeszcze w XIX wieku, jak utrzymuje przynajmniéj Cantor, wielu niższych urzędników kadastru, bojąc się tak jak Ahmes pierwiastku kwadratowego, podobnych téż do Ahmesowéj formułek używa.

Nie chcemy jednak utaić, że to cośmy tu o mierzeniu trójkąta mówili, niejakiéj jeszcze podlega wątpliwości. Revillont, który wogóle, jak późniéj obaczymy, radby Egipcyanom jak najwyższe znajomości matematyczne przypisać, utrzymuje, że tu nie o równoramienny, lecz o prostokątny trójkąt chodzi i że Cantor i Eisenlohr, którym tylko co wyłuszczone tłómaczenie zawdzięczamy, zostali przez fałszywy rysunek wbłąd wprowadzeni. W takim razie formułka Ahmesa byłaby już nie przybliżenie, lecz ściśle prawdziwą. Powstanie jéj téż łatwo wtedy tłómaczyłoby się przepołowieniem prostokąta.

Za pomocą formułki dla trójkątów łatwo już było obrachować powierzchnię trapezu, jako sumy dwóch trójkątów. W istocie rachunki takie widzimy w papyrusie naszym. Formułka dla nich służąca, i któréj pisać chyba nie mamy potrzeby, była więc znowu podług Eisenlohra i Cantora bardzo przybliżoną, podług zaś Revillonta zupełnie ścisłą.

Bardziéj interesującym jeszcze jest wymiar koła, jaki również w podręczniku znajdujemy. Zadanie to, t. zw. kwadratura koła,

tworzyło jak wiadomo po wsze czasy szkopuł dla matematyków, naprożno się nad rozwiązaniem jego trudzących. W nowszym czasie dopiero udało się—wprawdzie nie rozwiązać tę kwestyą—ale dowieść że jest nierozwiązalną. Kwadratura, jaką podaje Ahmes, dość jest przybliżoną; wynika z niéj wartość $\pi = \frac{256}{81}$ (1). Aby ocenić, jak należy, rezultat ten, trzeba tylko porównać go z wartością $\pi = 3$, jaką podają późniejsi może o przeszło lat 1000 od Ahmesa autorowie „Księgi Królów“ (2).

Odrębnym zupełnie od poprzednich charakterem odznacza się grupa pięciu zadań, których treść dotąd dokładnie zupełnie wyjaśnioną nie jest. Wiemy tylko, iż chodziło o sekcyą piramidy prostéj, i że jedna z linij powstałych przytém służyła za miarę jednemu z kątów. Jaka to była linia i jaki to był kąt—to ulega jeszcze kwestyi. Ale to, co wiemy, wystarcza nam do przekonania, że mamy tu przed sobą początki trygonometryi; gdyż w istocie tego porównywania kątów za pomocą linij prostych—inaczéj nazwać niepodobna. Dla znających trygonometryą dodamy, iż spór toczy się o to, czy ta linja egipska jest naszą dostawą (cosinus) czy téż styczną (tangens).

Niewyraźniéj jeszcze od tych przedstawiają się zadania, w których idzie o wyrachowanie objętości śpichrza. Ponieważ śpichrz jest bryłą, treść więc zadań tych jest niewątpliwie stereometryczną. Ale na tém téż ogranicza się wszystko, co w téj mierze z niejaką pewnością wiemy. Ani forma śpichrza, ani sposób rachunku w papyrusie widocznemi nie są.

VII.

Rozpatrując teraz ogół zadań geometrycznych, jakie podaje nam podręcznik Ahmesa, widzimy, iż mają one charakter przeważnie praktyczny. Mylném zaiste byłoby twierdzenie, iż egipcyanie nie mieli wcale geometryi teoretycznéj—owszem, musiała ona istniéć, choć o niéj nic z pewnością nie wiemy. Ale umiejętność ta—widzimy to wyraźnie, nigdy widocznie celów konkretnych z oka nie spuszczała. Do nich jednakże dążąc, dali egpicyanie i czystéj nauce popęd ogromny.

Nam np. mierzenie pól geometryczne (albo lepiéj geodezyjne) wydaje się zupełnie naturalném. Apriori jednak, możnaby przypu-

(1) Czyli 3,1604.... podczas kiedy rzeczywiście, jak wiadomo, jest $\pi = 3,14159$...

(2) I zrobił morze lane, 10 łokci szerokie z boku do boku, okrągłe naokolo, i 5 łokci wysokie, i sznur łokci 30 był miarą naokolo I, Królów, 6.31.

ścić inne jeszcze sposoby mierzenia; możnaby np. przypuścić, iż mierzono pola ilością zebranego z nich zboża—są nawet pewne dane, każące się domyślać, że mierzenie takie rzeczywiście kiedyś było w używaniu. Możnaby też przypuścić że nadawano wszystkim polom kształt jednakowy (kwadratu np.) aby módz je z sobą porównać; i na tym punkcie nie opuszcza nas analogia historyczna; wiemy owszem ze źródeł greckich, że w samym Egipcie Sezostris (Ra-messu II.), nowy rozdział ziemi uskuteczniając, tym się sposobem posługiwał. Ale w podręczniku naszym widzimy stopień rozwoju wyższy daleko. Tu porównywa się albowiem figury kształtu różnego, których powierzchnia jest wywiedzioną z danych liczebnych, jakie przedstawiają ich boki. Jestto, jak słusznie zauważył Cantor, rzeczywisty „czyn matematyczny," i jeżeli w saméj rzeczy-jak wszystko każe się tego domyślać—Egipcyanie pierwsi „czyn" ten spełnili, to już to samo daje im tytuł do odpowiedniego uznania ich pomysłowości. Uznanie to urośnie, gdy się przekonamy, jak wiele teraźniejsza nasza geodezya egipcyanom zawdzięcza. Egipcyanie prawdopodobnie, byli w matematyce nauczycielami greków, którzy znowu względem nas tę samę odegrali rolę. Ale z jednéj strony grecy rozwinęli najzupełniéj samodzielnie niektóre początki egipskie, a z drugiéj my także wiele przejęliśmy z innego źródla, od Hindusów mianowicie. Tak więc w Arytmetyce łączność nasza z Ahmesem jest bardzo słabą—niedostrzegalną—moglibyśmy prawie powiedzieć. Nie tak jednak dzieje się z częścią geodezyjną. *Geodezyą z 18-go wieku przed Chrystusem i naukę nowożytną łączy jedno tylko właściwie ogniwo—Heron z Aleksandryi.*

Imię Herona jest jednym z tych wielkich imion starożytnych, w których dla potomnych zdawała się skupiać cała część jakaś nauki. Przestały one być prawie imionami własnemi, a stały się jakoby rzeczownikami; mówiono uczyć się Arystotelesa, Ptolomeusza, Euklidesa, Herona zamiast uczyć się logiki, astronomii, geometryi, geodezyi. Sława całych pokoleń poprzedników skupiała się i ginęła w tych kilku imionach.

Otóż ów Heron, którego dzieła przez lat tysiąc przeszło miały być nie tylko najlepszą, ale jedynie używaną książką geodezyjną, pisał pod wyraźnym wpływem nauki egipskiéj; może nawet pod wpływem właśnie książki Ahmesa. Fakt ten, który stał się widocznym dopiero przez studya nad papyrusem Rhind, tak wielkiéj jest doniosłości, iż czytelnicy zapewne wybaczą nam małą w miejscu tém dygresyą.

Heron żył i tworzył, jak to wskazuje przydomek jego, w stolicy Egiptu, Aleksandryi. Wskazuje to nam możliwość wpływu egip-

skiego, ale też nic więcéj. Aleksandrya za Ptolemeuszów nie była wcale miastem egipskiém, ale owszem ogniskiem cywilizacyi greckiéj. Euklides naprzykład także pisał w Aleksandryi, trudno by jednakże znaleźć coś tak duchowi narodu egipskiego przeciwnego, jak dzieła właśnie tego uczonego. Dlaczegóż Heron pod tym względem miałby się odróżniać?

Aby to zrozumiéć, musimy zasięgnąć trochę do historyi geometryi i geodezyi u greków.

Naród grecki był niezawodnie pod względem matematycznym, jak i pod wieloma innemi, najzupełniéj wyjątkowo uzdolniony. Kto się chce o tém przekonać, temu radzimy przerzucić kilka kartek z dzieł Archimedesa (1); najdzie czytelnika przytém niewątpliwie coś podobnego do uczuć podróżnego, który przed jednym z obelisków egipskich pomyśli, że wykuto je bez narzędzi stalowych, a transportowano bez pary.

Ale zdolności matematyczne greków były jednostronne; mieli oni niepojętą dla nas łatwość pojmowania wielkości pod postacią geometryczną (2). Do liczb zato jako takich, a więcéj jeszcze do mierzenia czuli mniejszy daleko pociąg (3).

Ztąd geometryą opartą na rozważaniu figur, otrzymawszy początki jej od egipcyan, w duchu najzupełniéj samodzielnym do szczytu rozwoju doprowadzili. Wszystkie wieki następne, mało nader potrafiły dodać do Euklidesa. Forma nawet jego owa posągowa forma Euklidesa, jest ostatnim wyrazem doskonałości i ścisłości, ścisłości większéj, niż jéj dziś wymagamy.

Inaczéj jednak działo się z geometryą mierniczą, a szczególnie z praktyczną częścią jéj, z geodezyą. Ta została u greków na bajecznie nizkim stopniu rozwoju. Skorzystała ona bardzo mało z postępów t. zw. geometryi euklidesowéj. Prawdopodobnie nawet za czasów Herona jeszcze Harpedonaptowie egipscy, zupełnie pierwotnemi sposobami się posługując, w praktyce jednak geometrów greckich przewyższali. Istota dzieła Herona polegała właśnie na połą-

---

(1) Przytoczymy tu jako przykład jego kwadraturę paraboli znajdującą się między pierwszą a drugą księgą „o równowadze płaszczyzn;" jestto chyba najwyższe, czego można doścignąć elementarnemi środkami, jakiemi Archimedes jedynie rozporządzał.

(2) Ob. między innemi u Archimedesa dyskusyą równania trzeciego stopnia w 4. i 5. twierdzeniu 2. księgi dzieła „o kuli i cylindrze," jakoteż sumowanie liczb kwadratowych w księdze „o linjach spiralnych." Wykład i tu i tam ma postać zupełnie geometryczną.

(3) Pogląd nasz polega na ogólnym pojęciu o matematycznéj literaturze greckiéj; nie możemy więc tu cytować dowodów. Ciekawi czytelnicy znajdą ich poważną ilość w traktującéj o Grecyi części „Historyi" Cantor'a.

czeniu greckiéj teoryi z egipską praktyką; przyczém jednakże—i to jest bardzo ważném—praktyka musiała tworzyć podstawę; teoretyczne pomysły mogły tylko działać drugorzędnie, ulepszając sposoby.

Ztąd widzimy, iż forma dzieła Herona jest — jak się wyraża p. Cantor, sędzia w tym względzie najkopetentniejszy — „jak najbardziéj niegrecką.“ Zwróciło to już oddawna uwagę uczonych. Ale teraz dopiero, gdy posiadamy autentyczny dokument matematyczny egipski, możemy określić zkąd pochodzi owa „niegreckość“ Herona. Jest ona wyraźnie egipską. Ahmes i Heron w niektórych rzeczach tak są do siebie podobni, jak dwaj autorowie jednego narodu. Za wiele-by nam czasu i miejsca zajęło, gdybyśmy chcieli wszystkie podobieństwa wyłuszczać. Wspomnimy tylko o najważniejszych.

Ahmes, jak widzieliśmy, uczy tylko na przykładach, nie dając wcale przepisów; Heron, grek, zapominając filozoficznego ducha narodu swego, idzie za przykładem egipcyanina. Przy końcu rachunku Ahmes często dodaje: „zrób tak“ albo „tak ma być zrobioném“ i Heron wyrażenia te tłómaczy prawie dosłownie. Ahmes ma osobne wyrażenie dla boku figury, leżącego naprzeciw podstawy, nazywając go merit (szczyt); toż samo znaczenie ma słowo greckie, którego Heron w tymże znaczeniu używa. Cały porządek nawet, czy téż nieporządek dzieła Herona, bardzo nam Ahmesa przypomina. Robiło to dawniéj uczonym wiele trudności. Trudnoż-bo w saméj rzeczy było przedstawić sobie aby w jedném dziele były rzeczy tak mało mające z sobą związku jak zadania algebraiczne, formułki stereometryczne, instrumenta i sposoby geodezyjne: ztąd zwykle wnoszono, iż były to różne dzieła, przez przypisywaczy nieumiejętnie w całość złożone. Teraz rozwiązać tę kwestyą jest łatwo. Heron chciał po prostu, podobnie jak Ahmes, napisać podręcznik zawierający mniéj więcéj wszystko, czego się w praktyczném życiu potrzebuje.

Przechodząc od formy do treści, widzimy tak samo na każdym kroku silny wpływ egipski. Jednym z najważniejszych narzędzi Herona przy mierzeniu ziemi jest lina, w szczególny użyta sposób. O linie téj wprawdzie Ahmes nie wspomina, ale mamy ją zato zkąd inąd najwyraźniéj zaznaczoną jako narzędzie egipskie. Co zaś do podobieństwa treści z samym Ahmesem, to i takich u Herona wiele spotykamy, że wspomnimy już tylko o formułkach dla trójkątów i trapezów, które najwyraźniéj od Ahmesowych pochodzą.

Jedném słowem geodezya Herona jest w znacznéj części egipskiego pochodzenia. Czy Heron miał przed sobą książkę Ahmesa, czy téż późniejszą jakąś — z Ahmesa już może naśladowaną — nie

wiemy i nie dowiemy się chyba nigdy. W każdym razie — ponieważ dzieła Herona wpływ swój na naszą naukę wywierały bezpośrednio—z badań dotychczasowych wypływa, iż bardzo prawdopodobnie podręcznik Ahmesa w swéj części geometrycznéj jest w prostéj linii protoplastą nowożytnéj geodezyi.

VIII.

Podług podobieństwa, jakie ma dzieło Ahmesa z utworami Herona, możnaby przypuścić, iż był to także podręcznik dla geometrów. Aby wyjaśnić jednak kwestyę tę, poważne trudności przedstawiającą, musimy wrócić do papyrusu naszego.

Manuskrypt kończy się słowami: „Łap płazy, myszy, chwast świeży, pająki liczne. Proś Ra (1) o ciepło, wiatr, wodę wysoką.“ Mamy tu przed sobą wyraźnie błogosławieństwo wieśniaka. Lecz czyż rzeczywiście dla zwykłych wieśniaków mógł być podręcznik ten przeznaczonym?

Większość badaczy nie jest tego zdania. Metody Ahmesa zdają się skomplikowane, za trudne do wykonania, aby przypuszczać można było, iż pierwszy lepszy się niemi posługiwał. Zresztą Ahmes uczy tylko rachunku ułamkami, równań i progresyi; musimy więc przypuszczać, iż oprócz niego istniały inne jeszcze, elementarniejsze podręczniki tak arytmetyczne jak geometryczne. Ahmes zaś pisałby w takim razie już tylko dla wykształceńszych, dla Harpedonaptów może, zachowując przy końcu zwykłe błogosławieństwo jako dawną formę.

Ale przyjmując nawet to wszystko, zostają nam się znaczne anomalie. Mówiliśmy już wyżéj (2) o powtarzaniu się Ahmesa w zadaniach Seqem i o tłómaczeniu jakie podał w tym względzie p. Rodet. Tu jednakże dodać musimy, iż tekst wielu zadań tak jest ciemnym, iż niepodobna pomyśleć, aby dla egipskiego nawet umysłu bez komentarza zrozumiałemi być mogły. Dziwne są także pomyłki, zdarzające się nader często w przykładach. W takim razie rezultat prawdziwy osobno jest u boku notowanym.

Wszystkie te niełatwe zaiste do wytłómaczenia sprzeczności, podały znakomitemu redaktorowi „Revue Egyptologique“, p. E. Revillont, myśl wystawienia nowéj hypotezy co do istoty papyrusu Rhind. Podług niego manuskrypt ten jest nie podręcznikiem lecz

---

(1) Bóg egipski.

(2) Patrz wyżéj str. 151.

kajetem ucznia. W kontraktach egipskich upomina się często o „a—sbo“ czyli „domu rachunków.“ Otóż uczniem takiéj szkoły matematycznéj był ten, co pisał nasz kajet. Tłómaczyłoby to najzupełniéj, dlaczego mylne rachunki następują w manuskrypcie często po rachunku dobrym: ostatni jest modelem danym przez nauczyciela, pierwsze zaś nieudolnemi próbami ucznia. Z ręki nauczyciela pochodzą także w takim razie dobre rezultaty, przy boku fałszywych rachunków notowane. Niewyraźność zadań jest już zupełnie naturalną: wszakże są to tylko krótkie przypiski. Podobne do notowanych dziś jeszcze przez uczni. Co zaś do powtórzeń, to p. Revillont zauważył, iż idą one zwykle po fałszywych rachunkach: są to więc ćwiczenia które mistrz kontynuował tak długo, aż uczeń jego sposób działania zrozumiał.

Przyjęcie hypotezy téj nie zmieniłoby istotnie naszego pojęcia o sposobach rachunkowych Ahmesa; nawet łącznność między nim a Heronem pozostałaby nietkniętą, gdyż polega ona na podobieństwach, które w kajecie ucznia przebijać musiały. Ale bylibyśmy zmuszeni zato przyjąć, iż stan matematyki w Egipcie wyższym był daleko, niżeśmy go w pracy téj dotąd przypuszczali. Mielibyśmy bowiem w papyrusie Rhind już nie ostatni wyraz matematyki egipskiéj, ale przeciwnie—zaznaczone studyum w matematyczném przygotowaniu ucznia tylko. P. Revillont téż téj konsekwencyi teoryi swéj nie wymija wcale. Podług niego w rzeczy saméj nauczyciel o rachunkach tych wiedział więcéj daleko, niż to co uczniowi o nich mówił. Gdy np. w zadaniu 40-tym wprowadza fałszywe przypuszczenie, to doszedł do niego — podług p. Revillont – nie szczęśliwym trafem tylko ale rzeczywistym i systematycznym rachunkiem.

Hypoteza ta nie zdaje nam się jednak wcale bez zarzutu. Stoi jéj na zawadzie głównie tytuł Ahmesa (1). Rzeczywiście nikt chyba nie imituje kajetu uczniowskiego ze wszystkiemi jego błędami i niedorzecznościami. Jakimże więc sposobem papyrus nasz tego honoru dostąpił?

Jest-to trudność nielada. Nieuszła ona uwagi pana Revillont, owszem starał on się ją usunąć za pomocą specyalnéj hipotezy, tłómaczącéj pochodzenie manuskryptu. Czy mu się to udało? — nie nasza rzecz sądzić. Oto jest w każdym razie w krótkich słowach treść teoryi téj.

Manuskrypt Ahmesa jest — jak już powiedzieliśmy — kajetem ucznia. Ale kajet ten, napisany za Amenemhat'a III, dostał się przypadkiem pomiędzy kupę dokumentów i razem z niemi w spokoju

(1) Patrz wyżéj str. 140.

odpoczywał sobie przez kilkaset lat w kącie jakiejś świątyni (tam egipcyanie zwykle dokumenty chowali). Ztamtąd wyciągnął go pisarz Ahmes, który, nie znając matematyki, a widząc go w towarzystwie tak poważném, miał tę zdobycz swoją za rzecz wielkiéj wartości. Był zaś Ahmes ów człowiekiem chciwym bardzo i niemniéj zręcznym. Dlatego upatrzywszy sobie pewnego naiwnego kmiotka (matematykę mniéj jeszcze od niego rozumiejącego), potrafił wmówić w niego to swoje przekonanie o wartości manuskryptu; ten zaś wieśniak, zupełnie zachwycony, co prędzéj u tegoż Ahmesa kopią tego jakoby podręcznika obstalował, za którą rozumie się musiał grubo zapłacić. „Rzeczywiści jednak matematycy dawnego Egiptu nieźle by się z naiwnego nabywcy naśmieli. Pisarz Ahmes byłby został może nawet jako wyzyskiwacz ukaranym." Słowa ostatnie są mniéj więcéj dosłowne. Jakkolwiekbądź, czy hipoteza p. Revillont przyjętą będzie, czy téż upadnie, niemniéj pewném jest, że jéj autor przez uczynione w celu poparcia jéj badania znakomicie się nauce zasłużył. Tak co do tłómaczenia pojedynczych wyrażeń, jak téż szczególniéj co do wyjaśnienia części geometrycznéj, nadzwyczaj wiele jesteśmy mu winni.

Ale odsuńmy na chwilę wszelkie hypotezy bądź-co-bądź wątpliwe i obejrzmy się raz jeszcze na to, czego nas ze wszelką pewnością papyrus Rhind nauczył. Oto dowiódł on nam, że w dolinie Nilu, w tym kraju wszelkich tajemnic i cudów, istniała już w XVIII wieku przed Chrystusem matematyka w wysokim stopniu rozwoju, ujęta w systemat skończony i zdolna trudne zadania rozwiązywać. Jest-to świat zupełny także, ale świat obcy nam, jakby świat innéj planety: inaczéj góry na niebie się rysują, inaczéj kwiaty kwitną, inne słońce im przyświeca. Nie wiemy czy udało nam się na tych kilku kartkach czytelników w te cuda wtajemniczyć. Ale uważalibyśmy cel nasz za osiągnięty już, gdyby choć kilku zaciekawionych widokiem, nowym potrosze, dalekiéj téj krainy bliżéj ją poznać zechciało. Nie pożałowaliby zapewne studyów, u zdrojów samych poczynionych. Bo czyż może być coś bardziéj interesującego, jak śledzić, jakby przez szklanne okienko, rozwój myśli tak dalece od naszéj się różniącéj? Taką zaś możność daje nam papyrus Rhind.

Dr. Emil Meyerson.

KONGRES WIEDEŃSKI

I USTALENIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO.

(z Pamiętników Leona Dembowskiego).

(*Ciąg dalszy*).

Warszawa z początkiem 1815 r. ożywiała się pod względem towarzyskim tak, jak to od lat dwóch i pół miejsca nie miało. Tu usadowiła się główna kwatera wielkiéj armii, ze swym dowódcą Barclay de Tolly, otoczonym świetnym sztabem, tu także już stałe miejsce pobytu obrał W. książę Konstanty, naczelny wódz wojsk polskich, mających się organizować. Wojsko to wróciwszy w progi ojczyste organizować się rzeczywiście musiało, ale w każdym razie nie brakło mu oficerów różnych stopni, którzy Warszawę zapełnili. Osiedli tu stale jenerałowie: Dąbrowski, Zajączek, Wielhorski, Sierakowski, ks. Sułkowski, hr. Pac i hr. Wincenty Krasiński. Popowracali także i wyżsi urzędnicy, a niektórzy nawet swe stanowiska objęli. Stanisław Potocki, były Prezes Rady ministrów, objął naprzód komendę korpusu kadetów, a nieco późniéj przewodnictwo w Izbie Edukacyjnéj. Nakwaski objął prefekturę warszawską.

Te resztki dawniejszych instytucyj, zbliżone do przyszłości, która niewiadomo jeszcze, jaką być miała, wytworzyły dziwną mięszaninę. W towarzystwach płeć piękna wyłącznie z Polek się składała, a męzka prawie w równéj ilości z Polaków i Rosyan. Ostatni, nie wiem czy wszyscy rzeczywiście bogaci, szumne prowadzili życie i garściami złoto sypali. Biesiady nieustanne wyprawiano najczęściéj u francuzkiego restauratora Chovot'a, lub za jego pośrednictwem w rozmaitych willach Warszawę otaczających. W hucznem tém i wystawném życiu, złożoném z uczt i balów, celował zawsze dom feldmarszałka Barclay'a.

W. książę Konstanty udzielał się bardzo mało i prowadził życie zamknięte w pałacu Brühlowskim, pędząc je ze swą ulubienicą pa-

nią Weiss. Głównie zajmował się rozmaitemi szczegółami organizacyi wojska i pragnął niezmiernie w umundurowaniu przeprowadzić kolory zielony z pąsowym, w czém jednego tylko zwolennika, jenerała Sierakowskiego znajdował. Kiedy po długich w téj mierze certacyach spotkał wszędzie nieprzełamany opór, poczynił więc komitetowi koncesye. Przyzwolił mianowicie na kolor granatowy mundurów, ale oparł się stanowczo karmazynowym wyłogom i zaproponował żołte, twierdząc, że ponieważ regiment Działyńskich, tyle zasłużony w insurekcyi Kościuszkowskiéj, miał właśnie wyłogi żółte, należy więc zachować pamiątkę tego walecznego pułku, oddać hołd winny jego zasługom i wyłogi żółte za narodowe w wojsku przyznać. Musiał równie komitet, zawdzięczając pozostawienie granatowego koloru mundurów, odstąpić od kroju dawniejszych kurtek, od fraków francuzkich z szerokiemi żabotami, od bermyc i kaszkietów, a nawet zezwolić na kapłonie pióra. Dziś zaiste dziwném się wydaje, że równie komitet, jak i wódz naczelny tyle przywiązywali wagi do podobnych drobnostek, zapominając o odwieczném przysłowiu: *ce n'est pas l'habit qui fait l'homme.*

Generał gubernator i rada jego trwały zawsze w swéj biernéj apatyi, a Wawrzecki, niby minister wojny, utracił *de facto* ten obowiązek, skoro jawił się wódz naczelny, skoro zajął się wraz z komitetem organizacyą wojska i ustanowił odrębne administracyi wojennéj gałęzie, poddając je pod zwierzchność komitetu.

Stan kraju wogóle polepszać się zaczął; skasowano, w skutek ukazu w Troyes niektóre podatki, a wojsko rosyjskie z Francyi i Niemiec wracające, w księstwie rozłożone, za gotowe pieniądze napełniało magazyny zakupywało potrzeby żywności, furażu i szpitalne, płacąc za wszystko złotem, głównie dziesięciotalarowemi sztukami, bitemi pod stęplem Brunświckim i Hanowerskim.

Kongres tymczasem, wśród uciech i balów, rozpoczętych na nowo, nie widział celu, do jakiego dojdzie. Notą z dnia 31 grudnia cesarz Aleksander zamierzył uspokoić wszczęte niesnaski, a dozwalając w zasadzie na podział księstwa, czynił tém samem rzeczą możliwą zostawienie Saksonii przy królu Saskim. Ponieważ nota ta obalała zasadę przywrócenia upadłych narodowości, zdawało się więc, że zbliżenie się będzie łatwiejszém. Ale nowe spory rozpoczęły się z powodu, kto i jaki udział będzie miał w podziale księstwa. Prusy i Austrya pragnęły wziąść jak najwięcéj, a Rosya starała się dać im jak najmniéj. Targowano się upornie o Kraków i Toruń, a Austrya wręcz oświadczyła, że równie ważnego strategicznego punktu w posiadaniu Rosyi zostawić nie może, gdyż będąc w tém miejscu panem Wisły, Rosya saméj stolicy Austryackiéj za-

grażać będzie. Prusy znowu toż samo o Toruniu twierdziły, a Anglia i Francya sprzeciwiały się stale powiększeniu Rosyi. Znowu wszystko zaczęło się wikłać, znowu wojna zdawała się nieuchronną, a obrady postępowały bardzo powoli. Najważniejsze wypadki zaszłe w pierwszych dwu miesiącach rozpoczętego roku były następujące.

Król Wirtemberski, niby pod pozorem zajęcia się konstytucyą, którą przyrzekł narodowi swemu nadać, z Wiednia wyjechał i już tu więcéj nie wrócił zostawiając na miejscu swém syna, następcę tronu, który o względy owdowiałéj W. księżnéj Katarzyny Oldenburskiéj zabiegał.

W wilią Nowego roku, w czasie balu dawanego przez hr. Zichy, zapalił się pałac hr. Razumowskiego, posła rosyjskiego w Wiedniu a pęknięcie rury, rozprowadzającéj ciepło, miało być pożaru powodem. Pałac ten, postawiony w początku bieżącego wieku, budził podziwienie Wiedeńczyków i należał do najpiękniejszych ozdób miasta. Hr. Razumowski nagromadził tu pyszne zbiory obrazów, rzeźb i rozmaitych osobliwości, a znaczna ich część spłonęła lub tak od ognia ucierpiała, że już naprawienie ich stało się niepodobieństwem. Cesarz Franciszek, kierując osobiście strażą ogniową przy gaszeniu pożaru, zaziębił się, wskutek czego na zdrowiu podupadł i nie mógł przez dość znaczny czas gości swych podejmować. Straty w pożarze poniesione, szacowano na sześć milionów złotych polskich.

W początkach stycznia zgodzono się na niektóre wynagrodzania państwom za ich ustępstwa przyznane. Szwecya traktatami z Anglią i Rosyą zawartemi miała zapewnione posiadanie Norwegii, co miało być kompensatą za Finlandyą. Co do przestrzeni, niezawodnie kraj ten aż nadto utratę Finlandyi wynagradzał, ale co do ludności i bogactwa kraju bynajmniéj stracie nie dorównywał, tém bardziéj, że kongres żądał jeszcze od Szwecyi odstąpienia Pomeranii na rzecz króla pruskiego. Król szwedzki, nim przeciw Francyi zwrócił się ze swemi siłami po bitwie lipskiéj, wojował już z Danią, do żądania pokoju zmusił i odstąpienie Norwegii na niéj wyjednał. Że jednak Norwegia nie życzyła sobie wcale zmiany pana, przeto musiał ją orężem zdobywać. Postąpienie to jego kongres potwierdził, ale natomiast znalazł się w obowiązku wynaleźć kompensatę dla Danii. Przeznaczono do tego księstwo Lauenburskie, poprzednio do książąt Hanowerskich należące. Wynagrodzenie to było niedostateczne, gdyż pomienione księstwo obejmowało tylko dwadzieścia dwie mil kwadratowych przestrzeni i liczyło czterdzieści tysięcy ludności, król pruski więc zobowiązał się dopłacić Danii cztery

miliony talarów i w ten sposób trudność tę załatwiano. Szwecya otrzymała Norwegią, Prusy Pomeranią, a Dania Lauenburg.

W tym także czasie wielki książę Badeński doniósł ks. Metternichowi o zamiarze nadania konstytucyi swoim poddanym. Był on jednym z pierwszych, którzy utworzyli opozycyą względem ustanowionego komitetu do spraw niemieckich. W podanéj do kongresu nocie oświadczył on, iż nie pojmuje jakim sposobem można tak opacznie tłómaczyć zawarty z nim traktat we Frankfurcie, gdzie przyjął on obowiązek należenia do związku niemieckiego. Wybranych pięciu książąt niemieckich nie mają prawa w tym względzie nic stanowić bez udziału jego i innych panujących książąt niemieckich.

W dalszym ciągu obrad swych kongres wiedeński coraz widoczniéj od swojego pierwotnego celu się oddalał i w styczniu już postanowił takie zasady:

1 Niepodobieństwem jest bez zgwałcenia zawartych i obowiązujących traktatów, przywracać stan rzeczy i podział krajów, stosownie do położenia Europy z 1791 r. Dotyczy to zaś głównie umów zawartych: ze Szwecyą 3 marca w Orebro i w Abo w czerwcu 1812 r., gdzie przyrzeczono Szwecyi Norwegią i wyspę Gwadelupę; względem Prus traktatów w Kaliszu w lutym i w lipcu w Reichenbach 1813 r.; względem Austryi umów zawartych w Trachtenberg, Peterswarden i Töplitz.

2. Kongres użyje sposobu, który nazwano mięszany (mixte), a który zawisł na tém, że niektóre państwa będą pozbawione samoistności, inne zostaną do bytu przywrócone, jedne zwiększone, drugie uszczuplone, a to w zakresie zgodnym z istniejącymi traktatami, a szczególniéj z paryskim, który pierwszy położył tamę systematowi zdobywczemu Francyi.

W rozwinięciu tych zasad, kiedy sprawy duńskie i szwedzkie ułatwione zostały, na usilne żądanie Anglii, postanowiono oddać tron holenderski domowi Oranii i posiadłości królewstwa tego zwiększyć przez dołączenie doń Belgii i księstwa Luksemburskiego. Na żądanie znowu Austryi zwrócono domowi Sabaudzkiemu Piemont, dołączając do niego Genuę i część Sabaudyi.

Większym daleko trudnościom uległy kwestye, odnoszące się do księstwa Warszawskiego i królestwa saskiego. Wskutek noty rosyjskiéj z dnia 13 grudnia, Austrya, Anglia i Francya zawarły umowę sekretną, odporną w dniu 3 stycznia w następującém brzmieniu:

„Cesarz Austryi, król Francyi i król Wielkiéj Brytanii i Irlandyi przekonani, że mocarstwa, mające dopełnić wprowadzenie w czyn

traktatu Paryskiego, powinny znajdować się w stanie zupełnéj niepodległości i bezpieczeństwa, ażeby mogły wypełnić ważne swe obowiązki z godnością i wiernie, uważają za konieczne, z powodu świeżo okazanych pretensyj, obmyśléć sposoby odparcia wszelkiéj zaczepki, mogącéj wyniknąć z zawiści, z jaką ich propozycye zostały przyjęte. Propozycye zaś te mają zamiar zgodnie popierać, w tém przekonaniu, że fundują się one na sprawiedliwości, słuszności i wypływają z przyjętych przez tychże monarchów zobowiązań.

„Mając więc zamiar wypełnić ściśle znaczenie warunków traktatu paryskiego, stosując się do ich prawdziwego brzmienia, zawierają umowę uroczystą i przymierze odporne na następujących zasadach:

Art. I. Mocarstwa umawiające się, zobowiązują się działać wspólnie, aby po wykonaniu traktatu paryskiego mające nastąpić urządzenia, zastosowane były do prawdziwego ducha tego traktatu, a jeżeliby przez zawiść przeciwników posiadłości którejkolwiek ze stron umawiających się zostały zaatakowane, mocarstwa układające się prowadzić będą wspólną sprawę, uważać się jak wszystkie trzy razem zaczepione i dla odparcia napaści, siłami poniżéj wyszczególnionemi wspierać się będą.

Art. 2. Jeśli z powodów wyżéj wymienionych skutki przewidywane nastąpią i jeśli jedna ze stron umawiających się zagrożoną zostanie przez jedno, lub więcéj mocarstw, inne zobowiązują się przez przyjazne wstawianie się zapobiegać zaczepce.

Art. 3. Jeśliby podobne ich usiłowania zostały udaremnionemi, strony umawiające się, przyrzekają przybyć w pomoc państwu zagrożonemu, każde z siłą 150,000 wojska.

Art. 4. Posiłki te składać się będą ze 120,000 piechoty i 30,000 jazdy, z odpowiednią artyleryą i zapasami.

Art. 5. Po wojnie skończonéj pokój zawarty zostanie na podstawie tekstu traktatu Paryskiego.

Po podpisaniu takiéj umowy lord Castelreagh d. 12 stycznia przedstawił kongresowi notę okólną, która po dość długim wstępie, tak się wyrażała. „W ciągu dyskusyi kongresowych miałem sposobność opierać się silnie imieniem dworu mego przywróceniu królestwa Polskiego, połączonego z Rosyą i stanowiącego część jéj integralną. Życzenie, które dwór mój wyrażał, miało na celu widziéć w Polsce państwo niepodległe, o większéj, lub o mniejszéj rozległości, rządzone przez dynastyą oddzielną i pośredniczące między trzema wielkiemi monarchami. Jeżeli podający tę notę nie otrzymał od swego dworu polecenia wypowiedzenia wyraźnie życzeń angielskich, to

wstrzymano się od tego jedynie na podstawie myśli, żeby Polakom nie czynić zbyt wielkich nadziei, które niespełnione w całości stałyby się powodem ciągłego nieukontentowania. Lecz, kiedy cesarz Rosyjski postanowił niezmiennie, z części księstwa Warszawskiego jaka mu przypadnie i z części lub całości prowincyj polskich, jakie już posiada, utworzyć królestwo; kiedy monarchowie Prus i Austryi, których to najbliżéj obchodzi, nie sprzeciwiają się podobnemu układowi: nie pozostaje więc Anglii nic więcéj jak oświadczyć, że obstając przy pierwiastkowém swojem zdaniu, pragnie, aby z podobnego układu nie wynikły skutki groźne pokojowi północy i równowadze europejskiéj?

W dalszym ciągu przekłada Castelreagh, że Polakom, zostającym pod berłem trzech mocarstw, należy zapewnić administracyą narodową, traktować ich jako Polaków i kończy życzeniem, aby dla Europy nie wynikło niebezpieczeństwo z połączenia Polski z Rosyą, osobliwie jeśli w dalszym biegu czasu te dwa ze sobą połączone państwa przejdą pod kierunek monarchy ambitnego i wojowniczego.

Na notę tę pod dniem 19 stycznia odpowiedzieli pełnomocnicy rosyjscy. Pomijając myśl utworzenia niepodległéj Polski, wyrażają oni zadowolenie z wniosku rządu W. Brytanii i zapewniają że zamiary ich cesarza dążą do zapewnienia dla Polaków, poddanych trzech mocarstw administracyi, którąby odpowiadała własnym ich życzeniom. Wogóle cała nota, ułożona w zręcznym stylu dyplomatycznym, nic stanowczego w sobie nie zawiera.

Również pełnomocnicy króla pruskiego w nocie z 30 stycznia zapewnili, że staraniem ich monarchy będzie zapewnić poddanym Polakom takie korzyści, któreby zgadzały się z ich życzeniami, a zarazem nie uwłaczały stosunkom innych części monarchii, gdyż jedność wewnętrzna jest najważniejszym każdego państwa obowiązkiem. W nocie téj także zamilczano zupełnie wzmianki o niepodległéj Polsce i ograniczono się na niejasném zapewnieniu praw narodowościowych.

Rząd austryacki dopiero 21 lutego odpowiedział na notę angielską: że cesarz zawsze starał się zapewniać szczęście Galicyan, że jego rządy podniosły dobrobyt téj części Polski, więc i dziś, kiedy negocyacye nie dozwoliły mu stworzyć Polski niepodległéj, nie potrzebuje dawać zapewnień, jaki będzie stosunek jego do poddanych mu Polaków. W końcu oświadcza, że zgadza się zupełnie z widokami lorda Castelreagh.

Ten treściwy rys zaszłych negocyacyj nie wyjaśnia nam bynajmniéj, dla jakich powodów trzy mocarstwa zawarły wzmiankowane

wyżéj przymierze. Tak tajném, żeby o niém nie wiedziały inne dwory, ono nie było; a nawet w artykule sekretnym, do przymierza dołączonym, postanowiono, że królowie: bawarski, hanowerski i niderlandzki wezwani zostaną do przystąpienia do tegoż związku odpornego, co rzeczywiście uczynili, a nawet na wezwanie Austryi, król Piemontu także traktat podpisał. Kiedy cesarzowi Aleksandrowi doniesiono o istnieniu tego przymierza, nie chciał wiadomości dać wiary i dopiero Napoleon, po powrocie z wyspy Elby, przesłał mu oryginał aktu, w zamiarze rozdwojenia koalicyi. Lecz i wtedy cesarz Aleksander podarł go i spalił.

Gerwinus twierdzi, że postawa, jaką okazał hr. Hardenberg oświadczając w ostatnich dniach grudnia, że choćby miało przyjść do wojny, Prusy nie odstąpią od posiadania Saksonii, była powodem przymierza. Jeśli by jednak na przypuszczenie to się zgodzić, jak wytłómaczyć, że Anglia Francya i Austrya, które za przywróceniem niepodległéj Polski się upierały, po zawarciu traktatu, mając już grunt zapewniony, zamiast iść energicznie w tym samym kierunku, pozwoliły i same zaproponowały nowy podział kraju? Mojem zdaniem wszystko świadczy jedynie, że z obudwóch stron użyto jednéj i téj saméj broni, dla wytargowania wyłącznie własnych widoków. Straszono się wzajemnie wznowieniem Polski i dla tego ona jak mgła, z taką łatwością się ulotniła. O przyszłe widać urządzenie tych stosunków nie chodziło bardzo nikomu.

Do téj epoki także należy odnieść korespondencyą lorda Grey, podówczas członka ministeryum angielskiego, z księciem Adamem Czartoryskim. Lord Grey, kiedy się nazywał tylko lordem Gower, posłował w Petersburgu w czasie, kiedy książę Adam zastępczo kierował sprawami zagranicznemi cesarstwa. Ustaliła się wtedy między nimi przyjaźń; a późniéj, kiedy w odległe, a różne strony się przenieśli, utrzymywali między sobą stosunek listowny. Kiedy Anglia na kongresie wniosła myśl utworzenia niepodległéj Polski, z dynastyą Piastów naczele, lord Grey za przedmiot swych listów do księcia Adama obrał tę kwestyą. Co książę Czartoryski odpowiadał, niewiadomo mi, jak również i to, czy o propozycyach tych cesarzowi Aleksandrowi wzmiankę jaką uczynił. Jestem jednak pewny, że ta korespondencya i to w wymienionym czasie istniała, kiedy bowiem po sejmie 1820 r., książę Adam, wróciwszy z podróży do Francyi, wezwał mnie abym przybył do Puław i poinformował go o czynnościach sejmu i o stanie kraju, wówczas ostrzegłem go, że były jego sekretarz p. Feliks Biernacki, mianowany za protekcyą Nowosilcowa referendarzem czy vice-referendarzem przy Radzie Stanu, wedle wieści ludzi dobrze zawiadomionych, a księciu nieprzychylnych, wy-

dać miał p. Nowosilcowowi korespondencyą lorda Greya, dotyczącą niepodległości Polski i obsadzenia jej tronu w czasie kongresu. Książę mocno się zadziwił, ale zarazem oświadczył, że to jest niepodobieństwem, gdyż listy zachowują się w oddzielnym safianowym czerwonym portfelu, który zwykł wozić z sobą i z kluczykiem od którego, misternie zrobionym, nigdy się nie rozstaje. Zapytałem księcia czy dawno portfelu nie otwierał i dodałem, że wartoby się przekonać czy rzeczywiście żadne papiery z niego nie są uronione. W kilka dni książę sam pierwszy mnie zaczepił i rzekł: „Masz racyą, korespondencya moja z lordem Grey zniknęła, ale jestem pewny, że Biernacki w takie brudy się nie wdawał. Zanadto znam i jego, i jego do mnie przywiązanie i nawet najmniejszego cienia podejrzeń w tym względzie nie mam.“

Po roku 1831 znaleziono w ogrodzie Celejowskim wyjęte z tegoż samego portfelu oryginalne listy cesarzowéj, małżonki cesarza Aleksandra, do księcia Adama pisane. Znalazca oddał je puławskiemu ogrodnikowi p. Wernitz i ten je księciu odesłał do Paryża.

Kiedy w styczniu i lutym podział księstwa Warszawskiego zdecydowano i tylko o jego granice się kłócono, na wniosek Austryi i Francyi postanowiono także uwolnić z więzienia króla Saskiego.

We wzmiankowanéj wyżéj nocie rosyjskiéj z 31 grudnia, oprócz artykułów dotyczących księstwa Warszawskiego, których brzmienie przytoczyłem, znajdowały się i inne, a z tych art. 10 opiewał, żeby Saksonia oddana była królowi pruskiemu, 11 zaś, aby królowi Saskiemu, wynagrodzenie wydzielić z księstwa Luksemburskiego i Elektorstwa Trewirskiego państwo z 700,000 ludności.

Tymczasem, ponieważ sesye parlamentu w Londynie miały się rozpocząć z końcem lutego i lord Castelreagh jako pierwszy minister obowiązany był tam się znajdować, na jego więc miejsce naznaczono do Wiednia ks. Welingtona, który rzeczywiście przybył tu 1 lutego. Lord Castelreagh gorąco sobie życzył, aby jeszcze za jego bytności, ogólne przynajmniéj zasady kongresu ustanowione zostały, chciał bowiem w tym względzie stanowczych parlamentowi swemu udzielić objaśnień. Ponieważ sam w nocie z 12 stycznia na podział księstwa zezwalał, pozostała więc tylko sprawa Saska. O jéj załatwienie, popierany przez Francyą i Austryą ciągle naglił i dopiął tego, że już 11 lutego członkowie komitetu polsko-saskiego zgodzili się na pozostawienie przy królu Fryderyku Auguście dwóch trzecich części Saksonii, jedną trzecią wcielając do Prus. Pozostały więc do dalszych swarów posiadanie Lipska, Krakowa i Torunia.

Załatwiwszy to, lord Castelreagh opuścił Wiedeń 14 lutego, a król saski, trzymany dotąd w niewoli zamku Frauenfels, otrzymał pozwolenie przeniesienia się do Berna, dokąd przybył 22 lutego,

Zabaw w przeciągu tych dwóch miesięcy także w Wiedniu nie brakło, owszem następowały one jedna po drugiéj. Tak 23 stycznia bal u ks. Metternicha, 24 u hr. Stackelberga, 28 u dworu. W lutym 5 u ks. Esterhazy, 6 u ks. Metternicha, 7 u dworu. Bale wszystkie wystawne i świetne, a były między nimi i maskowe. Oprócz tego szlichtady w dniach 4 i 22 stycznia najwięcéj podobały się miastu, gdyż były umiejętnie zorganizowane. Składały się z trzydziestu czterech sanek, pochód otwierał oddział jazdy, służba dworska, muzyka i wielki koniuszy. W sankach pojedyńczych, okrytych drogocennemi futrami siedziało po dwie osoby: mężczyzna i kobieta, a tak między innemi cesarzowa rosyjska miała za towarzysza cesarza Austryackiego, księżna Auerszperg, cesarza Aleksandra, W. księżna Weimarska, króla duńskiego, hrabina Zichy, króla pruskiego, hrabina, z Lubomirskich Mniszech, ks. Leopolda Sycylijskiego, hrabina z Rzewuskich Wallenstein, księcia sasko-koburskiego itd. Miejscem, do którego szlichtada dążyła, było zawsze Schönbrunn. Oprócz tego kilkakrotnie na salach dworskich dawano obrazy z żywych osób, gdzie piękność i przepyszne a bogate kostiumy miały obszerne pole popisu,—koncerty i obiady proszone.

Lecz, kiedy tak w Wiedniu biesiadowano, tańczono i radzono na przemiany, we Francyi tymczasem sprawy publiczne groźną przybierały postać. Ludwik XVIII z charakteru łagodny, ale zarazem dumny i przywykły od dzieciństwa do pochlebstw, oddany z zamiłowaniem filologii i zatrudniony wiecznie komentarzami nad Horacym, mało zwracał uwagi na wypadki krajowe. Choć posiadał wygórowaną miłość własną, łatwo dawał sobą rządzić bądź tym, którzy mu schlebiali, bądź tym, co na pamięć Horacego i Wirgiliusza umieli. Nadzwyczajna jego otyłość czyniła go niezdolnym do wszelkiego ruchu i zwykle ubrany w spódnicę, ciągle w krześle poręczowém siedział, a kiedy z niego miał zamiar powstać, dwóch silnych służących podtrzymywało go za barki.

W żywym i ruchliwym umyśle Francuzów wystawić się na śmieszność równa się prawie wyrokowi zguby, a król nieszczęściem i z ułożenia swego i z usposobień i z gustów obfitego materyału do drwin dostarczał. Nadto zaraz po wstąpieniu jego na tron, zbiegła się do Paryża chmara emigrantów, pragnących urzędów i majątku. Wszyscy oni, opuściwszy przed laty dwudziestu Francyą. nie zmienili wcale przekonań, jakie ożywiały szlachtę francuzką z 1790 r. Wszystkich weteranów, bliznami okrytych, których wa-

leczność Europa podziwiała, uważali, za buntowników, mieszczuchów godnych pogardy; sami bez żadnéj praktyki we względzie służenia ojczyznie, wiekiem już pochyleni, nie poprzestali na otrzymaniu wysokich dostojeństw, ale jeszcze żarliwie dopominali się o zwrot sprzedanych ich majątków.

Cały dwór z monarchą na czele, w perukach i lokach, wypudrowany, z żabotami i szpadami horyzontalnie zawieszanemi, pogardliwie na wszystkich patrząc i o wszystkich z lekceważeniem mówiąc, stawał się coraz więcéj śmiesznym dla narodu, a niebaczna szlachta, kierująca królem, coraz więcéj przygotowywała upadek tronu. Niezadowolenie zaczęło się naprzód objawiać między wojskiem, a usuwanie dotychczasowych dowódzców, których zastępowano emigrantami, zmiana orderu legii honorowéj i skasowanie słynnych orłów, które, jako sztandary tyle sławy zyskały, tudzież zamknięcie szkoły dla sierot żołnierskich coraz bardziéj raziły uczucia francuskie.

Nie skończyło się na tém. Lud przestraszył się wymaganiem duchowieństwa o wprowadzenie na powrót dziesięcin i dążnością szlachty do zwrotu sprzedanych majątków. Rozeszły się nawet wieści, jakoby miano przywrócić prawo feodalne, a wszystko zapowiadało upadek konstytucyi, którą bezczelnie gwałcono pod okiem króla. Trwoga wszystkich przejęła, a stronnictwo Napoleona umiało z tego korzystać. Mieszkała podówczas w Paryżu była królowa Holenderska, żona Ludwika Bonapartego, któréj Ludwik XVIII nadał tytuł hrabiny Saint-Leu i któréj pensyą wypłacać kazał. W jéj salonach, podobnie jak u pani Hamelin i księcia Bassano, zbierali się Napoleoniści i wszelkie objawy niezadowolenia narodowego z rządów Burbona wzajemnie sobie komunikowali.

Peryodyczne pisma takie jak *le Censeur* w Paryżu i *le Nain jaune* w Brukseli dowcipnie wydrwiwały emigrantów i ich przestarzałe pojęcia i naród rozchwytywał je chciwie chociaż o istnieniu ich dwór prawie nie wiedział. Owszem ministrowie i pierwszy faworyt króla pan *de Blacas* zapewniali ustawicznie, że cała Francya przejęta jest wdzięcznością dla swego króla za nadaną przezeń konstytucyą i że stale ze swego dobroczyńcę go uważa.

Rozpowiadano już po cichu wówczas, że Fouché, Talleyrand i ks. Metternich, przewidując upadek Burbonów, a nie dopuszczając możliwości powrotu na tron Napoleona, zaczęli się znosić celem obmyślenia, jakąby dynastyą we Francyi obsadzić. Że Fouché w bezpośrednich stosunkach z ks. Metternichem zostawał, zdaje się to nie ulegać żadnéj wątpliwości, potwierdzają to bowiem podania księcia Rovigo i Chateaubriand'a.

Ludwik XVIII dumą swą obraził także monarchów sprzymierzonych, a osobliwie cesarza Aleksandra, kiedy bowiem tenże wyjechał na spotkanie nowego króla, Ludwik XVIII zachował się względem niego tak, jak niegdyś Ludwik XIV wobec księcia Holsztyńskiego. Jeszcze przykrzejsze na cesarza Aleksandra wrażenie musiał wywrzeć list, jaki Ludwik XVIII napisał do ks. Regenta angielskiego, w którym wypowiada, że jemu jedynie zawdzięcza przywrócenie dynastyi Burbonów na tron francuzki. Aleksander miał niewątpliwe prawo do równéj przynajmniéj wdzięczności, gdyby nie on bowiem, Francuzi nie przystali by na berło z łaski bożéj, a nie z wyboru i tylko uprzejmość Aleksandra drogę do tronu Ludwikowi XVIII utorowała. Cesarz Aleksander rzeczywiście z dziwnym talentem umiał sobie ująć Francuzów, a do darów jakie natura tak hojnie zlała za niego dołączył on jeszcze takt osobliwy, który go zrobił bożyszczem mieszkańców Paryża. Z tysiącznych anegdot jakie lud tameczny z jego pobytu we Francyi wytworzył, przytaczamy jednę. Cesarz Aleksander, zwiedzając raz szpital kobiet obłąkanych, zapytał przełożonéj, czy dużo bywa obłąkanych z miłości? Do téj pory, brzmiała odpowiedź, liczyliśmy bardzo mało wypadków podobnych, po twojém jednak przybyciu Najjaśniejszy panie do Paryża, lękamy się, że liczba obłąkanych z miłości znacznie się powiększy.

Wobec tego wszystkiego trudno się dziwić, że cesarzowi Aleksandrowi przykro być musiało kiedy Ludwik XVIII nie poczuwał się do żadnéj względem niego wdzięczności i tron Francyi i Nawary uważał jedynie jako pochodzący z łaski bożéj i spełnienia obowiązku przez Anglią. Ten zaród niechęci powiększyło jeszcze postępowanie ks. Talleyranda na kongresie wiedeńskim i cesarz Aleksander otwarcie się wyraził, iż żałuje, że tron francuski oddał Burbonom. Talleyrand i Fouché nie życzyli sobie powrotu Napoleona, ale pragnęli panowania jego małoletniego syna w téj nadziei, że w regencyi zasiadać będą. Projekt ten między sobą ułożony, za pośrednictwem Dahlberga, przedstawili ks. Metternichowi, a książę Talleyrand bawiący w Wiedniu, mocno go swymi wpływami popierał.

Jeszcze w lipcu 1814 r. jenerał Carnot napisał swe słynne przełożenie do króla, które dziś czytane, dziwi dla czego takie zajęcie wywołało. Przełożenia tego nie wręczono królowi, gdyż autor na wstępie usprawiedliwia konwencyą, że skazała na śmierć Ludwika XVI, a w dalszym ciągu dziełka uważa, że jedynie ścisłe wypełnienie karty konstytucyjnéj może zapewnić narodowi spokojność. Carnot wprawdzie później twierdził, że drukować swéj książki nie

pozwolił, to jednak pewna, że choć policya egzemplarze jego zabierała, w przeciągu dwóch miesięcy wytłoczono dziesięc jego edycyj i sprzedano sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Była to oliwa, wylana na tlejące zarzewie, i szególnie wojsko, wściekające się z poniżenia jakiemu je poddawano, lud truchlejący na wzmiankę o feudalném poddaństwie, przyjęły z zapałem tę apologią rewolucyi i jéj czynów.

Ks. Talleyrand widząc ówczesny stan Francyi i lękając się jakiejś niespodziewanéj burzy, aczkolwiek nie przewidywał zkąd grom spaść może, zaczął przebąkiwać na kongresie wiedeńskim, że bliskie sąsiedztwo Napoleona na wyspie Elbie podburza i niepokoi Francuzów, i że należy dla bezpieczeństwa przenieść go na wyspy Azorskie lub na wyspę św. Heleny, choćby nawet siły do tego użyć trzeba było. Ten wniosek przyśpieszył w znacznéj części wypadki, bo z jednéj strony wzburzony stan umysłów we Francyi zaczął z niezadowolenia przechodzić w czyny; z drugiéj Napoleon, jakkolwiek strzeżony na swéj wyspie przez okręty angielskie i francuzkie, nie był wszakże bez wieści z kraju. W Paryżu tłumy ludu zaczęły zbierać się licznie, a pogrzeb aktorki panny Rancourt, sprawa jenerała Excellmans i zbrojne wystąpienia braci Lallemand, tudzież jenerała Drouot, dawały do tego wyborne powody. Napoleon znowu skoro dowiedział się z Wiednia o zamiarze przewiezienia go w odleglejsze strefy, a przez księcia Bassano poinformowany został, że Francya pragnie jego powrotu, zaczął myśléć o środkach, za pomocą których mógłby się dostać do Francyi. Pośrednikiem wybornym między światem a Napoleonem był także Murat, król Neapolitański. Niepewny swego losu, obrażony na kongres, że jego pełnomocników nie przyjął, uwiadomiony, że Burboni francuzcy i hiszpańscy domagają się zwrotu królowi sycylijskiemu królestwa neapolitańskiego, zająwszy stany Papieski i Włochy po rzekę Po, w Napoleonie tylko widział odpowiedniego sprzymierzeńca. Obok Murata, królowa Hortensya, mieszkająca w Paryżu, król Józef bawiący w Szwajcaryi i wice-król włoski, przesiadujący w Wiedniu,— byli w możności uwiadamiać Napoleona o najdrobniejszych nawet wypadkach.

Napoleon utrzymywał, że jako panujący, choć na posiadłości bardzo szczupłéj, ma prawo wydawać wojnę w razie niedotrzymania przyrzeczonych mu warunków. Rotteck, którego jako Niemca i liberalistę nie można posądzić o trzymanie strony Napoleona, w swojéj historyi powszechnéj przyznaje, że Francya niedotrzymała układu zawartego z Napoleonem w Fonteinebleau, bo skarb francuski wstrzymał mu wypłaty, do których się był zobowiązał, a kon-

gres wziął nawet pod rozwagę odjęcie mu posiadania wyspy Elby. Wskutek tych przyczyn Napoleon w środku lutego zrobił propozycyą bankierom Genui i Livorno pożyczenia mu sumy 12 milionów franków, a skoro obietnicę od nich pozyskał, nikomu się nie zwierzając, zaczął się sposobić na wyprawę w celu nowego podboju świata i zrzucenia z tronu francuskiego nienawistnéj mu dynastyi.

W dziwnéj historyi tego znakomitego człowieka, ów epizod wylądowania jego jest może najwięcéj uderzający. On, który przed dziesięciu miesiącami zaledwo zdołał ujść przed gniewem i zapalczywością mieszkańców południowéj Francyi, teraz nietylko oporu nigdzie nie znajdzie, ale owszem, wszędzie z zapałem witany będzie.

Skoro dnia 25 lutego przywieziono mu pożyczone pieniądze, rozkazał zaraz przygotować bryg *l'Inconstant* i sześć małych okręcików do kilkodniowéj podróży i nazajutrz, o pierwszéj w południe, wydał rozkazy swojemu wojsku wsiadania na okręty. Dnia tego siostra jego, księżna Belgioso dawała bal, był więc na nim, o ósméj wieczorem go opuściwszy, udał się wprost na okręt i kazał odbijać, nie powiedziawszy dokąd sterować należy. Na okrętach myślano, że ma zamiar udać się do Neapolu lub do którego z miast włoskich, zajmowanych przez króla Murata, on zaś tymczasem na pełném morzu kazał się zwrócić w stronę Francyi.

Niezgodne są zdania co do tego, jakie siły miał z sobą i kiedy jedni podają je na 1200, drudzy na 1100, a niektórzy na 800, a nawet 600 ludzi, to pewna, że zostawił także załogę na wyspie, a między wojskiem swém miał stu polaków, ułanów gwardyi, z pułkownikiem Jerzmanowskim. Trzy dni niespełna płynęła ta flotylla, a na brygu zbrojnym dwudziestu sześcią działami; znajdowali się jenerałowie: Bertrand, Drouot, Cambronne i czterystu grenadyerów, na sześciu zaś okręcikach pozostałych: ułani polscy, dwustu korsykańskich strzelców i dwieście piechoty, co wszystko razem wynosiłoby ludzi dziewięćset. W podróży widziano zdaleka kilka okrętów, a nawet dość zbliska wojenną korwetę *Zephire*, któréj kapitan Andrieux myśląc, że statki te, jako posyłka z wyspy Elby płyną, z galanteryą Francuzom właściwą, zapytywał przez tubę o zdrowie cesarza. Napoleon odpowiedział mu własnemi usty, że cesarz ma się bardzo dobrze. Przy samém wylądowaniu, które nastąpiło 1 marca o piątéj po południu, zagroził flotylli inny okręt, lecz już załoga znajdowała się na lądzie. Miejsce pierwszego spoczynku obrano niedaleko od wybrzeża pod miasteczkiem Cannes, gdzie na wzgórzu w lasku oliwnym ustawiono dla cesarza namiot. Ku wieczorowi przybyło kilku włościan z okolicy, a jeden z nich, dawny żołnierz, zaciągnął się zaraz do szeregów. Wysłano téż dwudziestu pięciu

grenadyerów, pod wodzą kapitana do utwierdzonego miasteczka Antibes, polecając mu znieść się z kosystującą tam załogą i uwiadomić ją o powrocie cesarza. Rozkaz ten wykonano bardzo nieroztropnie, gdyż wkroczono przy okrzykach do miasta: „niech żyje Napoleon!“ Dowódca załogi w twierdzy nie wiedząc nic o wylądowaniu, myśląc że to jest bunt grenadyerów, rozbroił przybyłych, kazał ich wtrącić do więzienia, a oficera, który późniéj jako parlamentarz przybył, do twierdzy nie wpuścił i mówić z nim nie chciał. Nie zważając na to o jedenastéj w nocy ruszył Napoleon w dalszy pochód, a przednią straż jego trzymali Polacy, idąc pieszo i niosąc na plecach siodła i munsztuki, gdyż konie swe pozostawili na wyspie Elbie. Piątego marca przybyto do Gap i tu wydrukowano proklamacyą do ludu i wojska, którą Napoleon sam ułożył w czasie swéj żeglugi. Władze administracyjne i wojskowe nie mając żadnych rozkazów, opuszczały miejsca, do których cesarz przybywał, a ludność nie zważając na szczupłość sił, prosiła aby jéj dozwolono łączyć się z wojskiem, Napoleon jednak żądaniom tym stanowczo odmawiał.

Za miasteczkiem Cisteron jenerał Cambronne spotkał uszykowany batalion piechoty, wysłany z Grenobli z rozkazem niedozwolenia Napoleonowi dalszego pochodu. Pozycyą tu w pośród wysokich gór zamyka forteczka na skale, miejsce, gdzie niegdyś więziono naszego Jana Kazimierza.

Jeszcze w styczniu, kiedy ks. Talleyrand zawarł wspomniane wyżéj odporne przymierze, w liście swym, wysłanym do Ludwika XVIII-go, żądał aby potajemnie zgromadzono korpus trzydziestotysięczny w okolicach Lugdunu, — późniéj zaś powtórnie doradzał, żeby ten korpus powiększyć na pięćdziesiąt tysięcy i ściągnąć go do Grenobli. W tych więc punktach dosyć znaczne siły wojska były zgromadzone.

Cambronne zbliżył się do stojącego w szeregu batalionu i nakłaniał żołnierzy aby się złączyli z cesarzem, lecz kiedy spostrzegł że wszelkie jego usiłowania są bezowocne, uwiadomił o tém Napoleona. Cesarz stanąwszy na czele całego swego oddziału i kazawszy broń spuścić do nogi, sam posunął się naprzód i tak się odezwał: „Przyjaciele! czyż nie poznajecie waszego cesarza? Jeśli którykolwiek z was pragnie pozbawić mnie życia—niech strzela—stoję przed nim.“ Wtenczas cały ten oddział, który się składał z batalionu 5-go pułku liniowego i dwóch kompanii saperów, jak jedną piersią wykrzyknął: *vive l'empereur!* i złączył się z cesarską gwardyą. Pod Grenoblą spotkano pułkownika Labedoyère z 7-ym pułkiem liniowym, który opuściwszy swoje stanowisko, śpieszył z Napoleonem się łączyć.

Nad wieczorem 7 marca, zbliżano się do Grenobli. Znajdujący się tu jenerał Marchand, mając wojsko złożone z sześciu tysięcy piechoty, trzech pułków saperów i czterech bateryj artyleryi, ustawił tę siłę na wałach i bramy pozamykać kazał. Żołnierze jego atoli zaledwie dojrzeli tłum, wydający radośne okrzyki, bramy wyłamali, i wśród oznak największego uniesienia, cesarza do twierdzy wprowadzili. Jenerał i prefekt uciekli, a Napoleon znalazłszy się już na czele 10,000 wojska, załogę w Grenobli zostawił a z resztą wojska pomaszerował ku Lugdunowi.

Dotąd szczególniejszą tę kampanią odbywał bez wystrzału, rozdając tylko proklamacye i zabierając głos, gdzie tego zachodziła potrzeba, szedł zaś przeważnie pieszo i rzadko konia dosiadał. Od Grenobli począwszy, siadał już do powozu i większéj używał wygody, a rzec można, że dokonał wypędzenia Burbonów tylko swoją przytomnością.

Ludwik XVIII pierwszę wiadomość o wylądowaniu Napoleona otrzymał w nocy z piątego na szósty marca. Tak on, jak ministrowie jego i wszyscy rojaliści, nie obawiali się wcale skutków szalonéj wyprawy w dziewięćset ludzi i zdumiewali się jedynie szaleństwem zamiaru. Podług ich przekonania kilku awanturników nie mogło wziąść kraju, liczącego trzydzieści milionów ludności i mającego dwieście tysięcy gotowego wojska. Otucha zaś ta tém była w nich silniejszą, iż przyszła wiadomość, że miasto Antibes pozostało wiernem i zamknęło swe bramy i że wskutek tego zuchwały najezdzca w góry uciec był zmuszony. W każdym razie mimo téj wiary w siebie przypuszczano możliwość wojny domowéj.

Zaraz więc 7 marca król wydał dwa dekrety, z których jednym zwoływał Izby a drugim wyjmował Napoleona z pod opieki prawa, cenę dwa miliony franków za głowę jego naznaczając. Równie jak on z pod prawa wyjęci byli wszyscy, którzy z nim z wyspy Elby przybyli lub z wojskiem jego się połączyli.

Księżna Angoulême bawiła podówczas w Bordeaux, a jéj małżonek w okolicach Marsylii, posłano więc do Lugdunu dla objęcia dowództwa nad wojskiem hr. d'Artois z marszałkiem Macdonaldem. Załoga miasta była do tego stopnia liczna, że mogła mierzyć się z Napoleonem, ale na tym jednym środku obrony nie poprzestano. Marszałkowi Ney polecono zebrać wojsko rozłożone w Alzacyi, Lotaryngii, Burgundyi i Szampanii i z utworzoną z nich armią śpieszyć na pomoc hr. d'Artois, osłaniając zarazem Paryż. Księciu zaś d'Angoulême polecono, aby z gwardyą narodową, dziesiątym pułkiem liniowym i siłami, jakie zdoła zebrać naprędce, odciął odwrót Napoleonowi.

Monitor z dnia następnego to jest z 8 marca, doniósł publiczności, że Napoleon wylądowawszy z 1,100 żołnierzami, porzucony przez większą część swego wojska, z resztą pozostałych błąka się w górach, nie mogąc dostać żywności, której mu wystraszona ludność dostarczyć się wzbrania. Zapewniono dalej, że otoczony zewsząd wojskami, schwytany być musi.

Hr. d'Artois przy pomocy ks. Orleanu zaczął przygotowywać wszystko, czego wymagała obrona i właśnie 10 marca, kiedy Napoleon witany z uniesieniem przez ludność i wojsko wkraczał do Lugdunu, w Paryżu z balkonu pałacu Tuleryjów adiutant królewski donosił ludowi, że pod Bourgoing hr. d'Artois otrzymał zupełne zwycięstwo nad zuchwałym najezdnikiem. Rzeczywiście tego dnia zrana hr. d'Artois odbywając przegląd wojska, przeznaczonego na obronę Lugdunu, przejeżdżał koło pułku dragonów, a nie słysząc z niczyich ust zwykłego okrzyku: „niech żyje król!“ — wstrzymał konia i zapytał jednego żołnierza:

— Cóż to przyjacielu, czyż nie usłyszę że wołasz: niech żyje król?

— Nie, miłościwy panie—odpowiedział żołnierz—nie będziemy się bić z naszym ojcem.

Kiedy zaś rozkazał zabarykadować most zwany Guillotière, pospólstwo nie dozwoliło wykonać téj pracy. Przekonany więc o niepodobieństwie opierania się z wojskiem i ludnością, które go słuchać nie chciały, wymknął się potajemnie z Lugdunu, wraz z książętami Orleanu i Tarentu (Macdonald). Ten ostatni nawet, napadnięty przez dwóch huzarów o mało życia nie stracił.

Napoleon wieczorem wjechał do miasta, a wiadomość o tém doszła do Paryża 12 marca. Żałowano wielce tego ważnego punktu, a bardziéj jeszcze od tego lękano się ciągłego wzrastania sił napoleońskich. Popłoch między szeregi rojalistów wkradać się począł, a ochotnicy królewscy pod różnemi pozorami do domów lub nawet za granicę pouciekali. Król nie stracił jeszcze nadziei, liczył bowiem, że marszałek Ney zdoła Paryż osłonić. Ministrem wojny na miejsce marszałka Soult'a zamianował księcia Feltre, wydał rozkazy zbierania do Paryża wszystkich sił w okolicy rozłożonych i na dowódcę ich ks. Berry wyznaczył.

Napoleon zatrzymał się w Lugdunie trzy dni i pod dniem 13-go marca ogłosił dziewięć następujących postanowień: pierwszém rozwiązał izby Parów i deputowanych, drugiém wydalał z Francyi emigrantów, którzy wrócili tu po 1 stycznia 1814 r., trzecie znosił tytuły szlacheckie i wszelkie prawa feodalne, czwartém kasował stop-

nie wojskowe po 1 stycznia 1814 r. emigrantom nadane, piątém uznawał za nieważne zmiany w sądownictwie poczynione, szóstem nakładał sekwestr na majątki Burbonów, siódmem zwracał własność dóbr tych, od których je emigrancyi poodbierali, ósmem rozpuszczał pułki szwajcarskie i straż przyboczną królewską, i dziewiątem kasował ordery: Św. Ducha, św. Ludwika, św. Michała i oznakę orderową lilji.

Wieczorem 13-go opuścił Lugdun i nocował w Macon. Tu witany był przez municypalność i zapytał deputacyi: „Czyście zdziwili się, powziąwszy wiadomość o mojém wylądowaniu?“ Na to jeden radca miejski śmiało odpowiedział: „Kiedym się dowiedział najjaśniejszy panie o twoim wylądowaniu, mówiłem do wszystkich: ten człowiek chyba oszalał.“—Napoleon rozśmiał się i rzekł: „Wiem żeście tutaj potrwożyli się bardzo ostatnią kampanią, ale czemużeście się nie bronili?“ — Dung, członek municypalności, odpowiedział na to: „Nie nasza to wina, bośmy mieli wtenczas złego prezydenta.“ Napoleon westchnął i rzekł: „Być może, wszyscyśmy wtenczas popełnili liczne błędy.“

Rano 14-go stanął już w Chalons i tu tak do zgromadzonych przemówił: „Nie zapomniałem wcale, że w ostatniéj wojnie sami, bez pomocy wojska, broniliście przejścia Saony przez dni czterdzieści. Gdyby wszyscy Francuzi wyrównali waszemu męstwu, ani jeden z najezdców nie wyszedłby z Francyi.“ W Chalons zabawiwszy przez 15 i 16-ty nocował następnie w Avalons, gdzie odebrał doniesienie, że marszałek Ney w proklamacyi wydanéj 13 marca oświadczył się za Napoleonem, opuszczając stanowczo sprawę Burbonów. 17-go stanął w Auxerre i zastał tam prefekta, który go powitał. Był-to pierwszy urzędnik tego stopnia, który nie opuścił swojego urzędowania. Rozmawiając tutaj z władzami, Napoleon powiedział: „Oskarżano mnie, żem był zanadto dumny, a jednak mój kanclerz nigdy nie klękał przedemną i prefekci do stołu mi nie usługiwali.“ Rzeczywiście podobne wypadki miały miejsce pod Ludwikiem XVIII.

O ósméj wieczorem przybył do miasta marszałek Ney. Napoleon przyjął go dopiero nazajutrz, uściskał serdecznie, nie dozwalając mu tłómaczyć się z postąpienia w czasie abdykacyi w Fonteinebleau, powiedział tylko: „nie potrzebuję tłómaczeń ani usprawiedliwiań, bo zawszem ciebie szanował jako najwaleczniejszego między walecznymi.“

Od Lugdunu jechał cesarz powozem, który otaczali: jenerał Drouot, pułkownicy Jerzmanowski i Dachant, kapitan Raoul i czterech Polaków z ułanów gwardyi. Z tyłu jechał sekretarz jego Cha-

bullan. Eskorta to zaprawdę niezbyt wystarczająca dla tego, na którego głowę dwa miliony franków nałożono. Niemasz jednak zapewne drugiego równie jasnego dowodu na wykazanie, co może siła opinii publicznéj. Burboni wsparci przez rojalistów i przez powagę dwóch izb, mają skarb i wojsko w swém ręku a napróżno się siłą, żeby odeprzéć jednego człowieka. Nikt ich nie słucha, rozkazy ich pozostają bez skutku i wszyscy garną się do cesarza, który bez strzału miasto po mieście zabiera. Opór był niepodobny i 20-go marca doszła Napoleona w drodze wiadomość, że Ludwik XVIII wraz z rodziną opuścił Paryż w nocy z d. 19 na 20-ty, a owa armia którą miał dowodzić ks. Berry — nie zebrała się, bo pułki które stały pojedynczo przyłączyły się do Napoleona.

Rzeczywiście przedtém, to jest 17 marca jenerał Maison wydał polecenie, aby cały korpus, którym miał dowodzić ks. Berry, zgromadził się na wskazanym punkcie. Nikt jednak rozkazu nie posłuchał, a hr. d'Artois, który właśnie powrócił z Lugdunu, postanowił jeszcze uczynić przegląd gwardyi narodowéj i chwycić się jéj jak ostatniéj deski zbawienia. Ustawiono więc szeregi gwardyi przez ulicę św. Honoryusza aż do Bastylii i hr. d'Artois przejeżdżając wzdłuż nich zapytał pułkownika Gilbert czy na gwardyą rachować można? Ten z żołnierską otwartością oświadczył, że jest-to niepodobieństwem. Nie pozostawało więc nic innego, jak zwołać radę ministrów i powziąść postanowienie co czynić wypada. Były rozmaite zdania i szczególniéj król upierał się żeby pozostać w Paryżu. „Ciekawym co mi zrobi, powtarzał, i czy będzie miał czoło spojrzéć na mnie ten człowiek, który chce zasiąść na moim tronie." Jeden z członków rady, p. Laine, żądał nawet żeby król na tronie, w pośród izb połączonych, oczekiwał na przybycie uzurpatora, a wtedy zbrodniarz ten, dodawał, struchleje widząc monarchę otoczonego przywiązaniem reprezentantów całego narodu." Lecz inni doradcy, trzeźwiéj na rzeczy się zapatrujący, nie radzili się narażać na taki hazard wobec człowieka, który już raz w osobie księcia d'Enghien, krwi Burbonów skosztował i może równie zbrodniczo sięgnąć po świętą osobę króla. Woleli raczéj aby schronić się do Lille i tam się bronić. Inni za bezpieczniejsze uważali wynieść się za granicę i w końcu rada nic stanowczo nie zdecydowawszy, o szóstéj wieczorem się rozeszła. Król wróciwszy do siebie, długo bardzo rozmyślał i wreszcie napisawszy list pożegnalny do Paryżan, w nocy do Lille wyjechał.

Ponieważ już 20 marca zrana władz w stolicy żadnych nie było, przeto napoleoniści z własnego popędu poobejmowali naczelnictwa wydziałów. Napoleon o drugiéj po południu wyjechał z Fon-

tainebleau, a o dziewiątéj wieczorem stanął w Tuillerijach, z nieopisanym zapałem witany przez Paryżan. Nazajutrz zaraz mianował: ministrem sprawiedliwości ks. Cambacérès, wojny—marszałka Davoust, spraw zagranicznych—ks. Vicenzy, finansów—ks. Gaëty, policyi—Fouché, spraw wewnętrznych—Carnot'a, sekretarzem stanu—ks. Bassano.

Księżna d'Angoulême postanowiła bronić się w Bordeaux, a zebrawszy oprócz załogi parę batalionów ochotników, miała także liczną gwardyą narodową. Napoleon polecił jenerałowi Clauzel zajęcie tego ważnego miasta. Przybył on pod mury Bordeaux, mając ze sobą 25 żandarmów i 150 ochotników. Załoga postanowiła się z początku bronić, gdyż dano kilka strzałów armatnich. Jenerał Clauzel atoli zamiast atakowania rozwinąć kazał trójkolorową chorągiew, a skoro ją z miasta spostrzeżono, drugą takąż samą zatknięto na wałach cytadeli. Księżna d'Angoulême, powziąwszy o tém wiadomość opuściła Bordeaux, udając się do Anglii, a choć niektórzy zwerbowani przez nią ochotnicy zaczęli się bić z gwardyą narodową i choć w potrzebie téj poległ kapitan Troplong z łatwością przytłumiono ten rozruch i miasto otworzyło swe bramy.

Książę d'Augonlême wiadomość o wylądowaniu Napoleona otrzymał w Tuluzie i nie tracąc ani chwili czasu, zaczął przebiegać miasta Langwedoku i Prowancyi i w ten sposób zgromadził około 6,000 ochotników. Drugie tyle stanowił dziewiąty pułk liniowy piechoty i szwadrony strzelców konnych. Uformował z téj siły dwie dywizye, z których jedną sam dowodził mając pod rozkazami jenerałów Monier, Damas i Escars; drugą oddał pod dowództwo jenerała Ernouf, z jenerałami brygady Gardanne i Lowerdo. Książę 2 kwietnia nad brzegami Dromy, pod Loriol spotkał mały oddział huzarów i z łatwością go rozproszywszy, udał się do Romans. Druga dywizya tymczasem zajęła Gap i Cisteron i rozdzieliła się znowu na dwie połowy. W Gap żołnierze otrzymali proklamacye Napoleona i zaraz trójkolorową chorągiew wywiesili, tak że jenerał Lowerdo pozostawszy tylko z małą garstką ochotników, zaatakował z nimi wąwozy Saluces, ale odparty, cofnął się do Cisteron. Książę d'Angoulême dowiedziawszy się o téj porażce i o nastąpionéj w Nîsmes insurekcyi, cofnął się naprzód do Valence, a późniéj ku Marsylii. Naturalnie w rejteradzie téj szeregi jego zaczęły rzednieć, bo ochotnicy wracali pojedynczo do domów a żołnierze przechodzili na stronę wojsk cesarskich. 8 kwietnia zewsząd został otoczony, a miał przy sobie wszystkiego 800 ludzi, żądał więc kapitulacyi. Jenerał Gilli zawarł ją pod warunkiem, że wojsko natychmiast rozpuszczoném zostanie, a książę siędzie na przygotowany dla

niego okręt. Kapitulacyi tej wszakże nie zatwierdził naczelnie dowodzący jenerał Grouchy i doniósł cesarzowi, że bez rozlewu krwi zmusi ks. Angoulême do dobrowolnego oddania się w niewolę. Napoleon, mimo że Burboni z pod prawa go wyjęli i cenę na jego głowę nałożyli, kapitulacyą zatwierdził a nawet księżnom Orleanu i Burbon, które we Francyi pozostały, pensye ze skarbu płacić kazał.

Ludwik XVIII tymczasem przybywszy do Lille, dowiedział się od konsystującego tutaj marszałka Mortier, że garnizon mu nie sprzyja i że roztropniéj uczyni, jeżeli twierdzę tę opuści. Udał się więc król do Gandawy, położonéj już w królestwie Niderlandzkiém i tu końca wojny oczekiwał. Ochotnicy i straż królewska rozpuszczoną została przez ks. Berry jeszcze w Bethune, przy królu więc znajdowali się tylko hr. d'Artois, ks. Berry, ks. Feltre, marszałkowie—Marmont i Victor, hrabiowie—Blacas, Jancourt, Chateaubriand, Guizot i inni. Dyplomacya także opuściła Paryż i schroniła się również do Gandawy. Król Niderlandzki przyjął Ludwika XVIII bardzo ozięble, a i dziwić się temu trudno, boć cały czas pobytu emigrantów francuskich tutaj był tylko jedném pasmem intryg. Jest on bardzo ciekawy, lecz że nie ma żadnego związku z naszym krajem, przeto podawać jego szczegółów nie będę. Do 10 kwietnia w całéj Francyi uznana została władza Napoleona.

Po opowiedzeniu tych wypadków w najogólniejszych zarysach, powróćmy teraz do Wiednia.

Tu w nocy dnia 5 Marca dawano jeden z tych licznych festynów, gdzie wystawiano bóstwa zgromadzone w Olimpie, kiedy jak piorun na bawiące się grono spadła wieść o wypłynięciu z Elby Napoleońskiéj flotylli. Cały festyn stracił odrazu swój urok, a panujący z ponuremi twarzami w małe kółko się zebrawszy, gubili się we wnioskach, co to wypłynięcie oznaczać miało? Na rozjaśnienie długo czekać nie było potrzeba, gdyż już 8 marca przyszła dokładna wiadomość od króla Sardyńskiego, że Napoleon w Cannes wylądował.

Król saski 4 marca przybył do Luksemburga, a ztąd zaraz udał się do Presburga, gdzie już do końca kongresu pozostawał. Książęta Metternich, Welington i Talleyrand udali się do niego 9 marca aby go skłonić do przyjęcia decyzyi kongresu, tak względem Saksonii jak i względem księstwa Warszawskiego. Lecz od 8-go marca trzeba wyznać, że obrady kongresu zupełnie inny obrót wzięły. W miarę szczęśliwych postępów Napoleona, każdy czuł, że postanowienia i dotychczasowa praca, o tyle będzie miała trwałość i wagę, o ile los przyszłéj wojny przeważy się na stronę sprzymierzonych. Bardziéj więc dziś niż kiedy należało działać skupionemi

siłami aby tego, który już tyle krwi kosztował, pokonać na nowo. Upadły więc odrazu, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiéj, wszystkie waśni, Talleyrand, Anglia i Austrya odstąpili od stypulacyj przymierza sekretnego, cesarz rosyjski poświęcał Toruń, król pruski Lipsk, książęta Niemieccy swoje pretensye, a najzręczniejszy ze wszystkich książę Benewentu, kręcił się już przekładając potrzebę utworzenia nowego związku.

Napoleon zaraz w dniu, w którym przybył do Lugdunu, wysłał gońca do brata swego Józefa, bawiącego w Szwajcaryi, z poleceniem, aby tenże przez posłów szwajcarskich, zostających przy dworach Austryi i Rosyi, zawiadomił też dwory, że on zatwierdza pokój paryski i wszystkie jego warunki przyjmuje. Przybywszy zaś do Paryża, skoro dowiedział się cesarz że poseł austryacki Vincent i rosyjski Budjakin, z powodu braku koni, dotąd stolicy Francyi nie opuścili, kazał im wyjazd utrudnić i polecił księciu Wicencyi widzenie ich, tudzież zapewnienie o szczeréj chęci Napoleona uszanowania układów w Paryżu i nie rozpoczynania wojny. Z początku p. Vincent odmówił jakiegobądź znoszenia się, w końcu jednak zezwolił na widzenie się z księciem Vincencyi u pani Souza i na oświadczenie francuskiego ministra spraw zagranicznych uczynione w téj treści, jak były zapewnienia na ręce Józefa Bonaparte wysłane, odpowiedział: że jest nieodwołalném postanowieniem sprzymierzonych, Napoleona do tronu nie dopuścić. Dał jednak do zrozumienia, że w rzędzie rzeczy możliwych należałoby postawić powierzenie berła synowi cesarza.

Pan Budjakin również unikał jakiegokolwiek spotkania, ale nalegany zewsząd, przyzwolił w końcu na widzenie się z ks. Wicencyi a panny Cauchelet, damy pałacowéj królowéj Hortensyi. Minister francuski wręczył mu oryginał przymierza sekretnego, zawartego d. 3 stycznia, a poseł rosyjski przyrzekł zawiadomić cesarza Aleksandra o zamiarach Napoleona.

Równocześnie pod dniem 4-go kwietnia wysłał Napoleon do wszystkich panujących list jednobrzmiący taki:

„W zeszłym miesiącu już doszło do wiadomości W. K. M., że wróciłem na brzegi Francyi i wjechałem do stolicy, którą opuścili Burboni. Jest-to dziełem siły nieprzepartéj, wynikającéj z jednozgodnéj woli narodu, znającego swe powinności i prawa. Dynastya, którą narzucono siłą ludowi Francyi, nie była odpowiednią dla niego; ponieważ Burboni nie umieli się skojarzyć z uczuciami i obyczajami Francyi, musiała się więc ona z nimi rozłączyć i oczekiwała oswobodziciela. Poświęcenie, którém uczynił, nie kosztowało mnie zbyt wielkiego trudu, bo od miejsca gdzie wylądowałem,

przywiązanie ogólne przeniosło mnie aż do stolicy. Pierwszą potrzebą mojego serca jest teraz utrzymać spokojność i ugruntować pokój Europy. Sława, którą nabyły chorągwie rozmaitych narodów, koleje różne zwycięstw i niepowodzeń, powinny wreszcie świat przekonać, że dla panujących otwiera się inny rodzaj szranków i że teraz nie powinno być między nimi innego współubiegania się jak o szczęście ludów. Francya w swojéj polityce zachowa jak największe uszanowanie dla niepodległości innych narodów i jeżeli W. K. Mość dzielisz owe przekonanie, pokój odtąd zapanuje wszechwładnie.“

Listy te wszakże wraz z dołączonemi do nich notami ks. Wincencyi, nie doszły do Wiednia, zwrócono bowiem wiozących je kuryeryów, nie chąc ich przez granicę przepuścić.

Król Saski w Presburgu mimo wszelkich usiłowań przybyłych doń trzech dyplomatów, opierał się przyzwoleniu na podział Saksonii. Uległ dopiero perswazyom ks. Metternicha, który przekładał mu, że jeżeli daléj opierać się będzie, kongres poczyta go za przyłączającego się powtórnie do sprawy Napoleona i w takich warunkach Saksonia cała będzie mu odjęta. Nie widząc żadnego ratunku, musiał w końcu na propozycye się zgodzić.

Po powrocie z Presburga ks. Talleyrand namówił ks. Metternicha, aby razem z nim podał do kongresu dwa projekta: jeden stanowiący deklaracyą co do Napoleona, drugi odnawiający traktaty zawarte w Chaumont, co do prowadzenia z nim wojny. Kongres jednomyślnie oba te projekty przyjął i pod d. 13 marca ogłosił następującą deklaracyą:

„Mocarstwa, które podpisały traktat paryski, zebrane na kongresie w Wiedniu, otrzymawszy wiadomość o ucieczce Napoleona Bonaparte z wyspy Elby i o jego zbrojném wylądowaniu we Francyi, uważają za obowiązek należny dobru powszechnemu, objawić swoje zdanie o tym wypadku przez solenną deklaracyą.

„Bonaparte zrywając układ, który mu wyspę Elbę na mieszkanie przeznaczył, zerwał zarazem jedyny tytuł prawny, do którego istnienie jego było przywiązane, a okazując się we Francyi z zamiarami robienia tu nieporządków i przeistoczeń, sam się pozbawił opieki prawa i okazał jawnie światu, że z nim nie może istnieć pokój ani zawieszenie broni.

„Mocarstwa więc oświadczają wskutek tego, że Napoleon Bonaparte wyjęty zostaje z pod praw cywilnych i towarzyskich, a jako nieprzyjaciel i wichrzyciel świata, oddaje się zemście publicznéj.

„Mocarstwa oświadczają zarazem, że postanowiły utrzymać niewzruszenie zasady traktatu paryskiego, tak te, które już zostały przyjęte, jako i te, które w przyszłości dla wypełnienia artykułów tegoż traktatu przyjętemi będą.“

Deklaracya kończy się wyrażeniem nadziei, że naród francuski stanie po stronie swego prawego władcy.

Równie przyjęto zasady traktatu w Chaumont i wskutek tego wydano natychmiast rozkazy, aby wszystkie wojska Rosyi, Prus, Austryi, książąt niemieckich, Anglii i Holandyi natychmiast ku Francyi dążyły.

Napoleon na deklaracye te odpowiedział jedynie ogłoszeniem zdania Rady stanu, względem powyższego oświadczenia. Powiedziano tam, że umowa zawarta w Fontainebleau dnia 11 kwietnia 1814 r. została zgwałconą przez sprzymierzonych w następujących punktach: cesarzowa Marya Ludwika i syn Napoleona mieli otrzymać pasporta i eskortę i przybyć na wyspę Elbę. Tymczasem popełniono na nich gwałt, gdyż cesarzowę i jéj syna wywieziono do Wiednia. Daléj podczas przejazdu Napoleona na Elbę, z natchnienia rządu francuskiego uorganizowano bandy zbójców, które miały go zabić. Po trzecie: księstwa Parmy i Placencyi miały być wydzielone na własność Maryi Ludwice i jéj synowi, a tymczasem kongres przysługujące im to prawo zamienił na posiadanie dożywotnie cesarzowéj. Po piąte: książę Eugeniusz przyrzeczone miał odpowiednie uposażenie—i tego mu odmówiono. Po piąte: artykuł 6-ty umowy zawarowywał, że osobiste dobra ruchome i nieruchome familii cesarskiéj miały być dla niéj zachowane, tymczasem dobra te skonfiskowano. Po szóste: cesarz Napoleon i jego rodzina mieli otrzymywać 4,500,000 franków i tych im nie wypłacano. Po siódme: wyspa Elba została cesarzowi przeznaczona na własność, a kongres postanowił mu ją odebrać i jego uwięzić na wyspie św. Heleny.

Dalszych wypadków wojny 1815 r. opisywać nie będę, gdyż dokładniéj to opowiadają historycy, a wypadki jéj nie wpłynęły w niczém na los królestwa polskiego. Wspomnę więc tylko, że w czerwcu Napoleon w kilkodniowéj kampanii, zniósł armią pruską, a zostawiwszy jenerała Grouchy z siłą 40,000 tysięcy do jéj ścigania, sam pod Waterloo uderzył na armią angielską. Jenerał Grouchy nie dostrzegł, że większa część armii pruskiéj oddzieliła się i poszła na pomoc Anglikom i nie ścigając jéj, dozwolił armią Napoleona wziąść w dwa ognie i przez to do przegranéj i rozsypki ją zmusił. Napoleon wróciwszy do Paryża abdykował na rzecz swego syna i oddał się w ręce Anglikom, którzy go na wyspę św. Heleny wywieźli. W wygnaniu tém towarzyszył mu jeden Polak z gwardyi ułanów.

W całéj téj krótkiéj kampanii mieli udział ci tylko Polacy, którzy z Napoleonem z wyspy Elby przybyli. Prawda, że w tym czasie kilka znaczniejszych ich oddziałów przechodziło przez Francyą, wracając z niewoli angielskiéj i te chciały się zaraz łączyć do sprawy napoleońskiéj. Odsyłano je wszakże do Sedan, gdzie miały się zorganizować, ale nim organizacya dokończoną została, nastąpił upadek Napoleona.

W Warszawie pierwsze dwa miesiące 1815 roku przeszły dość wesoło na zabawach i na radości, budzącéj się wskutek nadziei z wiadomości otrzymywanych z Wiednia. Nie brakło téż, jak to zawsze na świecie bywa także wypadków smutnych. Do takich należała nastąpiona w grudniu roku poprzedniego śmierć Katarzyny Małachowskiéj, z domu Działyńskiéj, wdowy po Antonim Małachowskim, wojewodzie mazowieckim. Była ona matką Ludwika Małachowskiego, spokrewnionego z wielu znacznemi domami i dlatego znaczna część towarzystwa żałobę przywdziać musiała.

W końcu lutego wyszedł z pod prasy ostatni tom słynnego słownika Lindego. Z tego powodu Towarzystwo Przyjaciół Nauk d. 5 marca w hotelu angielskim wyprawiło dla autora ucztę. Między gośćmi znajdowali się członkowie Rady Najwyższéj, ks. Lubecki i Wawrzecki. Na środku stołu ustawiono cały zbiór tomów, składających słownik, otoczono je wieńcem uwitym z drzewa laurowego, zasadzonego w Wilanowie ręką Jana III, który to krzew starannie tam jest pielęgnowany. Przy stole nie podawano innych napojów jak tylko krajowe, a więc oprócz wody i piwa toasty wnoszono miodem i wiśniakiem. Julian Niemcewicz wniósł pierwszy toast na cześć Lindego, a ksiądz Staszic w stosownéj przedmowie wytłómaczył wielkie zasługi pracownika. Zebrano także przy téj sposobności składkę wynoszącą 9,000 złp., które przeznaczono na wzniesienie posągu dla Kopernika.

Kiedy w połowie marca doszła do Warszawy wiadomość o wylądowaniu Napoleona, pomięszała ona wszystkie czynione dotąd nadzieje i wnioski i aż do końca czerwca wszyscy żyli w stanie gorączkowym, nie pewni w co obróci się kongres i jaki będzie koniec nowéj wojny.

W kwietniu także zakończył w Warszawie życie jenerał Konopka. Urodzony w 1775 roku, służył on naprzód w legionach a następnie odznaczył się ze swoim pułkiem w Legii Nadwiślańskiéj. W r. 1812 mianowany jenerałem, dowodził pułkiem gwardyi litewskiéj w służbie francuskiéj i wzięty został do niewoli w Słonimie przez jenerała Czaplica. Za wejściem wojsk rosyjskich do księstwa

i po zawarciu traktatu paryskiego uwolniony, zamieszkał w Warszawie, gdzie żołnierskie jego cnoty ceniono i bardzo go kochano.

Pułkownicy wojska polskiego dnia 11 kwietnia dawali obiad dla W. księcia Konstantego, jako swego wodza. Na ucztę zaproszono feldmarszałka Barklay de Tolly, atamana Płatowa, jenerałów Sackena, Łanskoja i jego radę. Jenerał Zajączek wniósł toast na cześć cesarza, jenerał Dąbrowski na cześć W. księcia Konstantego, Sierakowski—Barklaya, ks. Sułkowski—wojska rosyjskiego, a W. książę—wojska polskiego.

Około 15 kwietnia wojska rosyjskie zaczęły opuszczać swoje kwatery w Polsce, posuwając się na zachód, a w maju wojska pruskie wkroczyły w granicę księstwa i zajęły departamenta: Poznański i Bydgoski, całą część północną departamentu Płockiego wraz z Toruniem i zachodnią część Kaliskiego. Nie można opisać zdziwienia i smutku, jakie fakt ten w całéj ludności wywołał. Dotąd umowy kongresu wiedeńskiego były tajemnicą dla mieszkańców księstwa Warszawskiego i zjawienie się Prusaków zniszczyło nadzieje i złudzenia, jakim się przez sześć miesięcy oddawano. Zaczęła się wykazywać prawda, że nowy podział uchwalono i rozpacz objęła umysły, bo powszechnie księstwo Warszawskie uważano za zarodek lepszéj przyszłości. Stronnictwo litewsko-ruskie głosiło, że za tę stratę znajdziemy sowite wynagrodzenie w przyłączeniu Litwy, Białorusi, Wołynia, Podola i Ukrainy, a że jest to już w usposobieniu naszém, że chwytamy się by najmniejszego promyka nadziei, przeto i tu marzeniom tym uwierzono.

Ponieważ 20-go kwietnia feldmarszałek Barklay de Tolly miał opuszczać Warszawę, przeto w salach Redutowych wydano mu pożegnalną ucztę, na któréj znajdował się także W. książę Konstanty i feldmarszałkowi na niéj ofiarowano pierścień pamiątkowy.

Dnia 6-go maja prezes senatu Tomasz Ostrowski, otrzymał z Wiednia własnoręczny list cesarza Aleksandra, datowany 30 kwietnia, który brzmiał w ten sposób:

Panie prezydencie senatu, hrabio Ostrowski.

Z zadowoleniem nadzwyczajném donoszę Panu, że nakoniec los waszéj ojczyzny został zdecydowany zgodnie przez wszystkie mocarstwa na kongresie zebrane.

Przyjmując tytuł Króla Polskiego, chciałem zastosować się do pragnień narodu. Królestwo polskie złączoném zostanie z cesarstwem rosyjskiém węzłami własnéj konstytucyi, na któréj pragnąłbym oprzéć prawdziwe szczęście kraju. Jeżeli interes powszechnego pokoju nie dozwolił połączyć wszystkich części Polski pod jedném berłem, starałem się przynajmniéj, o ile to było możliwe, zła-

godzić im przykrość podziału i otrzymać dla nich wszędzie spokojne używanie ich narodowości. Nim pozostałe jeszcze do dopełnienia formalności dozwolą ogłosić w sposób szczegółowy wszystko, co się odnosi do ostatecznego urządzenia spraw Polski, chciałem aby o treści umów był Pan najpierwszy uwiadomiony przezemnie i abyś o treści tego mojego zawiadomienia poinformował rodaków.

Przyjm Pan zapewnienie szczerego mego szacunku — (1).

(*podpisano*) ALEKSANDER.

W Wiedniu, jak wspomnieliśmy, zaraz po odebraniu wiadomości o powodzeniach Napoleona, ustały bale i festyny, a zajęto się natomiast szczerze kończeniem układów. Niektóre też znakomite osoby kolejno Wiedeń opuszczały. Tak: 9 marca wyjechała cesarzowa rosyjska, książę Wellington pośpieszył do Belgii dla objęcia dowództwa nad wojskiem angielsko-holenderskiém, a 26 maja cesarz austryacki i rosyjski wyjechali do Monachium, a król pruski do Berlina. Król bawarski opuścił Wiedeń 7 kwietnia, a król duński 16 maja. Król saski 2 maja przeniósł się z Presburga do Laksemburga, pod Wiedniem.

Forma, jaką teraz przyjęto w obradach, polegała na tém, że wszystkie kwestye rozważane, decydowane i redagowane były naprzód w komitetach i na podstawie ich dopiero strony interesowane zawierały traktaty. Decyzye komitetów umieszczono w protokółach, a przy zakończeniu robót zebrano wszystkie traktaty w jedno dzieło, nazywane „Aktem ostatecznym kongresu Wiedeńskiego“ (*Acte final*). Z traktatów tych najpoważniejsze i nas dotyczące są:

Pod datą dnia 3 maja 1815 r. Rosya zawarła traktat z Austryą, podpisany z jednéj strony przez hr. Razumowskiego, z drugiéj przez ks. Metternicha w takiéj osnowie:

Art. 1. Cesarz Wszech Rosyi odstępuje cesarzowi Austryi oderwane od Galicyi wschodniéj przez traktat 1809 r. w Wiedniu zawarty, cyrkuły: Złoczowski, Brzeżański, Tarnopolski i Zaleszczycki. Granice między państwami pozostaną takie same, jakie istniały tutaj przed traktatem wyżéj wyrażonym.

Art. 2. Cesarz Austryacki będzie posiadał na zupełną własność żupy solne w Wieliczce, wraz z krajem do tego miasta należącym (Obwód Podgórski).

Art. 3. Wisła stanowić będzie granicę między Galicyą a wolnym miastem Krakowem, tudzież częścią księstwa, przyłączonego do państw cesarza Rosyi aż po Zawichost. Od Zawichosta do Bugu

(1) Tłómaczone z francuskiego.

pozostaje granica wedle wskazania traktatu wiedeńskiego z 1809 r., ze sprostowaniami, wedle wspólnéj przyznanéj potrzeby. Od Buga dawna granica między dwoma cesarstwami pozostaje zachowana.

Art. 4. Miasto Kraków, wraz z terytoryum, oznaczoném w dodatkowym traktacie, zawartym między Rosyą, Austryą i Prusami, uznane jest za miasto wolne i niepodległe.

Art. 5. Reszta księstwa Warszawskiego, z wyjątkiem części, co do których zarządziły powyższe artykuły, tudzież traktat, pod datą dzisiejszą, między cesarzem Rosyi a królem Pruskim zawarty— przyłącza się do cesarstwa rosyjskiego. Będzie ona związana (*lié*) z niém nieodwołalnie za pomocą nadanéj jéj konstytucyi i będzie posiadaną przez cesarza wszech Rosyi, jego następców i spadkobierców na wieczne czasy. Cesarz zastrzega sobie nadanie temu państwu oddzielnéj administracyi, w zakresie takim, jaki uzna za stosowne, do innych tytułów swych dołączy tytuł króla Polskiego stosownie do protokółu i stosownie do uświęconych zwyczajów, odnoszących się do jego tytułów. Polacy, poddani umawiających się wysokich stron, otrzymają reprezentancyą narodową i instytucye, zastosowane do politycznego ich istnienia, w zakresie jak każdy z rządów — do którego należéć będą — uzna.

Art. 6. Przyrzeka, że posiadacze ziemscy, których własności na jednę, lub drugą stronę padły, mają prawo wyboru przyjęcia tego lub owego poddaństwa i w tym celu termin do wyprzedaży naznacza im się sześcioletni.

Art. 7 i 8. Udziela wszystkim zupełną amnestyą, zabrania dochodzenie politycznych występków, umarza wytoczone już polityczne procesy i znosi sekwestry i konfiskaty.

Art. 9. Zastrzega, że nie mogą być restytuowane konfiskaty, co do których wyrzeczono już wyrok ostatnich instancyi i które już w wykonanie weszły.

Art. 10. Uznaje poddaństwo wspólne (Sujet mixte).

Art. 11, 12, 13, 14 i 15. Postanawiają, że w ciągu roku każdy poddany na piśmie oświadczyć powinien, którego z monarchów wybiera za swego władcę. Za nieletnich, lub pod kuratelą zostających, czynią to opiekunowie. Ktoby w przeciągu roku deklaracyi takiéj nie złożył, uważany będzie za poddanego tego monarchy, w którego kraju przemieszkuje. Poddany wspólny może do lat ośmiu opóźnić deklaracyą, albo ją zmienić, a i po upływie tego terminu, wolno mu zachować wolność w obu krajach.

Artykuły od 16 do 23 włącznie dotyczą przywilejów, jakie poddanym wspólnym są przyznane tudzież nakreślają warunki prowadzenia gospodarstwa i zachowywania się w majątkach, które granica przeżyna.

Artykuły od 24 do 26. Przyznają prawo żeglowania po rzekach i kanałach, w całéj rozległości dawnéj Polski z przed 1772, za wolne dla mieszkańców wszelkich prowincyj polskich.

Art. 27. Postanawia, że komisarze, mający rozwinąć szczegółowo artykuły niniejszego traktatu, powinni pracę swą wykończyć w przeciągu sześciu miesięcy.

Art. 28 i 29 dotyczy prawa tranzytu towarami.

— Art. od 29 do 35 dotyczą obrachunku długu i wypłat, tak wynikających z trzeciego podziału Polski, jako téż z długu księstwa warszawskiego.

Art. 36 i 37 zastrzegają wzajemne wydanie planów, map, dokumentów i akt tak administracyjnych jak sądowych.

Art. 38 stanowi, że wyznaczona będzie specyalna komisya do opisania i ostatecznego uregulowania granic.

Art. 39. Zastrzega sprzedaż dla Rosyi soli w ilości 500,000 centnarów rocznie, przez lat pięć.

Art. 40 i 41. Dotyczą ratyfikacyi.

Tegoż samego 3 maja zawarty został traktat między Rosyą a Prusami, podpisany z jednéj strony przez hr. Razumowskiego, z drugiéj przez hr. Hardenberga. Treść jego taka:

Art. 1. Część księstwa Warszawskiego, którą król Pruski posiadać będzie w swém władztwie i własności tak dla siebie jak i dla swych następców, nosić będzie imię W. księstwa Poznańskiego, a granica téj posiadłości będzie następująca: Od wsi Neuhof do wioski Lubicz zachowuje się linia, jaka istniała od roku 1772 do traktatu Tylżyckiego, ztąd ciągnąć się będzie do wsi Szczytna nad Wisłą, a za tą rzeką przez Służew, Chlewiska, Wojczyn, Orchowo do Powidza, ztąd przez Słupcę do ujścia Prosny w Wartę, daléj biegiem Prosny od wsi kościelnéj, a zostawiając koło Kalisza pasmo odległości od tejże wsi kościelnéj do Kalisza, daléj znowu biegiem Prosny przez Bolesławice do wioski Goła.

Art. od 2 do 26 są prawie dosłownem powtórzeniem traktatu poprzedniego.

Art. 27 dozwala ustanowienie konsulów.

Art. 28 do 30 dotyczy handlu.

Art. od 31 do 37 odnoszą się do długów.

Art. od 38 do 40 dotyczą akt, dokumentów i depozytów.

Art. 41 jest takiego brzmienia jak 38 poprzedniego traktatu.

Art. 42 i 43 dotyczą ratyfikacyi.

Pod tąż samą datą 3 maja, ciż sami reprezentanci trzech umawiających się mocarstw podpisali traktat, dotyczący wolnego miasta Krakowa. Jest on następujący:

Art. 1. Miasto Kraków, wraz z wyznaczoną mu posiadłością ma być uważane wiecznie, jako miasto wolne, niepodległe i neutralne, pozostające pod opieką trzech umawiających się mocarstw.

Art. 2. Granicą posiadłości miasta wolnego Krakowa, po lewéj stronie Wisły, będzie linia, zaczynająca się we wsi Wolicy, w miejscu, gdzie strumień, pod tą wsią płynący, łączy się z Wisłą. Daléj ciągnąć się będzie wzdłuż koryta tego strumienia przez Cło, Kościelniki do Czulic, ztąd przez Dziekanowice, Garlińce, Tomaszów Kaznowice do punktu rozdziału powiatu Krzeszowskiego od powiatu Olkuskiego. Ztąd granica będzie zachowana aż do Szlązka podług linii rozgraniczającéj wymienione powiaty, a wsie wyżéj wspomniane należéć będą do Krakowa.

Art. 3. Cesarz austryacki nadaje przedmieściu Podgórze taką wolność handlu, jaką posiada miasto Brody, a komory będą ustanowione za obrębem Podgórza.

Art. 4. Mosty na Wiśle miasto Kraków ma prawo utrzymywać.

Art. 5. Oznacza komisarzy, którzy mają odgraniczyć wolne miasto Kraków od księstwa Warszawskiego i od Austryi.

Art. 6. Umawiające się mocarstwa przyrzekają, że żadna siła zbrojna nie będzie mogła być wprowadzona pod jakimkolwiekbądź pozorem na terytoryum miasta, a Kraków ze swojéj strony zobowiązuje się, że nie będzie dawał schronienia zbiegom, dezerterom, lub przestępcom, których wyda na każde żądanie.

Art. 7. Trzy dwory, zatwierdziwszy konstytucyą, wedle któréj miasto Kraków ma się rządzić; a która to ustawa tu załączona stanowi integralną część niniejszego traktatu, obowiązują się delegować po jednym komisarzu, którzy łącznie z komitetem miejscowym, zatrudnią się zaprowadzeniem rządu w wolném mieście Krakowie. Dalszy ciąg tego artykułu wykazuje cel takiéj komisyi i kolejną w niéj prezydencyą.

Art. 8 i 9 dotyczą ceł i komor.

Art. 10 zajmuje się wspólnymi poddanymi, wolnością handlu i nawigacyi, które miastu temu nadaje takież same prerogatywy, jakie dla mieszkańców Polski zastrzeżone są w traktatach wyżéj wzmiankowanych.

Art. 11. Wyznacza komisyą, która w dobrach duchownych i skarbowych ma określić powinności włościan.

Art. 12. Dozwala wszystkim trzem dworom mieć swoje poczty w Krakowie.

Art. 13. Stanowi, że wszystko, co we wskazanym zakresie było własnością księstwa przelewa się na rzecz miasta Krakowa.

Art. 14. Długi księstwa Warszawskiego nie będą obciążać miasta Krakowa.

Art. 15. Akademia Krakowska utrzymuje się z własnych funduszów, a poddani trzech mocarstw mogą na nią uczęszczać.

Art. 16. Biskupstwo krakowskie wraz ze swą kapitułą, ze wszystkiemi funduszami i dochodami swojemi utrzymuje się i pozostawia.

Art. 17. Cesarz rosyjski zachowuje sobie prawo wyboru i mianowania biskupa krakowskiego z dwóch kandydatów, jakich mu przedstawi kapituła i senat.

Artykuły 18 i 19 odnoszą się do ratyfikacyi.

Do tego traktatu, jako część jego składową dołączono następujące zasady konstytucyi dla wolnego miasta Krakowa:

Art. 1. Religia katolicka jest utrzymana jako panująca.

Art. 2. Wszystkie wyznania chrześcijańskie są wolne i wyznawcy ich nie doznają żadnéj różnicy w używaniu praw społecznych.

Art. 5. Obecne prawa rolników zostają utrzymane, wszyscy obywatele są równi w obliczu prawa zarówno przezeń protegowani jak wszystkie religie i wyznania dozwolone.

Art. 4. Wolném miastem Krakowem zarządzać będzie senat, z dwunastu senatorów i prezesa złożony.

Art. 5. Dziewięciu senatorów, włącznie z prezesem, wybierani będą przez zgromadzenie reprezentantów, czterech zaś ich mianowanych będzie przez kapitułę i akademią z pomiędzy członków tych ciał przez nie wskazanych.

Art. 6. Sześciu senatorów będzie dożywotnich, a prezes wybiera się do sprawowania swojego urzędu na lat trzy, może być jednak i powtórnie wybrany. Sześciu senatorów co roku ustępować będą nowowybranym i najpierwszy raz dwaj, najmłodsi wiekiem ustąpią. Co do czterech senatorów, wybranych przez kapitułę i akademią, dwaj z nich będą dożywotni, drudzy zaś dwaj będą corocznie zmieniani. Duchowni świeccy, członkowie akademii, właściciele ziemscy, właściciele domów lub innych realności, jeżeli płacą 50 złp. podatku stałego, fabrykanci, handlujący hurtownie, członkowie giełdy, artyści, nauczyciele, skoro dojdą lat przepisanych prawem, uzyskają polityczne prawo wyborców i sami będą mogli być wybieranymi, jeśli dopełnią innych warunków przez prawo wskazanych.

Art. 8. Senat mianuje urzędników administracyjnych, ma prawo odwoływać ze służby mianowanych urzędników, mianuje również na beneficya duchowne, zawisłe od kollacyi rządowéj, z wyjątkiem czterech miejsc w kapitule, które są zachowane dla doktorów fakultetów w uniwersytecie i których mianuje akademia.

Art. 9. Miasto Kraków i jego posiadłości będą podzielone na gminy miejskie i wiejskie. Pierwsze o tyle o ile położenie dozwoli, obejmować będą najmniéj 2000 dusz; drugie zaś 3,500, każda gmina posiadać będzie naczelnika z wyboru, którego obowiązkiem będzie spełniać polecenia rządu. W gminach wiejskich naczelnikom tym, czyli wójtom, dozwala się dodawać pomocników.

Art. 10. Corocznie w miesiącu grudniu, zbierać się będzie zgromadzenie reprezentantów, którego sesye nie mogą trwać dłużéj nad cztery tygodnie. Zgromadzenie to pełnić będzie obowiązki prawodawcze, rozważać roczne rachunki administracyi, ustanawiać na każdy rok budżet, wybierać członków senatu, stosownie do wydanego w téj mierze organicznego statutu, wybierać sędziów i większością 2/3 głosów oskarżać urzędników publicznych jakiegokolwiek stopnia o przekupstwo, zdzierstwo lub nadużycia i pod sąd ich oddawać.

Art. 11. Zgromadzenie reprezentantów składać się będzie z deputowanych od gmin, po jednemu z każdéj, z trzech senatorów wybranych przez Senat, z trzech prałatów, wyznaczonych przez kapitułę, z trzech profesorów, delegowanych przez akademią, z sześciu pełniących obowiązki sędziów pokoju, którzy kolejno na zgromadzeniu zasiadać będą. Prezydujący zgromadzeniem będzie wybrany z pomiędzy senatorów, a żaden projekt do prawa, któryby dążył do zaprowadzenia zmian w istniejącym porządku nie będzie poddany pod rozpoznanie zgromadzenia, jeśli poprzednio senat większością głosów na to nie zezwoli.

Art. 12. Zgromadzenie reprezentantów zajmie się ułożeniem kodeksu cywilnego i kryminalnego, tudzież procedur sądowych. Wybierze niezwłocznie komitet, w którym zasiadać będzie dwóch senatorów i któren powinien przygotować żądane prawa, mając wzgląd na potrzeby miejscowe i na ducha, ludność ożywiającego.

Art. 13. Jeżeli dane prawo nie zostało przyjęte przez 7/8 głosujących, a senat uznał większością dziewięciu głosów potrzebę powtórnego przedstawienia projektu do dyskusyi prawodawczéj, projekt powtórnie wniesionym zostanie w roku następnym. Jeżeli wypadek powyższy ściągać się będzie do praw skarbowych, podatki dotąd istniejące obowiązywać będą aż do uchwalenia nowego prawa.

Art. 14. Dla każdego okręgu, złożonego najmniéj z 6,000 dusz, wybrany będzie przez zgromadzenie reprezentantów sędzia pokoju, który ma pełnić obowiązki przez lat trzy i który, prócz powinności godzenia sporów, ma czuwać z urzędu nad interesami małoletnich, nad sprawami funduszów państwowych i instytucyi publicznych. Po-

rozumiewać się będzie w tym względzie z najmłodszym z senatorów, do zakresu którego należne będą wszystkie tego rodzaju sprawy.

Art. 15. Oprócz sądów pokoju ustanowiony będzie trybunał pierwszéj instancyi i trybunał apelacyjny. W pierwszym zasiadać będzie trzech sędziów, w drugim czterech, licząc łącznie z prezesami. Ci ostatni piastować będą swoje urzęda dożywotnio, sędziowie zaś będą wybierani pzez gminy, na czas jaki statut organiczny uzna za właściwy. Te dwie instancye sądzić mają wszystkie spory bez różnicy ich natury i stanu osób, jeśli zaś wyroki dwóch instancyi będą zgodne, przez to samo stawać się będą ostatecznemi, jeśli zaś będą się rożnić lub jeśli akademia uzna, że prawo zostało pogwałcone, lub formy procedury zaniedbane, sprawa powtórnie wniesiona będzie do apelacyi. W takim razie do liczby sędziów, składających zwykły komplet sądu apelacyjnego, powołani zostaną do zasiadania wszyscy sędziowie pokoju z miasta i cztery osoby, wybrane popołowie z pomiędzy obywateli, przez strony spór wiodące.

Art. 16. Trybunał najwyższy, przewidziany artykułem dziesiątym, składać się będzie z pięciu reprezentantów przez los wybranych, z trzech członków przez senat naznaczonych, z dwóch prezesów obu trybunałów, z czterech sędziów pokoju, kolejno powoływanych, z trzech obywateli wyznaczonych przez urzędnika, pod sąd oddanego i komplet dziewięciu członków do wydania wyroku jest konieczny.

Art. 17. Postępowanie tak cywilne jak kryminalne ma być jawne, a w instrukcyi procesów kryminalnych zastosowaną będzie instytucya przysięgłych, z uwzględnieniem położenia kraju, charakteru mieszkańców i ich oświaty.

Art. 18. Sądownictwo jest niepodległe.

Art. 19. Po szóstym roku, upłynionym od czasu ogłoszenia téj ustawy konstytucyjnéj stanowią się następujące warunki wybieralności senatorów.

1) Potrzeba mieć skończonych 35 lat wieku.

2) Skończyć nauki w jednéj z akademii położonych w granicach dawnego królestwa Polskiego.

3) Przez dwa lata poprzednio sprawować urząd naczelnika gminy, sędziego pokoju, lub reprezentanta zgromadzenia.

4) Opłacać podatku gruntowego z posiadłości nabytéj na rok przed wyborami złp. 150.

Ażeby być wybranym na sędziego, potrzeba: mieć lat trzydzieści skończonych, odbyć nauki w akademiach, jak powyżej, z przyznanym stopniem doktora, aplikować przez rok przy pisarzu, a rok

przy adwokacie, posiadać nieruchomość, wartującą 8,000 złp., nabytą na rok przed wyborami.

Aby zostać sędzią apelacyjnym, lub prezesem sądu, prócz powyższych warunków, potrzeba przez dwa lata sprawować obowiązki sędziego pierwszéj instancyi, lub sędziego pokoju; przez rok zaś być reprezentantem.

Aby zostać reprezentantem gminy, potrzeba mieć lat 26 skończonych, odbyć zupełne nauki w akademii krakowskiéj, posiadać nieruchomość 800 złp. wartującą i nabytą na rok przed wyborami.

Warunki te nie rozciągają się do osób które urzędowały z nominacyi królewskiéj, lub obowiązki wymienione przyjęły na siebie z wyboru sejmików za czasów księstwa warszawskiego, jak również i do tych którym monarchowie, umowę tę zawierający nominacye wydali.

Art. 20. Tak wszystkie czynności rządu, jak i wyroki sądowe będą w języku polskim.

Art. 21. Dochody i wydatki akademii stanowić będą część budżetu ogólnego wolnego miasta Krakowa.

Art. 22. Posługa wewnętrzna bezpieczeństwa publicznego i policyi odbywaną będzie przez oddział milicyi miejskiéj, który to oddział kolejno będzie powoływany do służby i dowodzony przez oficera wojsk regularnych, który wprzód zaszczytnie się odznaczył. Nadto ustanowioną i uzbrojoną zostanie dostateczna liczba żandarmów, dla czuwania nad bezpieczeństwem dróg i wiosek.

W Wiedniu d. 3 maja 1815 r. (Podpisano) Metternich, Hardenberg i Razumowski.

Ratyfikacye wszystkich tych trzech traktatów brzmiały w ten sposób:

„Wskutek czego, po dokładném roztrząśnieniu tego traktatu; uznaliśmy go za dobry, potwierdzili i ratyfikowali. Jakoż za taki go uznajemy, potwierdzamy i ratyfikujemy w całéj jego osnowie, zapewniając naszém słowem monarszem za nas i za naszych następców, iż to wszystko, co jest tym traktatem objęte, nieodzownie zachowaném i uskuteczněanem zostanie. Dla lepszéj zaś wiary niniejszą ratyfikacyą, własną naszą ręką monarszą podpisaliśmy i naszą pieczęć przyłożyć kazaliśmy.

Dan w Wiedniu d. 27 maja 1815 a panowania naszego 15 roku.“ (Podpisano) Aleksander—Nesselrode.

(*dok. nast.*) *Aër.*

TYMON ZABOROWSKI.

Galicya w epoce od zaboru Austryackiego (1772) aż do końca pierwszéj ćwierci XIX w. przedstawia smutny obraz upadku i ciemnoty (1). Po zajęciu kraju trzymał rząd przez długie lata wyłącznie całą władzę w swych rękach, zostawiając szlachcie i stanom galicyjskim czcze formalności i zaszczyty, któremi się zadawalniała uprzewilejowana część narodu, odwykła zupełnie od życia publicznego.

Zbierające się corocznie stany były jakby „teatrem dla rozerwania nudów nieczynności;“ zjeżdżano się do nadpełtewskiéj stolicy w celu wysłuchania postulatów, w których nie można było nic odmienić. Żadna decyzya stanów nie miała mocy obowiązującéj bez potwierdzenia cesarskiego, żadna ważniejsza prośba nie została wysłuchaną, wszystko rozbijało się o niechęć rządu i o zastraszającą powolność austryackiéj procedury. Gorliwemu o dobro kraju obywatelowi opadały ręce „ze znużenia, zwątpienia i z żalu zmarnowanych w bezskutecznéj walce sił“... Austryacki system podatkowy jest *dotychczas* dostatecznie znany; Galicya opłacała w podatkach pod rządem austryackim o pięćdziesiąt milionów złp. więcéj niż pod rządem Rzeczypospolitéj. A z tym ogromnym odpływem majątków obywatelskich nie otworzyły się dla kraju żadne nowe źródła dochodu. Tradycyjną polityką rządu było podbudzać jednych przeciw drugim. W Węgrzech podbudzano Słowian przeciw Madiarom, w Krakowie żydów przeciw chrześcianom, w Galicyi chłopów przeciw dziedzicom, Rusinów przeciw Polakom i t. d. W nieszczęśliwych stosunkach pańszczyznianych widziano tylko rękojmię panowania; zrobiwszy z nich kwestyą polityczną gwałcono

(1) Porównaj znakomite dzieło Kalinki: „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem“ wydane bezimiennie w Paryżu 1853, str. 401.

własność i prawa dziedziców. Powołano do wykonania przepisów (zostających nieraz w kolizyi z kodeksem) w stosunkach między dziedzicem a poddanym „zgłodniałą i nienawistną rzeszę urzędników,“ która roztoczyła swoje opiekuńcze skrzydła nad biednym chłopem, rozstrzygając samowładnie wszystkie jego spory z dworem, przedłużane w nieskończoność. W rękach tych ludzi po większéj części bez wiary i sumienia, bez moralnéj i materyalnéj rękojmi, bez żadnego interesu w kraju, przezwanych przez barona Steina „Schreibmaschine“ spoczywały sądy, administracya i wychowanie włościan. W ogólności trzymano się konsekwentnie polityki poświęcającéj wszystko na korzyść państwa: wobec państwa znikało indywiduum, prawo, moralność, — znikały wszystkie podstawy społeczeństwa; dla państwa ginął majątek prywatny, rolnictwo, handel, przemysł,—po za państwem nic nie istniało. Życia publicznego nie było w Galicyi. Wszystko koncentrowało się w biurokracyi. Urzędy spoczywały w ręku cudzoziemców, przeważnie Czechów. W sądownictwie używano języka łacińskiego, w administracyi języka niemieckiego. Wogóle zatamowano źródło rodziméj oświaty przez systematyczne germanizowanie kraju w mniemaniu, że tym sposobem złamie się partykularyzm a przyprowadzi do skutku utopię jednolitéj monarchii austryackiéj.

Życie umysłowe Galicyi stało przedewszystkiém pod wpływem nowego stanu rzeczy, wywołanego nową formą rządu. Od zaboru zaczyna społeczeństwo ulegać powolnemu przeobrażeniu pod wyżéj wspomnianemi stosunkami, „odbywa się fermentacya wyobrażeń, tendencyj starych tradycyi z nową koniecznością, jak w retorcie za dodaniem nowych pierwiastków chemicznych, wszystko burzy się i musuje.“ W tych czasach ostatniéj ćwierci XVIII w. nie masz tu żadnéj literatury, niemal żadnego ruchu umysłowego. Główne arterye duchowego życia były przecięte, zatamowano nawet jedyne źródło mogące odrodzić przyszłe pokolenie t. j. szkoły. Literatura, pozbawiona tego silnego fundamentu, rozwija się „jak kwiat wazonowy sztucznie wypielęgnowany ciepłem kilku serc gorętszych, szlachetniejszych umysłów i pracowitszych rąk“ i potrzeba było długiego czasu, prawie pół wieku, „aby kwiat ów pierwsze wypuścił kiełki i listki rozwinął“, (1).

Szczęściem, że wówczas zastępowało domowe wychowanie i rodzinne ognisko opłakaną naukę szkolną. „Z mlekiem matki wysysało dziecię zarody swych uczuć i wyobrażeń rodzinnych szla-

(1) Czasy te scharakteryzował trafnie Wł. Zawadzki w książce p. t. „Literatura w Galicyi (1772—1848) ustęp z pamiętników.“ Lwów 1878, str. 160.

chetniejszych," które z braku dzieł pedagogicznych rozwijały takie książki jak śpiewy historyczne Niemcewicza, ztąd poszło, że cały zastęp pracowników na niwie literackiéj w Galicyi składał się aż do niedawna z autodydaktów. Drugiém ogniskiem umysłowego życia gaszonego systematycznie germanizacyą, był teatr palladium ducha, obyczajów i języka narodowego. Scena ówczesna musiała rywalizować z niemiecką, która posiadała jedynie przywiléj na balet i operę, nie posiadała też efektownych dekoracyj i maszyneryj, mimoto, umiał Bogusławski a potém Kamiński rozbudzić prawdziwy entuzyazm w publiczności, uderzając w strónę patryotyczną. Dość było zatańczyć na scenie mazura lub krakowiaka w polskiéj sukmanie, albo zaśpiewać prostą piosnkę ale rodzimą, „któréj każde słowo uderzało w serca iskrą elektryczną" aby wywołać „powszechny zapał i oklaski." „Na przedstawienie *Krakowiaków i Górali* — opowiada Wł. Zawadzki l. c. 16—powtarzane wielokrotnie, zjechało się tyle osób z najdalszych okolic, pomimo że nie było wówczas jeszcze kolei żelaznych, ułatwiających podróże, iż nie stało miejsca w domach zajezdnych dla pomieszczenia przybywających, każdy kąt przepłacano. Zapał bywał tak wielki, iż pewnego razu na przedstawieniu w amfiteatrze letnim, urządzonym przez Bogusławskiego we Lwowie w ogrodzie Jabłonowskich, publiczność zajęta widowiskiem nie uważała, że przesiedziała w teatrze noc całą, aż brzask wschodzącego słońca wychylającego się po nad drzew szczyty okazał się na widnokręgu powitany grzmiącemi oklaskami i oświecił przepyszny amfiteatr wzgórz otaczających we śnie pogrążone miasto"... Rząd protegował naturalnie scenę niemiecką i dla niéj zamykał teatr polski (np. w 1804). Jeszcze po rok 1872 bywało tylko po dwanaście polskich przedstawień na miesiąc, a artystom grywającym nieraz o głodzie nie wypłacano gaży....

Dwie drukarnie lwowskie duchowne (Jezuitów i Bractwa św. Trójcy) ustąpiły wkrótce miejsca rządowéj drukarni Pillera, która razem z późniejszą Sznajderowską wystarczała na długo potrzebom ówczesnego ruchu literackiego. Firma Pillera do dziś dnia istniejąca we Lwowie wydawała książki do nabożeństwa, gospodarstwa i kuchni i t. p., ale nic poważniejszego albo piękniejszego — ale to już nie jéj wina.

Po Pfaffie zajęła księgarnia Milikowskiego (Szlązaka) (od r. 1820 pod firmą Kohn i Milikowski) ważne stanowisko w ruchu umysłowym Galicyi. „Była ona niejako kasynem literackiém, w którém schodzili się codziennie profesorowie i literaci," ale to już w epoce późniejszéj. Księgarnie prowincyonalne (w Tarnowie, Stanisławowie i t. p.) dawały wtedy jak dzisiaj ledwie słabe oznaki życia.

O literaturze w téj pierwszéj dobie umysłowego życia w Galicyi (od 1772 do 1820) nie można właściwie mówić. Jest-to epoka przygotowawcza w któréj zaczyna się dopiero budzić życie literackie. O jego poziomie daje najlepsze wyobrażenie niski stan piśmiennictwa peryodycznego (cf. Wł. Zawadzki l. c. 40).

Pierwsza gazeta galicyjska pod rządem austryackim była wydawana w języku francuskim (*Gazette de Leopol* r. 1776 — 1787). Wywołały ją smutne stosunki arystokracyi galicyjskiéj, naśladującéj zwyczaje, obyczaje, a nawet język francuski. Pierwsze *polskie* dzienniki okazują opłakany stan inteligencyi galicyjskiéj.... Nie można ich właściwie zaliczać do publicystyki, jest to po prostu zbieranina nowin politycznych społecznych i t. p., doniesień zazwyczaj bardzo spóźnionych, błahych, wyjętych z zagranicznych gazet. Bez tendencyi, krytyki i szerszego poglądu, a nawet bez żadnego kierunku — nie mogły się te dzienniki przyczynić do rozbudzenia ruchu literackiego i pozostały prawie bez żadnego wpływu na literaturę.

Jedynym pismem polskim lepiéj redagowaném i podtrzymującém choć w części życie literackie w téj nieszczęśliwéj prowincyi były „*Rozmaitości*,“ dodatek literacki do Gazety Lwowskiéj. Pismo to żywiło się długi czas przedrukami z pism warszawskich i wileńskich, tudzież tłómaczeniami artykułów niemieckich, i podniosło się dopiero przy końcu pierwszéj ćwiartki bieżącego wieku, kiedy redakcyą jego objął Michalewicz, profesor języka i literatury polskiéj w uniwersytecie lwowskim, a potém J. N. Kamiński. „Rozmaitości“ stanowiły przez długie lata jedyny pokarm umysłowy szerokiéj warstwy społecznéj, rozbudzały zamiłowanie do czytania i chroniły język od skażenia. Inne pisma literackie, wydawane już po r. 1840, chorowały na brak współpracowników i czytelników. Jedynie „Pamiętnik lwowski“ redagowany przez braci Chłędowskich (od r. 1816), który się żywił także obcym dobytkiem (nawet recenzye dzieł polskich tłómaczono z gazety wiedeńskiéj), dawał przez kilka lat znak życia. Tu zamieszczał swoje literackie prace A. Chłędowski i Kamiński głośne w swoim czasie przekłady z Schillera.

Obok czasopism mamy w tym czasie pisma zbiorowe, jak np. noworocznik wydawany przez profesorów uniwersytetu lwowskiego w języku niemieckim i polskim p. t. „Pielgrzym polski“ na wzór niemieckich Almanachów i inne. Ale wszystkie te pisma peryodyczne i zbiorowe aż do wydania „Haliczanina“ (1830) nie wywarły większego wpływu na naszą oświatę i literaturę.

Osobną historyą mają czasopisma niemieckie, podpierane przez rząd, wywierające przeważnie ujemny wpływ na naszą literaturę.

Wywołały je dziwne stosunki, charakteryzujące ówczesne społeczeństwo wogóle (cf. Estreicher W. Pol 66 ff.)

Wskutek napływu niemieckich albo niemiecko-czeskich urzędników i wojskowych, tudzież skutkiem zaprowadzenia języka niemieckiego w szkołach i urzędach, przybrał system germanicyi, konsekwentnie prowadzony w całéj Galicyi, olbrzymie i przestraszające rozmiary. W szkołach nie uczono jak wspomniałem po polsku, a nawet za mówienie ojczystym językiem wyznaczano tu karę (t. z. *Sprachzeischen*). Synowie ze szlacheckich rodzin udawali się dla urzędniczéj karyery do Wiednia (do Terasianu), gdzie przesiąknęli niemczyzną lecz nie duchem i językiem Goethego, ale raczéj Kotzebuego i Ifflanda. Ale i w kraju wychowany młodzieniec nawykał do myślenia i pisania po niemiecku, bo jakżeż mogło być inaczéj kiedy liche elukubracye niemieckie uczniów chwalił, nagradzał, a nawet drukiem ogłaszał profesor. Ten ostatni środek pochlebiał próżności młodzieńców i wielce ich zachęcał do tworzenia wierszy i powieści w języku niemieckim, który uważano za wyższy od polskiego.

Tak wyrosło nowe pokolenie złączone krwią i duchem z Niemcami, mówiące równie źle językiem polskim jak i niemieckim; pokolenie to chełpiło się mianem Galicyan, uważając się za jakiś odrębny naród i rywalizując niemieckością z Niemcami. Był to nienaturalny zabójczy kierunek dla oświaty i literatury polskiéj, bo odejmował jéj pożytecznych pracowników a stwarzał lichych pisarzy niemieckich. Doszło do tego, w tych czasach zastraszającego upadku polskości w Galicyi, że nie umiano nawet pisać ortograficznie po polsku. Dość tu przytoczyć jeden przykład. W. Pol pisze w powiastce z 1825 roku: „S t*e*ch m*ó*rów, przecha*c*ki, pani*o* zżądził“ i t. p.

Lwów wyglądał jak miasto niemieckie. „Lekarze, profesorowie, kupcy, restauratorowie, nawet szynkarze“ byli Niemcy. Napisy ulic, placów i sklepów były niemieckie; za osobliwość przytaczano jedyne godło polskie na domu parterowym w rogu ulicy „Halickiéj i Kamiennéj.“

Te smutne stosunki wywołały potrzebę niemieckiéj publicystyki. W r. 1787 zaczęła wychodzić pierwsza gazeta niemiecka p. t. *Lemberger Zeitung*. Pierwszém niemieckiém pismem literackiém były *Erstlinge des Stiles*, owoce studenckiego talentu, zagrzewanego przez profesorów do niemieckiéj produkcyi. Te dwa tomiki „Pierwocin“ z lat 1819 i 1820 są wysunięte czaty literatury niemieckiéj. Za tém poszły inne czasopisma dość licznie rozrodzone. Ostatnim spóźnionym posterunkiem była podobno „Gali-

cya" (1840—1844). Prawie pół wieku trwała ta sztuczna uprawa niemieckiego żywiołu w cieplarnianéj atmosferze.

Największy wpływ wywierała „Mnemosyne", redagowana głównie przez A. Zawadzkiego, szlązaka. Żydzi, poczuwający się w Galicyi do dziś dnia przeważnie do narodowości niemieckiéj, dostarczali tu silnego kontyngensu. Jeszcze przekładami poetów polskich (Mickiewcza, Brodzińskiego, Witwickiego, Krasińskiego i wielu innych) oddawała „Mnemosyne" pewną przysługę literaturze. Do charakterystyki tego sztucznego ruchu literackiego posłużyć może np. ta okoliczność, że gdy umarła aktorka niemiecka (Kajzerówna), opłakiwało ją czterech polskich wieszczów po niemiecku, między tymi jeden gorący patryota (Malisz), a fakt ten nikogo nie raził. Nie myślę jednak zaprzeczać, że te czasopisma niemieckie jak cała oświata niemiecka wogóle nie wywierały także dodatniego wpływu, owszem społeczeństwo galicyjskie otrząsło się po części z naśladownictwa francuszczyzny, poznało wielkich pisarzy niemieckich i przejęło się nauką i oświatą zachodu. Literatura galicyjska od poznania Byrona, Szekspira (głównie za pośrednictwem Niemców), Goethego i Schillera weszła na nowe tory, a język kształcony na wzorach niemieckich nabierał ścisłości i głębokości. Z téj szkoły wyszli Brodziński, Bielowski, Siemieński i wielu innych.

W epoce w któréj żył i pisał Tymon Zaborowski leżało pole *literatury* w Galicyi prawie zupełnie odłogiem, dopiero przy końcu téj epoki zaczyna się literatura dźwigać z niemocy i szukać nowych torów, ale przez ćwierć wieku wegetuje ona karmiąc się przeważnie jałmużną zaczerpniętą u obcych,—przedrukami, tłómaczeniami i naśladownictwem. Maniera pseudoklasyczna doprowadzona w niéj została *ad absurdum*. W całéj téj jałowéj epoce nie brakło na pisarzach i poetach dziś zupełnie zapomnianych, a zażywających w owym czasie pełnéj sławy jak Ign. Lubicz Czerwiński, A. Kretowicz, Kikiewicz i wielu innych wierszopisów drukowanych w „Polyhymnii" Szczepańskiego i w „Haliczaninie" Chłędowskiego, w tych słynnych swego czasu zbiorach odzwierciedlających charakter minionéj epoki i nowéj romantycznéj doby. Ale nie było żadnéj w owym czasie wybitniejszéj osobistości, któraby mogła reprezentować dążenia i kierunek téj bladéj i bezbarwnéj literatury, jak nie było nawet ogniska, w którémby się skupiało to słabe życie literackie.

W tych jałowych czasach wpółsennego życia galicyjskiego żył i pisał Tymon Zaborowski, głośny w swoim czasie „wieszcz Miodoboru," którego ostatnie prace poetyckie przypadają już na czasy przełomu z t. zw. epoki klasycznéj do romantycznéj.

I.

Tymon Zaborowski urodził się dnia 18 kwietnia 1799 r. z ojca Józefa w Liczkowcach (w dziedzicznéj majętności matki Julianny, z domu Szeptyckiéj), we wsi położonéj u podnóża gór miodobórskich nad Zbruczem (w dzisiejszym powiecie czortkowskim) (1). Lata dziecinne spędził w domu rodzicielskim, gdzie staranne wychowanie kształciło w nim „szczęśliwe przyrodzenia dary.“ Szkoły średnie lwowskie, do których go oddano, gdzie przeżuwano tylko kuchenną łacinę, niemczyznę i katechizm i tamowano wszelki samodzielny rozwój umysłowy uczeniem się na pamięć tych przedmiotów, nie mogły rozwinąć uzdolnienia Zaborowskiego. Oddano go więc po ukończeniu szkół we Lwowie w r. 1810 do słynnéj w owym czasie szkoły Krzemienieckiéj, prawdopodobnie z powodu pokrewieństwa jego matki z domu Szeptyckiéj z Czackimi. Tu uczęszczał do liceum z Karolem i Janem Sienkiewiczami, Gustawem Olizarem, Józefem Korzeniowskim, Fr. Kowalskim, Ordyńcem i tylu innymi, których imiona zasłynęły później w naszéj literaturze. Tadeusz Czacki zaszczycał młodzieńca będącego „chlubą nauczycieli“ i „wzorem współuczniów“ szczególniejszą przychylnością licząc go do tych, których „nadziejami swemi“ nazywał. Już wtedy dał się Tymon poznać poematem „w kilku pieśniach“ p. t. „Klub piśmienniczy,“ który pozostał w tece autora.

Na podstawie „Wspomnień Franciszka Kowalskiego“ (Kijów 1859, tom I, str. 99) możemy bliżéj poznać stosunki, wśród których żył i obracał się przez kilka lat Zaborowski. Przypatrzmy się przedewszystkiém samemu miastu.

Gmach licealny otaczały domy i wille zamożnych rodzin osiadłych tu z różnych stron dla wychowania dzieci. Ludność miejscowa i przyjezdna sprawiała wesoły ruch w mieście, w sklepach i magazynach było pełno bogatych towarów, wszystko wskazywało zamożność i dobrobyt miasta. Na karnawał zjeżdżało się mnustwo gości z całego Wołynia i Podola, dawano bale, koncerty, różne zabawy,—słowem Krzemieniec mógł się nazywać wówczas nie bez słuszności „małym Paryżem.“

---

(1) W księgach tabeli krajowéj we Lwowie (Dom 6, pag. 385 i w. i.) są odnośne dokumenta do małżonków *Józefa i Julianny* z Szeptyckich Zaborowskich, właścicieli dóbr Liczkowce z przyległościami (w obwodzie Czortkowskim w Galicyi wschodniej); o samym Tymonie nie ma żadnéj wzmianki. Liczkowce spadły po śmierci Tymona na jego brata *Franciszka*, Z listu Zaborowskiego do Sabińskiego z 19 marca 1823 wynika, że ojciec Tymona nazywał się *Józef*.

Ale i księgarnia Glücksberga umieszczona w jednym z gmachów liceum, równie wielki miała odbyt jak magazyny nowości. Stary Glücksberg rzadko przyjeżdżał tu z Warszawy, filią krzemieniecką zarządzał syn jego Teofil, kiedy zaś ten wyjeżdżał, zostawiał czasem swego stryjecznego brata Emanuela, chłopca wielkich zdolności „ale wielkiego w handlu księgarskim niedbalca, który chodził na lekcye do liceum i bardziéj pilnował kursów szkolnych niż powierzonéj sobie księgarni.“ U niego to schodził się „kongres literatów i nieliteratów podlewany herbatą i winem.“

Liceum krzemienieckie było ogniskiem nauki skąd się rozchodziły promienie światła na cały kraj i na całe pokolenia. Był to niby mały uniwersytet, który zastępował szkoły średnie a nawet fachowe dla rzemieślników, na skróś niepedagogiczne mixtum compositum ale nie bez wielkich zalet indywidualnych kierownika szkoły i pedagoga. Czacki kochający całą duszą uczącą się młodzież umiał zachęcać ją do nauk—staruszek grywał sam z malcami w piłkę, starszą młodzież zapraszał na wieczory tańcujące do siebie, które dawał co miesiąc. Ze wszystkich uprawianych w szkole nauk zakwitła najbardziéj matematyka. Podnieśli ją głównie trzéj profesorowie tego przedmiotu, odgrywającego wówczas o wiele większą rolę niż dzisiaj w pedagogii. Wojciech Jurkowski dawał niższą matematykę i geometryą, wyższéj matematyki udzielał Jan Wyżewski, profesorem algiebry był Grzegorz Hreczyna. Obok matematyki uprawiano głównie język i literaturę łacińską (pod Aloizym Osińskim) i ćwiczono się w stylu, wymowie i poezyi polskiéj. Wszyscy profesorowie żyli z sobą w zgodzie i przyjaźni, nie było nigdy kłótni, ani komerażów. Takie przykładne życie wpływało wielce na obyczaje młodzieży kształcącéj się w duchu obywatelskim, między uczniami nie było znać różnicy wieku i klas, wszyscy stanowili jakby jedną rodzinę, do któréj należeli mieszkańce miasta a nawet przyjeżdżający goście—cały Krzemieniec przypominał z tego względu patryarchalne społeczeństwo.

Przyszłych pracowników pióra przysposabiało „Towarzystwo piszących“ pod kierownictwem autora „Barbary“, składające się z uczniów krzemienieckich z dwóch ostatnich kursów i podzielone na dwa koła. Podczas publicznych aktów czytali członkowie połączonego towarzystwa przed mowami profesorów i dyrektora swoje elukubracye prozą i wierszem. Pochwały i oklaski publiczności zachęcały uczniów najbardziéj do pracowania w literackim zawodzie. Nic dziw téż, że w takiéj atmosferze powstało nawet osobne czasopismo założone, redagowane i zasilane prawie wyłącznie, przez uczniów szkoły Krzemienieckiéj, chociaż wychodziło w Warszawie.

Wszystkie te zalety i wady krzemienieckiego życia i wychowania odbiły się na Zaborowskim, który zawdzięczał tej szkole czystość i piękność języka, gładki, staranny wiersz i w ogóle dbałość o zewnętrzną formę poezyi, ale z drugiéj strony nabył tu cechy naśladowczéj maniery i retoryczności pseudoklasycznéj, z których się dopiero otrząsł przy końcu życia i to nie ze wszystkiem.

Po ukończeniu szkół w Krzemieńcu wyjechał Zaborowski do Warszawy gdzie bawił prawdopodobnie przez dwa lata (1817—1819). W tym czasie przełożył wierszem tragedyą Woltera p. t. Tankred „która mimo niepoprawności przekładu na teatrze narodowym (warszawskim) kilkakrotnie wystawiona i mile przyjęta była.“ W kalendarzyku politycznym na r. 1818 figuruje jako asesor w „delegacyi administracyjnéj w zastępstwie Rady Stanu Królestwa Polskiego działającéj“ Teofil Zaborowski (1), zdaje się że to nasz Tymon bo wiemy z biografii umieszczonéj w rękopisie bibl. Osolin. N. 489 że pracował w owym czasie jako urzędnik w biurze Rady Stanu. W następnym roku (1818) nie ma go w téj delegacyi, którój skład jak wiadomo co roku się zmieniał, nie odszukałem go też w innym urzędzie w kalendarzyku na r. 1819. W owym czasie (1818) zaczął wydawać razem z kolegą Franciszkiem Skomorowskim „sekretarzem w komisyi rządowéj przychodów i skarbu“ „*Ćwiczenia naukowe*“ pismo naukowe i literackie.

W Warszawie potworzyły się były w owym czasie w obozie klasyków oddzielne koła literackie. Obok grona powag klasycznych jak Kozmian i Osiński, tworzyli odrębne kółko młodych klasyków: F. S. Dmochowski, Ksawery Godebski, Dominik Lisiecki, Ign. Humnicki i inni a obok nich gromadziło się około „Ćwiczeń naukowych“ grono Krzemieńczanów jako to: Zaborowski, Sienkiewicz, Korzeniowski, Sierociński, Skomorowski, i Tylman. Wszystkie te koła i kółka literackie miały wybitną cechę pseudoklasyczną, ale każde z nich miało jakiś drobny odcień albo jakąś odrębną właściwość odróżniającą je od innych (2).

Nas tu zajmuje tylko grono młodzieży Krzemienieckiéj grupujące się około „Ćwiczeń naukowych.“ Jeszcze zasiadając na ławach

---

(1) Prezesem był wówczas Józef Wybicki, członkowie Brocki A, Szymanowski A, Miklaszewski I, Leszczyński F, Mirski B, i Miszewicz St. pisarz, Asesorowie oprócz Teofila Zaborowskiego Karczewski J, Marciszewski J, Krzymuski M. sekretarz, Matusiewicz dziennikarz, Dębowski archiwista, (kalendarzyk polityczny pijarski na r. 1818 p. 84 „skończono drukować duia 24 grudnia 1817“).

(2) Czasy te spisał z pamięci jeden z głównych uczestników ówczesnego życia F. S. Dmochowski w „znakomitych literatach z okresu 1800—1830.“

szkolnych powzięli uczniowie gimnazyum wołyńskiego, nie bez rady i zachęty ze strony nauczycieli, myśl założenia czasopisma jako własnego organu. Myśl tę urzeczywistnili Zaborowski i Fr. Skomorowski, którzy jako urzędnicy przebywali stale w Warszawie (gdzie było ułatwione wydawanie czasopisma) i mieli koleżeńskie stosunki z krzemieńczanami dostarczającymi prac swoich do „Ćwiczeń naukowych.“

Nie znamy bliżéj genezy tego pisma—wiemy tylko, że po zapowiedzi w „Gazecie Korespondenta Warszawskiego“ wyszedł 29 listopada 1817 r. „Prospekt“ na „Ćwiczenia naukowe pismo peryodyczne“ złożone z dwóch oddziałów (I. Matematyczno-fizyczny II literacki) a 1 stycznia 1818 ukazał się pierwszy numer czasopisma, które odtąd co *sześć tygodni* wychodziło u Glücksberga.

Zastanówmy się nad „Oddziałem literatury.“ Wydawca tego działu Tymon Zaborowski (podpisujący się bardzo często w przypiskach od redakcyi początkowemi literami T. Z.) wypowiada dość jasno swoje zasady i teorye, wedle których zamyśla ten oddział czasopisma prowadzić. Przedewszystkiém usuwa prawie zupełnie ruch bieżący, dział, nadający jak wiadomo, czasopismom właściwy im charakter „Doniesienia o nowo wychodzących dziełach—powiada wyraźnie wydawca w prospekcie—mniéj tu już stają się ważnemi; pracujący bowiem w przedmiotach gustu, bardziéj niepodległy i mniéj w utworach swoich od prac współczesnych zależący (jakie zaskorupienie się pseudoklasyczne!) ani tyle istotnéj widzenia o nich ma potrzeby, ani nawet zazwyczaj tyle ciekawości (!). „Drugą charakterystyczną cechą redakcyi jest „Narodowość“ znamionująca wszystkie, dzieła i piśmidła ostatniéj pseudoklasycznéj doby. „Polska—czytamy w prospekcie—ma swoje piękności, Polacy właściwe sobie cnoty. Polskiéj wymowie i poezyi należy i przystoi tak jedne jak drugie malować i wystawiać, śpiewać i wielbić, a pracujący w tym duchu (narodowym), jeśli na trudną pisarza albo poety chwałę nie zasłuży, przynajmniéj dobrym okaże się Polakiem.“ Przebija tu nieznacznie fałszywe stanowisko krytyki literackiéj oceniającéj utwory literatury miarą obywatelstwa i patryotyzmu, stanowisko dające się tylko usprawiedliwić utratą bytu politycznego. Co się tyczy formy zewnętrznéj tego oddziału „Ćwiczeń“, to starano się o przystępność i popularność „aby—jak zapowiadają w prospekcie—dla jak największéj liczby czytelników zajmującymi i zrozumiałymi się stali, aby mogli nie zrażając surową uczonością zawsze oświeconą przynosić zabawę.“

Te były cele i zasady których się trzymał stale literacki redaktor „Ćwiczeń,“ Tymon Zaborowski. Możemy tylko zaznaczyć drobne

ustępstwo spowodowane listem od Teodozego Sierocińskiego, jednego z najgorliwszych współpracowników „Ćwiczeń naukowych“ ucznia szkoły krzemienieckiéj a późniéj głośnego gramatyka, który posyłając do redakcyi część słownika Al. Osińskiego i drobną cząstkę spuścizny po „nieśmiertelnéj pamięci Korsaku“ domaga się niektórych reform czasopisma.

„Ćwiczenia naukowe“ były przedewszystkiém organem Krzemieńczanów ściśle z sobą związanych węzłami koleżeństwa i przyjaźni. Być może że nawet ułożono się zrazu między sobą aby prace *jedynie* umieszczać własne, nie dając w czasopiśmie przystępu obcym pisarzom. To pewna że *najgłówniejszy* kontyngens prac dostarczali byli uczniowie szkoły Krzemienieckiéj swemu koledze Zaborowskiemu, przybywającemu stale w Warszawie i zajętemu gorliwie zmudną pracą redaktorską. Otóż w liście z Krzemieńca z dnia 15 grudnia (1817) podaje Sierociński między innemi projekt aby otworzyć w „Ćwiczeniach“ „przystęp wszelkiego rodzaju wzorom któreby szczególne *osoby nie należące do naszego związku* przesyłać mogły.“ (Ćwiczenia I, 118). Projekt ten został do pewnego stopnia uwzględniony, świadczy o tém pomieszczenie prac Al. Osińskiego, poezyi Rajmunda Korsaka itp. ale były to wyjątki, bo „Ćwiczenia naukowe“ pozostały na zawsze organem grona młodzieży ze szkoły Krzemienieckiéj.

Na drugi projekt Sierocińskiego rozwinięty we wspomnianym liście, aby na miejsce oryginalnych pism „zwłaszcza poezyi“ nie wytrzymujących krytyki, „przyjmować raczéj dobre tłómaczenia z autorów klasycznych dawnych lub nowych,“ („Ćwiczenia“ I 118) nie zupełnie się zgodził Zaborowski, owszem z poezyj umieszczał najwięcéj pism oryginalnych; oprócz nieuwzględnionéj poprawki aby zmienić niesmaczną nazwę „Ćwiczenia naukowe“ na jeszcze gorsze „Ćwiczenia umysłu“ lub ćwiczenia „umysłowe“ radzi daléj Sierociński „aby w oddziale literatury umieszczać wszystko co tylko należy do przedmiotu *moralnego*, na który osobnego działu nie mamy“ domagając się „połączenia moralnego przedmiotu z Literaturą.“ Dział moralny do którego jak wiadomo zaliczano filozofią, prawo, psychologią, etykę itd. był téż dość silnie reprezentowany w „Ćwiczeniach.“

Zaborowski występuje rzadko w „Ćwiczeniach“ bezpośrednio jako redaktor. Ale wobec wspomnianego „listu do Redaktora Ćwiczeń naukowych oddziału Literatury“ wyraźnie wypowiada swe zdanie. Uderza słusznie jako redaktor na tych, którzy „wzbraniają przystępu do pisma peryodycznego piórom obcym“ nazywając takie postępowanie „próżnością, nierostropnością na powszechne zniechę-

cenie, śmiech lub gniew nawet wystawującą się bezczelnie.“ Mimo to umieszcza głównie prace swoich kolegów usprawiedliwiając się przedewszystkiém brakiem miejsca. „Należy więc—powiada Zaborowski—przyjmować pisma łaskawych wspieraczów (poza gronem Krzemieńczan) ale w ich umieszczaniu wybór i miarę zachować potrzeba. Mnie zaś koniecznie wypada w tym względzie nieprzebierać miary, gdy i tak szczupłe granice pisma mojego, niepozwalając mi tyle być hojnym, tyle gościnnym ilebym rad się okazać, teraz jeszcze bardziéj uszczuplone zostaną w téj mierze.“

Zaborowski ma tu na myśli rozbiory nowszych książek, którym wbrew dotychczasowéj praktyce „za namową światłych osób umyślił część pisma poświęcić“ i które grożą i tak już szczupłe rozmiary jego pisma jeszcze bardziéj ścieśnić. Postanawia zatem umiarkowany redaktor „i w tym przedmiocie *ograniczyć się* znowu“ do „uwag rozbiorowych“ tylko nad niektóremi dziełami starając się pozbyć artykułów krytycznych, którym aby w krótkości swojéj zajmowały (czytelników) uszczypliwość stała się niezbędną.“

Jeżeli porównamy program i charaktek „Ćwiczeń naukowych“ z współczesnemi czasopismami, to okaże się wiele podobieństwa. Smutny stan publicystyki polskiéj, zwłaszcza w pierwszéj ćwierci XIX wieku, spowodowany stanem politycznym i ekonomicznym kraju, odbijał się żywo mniéj więcéj na wszystkich choćby najszlachetniejszych usiłowaniach. Bez dostatecznych zasobów materyalnych, bez silniejszego poparcia u szerszéj publiczności, powstały i upadały po upadku Rptej wiele czasopism, o których ledwie dziś bibliografowie wiedzą. Z wyjątkiem „Pamiętnika warszawskiego“ „Wiadomości brukowych“ i „Dziennika wileńskiego“ nie zdołały one sobie wyrobić donioślejszego znaczenia ani zapewnić trwalszego bytu. Wszystkie te pisma z bardzo małemi wyjątkami są więcéj magazynami wiadomości, nauk i wynalazków, niż czasopismami o peryodycznym publicystycznym charakterze. Brak im samodzielności i oryginalności; przeważają bowiem przeważnie obce myśli i czerpią materyał z drugiéj ręki, stąd tyle tłómaczeń, wyciągów i streszczeń z obcéj, przeważnie francuskiéj literatury. Osoba redaktora, jego zapatrywania, sądy i przekonania usuwają się albo znikają zupełnie, a w zamieszczanych artykułach nie widać żadnéj przewodniéj myśli ani tendencyi. Współczesna Zaborowskiemu publicystyka obraca się, pomimo wybitnie uniwersalnego charakteru, w dość ciasném kole wyobrażeń. Znajdziesz tam wiele szczegółów i wiadomości z najróżnorodniejszych nauk, ale brak samodzielności krytyki i tendencyi któreby je w pewnym kierunku zużytkowały. Nadto pisma te nie wywierają wpływu na oświatę narodu,

publiczności, są to organa pseudoklasycznéj inteligencyi nie mające ściślejszego związku z rzeczywistością ani podnoszące kwestyj żywotnych; dla tego to tak mało w nich wiadomości o bieżącym ruchu literackim i umysłowym z własnego kraju. Na pierwszym planie stoi przeważnie dział „nauk moralnych“, na ostatnim „litaratura piękna“ zakres nauk i umiejętności jest ogromny: filozofia, etyka, psychologia, pedagogika, nauki przyrodnicze, medycyna, chirurgia, nauki prawne i społeczne, agronomia, administracya, nauki historyczne i filologiczne itd. itd. Treść rozmaita ale jałowa a forma pseudoklasyczna bez barwy i życia.

Te mniéj więcéj znamienne rysy naszéj publicystyki literackiéj z pierwszéj ćwierci XIX w. składają się i na fizyognomią „Ćwiczeń naukowych“, odróżnia je tylko wynikający z natury rzeczy charakter akademicki, studencki. Jeżelibyśmy mieli wydać sąd o „Ćwiczeniach naukowych“ ze stanowiska naukowego to wypadłby on w ogóle dodatnio. Nie zapominajmy bowiem, że to organ młodzieży uczącéj się, albo niedawno wyszłéj z murów szkolnych, starającéj się według sił stanąć na poziomie swoich nauczycieli, największych powag w ówczesnéj literaturze. Kierunek ten zawisłości posunięto aż do ostateczności w rozprawie Sierocińskiego „o oryginalności“, którego hasłem jest aby „polegać raczéj na cudzych dobrze ugruntowanych zdaniach niżeli na swoich.“ Rozprawa „o romansach“ wykracza tylko w kilku ustępach w duchu sentymentalnym po za te ciasne granice.

Studyum Chodakowskiego „o Słowiańszczyznie przed Chrześciaństwem“ (przedrukowana *poprawnie* w Pamiętniku lwowskim 1816 tom I str. 7 in.) ma epokowe znaczenie i jest do pewnego stopnia wyjątkowe. W „Ćwiczeniach,“ nie brak téż rzeczy ściśle historycznych i tak ważnych w owym czasie rozpraw z nauk moralnych. Dział poezyi zapełniał wprawdzie redaktor swojemi płodami, ale te zażywały w swoim czasie wielkiego rozgłosu, jak i wiersze Korsaka i prace Osińskiego. Nawet w porównaniu do innych czasopism spółczesnych z r. 1818 (do „Dziennika“ i „Tygodnika wileńskiego“ do „Pamiętnika lwowskiego“ i „Tygodnika“ Kicińskiego) nie tracą wcale „Ćwiczenia naukowe“ mające tylko mniéj wybitny charakter pisma peryodycznego.

Najcięższy zarzut jaki można uczynić redakcyi literackiéj części „Ćwiczeń“, jest ten że nie szła z postępem nowych, kielkujących wyobrażeń i teoryi literacko-estetycznych. „Ćwiczenia“ były magazynem wyłącznie pseudoklasycznych elukubracyj w duchu i stylu dawnego rokoko, chociaż już wówczas zaczęła świtać jutrzenka nowéj, romantycznéj ery.

Z rozpraw literackich umieszczonych w „Cwiczeniach“ charakteryzuje pseudoklasyczne stanowisko redaktora jego artykuł: „O zewnętrznéj budowie wiersza polskiego“ w któréj występuje przeciwko współczesnym zwolennikom metryczności. Jak wiadomo stała się wówczas koło r. 1818 metryka polska przedmiotem roztrząsania i badania, a w praktyce zaczęto używać wierszów rytmicznych jednozgłoskowych rymów itp. nowości, które gorszyły poetów dawnéj szkoły, jakkolwiek wiele z tych rzeczy nie były wcale nowe. Że tu wspomnę tylko o „Odprawie posłów“ Kochanowskiego i o satyrach Opalińskiego, o miarowych przekładach Ossyana przez Fr. Kniaźnina i Iliady przez Staszica itp.

Pierwszym, który starał się teoretycznie dowieść potrzebę zarzucenia wierszów polegających jedynie na równéj ilości zgłosek, a oświadczył się stanowczo za zaprowadzeniem rytmiczności do polskiego wiersza, był Elsner który napisał jak na owe czasy gruntowną i znakomitą książkę p. t. „Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego Warszawa 1818 część I, (część II nie wyszła z druku). Zasady jego o rytmiczności przeprowadził w praktyce młody poeta, zwiastujący nową erę w naszéj literaturze—Kazimierz Brodziński, dołączając do tejże rozprawy kilkanaście wierszyków jeszcze trochę sentymentalno tkliwych, w których jest rytm ściśle zachowany. Ta kwestya zajęła nawet zostającą dotychczas na uboczu Galicyą. W Pamiętniku lwowskim (z r. 1819 I. 49 i 243 11) czytamy wiersze miarowe Szczepańskiego i Głogowskiego mające wybitnie rytm *daktyliczno* trochaiczny. (Porównaj też spór w téj kwestyi Królikowskiego z Okraszewskim w Pamiętniku warszawskim 1818 tom X). Zaborowski zabrał głos w rozprawie „O zewnętrznéj budowie wiersza Polskiego“ umieszczonéj w pierwszym roczniku „Ćwiczeń naukowych“ (1818 I. 147—158). Wspominając tu o Elsnerze i Brodzińskim z uznaniem: „Wdzięczność winniśmy pracującym w tym przedmiocie i temu co tę myśl pierwszą podał i temu co ją zgłębił, rozebrał i udowodnił (Elsner) i nierównie więcéj jeszcze temu co wzorowem „Opery włoskiéj w podróży“ i jedynym w tym rodzaju dotąd tłómaczeniem dał razem i przykład i wzór (Jan Kruszyński tłómacz owéj opery Fiorawiantego). „Ale—dodaje zaraz uczeń Czackiego i Osińskiego—gdy doskonalący w tym przedmiocie budowę wiersza naszego *przestępują zakreślone temu rodzajowi granice*, gdy *chcą narzucać uciążliwie wierszowi polskiemu kajdany*, kiedy nie przejąwszy się duchem języka i wierszopistwa, już podanych trzymają się przepisów w odlewaniu wcale nie muzykalnych wierszy *i zupełnie nowy sposób* ich pisania wprowadzić w używanie usiłują, skoro zaczynają grozić wylewem i zatopem najobfitszych w plony niw na-

szych, powstrzymać jego niszczący napływ sądzimy się obowiązanymi, sądzimy się jeszcze zdolnymi.“

Aby zbić te nowatorskie zasady zaczyna Zaborowski swoje wywody od zastanowienia się w ogóle: „co jest źródłem, co jest celem mowy wiązanéj i jak do tego celu, we wszystkich wiekach i krajach jednego, różne ludy według odmiennych języków swoich z natury i składu inaczéj postępować musiały.“

Za cel formy wierszowanéj, którą nazywa nie wiedzieć dla czego „natężoną mową“, uważa Zaborowski „wysłowienie się zwyczajnemi wyrazami ale nadzwyczajnym sposobem (?), tak aby ten nowy język dla wszystkich zrozumiały wszelako, od pospolitego nawet co do zewnętrznej swojéj budowy odmienny, przyjemne i nowe na każdym czynił wrażenie.“

Ten cel jest wspólny poezyi „wszystkich narodów“ tylko dla odmiennéj natury języków musiano odmiennych używać środków dla dojścia do tego celu. I tak np. u Rzymian zasadzało się to „natężenie mowy wiązanéj“ na „stosunku jednostajnéj miary wiersza całego do coraz odmiennéj miary każdego z osobna wyrazu w jego skład wchodzącego.“ U nas aby dojść do tego celu, aby sprawić przyjemne i nowe na ucho wrażenie „trzeba było w mowie wiązanéj odmienić *miarę* (?) (1) zwyczajną języka“ trzeba było starać się, aby w wierszach najmniéj czuć się dawała owa tak właściwa językowi naszemu jednostajność.

Aby więc uniknąć téj jednostajności spadku wyrazów w mowie zwyczajnéj, usiłowano w poezyi ten porządek pomieszać i wywołać sztucznym szykiem i ugrupowaniem wyrazów ten skutek, który uważa Zaborowski za cel wierszowanéj formy. I tak np. starano się w t. z. bohaterskim wierszu (13 zgłoskowym) łamać go cezurą po średniéj zgłosce a nadto „*iloczas* (?) (2) języka był odmienny od iloczasu zwyczajnego jakiegokolwiek polskiego wyrazu.“

To odróżnienie rytmu poezyi od prozy jest w zasadzie zupełnie słuszne, tylko doprowadzili je nasi pseudoklasycy *ad absurdum* przez sztuczne i nienaturalne wyśrubowanie rytmu, sądząc ze im więcéj oddalą rytm poezyi od mowy zwyczajnéj tém podnioślejszy będzie ten (jak go stosownie do tego nazwali) heroiczny wiersz.

---

(1) Autor rozumie tu prawdopodobnie rytm mowy zwyczajnéj w takim razie ma słuszność.

(2) Gdybyśmy podłożyli tu „rytm“ możnaby to zdanie zrozumiéć. W ogóle nie zdaje sobie Zaborowski sprawy z tego co to jest miara „iloczas“ rytm itp. elementarne pojęcia metryki w ogóle, dla tego popelnia tak rażące błędy.

Z tego sztucznego rytmu wyciąga Zaborowski końcowy wniosek, że „miara wiersza polskiego, to jest natężenie mowy wiązanéj, zawisło na stosunku *jednostajnéj miary* (?) każdego z osobna wyrazu wiersz składającego do nieporządku (układu), w miarach całego wiersza, a bardziéj do odmiennego tegoż nieładu postrzegać się dającego w wielu razem wierszach.“ Z tego niejasnego zdania robi autor potężny skok logiczny i konkluduje: „Okazuje się więc *widocznie* (?), że używanie miar w naszym języku“ jest prawie niemożliwém a jeżeli „mogą być u nas użyte niekiedy, to raczéj się tylko do składu niektórych wierszy stosować i zupełnie wprowadzonemi nigdy być nie powinne i nie mogą.“

Po tych wywodach, które nas nie przekonywają chociaż wiemy, że nie można u nas marzyć o metryczności wiersza w znaczeniu metryki klasycznéj albo nawet niemieckiéj, przechodzi Zaborowski do drugiéj części spornéj kwestyi t. j. do rymu. W owym czasie bowiem zaczęto używać męskich rymów (do pierwszych należał Brodziński) i t. z. białych wierszy na wzór klasyczny. Zaborowski zadaje więc sobie pytania: „czy rym u nas jest próżną tylko wiersza ozdobą, czy potrzebą z natury saméj języka wynikającą, czém on jest w innych współczesnych językach i czemu w dawnych go nie używano.“ Odpowiadając na nie dochodzi do rezultatu, „że rymy u nas są konieczne, że bardziéj niż w innych językach łatwe, bardziéj dla jednostajnego wyrazów spadku potrzebne niż dla podobnych ich zakończeń.“ Ta ostatnia myśl jest naturalnie mylną. Przecież to końcowe równobrzmienie rymu uderza mile nietylko nasz zewnętrzny zmysł, ale podnosi także pojęcia, wyobrażenia końcowe, które przez to zewnętrzne echo tkwią żywiéj i głębiéj w wyobraźni. Nie można też powiedzieć za Zaborowskim, że rym jest u francuzów tylko igraszką.

Za źródło bogactwa rymów u nas uważa on podobieństwo końcówek rzeczownika, imiesłowów, przymiotników i słów, i ich odmiany przez przypadkowanie i czasowanie. I ta jednostajność zakończeń wyrazów i spadków jest główną przyczyną dla czego rym w każdym wierszu jest niezbędnym. Przytém sądzi autor że „rzeczowniki przyjemniéj rymują z przymiotnikami, imiesłowami i słowami i nawzajem aniżeli rzeczowniki przymiotniki, imiesłowy lub słowa same z sobą.“

Autor kończy swoje uwagi zdaniem, że wiersze współczesne chociaż nie mają rytmu są doskonałe i urozmaicone „bądź iloczasem (?) bądź rymem, bądź przestankami.“ Kiedy tymczasem wprowadzone do niego miary zrobiłyby wielką muzyce przysługę (autor ma tu na myśli Elsnera, który w wspomnianéj rozprawce uważa

wiersz polski głównie we względzie muzycznym), ale pozbawiłby go za to największéj zalety to jest rozmaitości.

Ten końcowy wniosek jest mylny. Odwrotnie, rytmiczność, czyli mówiąc niewłaściwie językiem spierających się: metryczność, wprowadza praktycznie wielką rozmaitość rodzajów wiersza, a jeżeli tu mówią klasycy o monotonności rytmu, to nie rozumieją i nie czują istoty miarowości i rytmu, którego cała poezya polega na tém zakołysaniu umysłu w takt, na téj właśnie jednostajności toku i formy wiersza ujmującego bogatą i rozmaitą treść.

Zdanie to, że nasze wiersze „nie mają jednakowéj *miary* iloczasowéj“, znajduje u autora, będącego zarazem redaktorem, dziwaczne zastosowanie. Oto drukuje swoje wiersze „Jamedyr Blud“ i następne (patrz str. 158—227), jednym ciągiem jak prozę i odstępuje od powszechnie przyjętego zwyczaju umieszczania wierszów jednego pod drugiém dla tego tylko, bo zwyczaj ten ma pochodzić u nas „z naśladowania wierszów w innych językach, w których będąc miarowemi tego porządku dla łatwiejszego w nich miar rozpoznania zdawały się potrzebować.“

Ostatnią wzmiankę o miarowych wierszach już zupełnie odmienną, bo wyrobioną pod wpływem nowych wyobrażeń literackich, mamy w „listach poufałych Tymona do Juliana Sabińskiego“ (w prywatnym zbiorze Dynowskich w Berdyczowie). W pierwszym liście pisanym do przyjaciela z Liczkowiec dnia 22 lutego 1822 r. przemawia do niego w następujących rymach:

Myśl z rymem chwytajmy zręcznie
I niech same wiersze płyną.
Na kwiat leśny patrzę wdzięcznie,
Lecz gardzę nędzną rośliną,
Co w glinianym gnijąc słoju
Wygląda z okien pokoju,
Kiedy zimna i ponura
W śniegach śpi cała natura.
I by wydobyć rym nowy
Nie będę rozbijać głowy.
Czyż nie może wiersz miarowy
Mieć w swoim składzie prostym i powolnym toku (1)
Czarującego wdzięku Felińskich języka?
Dla słabego tylko wzroku (2)
Cień przy świetle jest potrzebny,
Bo przy nim światło odbite
Jeszcze jaśniejsze się staje.
Lecz ja w samym blasku słońca
Jego całą widzę świetność.

---

(1) Ten długi wiersz ma zewnętrznie oddawać „powolny tok“ miarowego wiersza.
(2) Cały ten ustęp jest pisany t. z. wierszem miarowym, nierymowanym.

„Jednak moje uwagi — dodaje Zaborowski — pozać nie dadzą zalet wiersza miarowego w języku polskim, jeśli ich uczuć nie da tłómacz najwyborniejszy tragedyi.“ Ta ostatnia wzmianka odnosi się może do Sabińskiego albo prawdopodobnie do St. hr. Starzyńskiego, tłómacza dramatów (Grillparzera i Müllera).

Ale nie uprzedzajmy wypadków. W owym czasie, o którym tu mówimy (1818 r.), był młody poeta zasłonięty jeszcze grubym pancerzem pseudoklasycznych zasad, które znalazły swój wyraz pośrednio w rozprawach współpracowników „Ćwiczeń“ albo w przypiskach do przekładów przeważnie z francuskich autorów. I tak np. umieszczając w t. z. dziale nauk moralnych rozprawę „O szkodliwych skutkach *namiętności*“ (są to wyjątki z „Uwag Tuskulańskich“ Cycerona, przełożone przez Sierocińskiego) i tuż obok rzecz „O namiętnościach“ (przekład z głośnego w swoim czasie dzieła Weissa p. t. „*Principes philosophiques, politiques et moraux*“); czuł potrzebę zaznaczyć w przypisku powód umieszczania tak odmiennych prac w téj saméj materyi. „Zostawiam czytelnikom — powiada w przypisku na str. 181 — do osądzenia, który sposób tłómaczenia namiętności bardziéj zgadza się z naturą naszego narodu i sam tylko tę zrobię uwagę, że zastanowienie się nad tym przedmiotem naszych pisarzów doprowadziłoby ich do poznania prawdziwego charakteru Polaka, który zdając się więcéj zbliżać do charakteru dawnych Rzymian niż współczesnych zachodnich ludów i t. p. Żal mi — kończy redaktor — że nie mogę rozszerzyć się nad tym przedmiotem i wystawić ileby na głębokim charakteru narodowego poznaniu zyskała wogólności nasza poezya, a szczególniéj skorzystał teatr, który powinien być wierném zwierciadłem obyczajów ludu, jego nałogu i namiętności *pierwszych osób w narodzie.*“

W tych i tym podobnych nawiasowych uwagach wyjawia Zaborowski swoje literackie i estetyczne zapatrywania, zawsze zgodne z duchem pseudoklasycznéj epoki, przedewszystkiem w przypiskach do krytyki na „Barbarę“ Felińskiego, pisanéj w duchu pseudoklasycznym ale zawierającéj nieraz trafne myśli. „Gdy duch prawdziwéj rozbiorowéj krytyki — pisze tu Zaborowski — zdawał mi się ożywiać całe to pismo (krytyka „Barbary“), gdy przedmiot jego tak ważny *a cel tak się zgadza z mojemi po części*, mimo więc *kilku za ostrych wyrażeń i za śmiałych myśli*, ośmieliłem się całkowicie je umieścić nie śmiejąc żadnych czynić w niéj odmian“ („Ćwiczenia“ t. I, str. 194).

Ze względu na pokrewieństwo wyobrażeń literackich redaktora z recenzentem, zasługuje ta krytyka Barbary na bliższe omówienie. Recenzet, ukrywający się pod pseudonimem Kazimierza

Uwagi, zastanawia się tu z początku nad szkodliwemi zmianami i nowościami sceny warszawskiéj. Przedewszystkiem występuje ostro przeciwko „naśladowcom—niewolnikom zagranicznych (francuskich) mód tak obyczajowych jako i literackich,“ którzy przenieśli na scenę narodową z wzorów francuskich „wyrafinowanie w sztuce, pozór we wszystkiém.“ Jest-to zapewne jedna z owych „za śmiałych myśli,“ z któremi nie solidaryzował się redaktor, gdyż nie omieszkał dodać do tego miejsca od siebie w przypisku uwagę, łagodzącą śmiałe zdanie recenzenta: „Pewnie nie do wszystkich *to* się stosuje (t. j. że przejęli z cudzoziemskich wzorów „wyrafinowanie“ i „pozór“) musiał wiedzieć autor tego pisma, iż między osobami dotkniętemi, znajdują się niebędące wcale zaślepionymi miłośnikami sceny francuskiéj, o któréj tu zapewne mowa.“ Bezimienny recenzent uderzał bowiem z całą siłą na wszystkich ówczesnych pisarzy dramatycznych, na całą scenę wogóle, którą tak maluje: „w wystawieniu uważali (ci naśladowcy francuszczyzny) ubiory, ozdoby i ozdób teatru machinalne odmiany w grze, podobne jéj ozdoby, jéj machinalne udoskonalenie; w sztuce wreszcie samo ułudzenie, samę przyzwoitość, same względy winne światowości, w niczém nie zgłębiali rzeczy saméj, samym się nie przejmowali duchem przedmiotu; obawiali się rażących ich pieszczoność a nie czuli na prawdziwe narodowe piękności.“ Trzeba przyznać, że w tym wypadku miał zupełną słuszność krytyk. Ale tego nie zdołał zrozumieć redaktor wychowany w ciasnych regułach pseudoklasycyzmu, poczuwający się jako tłómacz Volterowskiego „Tankreda“ do tych mniéj lub więcéj „ślepych miłośników“ sztuki francuskiéj.

Po zbiciu zarzutu współczesnych krytyków „Barbary“, utrzymujących jakoby pierwsza scena tragedyi była wcale niepotrzebną, tą uwagą, że tutaj zapoznaje nas Feliński z charakterem Boratyńskiego, przystępuje recenzent do miłości Barbary, któréj oddanie w tragedyi wywyższa nad wszystkie „najtkliwsze“ francuskie tragedye. I na to nie może się zgodzić Zaborowski. Oto jego charakterystyczny dopisek do tego miejsca: (Recenzent) „powinien był pomnieć na to, że co w tém miejscu tak *jak w całéj sztuce wychwala*, właśnie najsłuszniéj naganianem być może. Ta miłość Barbary i Augusta tak pięknie, tak tkliwie odmalowana, nie nosi na sobie téj cechy *narodowości*, którą autor pod wszystkiemi innemi względami tak troskliwie dziełu swojemu zachował. Mógł August kochać Barbarę i kochał ją nawet z zapałem, jak się o tém z dziejów przekonywamy, ale jakże w oświadczeniu, w okazywaniu dowodów téj królewskiéj miłości, w sztuce jest do niepoznania!“ Odprowadzenie zwłok Barbary piechotą, odpowiedź królewska posłom na sejmie,

że waży swoję wiarę więcéj nad wszystkie trony świata, zgadzają się zdaniem Zaborowskiego z pobożnością owych wieków i powagą królewską, „ale zapominać się—powiada—przed obliczem Tarnowskiego, unosić się młodzieńczym prawdziwie zapałem na wspomnienie Barbary i w tém zachwyceniu kreślić obraz urojonéj doskonałości!—nie przystoi ani królowi Polaków ani poecie polskiemu.“

Recenzent rozbiera ekspozycyą, katastrofę, dyalog i inne części tragedyi, wynosząc między innemi tę scenę, gdzie królowa Bona usiłuje odwieść swego syna Zygmunta Augusta od zamęścia z Barbarą; ustęp ten jest naśladowaniem sceny Agrypiny z Neronem w tragedyi Rasyna p. t. „Brytanik.“ Charakterystyczném jest wogóle stanowisko krytyka, który na początku rozprawy piorunuje na naśladowców literatury francuskiéj, a przy końcu chcąc rozstrzygnąć sporne zdania krytyków o „rozwiązaniu sztuki“ i dowieść, że Feliński nie mogąc gordyjskiego węzła sztuki rozwiązać przeciął go tylko nagle, powołuje się jak na wyrocznię na wzory francuskie (na „Zairę“, „Fedrę“ i t. p.).

Tradycya literacka (Sowiński-Zdanowicz: Literatura, t. II, 404 i 438 i Encyklopedya Orgelbranda, artykuł: „Czasopisma“) przypisuje także redakcyą „Pamiętnika naukowego“ T. Zaborowskiemu, ale wiadomość ta nie jest pewną. Do argumentów przemawiających przeciw zdaniu, że Zaborowski był redaktorem „Pamiętnika naukowego“ podnoszę naprzód odmienny charakter owego czasopisma, „służącego“ wprawdzie „za ciąg dalszy“ „Ćwiczeń naukowych“, ale wydawanego przecież pod odmiennym tytułem i *w innym duchu*, a potém tę okoliczność, że nie ma *najmniejszego* śladu w *całym* Pamiętniku ani autorskiéj ani redaktorskiéj czynności Zaborowskiego (wprost przeciwnie niż w „Ćwiczeniach“). Znachodzimy wprawdzie i w „Pamiętnikach“ silnie reprezentowany dział „moralności“ retoryki i pseudoklasycznego wierszowania, cech właściwych zresztą całéj ówczesnéj literaturze, ale prądy romantyzmu nurtują już na dnie całego pisma. Dla przekonania się o tém, przypatrzmy się bliżéj temu „dalszemu ciągowi“ Ćwiczeń.

Pomijam tu rozprawy z „nauk moralnych“ tłómaczone przeważnie z francuskiego, skąd jak wiadomo nie płynęły do nas nowsze prądy, a podnoszę tylko artykuły noszące na sobie przynajmniéj połowicznie cechę *romantyczną*. Do téj ostatniéj kategoryi należy studyum „O idei i uczuciu nieskończoności“ przez Kł., owiane duchem nowszéj filozofii niemieckiéj. Nas tu zajmuje najwięcéj wstęp tego autora o poezyi (Pamiętnik, II, 18 i n.). Początek jest zaczerpnięty (bezpośrednio lub może tylko pośrednio) z Kanta. Poznać to między innemi z tego, że autor odróżnia piękno od wznio-

słości („Das Schöne“ i „Erhabene“), kiedy jak wiadomo inni estetycy widzą podniosłość tylko w granicach piękna. Ale mniejsza o teorye i ich źródła, chodzi nam przedewszystkiém o ile estetyczne zapatrywania autora oddalają się od poetycznego kodeksu francusko-polskiéj szkoły i gdzie się przebijają nowsze wyobrażenia literackie. Otóż autor rozprawy o nieskończoności uznaje w poezyi, nietylko jak literaci pseudoklasycznéj szkoły „proporcye, harmonią, kształty skończone,“ ale zdaniem jego poezya jak sztuka wogóle powinna w nas „ocucać uczucie nieskończoności“ t. j. obudzać pewną ilość „przybocznych wyobrażeń.“ „Nadewszystko wyniosłość w poezyi domyślać się daje uczucia nieskończoności, stąd zadziwienie, admiracya, pewny gatunek przestrachu, przyciśnienia jakie sprawia w nas wszystko co jest podniosłe. Proporcye, miara, określenie, są nieoddzielne od piękna, a zaś wyniosłość domyślać się czegoś daje co przechodzi wszelkie kresy i granice“ (Pamiętnik, tom I, 20).

Ktoby sądził że autor „Spekulanta,“ który tu umieścił swoje poezye, rozprawy i przekłady (Longina „O górności“) (1), należy do nowego obozu, tenby się bardzo omylił. Dość przytoczyć parę zdań z jego rozprawy „O patetyczności,“ aby poznać pseudoklasyczne wyobrażenia ucznia Osińskiego. I tak np. mówi zaraz na początku „o dziełach imaginacyi i uczucia w poezyi i wymowie.“ To rozróżnienie „dzieł uczucia“ i jakiegoś rodzaju „wymowy“ jest właściwe téj sentymentalnéj i retorycznéj epoce w dziejach powszechnéj literatury. Daléj mówi o „doskonałym naśladowaniu w poezyi“ jako o szczytném zadaniu poety o „harmonii naśladowczéj“ i t. d.; zdaniem jego może nawet „naśladowanie i karmienie się wzorami prawdziwie pięknemi jeżeli nie utworzyć to przynajmniéj obudzić talent.“ Wirgiliusz jest i u niego „bez porównania czulszym od Homera a przeto bardziéj się podoba.“ Słowem z całéj elukubracyi ucznia Al. Osińskiego wieje duch francuskiéj szkoły Laharpów i Dmochowskich.

Nowy romantyczny kierunek przygotowują umieszczane w obu tomach „Pamiętnika“ artykuły i wyjątki z podań i pieśni ludowych.

K. Brodziński podał, swoim przekładem „Pieśni Madagaskaru“, „z *prozy Parniego*“, żywszy popęd do zbierania pieśni ludowych.—

---

(1) Że J. Korzeniowski jest tłómaczem wyjątków z Longina, chociaż w spisie rzeczy nie jest wymieniony, tego dowodzą jego początkowe litery J. K. podpisane przy końcu przekładu (Pamiętnik II, 128); a potém pokrewieństwo z oryginalną rozprawą „O patetyczności“, pod którą czytamy jego pełne imię, a w końcu ten sam wymuskany styl obu artykułów.

Redakcya „Pamiętnika“ umieściła je poraz pierwszy w swoich łamach z odezwą do publiczności: „aby szanowni rodacy śpiewki po prowincyach przez lud miejscowy nucone zbierać, i do redakcyi nadsyłać raczyli, które z wdzięcznością przyjmowane będą“ (Pamiętnik I, 245). — Brodziński umieścił w I tomie na str. 27 „Pamiętnika“ przekład znanéj pieśni morlackiéj (serbskiéj) p. t. „Żona Aza-Agi“, co spowodowało wspomnianego erudyta Majewskiego do umieszczenia téj pieśni w oryginale (tamże str. 253) (1).

Ten sam Majewski zebrał „nie jako wierszopis lecz jako w zawodzie dziejowym pracujący“ wiele ludowych pieśni w zamiarze wydania ich „jako pomniki dziejowe, tudzież dla wykazania różnic (niepokrewieństwa!) jakie między oddzielnemi dyalektami Słowian a ich matką sanskrytem zachodzą.“ Zaznajomił się też z „Serblaninem“ Wukem Stefanowiczem, znakomitym wydawcą pieśni serbskich, który w przejeździe do Petersburga w celu wydania swojego zbioru zatrzymał się był w Warszawie, zapoznał się z językiem serbskim i wydał przy końcu I tomu „Pamiętnika“ parę „pieśni żeńskich“ z małym słowniczkiem. Prof. Lach-Szyrma podał ze „zbioru pieśni wiejskich Chodakowskiego“ jednę pieśń p. t. „Trzech krynic wyrocznia, tłómaczenie *miarowe* ze Sławiańskiego“ i t. d.

Obok tych rodzimych pieśni ludowych, uderzających swoją prostotą i swobodą a przedewszystkiém „dziką czułością“, działały na naszą poezyą równocześnie i przeważnie wpływy zagranicy. Ten drugi czynnik romantyzmu przebija się w przekładach i „naśladowaniach“ z literatury niemieckiéj. W „Pamiętniku“ mamy „naśladowanie“ z Schillera „Pegasus im Joche“ przez K.; naśladowanie „Leonory“ Bürgera przez Lacha Szyrmę i t. p.

Ballada Bürgera, która wstrząsła całą Europą i taki ogromny wpływ wywarła na naszą literaturę, była przedmiotem dłuższego rozbioru w „Pamiętniku naukowym“ (II, 275). Bezimienny autor tego artykułu zrozumiał a raczéj odczuł „Leonorę“, skoro podnosi przedewszystkiém „wrażenie okropności“ z niéj odebrane (tylko

---

(1) Z porównania oryginału z przekładem okazuje się, że Brodziński i tę pieśń tłómaczył z drugiéj ręki. W oryginale czytamy np. Aghi Asan Aghe leży w namiocie zraniony:

On bolnie u ranami lutymi
Oblasi ga mater i sestryca
A lubowca od styda nie mogla.

W przekładzie Brodzińskiego „Asan-Agi“:

Od swojéj matki od sióstr odwiedzany,
A żona tylko wstydu niezwycięża,
Nieśmie odwiedzić ranionego męża.

niepotrzebnie wychwala te słusznie przez Schillera zganione Kling-Klang i Hopp-Hopp), przytém podał nam w całości „podobną powieść“, którą „w tych dniach dopiero słyszał koło Jarosławia w ziemi Przemyskiéj“ (1).

Przytoczywszy osnowę tego podania, dodaje autor następujące słowa charakteryzujące jego połowiczne stanowisko: „Jeślim ją (tę powieść o „Leonorze) przytoczył, uczyniłem w téj jedynie myśli aby i na ten rodzaj powieści krajowych ciekawość zwrócić, z których niejedna warta pióra polskiego Bürgera i z czasem może się go doczeka. Daleki także jestem od przywiązania do nich wielkiéj wagi. *Baśń będzie zawsze baśnią*, wtedy jednak być nią przestaje, skoro utworzy się z niéj coś podobnego do „Leonory“, do „Nurka“ Szyllera i *do naśladowanćj z niego Celiny*“ (Pamiętnik II, 281 i 282).— Z oryginalnych poezyj w duchu romantycznym odznaczają się przedewszystkiém poezye Brodzińskiego („Pieśń żołnierska“, „Chłopak“, „Oldyna“).

Z tego krótkiego przeglądu „Pamiętnika naukowego“, który zaliczyć wypadnie do pierwszych już na pół romantycznych organów nowéj szkoły, okazuje się dostatecznie ogromna różnica redakcyi i współpracowników w porównaniu z „Cwiczeniami naukowymi.“ Być może że zmiana stosunków i wyobrażeń literackich zmuszała Zaborowskiego do otworzenia łamów swego czasopisma wierszom i artykułom nowszego kierunku, być może że chciał zająć stanowisko objektywne, albo podobnie jak inni współcześni redaktorowie umieszczał poezye klasyczne i romantyczne obok siebie, ale najprawdopodobniéj nie należał już do redakcyi czasopima, a napewno można powiedzieć, że wówczas jeszcze nie podzielał nowszych zapatrywań. Zaborowski bowiem przyznawał się wówczas nie tylko w *teoryi* do obozu klasyków, ale zastosował ją także w swoich poezyach. Przypatrzmy się bliżéj jego elukubracyom poetyckim z téj doby.

II.

Zacznijmy od wielkiego bohaterskiego poematu p. t. *Bolesław Chrobry* czyli zdobycie Kijowa (także Boleslai*da*“ jak „Jagiellon*ida* itp.). Poemat ten—do „którego myśl jeszcze w Krzemieńcu był powziął“— drukowany był naprzód w „Ćwiczeniach naukowych“ w urywkach bezimiennie i jednym ciągiem, tak, że na pierwszy rzut oka wydaje

(1) Dr. Wollner który niedawno zebrał i ogłosił w Jagicia „Archiv“ wszystkie słowiańskie podania osnute na tym samym tle co „Leonora“, nie znał téj wersyi.

się że to proza, potém z małemi zmianami w „Polihymni“ Szczepańskiego (w tomie I, str. 94—149 i II, 113—162), w „Haliczaninie“ wyd. przez W. Chłędowskiego (I, 112) i osobno w Berdyczowie; niektóre przerobione i nowe niedrukowane ustępy znajdują się w rękopiśmie bibl. Ossolińskich (N. 981 i 489) i w prywatnym zbiorze prof. Dynowskiego w rękopisie zatytułowanym: „Niektóre pisma Tymona Zaborowskiego po jego śmierci zebrane.“ Drukowane fragmenty stanowią tylko drobną cząstkę poematu, który *miał* obejmować 20 pieśni (1); poeta pracował nad nim przez kilka lat będąc w Warszawie i później kiedy osiadł w swéj dziedzicznéj wiosce; ciągle zmieniał, dodawał, przerabiał i piłował, jak to poznać można z kilku redakcyj poematu i następujących słów nekrologu: „Z czasem przejrzawszy to dzieło z głębszą rozwagą i poddawszy je pod wyrok surowego a bezstronnego choć własnego sądu, powolny udzielanym sobie radom i postrzeżeniom przyjaciół, kilkoletniém doświadczeniem światlejszy, czując w sobie dzielniejszą i bardziéj pewną jeniuszu siłę: zamyślał przerobić je zupełnie z pierwiastkowego utworu tylko treść celniejszych zachowując ustępów. Nie można tu przemilczéć, że do tego głównie jeszcze był zniewolony przeważném zdaniem i uwagami dostojnego nauk i talentów opiekuna, ks. Adama Czartoryskiego, który wielkie o tym poemacie powziąwszy nadzieje, do wydoskonalenia go zachęcał autora i własne ku temu podawał myśli. Stosując się do nich Zaborowski starannie wypracował pieśń pierwszą, przygotował materyały do innych i poczynił odmiany w ułamkach dawniejszych pieśni, *resztę zaś oddał na pastwę płomieniom.* Tymczasem śmierć nagła przerwała niestety dokonanie dzieła, któreby kiedyś do sławy narodowéj przyczynić się mogło“....

Poemat ten zakrojony na rozmiary wielkiéj „bohaterskiéj“ vulgo „narodowéj epopei“ jest jedną z licznych w tym rodzaju nieszczęśliwych prób w naszéj literaturze. Utwór ten, chybiony w samém założeniu, bo wykonany na modłę pseudoklasycznéj epopei, ociosanéj według Laharpa, Dmochowskiego itp.; nie bez reminiscencyj z Woltera (Henriady), Miltona, Tassa i t. p. używał w swoim czasie ogromnéj sławy w Galicyi. Wspomnę tu tylko o jednym przykładzie. Stanisław Jaszowski, jak drugi Dante, wzywa Tymona w swoim „*opisowym* poemacie“ p. t. „Karpaty“ (w „Pamiętniku galicyjskim“ red. przez F. Chotowskiego i E. Brodzkiego 1821, I, 59), aby go sprowadzał jak Vergili w „jaskinie posępne i dzikie.“

---

(1) Wiadomość o „20 pieśniach“ podają przyjaciele jego w nekrologu („Rozmaitości lwowskie“ 1828, str. 162), ale mogą się mylić jak i w tém dodatku, że poemat ten „był już doprowadzony *do końca* gdy Tymon wrócił w domowe zacisze“ (tamże).

„Ty mnie prowadź w te doły i ukazuj cuda
Okropna Muzo! któréj śladami wiedziony
Wkraczał śpiewak Chrobrego do mieszkania Bluda
Tyś mu na dźwięczną lutnię zawiązała strony
Kiedy pełen *niebiańskiéj* opiewał słodyczy
Ustrojony wdziękami zamek czarowniczy“ itd.

W objaśnieniach do tych wierszy dodaje jeszcze prozą wychowanek okropnéj Muzy następujące słowa: „Tymon Zaborowski piszący poemat zdobycie Kijowa przez Chrobrego nad którego kilkoma pierwszemi pieśniami *zachwycali się wszyscy ojczystéj poezyi czciciele.*“

Treść epopei jest zaczerpniętą z Historyi Naruszewicza, od któréj odstąpił tylko w kilku miejscach zaznaczonych w przypiskach, a zaprawionych cudownością i tym podobnemi wyrobami maszyneryi pseudoklasycznéj. Poemat ten odznacza się zresztą wykończoną formą zewnętrzną, wzorowym językiem i plastyką obrazowania. Ale w téj staranności pod względem formy czuć dobieranie rymów, gładzenie i polerowanie zdań a przedewszystkiém retoryczność. Wykończone i rozprowadzone na wzór Homerowski porównania, przeważnie z dziedziny przyrody, mają niezaprzeczone zalety, nie brak téż epizodów epicznych a w przedstawieniu dramatycznéj żywości; ale w ogólności ma ten przeceniony tors heroicznéj epopei, obok wspólnych wad wszystkim tego rodzaju elukubracyom pseudoklasycznym, jeszcze trochę sentymentalizmu pseudoromantycznego co się czuć daje zwłaszcza w późniejszém przerobieniu poematu.

Czy wiersz p. t. „Ogród“ umieszczony w „Ćwiczeniach naukowych“ (1818 r.) jest pióra Zaborowskiego nie mogę powiedzieć, nie wieleby mu zresztą autorstwo jego przyniosło zaszczytu. Te apostrofy do „ozdób flory“ do „*Rododondrów*, Kaktusów, Oleandrów *flomów*!“ te „pochwały wiosny“ na zimno, ta stereotypowa tęsknota do wsi Horacego, ten cały opis ogrodu wogóle, jest tak sztuczny dydaktyczny i suchy, że nie warto sobie łamać głowy nad jego autorstwem. Może jeszcze najpiękniejszy śpiew Armidy w ogrodzie: „Patrzcie jak się wychyla róża pięknolica w pączku, wstydliwa jeszcze i jeszcze dziewica“ itd. jest prawie dosłownėm tłómaczeniem z Tassa (Jerusalemme liberata, canta XVI):

Del mira (egli canto) spuntar la rosa
Dal verde suo modesta e vercinella etc.

Równocześnie okazał się w „Tygodniku polskim i zagranicznym“ (wyd. i red. p. Br. hr. Kicińskiego Warszawa 1818 tom III z dnia 25 lipca 1818 str. 73—89) wiersz Tymona Zaborowskiego p. t.

„Parnas we śnie“ w którym młody poeta złożył swoje Credo literackie, odziane w wytartą i spłowiałą sukienkę sennego marzenia.

„Pośród nocy, cichości przyjemnéj, i cienia, nieścigłym mierząc pędem powietrzne krainy“ unosi się poeta „po nad Parnasu gaje góry i doliny“ i omijając Rzymian i Greków staje na „Parnasie nowożytnym.“ Charakterystycznym jest to świadome omijanie literatury greckiéj i rzymskiéj, która stała się już temu pseudoklasycznemu pokoleniu prawie zupełnie obcą. Na wstępie daje poeta ogólny pogląd na poezyą nowożytną, trochę konwencyonalny i płytki: „Ciągnął się (parnas) pośród dolin *miłych* łąk i gajów. Na tyle się podzielał odrębnych *zaokrągleń* ile dziś jest krajów, w każdém zaokrągleniu było *wzgórków* tyle, ile dziś jest poezyi odmiennych rodzajów.“ W tym francuskim krótko strzyżonym ogrodzie, wśród „miłych łąk“ i okrągłych wzgórków umyślnie sypanych, duszno nam jak w cieplarni, idźmy więc daléj za poetą, który dążąc do polskiego parnasu musi zatrzymać się pierwéj w parnasie francuskim. I to znowu charakteryzuje wyobrażenia poetyckie Zaborowskiego i tę całą poezyą polską, do któréj był przystęp tylko „gościńcem francuskim.“ Poeta opisuje tedy najpierw sztuczny „ogród natury“ francuskiéj poezyi:

„Wszedłszy w Parnas francuski w ten *ogród natury*
Popód długie ich zwolna długo szedłem góry
Wzrok na ich ubarwione kwiatem wznosząc czoła
Mile się tam brzmić zdawał nawet *głos ponury*
A *same tylko kwiaty krzewy albo zioła*
Osłaniały gór boki i *wyniosłe szczyty*
Jużem błądził w ich cieniach *przyjemnych* ukryty“...

Cała poezya francuska schłostana tu biczem samego wychowanka który nie myślał wcale tak się swéj mistrzyni odwdzięczać, sądząc że w poezyi trzeba koniecznie „ponure“ tony „mile“ łagodzić, aby nikogo nie raziły a „wyniosłe szczyty“ dzikich skał wypada koniecznie „osłonić“ samemi tylko „kwiatami“ aby rzucały „przyjemne cienie“ i wyglądały jak salonowcy wersalscy—nienaturalnie.

Kiedy tak poeta „błądził“ w górach francuskiego Parnasu spotyka go „nagle jakaś osoba *wesoła*, która na *wszystkich* wzgórkach *wonne kwiaty* zbiera.“ Był to Wolter „geniusz“ tego Parnasu, któremu tu „wszędzie wolno bywać“ dla tego służy naszemu poecie za przewodnika.

Wolter pokazuje mu najpierw dwie najwyższe „góry Melpomeny.“ Na zapytanie poety gdzie jest „Krebilion *ponury*“ odpowiada Wolter: „Tu tylko są tragedye same, lecz pośród gór zdobywszy

wydrążoną jamę, Krebilion w niej sprawuje rządy samowładnie, *nie jeden idąc do nas w jego jamę wpadnie.*" Do zwiedzania tych gór daje mu doświadczony przewodnik następujące wskazówki:

„Chodźmy *naprzód* na górę wyniosłą *Kornela*
Poznasz jak się wysoko umysł wznieść ośmiela
Nie zawsze się rozczulisz, wiele doznasz trwogi
Ale słysząc Rasyna mego przyjaciela
Zapłaczesz"...

Sam Kornel występuje na przybycie Woltera, którego prosi aby odpoczął na szczycie „lubo się na nim *bawić nie będziesz wesoło.*" Oto charakterystyka Kornela bardzo lakoniczna:

(Kornel) „Wiódł nas na górę gdzie siedzieli w koło
Djego, Rodryg, Xymena, Pompej, August, Cynna,
Horacyusza gniewu ofiara niewinna
Płacząca zgonu swego kochanka Kamilla
Za drzewami ukryty spoczywał Atylla
A srogość jego milcząc zgrzytała bezczynna."

Daremnie zapraszał Kornel przybysza aby usiedli sobie „wygodnie" Wolter „uśmiechnął się" tylko na to usprawiedliwiając się wcale niegrzecznie a nawet ubliżająco:

„Przebacz jeżeli *i teraz* dłużej nie zabawię
Gdyż tak dobrze o naszéj myślącemu sławie
Temu ją podróżnemu muszę wskazać *godnie.*"

Z całéj charakterystyki Kornela w porównaniu z innymi wynika, że Zaborowski nie był zwolennikiem tego wielkiego *geniusza* o wiele pochlebniéj wypadł obraz Rasyna.

„...Lecz precz stąd moje pędzle, ty jeden Rasynie
Porywające wydać możesz uniesienia,
Których doznałem w twojéj stanąwszy krainie,
Gdy zatrute rozpaczą Hermiony tchnienia,
Gdy boleść co ze łzami Andromaki płynie
Niezmiękczonéj Pirusa srogości niezmienia;
Gdy rosnącego w dzikości widziałem Nerona
Okrutnością równego dumnéj Agrypinie;
Gdy wielkość Mitrydata choć upokorzona
W myśli na gruzach Rzymu spalonego kona;
I za Ifigenją ginącą w daninie
Płacz matki, gniew Achilla, żal Agamemnona,
Póki nieba wyroków zasłony nie zedrą
Póki ich Kalchas srogim Grekom nieobwieści.
Lecz jakież serce moje uczuło boleści
Dręcząc się z nieszczęśliwą lecz występną Fedrą

Gdy Hipolit ofiarą jéj zapałów pada,
Gdy zgon jego Teramen ojcu opowiada,
O jakże się zdumiało gdy po długim czasie
W uświęconym przez ciebie ujrzałem Parnasie
Zwycięstwo cnoty, boską wyniosłość Ioady
I twoją wielkość skromną niewinny Joasie!"

Nasz poeta „zdumiony, nadzwyczajnym przejęty zapałem" już chciał „przy Rasynie wiecznie zostać" ale go jakoś zmitygował Wolter oświadczając: że „inne przymioty innych mogą być udziałem" i dodając trochę nieskromnie że i on był podobnie „zdumiony," „lecz potém oddalił się własnym uniesiony lotem."

Teraz oprowadza go Wolter po trzeciéj górze Melpomeny tj. poeta charakteryzuje dramatyczną literaturę Woltera. Do tego świętego przybytku wprowadza go sam przewodnik temi słowami.

„Chodź ze mną mojéj góry *świeże* odwiedź gaje
Może się i w nich także zabawisz przyjemnie,
Przysada im próżnego wdzięku nie dodaje
Błędy moje uważaj a nigdy nikczemnie
Niebezpiecznych piękności nie naśladuj we mnie.

Charakterystyka Zairy Woltera jest wcale piękna: Zlana łzami Zaira przynosi w darze kwiaty swemu mistrzowi, chcąc się okupić od „przyszłéj straty" z głębokiem westchnieniem skazuje ją na śmierć poeta: „Prawa ustanowione odwiecznemi laty ginąć ci każą, ginąć z Orosmana ręki. Próżna o ciebie wszystkich dusz czułych obawa, zadrżą wszyscy, gdy teatr twym zgonem zakrwawię. Ty poddanka teatru ulegaj ustawie, ja władca muszę ściśle dochowywać prawa."

O Mahomecie tak się wyraża słowami ówczesnéj krytyki:

„Patrzaj, rzekł do mnie Wolter, za nadto łaskawie
Jednému przypuściłem i może niegodnie
Mahometa za słabo ukarałem zbrodnie,
Wszyscy za to sędziowie łajali mię prawie."

Przed naszemi oczyma przesuwają się jeszcze „biedne może dziwacznych przesądów ofiary" Edypa i Brutusa, obraz „nieszczęśliwego kochanka Zairy, co się sam w czarne zgryzot wtrącił otchłanie" i „słuszniéj od niego ginącego Güzmana," chociaż był „przed zgonem swoim wspaniały i szczery."

Zwiedziwszy te trzy góry Melpomeny; omijają w przelocie „wesołego Moliera, srogiego Boala, dobrego Lafontena bez żadnych przymusów, Kinolta splewliwego i obudwu Rusów" pojąc

się „niewymowną rozkoszą“ i spuszczają się wreszcie na wyżyny Polskiego Parnasu, który Wolter w tych słowach maluje:

„Tu, rzekł, płonnym się wdziękiem oko nie zachwyca,
Złotem tylko kwitnąca chwieje się pszenica,
Albo ciężarne chlebem kołyszą się żyta,
Wonią napawające nie rosną tu kwiatki
Ale może je z czasem wydać ziemia żyzna,
Wkrótce jéj, mówił głośniéj, Europa przyzna
Pierwszeństwo nad *córkami jednéj Sławian matki*,
Tu będzie wielu sławnych poetów ojczyzna.“

Następujący potém obraz literatury Stanisławowskiéj rozpoczyna poeta charakterystyką Krasickiego, którego spostrzegają „na pierwszéj, na najwyższéj górze.“

Jego ustawnie prawie otworzone usta
Wydawały głos śmiechem niekiedy tłumiony,
Miły dla pługa, miecza, pióra i korony;
Czy odzywał się śmiało do króla Augusta,
Czy zapalał rycerzy do kraju obrony,
Czy przed nim uciekała rozwiązła rozpusta,
Czyli bajkami bawił dzieci i matrony,
Jego wesołych myśli posłuszny niewolnik,
Kochał go król i rycerz, poeta i rolnik.“

Krasicki schodzi z góry i poznawszy Woltera, otwiera mu bramy do polskiego parnasu a wspomniawszy tylko ogólnikowo o „złotym wieku Zygmuntów“, przedstawia „wielkiemu mężowi“ z nad brzegów Sekwany: Szymanowskiego, Dmochowskiego, Kniaźnina, Trembeckiego, Karpińskiego i Godebskiego, których charakteryzuje ogólnie:

„Tu te (muzy) co po przeciągu dosyć długim czasu
Wygrasowały ścieżki zarosłe Parnasu,
Które jeszcze śpiewały schronione w tym gaju,
Mimo nieszczęść domowych, mimo przygód kraju,
Nie zatrwożył ich oręż sąsiadów zdradziecki.“

Najciekawsze byłyby następujące daléj sylwetki współczesnych Zaborowskiemu poetów, gdyby „wieszcz Miodoboru“ posiadał więcéj talentu i obserwacyi. Niektórzy poeci przedstawiają się tak niewyraźnie, że trudno poznać ich fizyognomią, tém bardziéj, że Zaborowski nie wymienia ich imiennie. Z tego względu uważam za potrzebne przejść *wszystkich* wspomnianych tu poetów tém bardziéj, że Wójcicki („Warszawa, jéj życie umysłowe i ruch literacki“ 1800—1830, str. 96) mylnie tę rzecz przedstawił.

Na czele poetów księstwa Warszawskiego, którym słusznie poczytuje autor za główną zasługę, że „Polską doskonalą mowę“ stoi sędziwy Julian Ursyn Niemcewicz, łatwo go poznać z następujących poświęconych mu wierszów:

„Patrz na tego co włosy okryty siwemi
Nieszczęśliwy! na Polskiéj nie starzał się ziemi!
Słuchaj jak śpiewa męstwo książąt ze krwi Lecha
Patrz jak smutny, jak nawet smutnie się uśmiecha,
Teraz piórem pracuje. Dźwigał oręż krwawy
Zawsze dla kraju swego, nietylko dla sławy,
A po jego utracie ciężkich smutków brzemię
Poniósł, na przeciwstopną naszéj ziemi ziemię,
Skąd wrócił walcząc długo w ich swobód obronie
Odpocząć na wskrzeszoném swéj ojczyzny łonie.“

Kajetana Koźmiana i Ludwika Osińskiego dwóch arystarchów ówczesnéj literatury klasycznéj, odszczególnia głównie jako liryków a mianowicie podnosi ich ody, zapewne głośne w swoim czasie, ody Koźmiana do Napoleona I i „Na zawieszenie orłów“; Osińskiego zaś „Na powrót wojska polskiego do Warszawy 1809 roku.“ Ustęp ten przytaczam w całości.

„Ten drugi (t. j. Osiński)
Równemi (jak Niemcewicz) się ojczyźnie zalecił posługi
Nie wiele jego wierszy chciwy Polak liczy,
Wiele w nich wielbi pracy i czuje słodyczy;
Słuchaj jak jego muza w piękności obfita
Bohatyrów Raszyna i Zamościa wita
W téj saméj do nich chwili ozwał się *ten trzeci*,
Ci dwaj (1) sławni w swych odach różnią się poeci.
Gdy ten płynny jak rzeka powoli się toczy,
Tamten jak piorun blaskiem nagle razi oczy,
Ten łatwiéj poezyi piękności rozwija
I powoli się wznosi; ten (tamten) nagle się wzbija,
Ale w obu miłością ojczyzny tchną rymy.“

„Zdala za nimi“ stoi „młody poeta“ znany Zborowskiemu dopiero z „*kilku* bajek, z *jednéj* ody“ i z mowy mianéj przy pogrzebowym obchodzie ks. Józefa Poniatowskiego (23 grudnia 1813); tę słynną mowę ma na myśli poeta kiedy mówi: „poległego pod Lipskiem księcia widzisz chwalcę, który mu i w téj krwawéj towarzyszył walce (jako szef sztabu dywizyi jazdy ks. A. Sułkowskiego, tu

---

(1) „Ten trzeci“ to K. Koźmian, poeta wlicza tu Niemcewicza, — „ci dwaj“ to Osiński i Koźmian. W następnéj paralelli uważa Zaborowski Osińskiego, którego stawia przed Koźmianem jako pierwszego, a Koźmiana jako drugiego.

otrzymał krzyż złoty legii honorowéj) i w czułéj mowie z wojskiem płakał go za Renem" (w Sedanie).

Postępującemu za przewodnikiem poecie przedstawia się „zdaleka pagórek epopei wysoki niezmiernie, zewsząd go otaczały i drzewa i ciernie, nie widać tu ni ścieszki ni stóp ludzkich znaku, nikt jeszcze nie był na nim może, nikt nie będzie — powiada Krasicki — ja tylko *pod* górą uprawiałem niwę i tamem poemata nucił żartobliwe, raz tylko miałem zamiar może za zuchwały, chciałem drzéć się przez ciernie na te straszne skały, lecz z naszemi poemy w jeden rząd nas kładą, jak mnie z „Wojną Chocimską" ciebie z „Henryadą."

Sylwetka Karpińskiego wypadła może stosunkowo najlepiéj:

„Jakież, rzekł Wolter, dźwięki przerwały tę ciszę?
Jakież zachwycające zewsząd śpiewy słyszę?
Tu Polak srogość mowy swojéj ułagodził
I męskość jéj z powagą brzmień wyniosłych zgodził.
Tu, rzekł na to Krasicki, głuche przedtem skały
I od wieków zarosłe te gaje milczały,
Lub słychać tylko było dzikich zwierząt wycie,
Ten którego postrzegasz na pagórka szczycie,
Którego się wydaje postać tak wspaniałą
Co przez pół wieku ciągle Polskę bawił całą,
Pierwszy tu Muzom zawód otworzywszy nowy,
Uczył ich śpiewać polskiéj nie kalicząc mowy,
To wylewając śpiewów auzońskich słodycze („Pieśni"),
To nucąc narodowe piosneczki rolnicze („Sielanki")
Wszyscy jęli się śpiewać, ten poeta, który
Na sam szczyt téj skalistéj wydobył się góry,
Nad muzyką rozciągnął panowanie szersze,
Ach słuchaj jak miarowe jego płyną wiersze,
Jak dziwny *w spadkach jedną często kończąc głoską* (1)
Umiał w swych wierszach szybkość naśladować włoską."

Pagórek Talii (komedya) nie zatrzymuje długo Zaborowskiego, bo „mało tu kto szczęśliwie pisał w tym rodzaju." Dwóch pierwszych komedyopisarzy nie mogę z pewnością oznaczyć imiennie, ale zdaje mi się, że tu mowa o Bogusławskim i Zabłockim, bo do

---

(1) Przytaczam tu w całości wiersz Karpińskiego, w którym znajduje się rym męski, — będzie to zapewne jeden z najwcześniejszych przykładów użycia tego rymu w naszéj literaturze :

Jest też tam dąb u was w twoim ogrodzie,
Wierny miejscowi przez swój *zgon*;
Gdy go nadybiesz, spocznij w jego chłodzie
I pomyśl o mnie: „Oto *on*." („Pieśni" ks. III, N. VI).

pierwszego odnoszą się słowa „zna on dobrze naszego ludu obyczaje“, a drugiego może miał na myśli poeta kiedy napisał ten trochę uszczypliwy dwuwiersz:

„Ten drugi w swoim tylko ufny jest dowcipie,
Rozśmiesza—lecz błaznuje, nagania—lecz szczypie.“

Dwaj ostatni wspomnieni tu komedyopisarze nie ulegają, mojém zdaniem, żadnéj wątpliwości. Jest-to Niemcewicz („Powrót posła“) i Bohomolec (komedye na teatrum i t. z. komedye szkolne).

„Góry państwa Melpomeny“ (tragedya) są ostatnim kresem zwiedzających poetów. Pierwszym, który „rozbił te opoki, który wskazał Polakom tych gór szczyt wysoki“ — jest na pewne Osiński, poznać to z przytoczonych przekładów z Kornela („Horacyusze“, „Cyda“ i „Cynny“) i z Woltera („Alzyra“) i z wymienionych zasług jakie położył około „oczyszczonego z dziwactw teatru narodowego“ i około podniesienia „mowy polskiéj.“ W myśl współczesnych domaga się autor od Osińskiego jakiejś oryginalnéj pracy („niechaj tylko wyda jaki swój utwór własny lub polskiego Cyda“).

Wężyk, najlepszy z téj całéj plejady tragik, którego wcześnie owiał zdrowszy duch romantyczny, traktowany tu z góry przez naszego klasyka:

„Pierwszego (Wężyka) nieszczęśliwy [illegible] chociaż rzadki,
Trzema już na teatrze wsławił się upadki (t. j. „Glińskim“,
„Bolesławem Śmiałym“ i prawdopodobnie „Wandą“),
Wznosi umysł i razem przeraża okropnie,
Niech pracuje a pewnie szczytu góry dopnie,
Niech pozna lepiéj Polskie zwyczaje i prawa,
Wówczas doskonałego da nam Boleslawa,
Byle chciał, wielkie może mieć w kraju zaslugi.“

„Wyższe już sobie miejsce zapewnił“ Ludwik Kropiński, autor słynnéj „Ludgardy.“ Zaborowski przyznaje, że w téj tragedyi „są wady i wielkie“ i „wiele uchybień,“ „lecz Polak każdy, Polak czuły a nie twardy, nie będzie rozumował po zgonie Ludgardy.“ Nie trzeba się dziwić temu ciasnemu stanowisku autora, do niedawna zastępowano u nas w krytyce literackiéj sąd krytyczny i poczucie estetyczne uczuciem patryotycznem.

Na zakończenie roztacza poeta szeroko wspaniały obraz „Barbary“ Felińskiego:

„O ty! coś w wiersze przelał smutek twojéj duszy,
Ach kogoż tkliwość twoja (1) do łez nie poruszy“ i t. d.

---

(1) Poprawiłem fałszywe „słowa“ tekstu („Tygodnik polski i zagraniczny“ red. Kiciński, tom III, str. 87).

Tu opowiada Krasicki Wolterowi osnowę „Barbary", charakteryzuje Barbarę i Zygmunta, Tarnowskiego, Boratyńskiego i Bonę. Przy końcu zarzuca Wolter sztuce „wielką wadę," którą współcześni podnosili (cf. „Ćwiczenia naukowe" artykuł Kazimierza Uwagi o „Barbarze"), a mianowicie „czemu ta okrutna Bona nim swoich tak szkaradnych zamiarów dokona, zbrodni swoich tak bliskich korzyści się zrzeka, czemuż wszystko porzuca i do Włoch ucieka"? „Tak, zapewne (odpowiada Krasicki na ten ważny zarzut), a chociaż i w tém inne mogła mieć zamiary, wreszcie potępiaj Bonę lecz nie gań Barbary."

W ostatnich wierszach poleca Wolter naszemu poecie te „wielkie wzory" i „piękne przykłady" i zachęcając go do wstąpienia „w tych mężów znakomitych ślady", przestrzega go aby się nie dał „złudzić blaskiem teraźniejszych naszych" poetów. „Wtém się obudza" Zaborowski — to wszystko było tylko sennėm marzeniem— szkoda że trochę za ciężkiém...

Takie były pierwsze próby poetyckie Zaborowskiego przesiąkłe na wskróś atmosferą pseudoklasyczną. Dopiero po wyjeździe z Warszawy (1820 r.) podczas pobytu w rodzinnéj wiosce nad Zbruczem (w Liczkowicach), *zaczynał się* powoli otrząsać ze skrzepłych teoryi klasycznych, topniejących pod wpływem rozognionéj miłością fantazyi, głównie zaś pod ożywczemi promieniami romantycznéj poezyi Mickiewicza, Moora i innych.

Owocem téj drugiéj doby życia Zaborowskiego jest dość bogata wiązanka poezyj lirycznych, rozproszonych przeważnie w jego korespondencyi z przyjaciołmi, albo wydanych osobno jak np. „Dumy podolskie" napisane około r. 1823, a w końcu trzy tragedye: „Umwit", „Bohdan Chmielnicki" (1823) i „Tajemnica czyli Borys z Mitwiana" (1824). Zanim poznamy te „poetyczne prace" Tymona, przypatrzmy się—na podstawie korespondencyi-- jego wizerunkowi w téj epoce działalności.

(*d. n.*) *Henryk Biegeleisen.*

POCZĄTKI CHRYSTYANIZMU.

(Ernest Renan: Histoire des Origines du Christianisme, 7 tomów. 1863—1882).

II. Osoby i fakta.

Renan ostrzega „rozumiejących tylko pewność materyalną,“ by się zdaleka trzymali od tego rodzaju studyów, jakiemi z konieczności, wskutek charakteru specyalnego źródeł, być muszą studya nad początkami Chrystyanizmu. Wygłaszając przestrogę tę zapewne miał on na myśli poprzedników swoich, autorów monografij, poświęconych założycielowi nowéj religii i pierwszym jéj wyznawców, oraz krytyków, zwłaszcza niemieckich.

Krytyka wyłącznie negacyjna w tym wypadku nie wystarcza. Obalić jedno, wykazać niemożebność drugiego; tamtemu wręcz zaprzeczyć, to usunąć stanowczo z pod dyskusyi—jest przy trzeźwości umysłu na pewnym stopniu wiedzy dość łatwém. Był czas, kiedy takie proste rozsegregowanie faktów na prawdziwe, prawdopodobne i niemożebne było nawet konieczném, gdyż powątpiewanie zawsze otwiera drogę badaniu naukowemu. Lecz ciągłe przeczenie nie wystarcza gdy idzie o wiedzę historyczną. Negując fakt, na podstawie którego powstała i rozwinęła się pewna legenda, jeszcze wytworzenia się saméj legendy wcale nie tłómaczy. Zaprzeczając możliwości opowiadanego zdarzenia, oskarża się tego, w czyje usta włożono to opowiadanie, lub najbliższego świadka jego, o złą wiarę, jeśli nawet już nie o rozmyślne fałszerstwo.

Tymczasem niéma religii, któréj dzieje pierwotne mogłyby uledz zarzutom tego rodzaju. Spotyka się tam tylko wiara, gorąca, ślepa, lecz rzeczywista, szczera, prawdziwa. Każde, chociażby najzupełniéj sprzeciwiające się prawom natury, podanie, wyrosło na pniu rzeczywistego życia, wśród ludzi żyjących, umiejących patrzeć

na wypadki, jak patrzą wszyscy inni, mogących tak odróżniać czarne od białego, możebne od niemożebnego, jak to zawsze potrafią ludzie. Jeśli więc powstało to podanie, miało ono niechybnie swe podstawy w jakimś rzeczywistém zjawisku, lub w usposobieniu tych, wśród których powstało. Mogło je wywołać to, co przez jednych za rzeczywistość było uważane, przez drugich za zupełnie możliwe przyjęte.

Na powstanie, przyjęcie się i rozpowszechnienie pewnéj legendy, trzeba aby się złożyło wiele warunków. Składają się na to duch czasu i potrzeby chwili dziejowéj, charakter plemienny i potrzeby polityczne narodu danego, stopień wiedzy i rozmaite właściwości umysłowe i moralne sfery lub nawet kółka, które ją wytworzyły, nakoniec—uzdolnienie, temperament, zboczenia i wygórowania władz umysłowych, właściwości pewne charakteru tych wszystkich, którzy jakikolwiek bądź pośredni lub bezpośredni w wytwarzaniu się legendy przyjmują udział.

Patrzymy na początki Chrystyanizmu w odległości kilkunastu wieków i z zupełnie innego, niż owoczesne, stanowiska wiedzy i potrzeb moralnych i ekonomicznych społeczeństwa. Wyrokujemy o tém, co pierwotnie wyznawcy nowéj téj religii czuli i widzieli, lub tylko sądzili że widzą, mając najczęściéj na względzie siebie, swoje otoczenie, swój wiek, nie zaś warunki miejscowe, fizyczne i społeczne, wśród których ci ludzie działali, nie zaś właściwości ich plemienne, uzdolnienie umysłowe, nastrój duchowy.

Chcąc usposobić do słusznego osądzenia faktu danego, potrzeba poprzednio ten fakt wytłómaczyć. Chcąc tłómaczyć, potrzeba samemu zrozumiéć, potrzeba poznać wszystkie warunki, odtworzyć wszystkie okoliczności, które mu towarzyszyły, odszukać wszystkich pobudek, które skłoniły do uwierzenia w rzeczywistość jego, odczuć potrzeby, dla których ta wiara była lekarstwem.

Na takim to właśnie stanowisku przedmiotowości szerokiéj stanął Renan przy badaniu pierwotnych dziejów Chrystyanizmu i to mianowicie stanowisko nadaje dziełu jego charakter wyjątkowy i stanowczo wyróżnia je wśród innych, poświęconych temu przedmiotowi prac rozmaitych. I jeżeli do odtworzenia danéj epoki historycznéj potrzebném bywa stosowne usposobienie i odpowiedni nastrój umysłowy, jeżeli może i powinno zachodzić pewne powinowactwo duchowe pomiędzy bohaterami i ich biografami; to niechybnie owe wymagane warunki znajdują się w autorze Dziejów początkowych Chrystyanizmu, niechybnie owo powinowactwo pomiędzy nim a odtwarzanemi przezeń tam postaciami zachodzi.

Nie wygłasza on stanowczo „nie, tego być nie mogło“ z głębi swéj pracowni, z nad stosu książek, doszedłszy do tego negacyjnego twierdzenia przez porównywanie niezgadzających się z sobą tekstów rozmaitych. Klucza bowiem do zrozumienia wypadków nie szukał on w książkach wyłącznie. Stawał on tam wszędzie i stawał kilkakrotnie, gdzie podania mieszczą akcyą główniejszą. Tajemnicę chciał wyczytać na niezmieniającém się obliczu przyrody. Odgadywał jéj udział w wypadkach i wpływ na nie, przypatrując się na miejscu jéj zjawiskom, na miejscu poddając swe zmysły jéj potężnemu działaniu. Na równi z głosem ludzkim przemawiało doń otoczenie każdego zakątka kraju, z którym związane było ważniejsze wspomnienie dziejowe. Na otoczenie zaś owo składały się: rozległość krajobrazu, zarysy gór, kształty dolin, barwa obłoków, przezroczystość powietrza, efekt oświetlenia. Nie słowo zaklęte na pargaminie w znaki piśmienne wtajemniczało go wyłącznie w to, co się wtedy tam działo i jak się działo, lecz samo życie w codziennym swym trybie, jak się ono wszędzie i zawsze, a w tamtych krajach w szczególności, objawiać zwykło. To, jak się ono tam obecnie toczy, wskazało mu, jak się to toczyć lat temu dwa tysiące mogło.

Ta harmonia tak rzadka pomiędzy przedmiotami i wypadkami opisywanemi a usposobieniami autora, metoda badań, wszystkie objawy życia obejmująca, którą się stale posługuje Renan, sprawiają, że w dziele jego nie znajdujemy przerw, jakie spotykamy dla braku materyału stosownego w innych, traktujących o téj epoce, że od roku pierwszego do ostatniego, stanowiących w czasie granice opowiadania jego, nić opowiadania ciągnie się nieprzerwanie. Tam bowiem, gdzie zabrakło mu materyału książkowego, dostarcza go życie wschodnich narodów, niemające dla niego nic zagadkowego, nasuwa go przyroda Kanaanu, która odkryła mu wszelkie swe tajniki. Gdzie zatrzymuje się rylec historyka, rozpościera się obraz stworzony przez artystę; a gdzie ów obraz niknie, występują uwagi historyozofa, spostrzeżenia psychologa, badania etnologa, wspomnienia podróżnika.

Osoby występujące na scenie dziejów, objętéj ramami jego dzieła, żyją życiem epoki ówczesnéj, oddychają tchem własnéj atmosfery, poruszają się krewkością swego temperamentu plemiennego i, choć czasami pozostają w pół cieniu, wskutek jednakże umiejętnego oświetlenia, postacie ich na tle dziejowém wypukleją, rysy nabierają wyrazistości indywidualnéj. Wszystkie fakta w tém dziele łączą się z sobą i, jak ogniwa w delikatnym a misternym łańcuchu, splatają się tak, że każdy, wypływając z poprzedniego, daje początek następnemu.

Ramy dzieła Renana obejmują przeciąg czasu od daty prawdopodobnéj narodzenia Mistrza nazarejskiego do śmierci Marka-Aureliusza, cesarza rzymskiego (180). Dwa niespełna te wieki autor uważa za peryod embryoniczny Chrystyanizmu. Pod koniec dopiero 2-go stulecia „nowonarodzone dziecię, posiadłszy wszystkie swe organa, od łona matki zostało oderwane i żyć własném swém życiem zaczęło.“ Do wzmocnienia tego życia wielce się przyczyniła ta okoliczność, że od śmierci Marka-Aureliusza, ostatniego przedstawiciela starego porządku rzeczy, rozpoczęła się agonia świata starożytnego.

Opowiadanie o wypadkach wypełniających ten przeciąg czasu rozpada się w dziele Renana, jak to wiemy, na 7 tomów. Każdy tom nosi osobny tytuł. Wypłynęło to z konieczności ugrupowania pewnéj liczby osób około jednéj, lub skupienia rozpryśniętych zjawisk, niby w ognisku, w jednym fakcie głównym. Jednakże tomy te nie stanowią zamkniętéj w sobie ściśle całości. Owszem. Treść niejednego rozpoczyna się w poprzednim a kończy się w następnym (np. 3-go, Saint Paul). Przeto nie w szemacie tomowym poznamy główniejsze osoby i fakta z dzieła Renana, lecz w kilku ważniejszych momentach dziejowych z tego peryodu. Ułatwia to streszczenie jednych ustępów, a pozwoli opuścić gwoli miejsca inne, bezpośrednio z tamtymi niezwiązane.

Pierwszym momentem dziejów początkowych Chrystyanizmu będzie naturalnie żywot jego założyciela.

1.

Jedyném źródłem do odtworzenia życia i nauki Jezusa są Ewangelie. W nich atoli, pomijając już niezgodność w zapatrywaniu się na osobę twórcy nowéj religii, pomijając zachodzące różnice w opowiadaniu tych samych faktów, lub opuszczenie pewnych szczegółów w jednéj, to znowu wprowadzenie do drugiéj sprzecznych z przechowanemi w innych; bardziéj jest uwzględniony materyał anegdotyczno-dydaktyczny niż biograficzny. Lecz i te szczupłe dane biograficzne, które ztamtąd poczerpnąć możemy, nie są bynajmniéj równomiernie co do czasu, a również wcale nie w jednakim porządku chronologicznym rozłożone. We wszystkich bowiem czterech Ewangeliach znajdujemy Jezusa nie na początku, lecz na schyłku nauczycielskiego jego zawodu; poznajemy go jakim się stał w ostatnich paru latach swego żywota i to w kilkunastu wypadkach, nie jednakowo z sobą powiązanych, lecz nie tego, jakim był we wcześniejszéj dobie; spotykamy to grono uczniów, które go otoczyło na

parę lat przed śmiercią, lecz nie odkrywamy otoczenia wśród którego wzrastał i przepędzał lata młodzieńcze.

Jeżeli krytyka tekstu Ewangelii, wykazując sposób w jaki one powstały, wyjaśniła źródło różnic i sprzeczności w nich spostrzeganych; to jeszcze kwestyi o wartości, absolutnéj czy też względnéj, nagromadzonego w nich materyału, stanowczo nie roztrzygnęła. Ostrzegając co do autentyczności Ewangelii, jak postępować przy użytkowaniu ich jako źródła do życia Jezusa nie nauczyła. Nie mogąc przeto na podstawie tego jedynego źródła bezpośredniego objąć całego żywota i całéj działalności Jezusa, autorowie w celu uzupełnienia ram zwracać się muszą do źródeł pośrednich, drugorzędnych. A nadto, nie mając żadnéj normy do rozkładu materyału biograficznego zmuszeni są układać go dowolnie. Dowolność ta przebija się w nacisku na ten lub ów dokładniéj znany fakt, w obrobieniu szczegółowszym tego lub owego epizodu z życia.

Właściwości umysłu Renana oraz wielki zapas faktów i spostrzeżeń, zdobyty przezeń już to w pracy gabinetowéj już to w licznych podróżach, uderzają bardziéj w *Życiu Jezusa* niż w następnych tomach. Braku lub sprzeczności materyału czytelnik nie uczuwa. Sztucznego powiązania faktów nawet się nie domyśla; chociaż spostrzega czasami pewną chwiejność w przedstawieniu wybitniejszych momentów; lub natrafia na jakąś nieułowioną giętkość w wywodach. Pasmo faktów stanowiących zawsze żywot człowieka przeplatają tu wspaniałe obrazy wieku. Urocza osobistość mistrza oświetlona ze wszech stron jeszcze bardziéj jaśnieje. Chociaż się zdarza, że nagromadzone obficie światło uwydatnia brak w obliczu wyrazistości, cechującéj zawsze indywidualność potężniejszą, lub wykaże tylko linią sztuczną konturu tam, gdzie pragnęliśmy i spodziewaliśmy się odkryć łamaną łub krzywą, tak zwykłą w rysach żyjącego człowieka. Dokładna i barwna charakterystyka społeczeństwa każe nieraz zapomnieć, że czegoś bardziéj określonego nadaremnośmy szukali w charakterystyce jednostki.

Przechodzimy atoli do faktów i osób.

Żywot Jezusa przypadł na ów ważny okres w dziejach ludzkości, w którym wydawać się mogło współczesnym, że nakoniec, po licznych próbach utworzenia monarchii wszechświatowéj, dążenia ostatniego państwa urzeczywistnią się i świat, nie mogąc zostać egipskim lub babilońskim, perskim lub greckim, zostanie rzymskim. Jezus był synem narodu, który nigdy nie zaważył wiele na szali wypadków dziejowych, lecz w którym urządzenia demokratyczne, oparte na mniéj skomplikowanych niż gdzie indziéj pojęciach religijnych, wcześnie obudziły indywidualność narodową. Gdy wszyst-

kie ludy ugięły się pod przemocą oręża rzymskiego i w rzymskich cezarach uznały panów świata i swoich, żydzi jedni zgodzić się z takim porządkiem rzeczy nie mogli i przeciw faktom dopełnionym słowem i czynem protestowali.

Z życia Jezusa najlepiéj i najdokładniéj są znane chwile ostatnie, poprzedzające śmierć zadaną mu, na mocy wyroku formalnego, za czyny poczytane jako nielegalne i naukę uznaną za szkodliwą dla społeczeństwa. Wyrok ów wydały dwie władze, obce sobie pochodzeniem, dążnościami i tylko wyjątkowo w tym wypadku zgodnie z sobą działające. Władza żydowska, narodowa, duchowna skazała go na śmierć za rozsiewanie zgorszenia i obalanie religii; władza rzymska, obca, świecka za przybieranie tytułu króla Żydowskiego. Przestępstwo pierwsze było religijne; lecz ponieważ na religii opierała się głównie narodowość, wykroczenie przeciw religii stawało się wykroczeniem przeciw narodowości. Przestępstwo drugie było już politycznem; przybranie bowiem tytułu króla żydowskiego w obec władz rzymskich, utrzymujących kraj w zależności od państwa rzymskiego, oznaczało wystąpienie przeciw samemu państwu w obronie narodowości uciśnionéj i pognębionéj przez nie. Oba wyroki, aczkolwiek zarzucane w nich przestępstwa obalały siebie wzajemnie, opierały się formalnie na faktach udowodnionych Jezusowi i, powtarzanych dosłownie przez świadków, jego słowach autentycznych. Zagadkę ową rozwiązać tylko może zbadanie nauki saméj przez Jezusa głoszonéj.

Lecz Jezus nauczał tylko ustnie. Nic z tego co nauczał nie zostawił sam na piśmie; ani téż nic przez współczesnych, współcześnie wypadkom zapisanem nie zostało. Wszystko to co wiemy o jego nauce lub poznaliśmy z téj nauki, wsiękło w rzesze uczniów i słuchaczy i dopiero, wynurzywszy się w postaci podania w następnym pokoleniu, jako „dobra nowina“ światu całemu ogłoszoném zostało. Gdy przeto z jednéj strony taki sposób przechowania się nauki Jezusa świadczy o jéj konieczności, gdyż przechować się tylko to mogło, co odpowiadało zupełnie potrzebom danego czasu i społeczeństwa, to z drugiéj strony, każde słowo przypisywane Jezusowi, oprócz myśli jego własnych, odźwierciadla jeszcze usposobienia jego słuchaczy. Cóż więc powinno się stać kryteryum autentyczności słów Jezusa?

Oto tylko stosunek ich do owych potrzeb wziętych jak najobszerniéj i jak najogólniéj. W nauce Jezusa znaleść powinniśmy odpowiedź na główne pytanie, które zaprzątało umysły współczesnych. Miarą przeto jéj autentyczności będzie jéj jedność i zgodność z sobą.

Idźmy wszelako jeszcze dalej.

Jezus był żydem. Nie pochodził jednakże z Judei, owego serca owoczesnego judaizmu, lecz z Galilei, małego kraiku na krańcach północnych Palestyny leżącego i od Judei Samaryą oddzielonego. Niecieszyła się Galilea dobrą opinią w oczach współobywateli judejskich, skoro wśród nich krążyło przysłowie, że żaden prorok w ziemi téj niepowstanie. Jezus spędził cały swój żywot w Galilei. Śmierć zaś poniósł w Jerozolimie, gdzie czasowo kilkakrotnie przebywał. Na tle przeto ogólnym nauki Jezusa odróżniać jeszcze należy to, co zawdzięczać on mógł wyłącznie Galilei i co, w skutek antagonizmu pomiędzy dwoma krainami, wywołało tragedyę jerozolimską. Gdy więc ogólny nastrój umysłów w społeczeństwie żydowskiem pod koniec ery starożytnéj dostarczy klucza do zrozumienia głównych podstaw nauki Jezusa; różnica pomiędzy Galileą a Judeą wykaże, czem go ta pierwsza natchnęła a co druga odrzuciła i, osobę samą mistrza na śmierć skazując, potępiła.

Nastrój umysłowy współczesnego Jezusowi społeczeństwa określić się da jednem słowem: *oczekiwanie*. Apokalipsy wykazują jakich to właściwie przewrotów żydzi oczekiwali i w jakiéj formie wypadki oczekiwane odbyć się miały.

Poczucie odrębności narodowéj, któremu zawdzięczali żydzi żywotność swą w walce z Grekami i Rzymianami, było oparte na wierze w wyższość swego boga narodowego, Jehowy, nad innymi bogami oraz na nadziei ostatecznego zwycięstwa jego nad innymi narodami. Zwycięztwo to Jehowy stawiało na czele wszystkich ludów wybrany przezeń naród żydowski i rozpoczynało królestwo boże na ziemi. Zamiary Jehowy względem żydów i innych narodów miał wykonać zesłany przez Jehowę na wodza i króla narodu żydowskiego Mesyasz. Panowanie zaś Mesyasza, czyli erę mesyaniczną (królestwo boże) miał poprzedzić sąd Jehowy, na który powinni byli zmartwychwstać wszyscy zmarli, by otrzymać karę lub nagrodę za czyny swe za życia.

Pojęcia takie z pism proroków dawnych zaczerpnięte a owocześnie przez apokaliptyków głównie rozwijane, a więc apokaliptycznemi nazywane, owładnęły umysłami całego społeczeństwa żydowskiego. Żyło ono z dnia na dzień w oczekiwaniu Mesyasza, sądu Jehowy, królestwa bożego, oraz rozmaitych, mających je poprzedzać zjawisk kosmicznych i związanych z przyjściem Mesyasza przewrotów politycznych.

Otóż główną treścią nauki Jezusa było, że królestwo boże już się zbliża. Oryginalność zaś pomysłu cała polegała na przedstawieniu inaczéj, jak współcześnie rozumiano, istoty tego królestwa, czyli

na czem ono właściwie zasadzać się będzie; daléj, na wykazaniu, kto w nim głównie miał przyjąć udział; nakoniec, na wyznaczeniu sobie roli określonéj w tém królestwie i w akcyi poprzedzającéj urzeczywistnienie się jego. Te wszystkie pomysły nowe i oryginalne oparte były na najprostszém a zarazem najwznioślejszém z dotychczas znanych pojęć o Bogu.

Ponieważ oczekiwano jednakowo Mesyasza i królestwa bożego zarówno w Judei jak i Galilei, więc nie główna treść nauki Jezusa wzbudzić mogła tak gwałtowną reakcyę w Judei, lecz pomysły jego oryginalne, do których doszedł, które powziął na łonie przyrody galilejskiéj, wśród społeczeństwa galilejskiego.

Życie Judei całéj skupiało się w Jerozolimie, jéj stolicy politycznéj, a całego kraju religijnéj. Jerozolima, jak twierdzi Renan, była podówczas tak samo prawie pedantyczną, pełną zgorszkniałości i nienawiści, jak obecnie; tak samo przytém lubqwała się w dysputach i drobnostkach wszelkich. Fanatyzm religijny dochodził w tém mieście do ostateczności. Zaburzenia religijne były stale na porządku dziennym.

Wskutek szczególniejszéj fikcyi teologicznéj w jednéj tylko na cały kraj Jerozolimie dozwoloném było składać ofiary Jehowie. Przeto w jednéj tylko Jerozolimie wznosiła się świątynia; w Jerozolimie mieściło się tylko wyłącznie ciało kapłańskie. Lecz kapłani żydowscy pod wielu względami różnili się od kapłanów innych narodów. Księgi święte wyszły były z pod ich zawiadywania. Pismo święte dostępne było każdemu. Czytanie jego stanowiło podstawę, pojmowanie, zakres i cel wykształcenia. Wykłady Zakonu prowadzili uczeni, tak zwani soferim (pisarze). Pozbawienie kapłanów tak ważnéj dla nich w każdym kraju atrybucyi, wywołało to oryginalne zjawisko, że nie oni, lecz ludzie świeccy stanęli na czele ruchu religijnego i nadawali kierunek życiu religijnemu. Oni zaś, stykając się z narodem tylko w świątyni, przy obrzędach, które się stały jedyném ich zajęciem i środkiem do życia, coraz więcéj oddalali się od niego, coraz mniéj rozumieli jego potrzeby, dzielili dążności. Jako potomkowie jednéj rodziny kapłani żydowscy nosili podówczas nazwę Sadduceuszów, od Sadoka, swego protoplasty. Nazwa Sadduceusz oznaczała to samo w pojęciach ogółu, co *materyalista*, *epikurejczyk*. Rząd rzymski, gwarantując kapłanom wyłącznie prawo do pobierania opłat za czynności religijne, oraz zapewniwszy im zupełną swobodę sprawowania funkcyi kapłańskich, znalazł w nich najwierniejszych swych sług i ślepe narzędzie swéj polityki.

Lecz to, co gdzieindziéj poczytywać by należało za okoliczność nader pomyślną, nie na wiele się przydało w Judei. Faryzeusze, ci właśnie, którzy stanęli pomiędzy kapłanami a ludem i z bark kapłanów zdjęli ciężar kształcenia religijnego narodu, sami upatrywali zbawienie jego w drobiazgowém wypełnianiu wszelkich przepisów Zakonu. Jerozolima, jako ognisko życia religijnego, stało się zarazem i główném ich siedliskiem. Oni ze swéj sfery dostarczali owych *soferim*. Wykłady przeto Ksiąg świętych polegały wyłącznie na rozprawach kazuistycznych, tyczących się najmniéj znaczących szczegółów; a ponieważ zaspakajały wszelkie aspiracye naukowe, więc stanowiły jedyny pokarm dla umysłu. Studya kazuistyczne i teologiczne niczem się wszakże nie przyczyniały do ogłady towarzyskiéj, rozwoju pojęć. Właściwością bowiem kultury scholastycznéj jest znieczulanie umysłu na wszelkie uczucia delikatniejsze, pojęcia subtelniejsze. Sofer, ów przedstawiciel inteligencyi miejscowéj, dumny z wiadomości, które go kosztowały tylu wysileń umysłowych i tyle czasu, czuł taką pogardę dla kultury greckiéj, jaką obecnie okazuje uczony muzułmański dla cywilizacyi europejskiéj.

Po nad temi dwoma partyami wznosili się przedstawiciele rządu rzymskiego, oparci na sile legionów, umiejętnie wyzyskujący słabe ich strony, bacznie śledzący każdy ruch narodowy. Pod niemi zaś spoczywał lud prosty, ciemny, ogłupiany, wyzyskiwany.

Nawet przyroda Judei pozostawała w harmonii ze stanem społeczném i umysłowém ludności. Doliny były pozbawione wody. Grunt cały spieczony i kamienisty. Wzgórza obnażone. Morze Martwe ożywiało tylko okolicę.

Jakżeż odmiennie od Judei i inaczéj jak obecnie wyglądała za dni Jezusa, wsławiona przezeń kolebka jego, Galilea! Prześladowania polityczne i religijne, wojny tępiące wszystko i wszystkich nie pozbawiły były jéj jeszcze podówczas mieszkańców skrzętnych i zapobiegliwych. Józef Flawiusz wzmiankuje, że liczyła wsi i miasteczek 204 (*Życie*, 45). Źródła nie były jeszcze wyczerpane, potoki wyschnięte. Obficie wodami zroszona słynęła jeszcze urodzajnością gleby, świeżością pastwisk, rozmaitością i obfitością drzew owocowych. Tenże sam historyk wyliczając rodzaje zbieranych w Galilei płodów, robi uwagę, że przyroda wysilała się niby umyślnie, by przedstawić tam zebrane na jedném miejscu wszystkie okazy roślinności wszystkich stref (*Wojna Żydowska* III, 10, 8). Góry o łagodnych, zielenią pokrytych pochyłościach, dość jednak wysokie, by z ich wierzchołka objąć było można wzrokiem przestrzenie nieznane i pobudzić wyobraźnią obrazami tajemniczemi, doliny głębokie, pełne

zieloności, wód i tego co się opisać nie daje, lecz kryje pod jednym wyrazem—życie, stanowiły główne tło krajobrazu. Zwłaszcza uroczą była wschodnia część Galilei, o jezioro Genezaret oparta, bystrym Jordanem od pustyń syryjskich oddzielona. Ludność Galilei nie była wyłącznie żydowską jak w Judei. Kult jednakże Jehowy przeważał nad innymi i zacierał je. Rozmaitość zajęć mieszkańców odpowiadała rozmaitości ustroju fizycznego kraju. Lecz czy to było rolnictwo lub hodowla bydła, czy ogrodnictwo lub rybołówstwo — nad jeziorem Genezaret, każde zaspakajało potrzeby skromne, utrzymywało żądze w zastoju, umysł napawało spokojem, uczucie zadowoleniem. Usposobienie takie najbardziéj się uwydatniało w zgodzie pomiędzy sobą różnoplemiennych mieszkańców. Zadowolenie jednak z chwili bieżącéj nie oderwało oczu od przyszłości, wspomnień zaś świetniejszéj przeszłości nie zatarło w pamięci.

Rozmaite przyczyny, a głównie niedbałość cechująca charakter ówczesnego z ręki Rzymian rządcy Galilei, tetrarchy Antipatra, lekceważenie przez panów świata drobnych spraw miejscowych, czy też po prostu niemożebność owładnięcia niemi i kierowania, a nadto oddalenie znaczne od Jerozolimy, owego siedliska głównego faryzeuszów, dążących do zakucia społeczeństwa w formę bez treści, i Sadduceuszów, oficyalnych przedstawicieli interesów narodu, sprawiły, że Galilea na początku ery naszéj stała się ogniskiem rzeczywistém idei apokaliptycznych, oraz wszelkich ruchów społecznych i politycznych z niemi związanych. Z Galilei pochodził Juda, który w latach pierwszych ery naszéj zorganizował zbrojne powstanie przeciwko rzymianom i dał początek partyi zelotów, których zadaniem stało się następnie przywrócenie niepodległości krajowi za pomocą środków orężnych. Galilea była kolebką Jezusa, pierwsza dostarczyła mu uczniów i wyznawców jego nauki; Galilea jedynie tylko stać się mogła i stała się wistocie widownią uroczéj sielanki ewangelicznéj; sielanki, która przeniesiona na inny grunt, doprowadziła do tragedyi na Golgocie. Lecz nim dotkniemy się bezpośrednich przyczyn téj tragedyi i jéj następstwa, rzućmy okiem za odchyloną przez Renana zasłonę, na dzieciństwo Jezusa, poznajmy stan umysłu jego i usposobienia, jak je autor z drobnych wskazówek po Ewangeliach rozsianych odtwarza.

Twórca chrystyanizmu urodził się w Nazarecie, małéj mieścinie galilejskiéj, którą tylko ta okoliczność wsławiła. Data urodzenia jego nie da się ściśle oznaczyć. Prawdopodobnie poprzedza ona kilku laty rok 1-szy ery naszéj i przypada około 750 roku od założenia Rzymu, za panowania Augusta. Imię nadane mu Jezus, jest zmienioném imieniem Jozue. Wyszedł on z ludu. Rodzice jego na-

leżeli do klasy rzemieślniczéj. Utrzymywali się z pracy rąk własnych, a znajdowali się właśnie w tym średnim, na Wschodzie bardzo zwykłym a w Galilei nawet ponętnym stanie zamożności, który nie będąc dobrobytem w naszym rozumieniu, nie jest jednakże jeszcze ubóstwem wcale. Prostota życia właściwa ludom wschodnim robi bogactwo nieużytecznem. Każdy jest tam dobrowolnie ubogi, ponieważ nie ma rozwiniętych potrzeb. Nikt nie zna niedostatku, ponieważ łatwą znajduje możność skromnym swoim potrzebom zadość uczynić. Zaspokojenie codziennych potrzeb życia odbywało się bardzo niewielkiemi środkami, wyłącznie przez sam kraj i przemysł miejscowy dostarczanemi.

Dom, w którym się urodził i lata przepędził dziecinne Jezus, zapewne wyglądał tak, jak jeszcze po dziś dzień wyglądają domy po miasteczkach kanaańskich. Składa go zwykle jedna izba przestronna, bez okien, oświetlona otworem na drzwi przeznaczonym. W niéj mieści się obok ogniska, na którym warzą strawę, warsztat, przy którym pracują. Będąc jedyną, służy ta izba zarazem do pracy, zabawy i odpoczynku nocnego. Sprzęty odpowiadają ściśle potrzebom; stanowią je maty do siedzenia z kilku poduszkami do spania, kilka dzbanków glinianych na wodę, skrzynie malowane na ubranie.

Jezus, jak się zdaje, był najstarszym w rodzinie. Rodzeństwo miał liczne. Bracia jego i siostry nie wyszli z gminu i pozostali nieznani. Na owo zapomnienie skazał ich zapewne stosunek do brata, jeżeli nie nieprzyjazny, to w każdym razie obojętny. Tych czterech, którzy w Ewangeliach noszą nazwę *braci pańskich* i z których jeden, Jakób, doszedł był do wielkiego znaczenia w gminie jerozolimskiéj za czasów późniejszych, są to przyrodni bracia Jezusa.

Wykształcenie początkowe Jezusa stanowiło nauczenie się czytania i pisania metodą do dziś używaną jeszcze na wschodzie. Trzymając książkę w ręku musiał on wraz z towarzyszami swoimi powtarzać w głos pewny jéj ustęp, aż się tekst całkowicie w pamięć wraził. To był początek nauki. Za tém następował kurs objaśnień tekstu ksiąg świętych. Ze sposobu w jaki każą mu objaśniać ów tekst Ewangeliści, jest widocznem, że i te nauki odbył on w szkołach niższych. A ponieważ, również według nich, cytował on Biblią nie w oryginale, lecz w przekładzie aramejskim, że nie znał języka hebrajskiego, lub znając go, znał słabo. Językiem rodzinnym Jezusa było narzecze syryjskie, ubarwione hebraizmami. Narzecze to zastąpiło było podówczas w Palestynie język hebrajski, który, wyszedłszy z użycia, stał się tylko językiem uczonych.

Nie mógł również Jezus znać języka greckiego. Język ten był tylko rozpowszechnionym w sferach wyższych, wśród stykają-

cych się z administracyą i po miastach, przez cudzoziemców głównie zamieszkałych, jak Cezarea. Tém mniéj mógł być obeznany z kulturą i nauką grecką. Nie doszła ona była do zakątka w którym się urodził Jezus i wychował. A przytém nauka grecka wszędzie i zawsze uważaną była za zbyteczną przy znajomości Zakonu, a nawet dla znajomości jego niebezpieczną. Nie przekraczając wiedzą zakresu Judaizmu, Jezus zachował był ową trzeźwą a prostą naiwność, która wyłącznie tylko zjednywa i otwiera serca, a którą osłabia zawsze nauka wyższa, urozmaicona wiadomościami różnemi.

A nawet w zakresie Judaizmu nie dotknęły go były te dwa prądy myśli, które poruszały podówczas szerszy świat żydowski. Z jednéj strony pozostał dlań obcym ascetyzm Esseńczyków i Terapeutów, oraz związane z nim doktryny społeczne i etyczne. Z drugiéj—wspaniałe próby filozofii religijnéj, wprowadzane do życia przez żydów aleksandryjskich. Na szczęście atoli nie poznał on również i dziwacznéj scholastyki biblijnéj, któréj centr podówczas był w Jerozolimie, a resztki utworzyły Talmud następnie. Jednakże mógł znać Jezus Hillela, aforyzmy bowiem jego mają wiele wspólnego z zasadami i nauką tamtego. W jednym tylko Hillelu, chociaż on te czasy o pół wieku poprzedzał, widzieć możemy mistrza Jezusa, jeżeli wogóle być może mowa o mistrzach i wzorach, gdy idzie o tak zupełnie oryginalną osobistość, jaką był Jezus.

Tak więc, za główne a zarazem jedyne źródło wykształcenia Jezusa przyjąć musimy starożytną literaturę hebrajską, z któréj zabytków utworzoną już została podówczas jedna całość, pod ogólną nazwą Biblii lub starego Testamentu nam znana.

Lecz nie wszystkie zabytki téj literatury jednakowo silnie oddziaływały na Jezusa. Poetycznemu jego usposobieniu najbardziéj odpowiadały utwory liryczne, psalmy; wzniosłe dążności jego etyczne znajdowały odpowiednie podstawy w ideałach proroków, zwłaszcza Izajasza, i nieznanego wieszcza z czasów babilońskich (Izajasza II). Naukę dziejów zaczerpnął w księgach apokryficznych Daniela i Honocha.

Pochodząc z drobnego kraiku i nigdy granic jego nie przekraczając, Jezus nieznał wcale stanu politycznego świata owoczesnego. Ziemia przedstawiała mu się jako podzielona na królestwa wiodące z sobą wojny nieustanne. W wyobraźni jego imię Cezara zawierało w sobie całe państwo rzymskie. Nie przeszkadzało mu to wszakże głęboko odczuwać klęski krajowe, dokładnie rozumieć jego potrzeby i dążenia. W chwilach podniesienia ducha, które wśród tak sprzyjających warunków mogły się często zdarzać, szu-

kał on środków zaradzenia złemu; przebierał w wyobraźni sposoby wydobycia narodu swego z niewoli dwojakiéj.

Bardziéj atoli od ksiąg i wypadków politycznych odleglejszych oddziaływały na Jezusa nastrój ogólny społeczeństwa oraz samo życie, jakie się wytwarza w rozwoju naturalnym stosunków, wśród ludności prostéj i dobréj, na łonie przyrody dobroczynnéj i pięknéj. Nie unikał on bowiem ludzi, stosunków z niemi nie zrywał; owszem, lubił i pożądał towarzystwa. Daleki od wszelkiego ascetyzmu, rad był przyjmować udział we wszystkich uroczystościach rodzinnych; rad był dzielić radość i smutki z tymi, którzy go otaczali. Żywy ten stosunek do społeczeństwa uwydatnia się zarówno w żywotnéj treści jego nauki, jako też i w formie ponętnéj a barwnéj, w jaką oblekał swoje pojęcia, a nadto w téj praktyczności instyktownéj, która mu odkrywała, gdzie się miał zwracać z nauką, w jakich warstwach społecznych szukać uczniów i jak do nich przemawiać.

Spokojny bieg żywota galilejskiego Jezusa przerwała wieść krążąca po Galilei, że oto w Judei nad brzegami Jordanu zjawił się mąż pewien, imieniem Jan, który naucza i do którego z całéj Palestyny garną się słuchacze. Jedni brali go za proroka, jacy bywali w czasach dawniejszych; drudzy—za Eliasza zmartwychstałego, na znak zbliżania się sądu Jehowy; jeszcze inni — za Mesyasza samego. Mąż zaś ten ogłaszał, że królestwo Boże już się zbliża. Zachęcał przeto do zmiany życia i przygotowania się stosownego do nadchodzących wielkich wypadków. A tym, którzy słowom jego wierzyli, kazał się zanurzać w Jordanie, na znak oczyszczenia, rozpoczęcia pokuty. Przekonania demokratyczne uderzały w jego słowach; duch jakiś szerszego humanizmu powiewał z jego przemówień. Twierdził on bowiem, iż „mocen jest Bóg z kamienia każdego wzbudzić syny Abrahamowi;“ a faryzeuszów i sadduceuszów witał, nazywając ich „rodzajem jaszczurczym,“ którego tylko bojaźń kary przypędza do niego. Jezus na wieść o Janie rzuca warsztat rzemieślniczy, opuszcza Galileę, staje nad brzegami Jordanu i wraz z innymi zanurza się w jego nurtach. Miało to miejsce prawdopodobnie w 28 r. ery naszéj.

Wszyscy Ewangeliści od téj właśnie chwili rozpoczynają opowiadania swoje. Ów nacisk szczególniejszy na ten fakt wykazuje, że niechybnie wywarł był on stanowczy wpływ na życie Jezusa. Lecz z drugiéj strony sposób w jaki powitał go Jan naprowadza na wniosek, że Jezus nie mógł być mu zupełnie nieznanym. Zapewne sława Jezusa poprzedziła przybycie jego nad Jordan. Spotkanie się bowiem jego z Janem nie miało charakteru spotkania się ucznia z mistrzem, lecz raczéj dwóch mistrzów, którzy wzajemnie uznają swoje

zasługi, posiadają dążności jednakie, do jednego zmierzają celu, i wskutek tego, dla zapewnienia zwycięstwa pewniejszego swéj sprawie, chcieli by daléj iść razem. Młodość i miłość sprawy dokonały w tym razie rzeczy niezwykłych.

Wsławić Jezusa przy życiu cichém, jakie prawdopodobnie wiódł dotychczas, mogło tylko nauczanie. Zawód nauczycielski rozpocząć on musiał jeszcze przed udaniem się nad Jordan. Lecz czegóż uczył on w tym wstępnym peryodzie? Renan otrzymuje, że podówczas treścią wyłączną jego przemówień było pojęcie nowe o Bogu, które stało się podstawą główną całéj jego teologii i na którém oparł nowe poglądy społeczne.

Wszystkie ludy starożytne przedstawiały sobie Boga, biorąc wzór z monarchów swych. Bóg przeto ich, była to istota groźna i samowładna przedewszystkiem, mściwa i zapalczywa, pożądliwa i drobiazgowa, przytém kapryśna w upodobaniach, okrutna w gniewie. Bóg taki karał lub nagradzał, oświecał lub nad poziom zwykły wynosił, rządząc się wyłącznie fantazyą. Wszechmocy swéj używał bardziéj na złe jak dobre; przez co więcéj przynosił szkody wyznawcom swoim niż pożytku, opieki, obrony.

Jezus odrzucił te wszystkie krzywdzące Boga pojęcia. Nie na wzór monarchy lecz ojca w rodzinie przedstawiwszy, ogłosił go ojcem rzeczywistym wszystkich ludów i jednostek. Jako ojciec prawdziwy kocha on jednakowo wszystkie ludy i pojedyńczych ich przedstawicieli; dla wszystkich jest jednakowo sprawiedliwy i miłosierny. Postawienie po nad społeczeństwem ludzkim istoty wszechpotężnéj i wszechmocnéj w charakterze ojca, inaczéj normowało stosunki ludzi i społeczeństw całych pomiędzy sobą; znikły wybrane narody, specyalnie umiłowane jednostki. Wszyscy więc powinni się poczuć braćmi i wszyscy pokochać jak bracia. Różnica spostrzegana wśród ludzi pochodzi ztąd, że jedni już zostali wyposażeni; scheda drugich pozostała jeszcze w rękach ojca.

Jezus wraz ze wszystkimi mieszkańcami Palestyny pochodzenia żydowskiego oczekiwał królestwa bożego. „Przyjdź królestwo twoje“ sam powtarzał w swych modłach i powtarzać uczył. Lecz pewność, że królestwo boże już nadchodzi, inaczéj na niego niż na innych oddziałać musiała. Jehowa w charakterze ojca inaczéj postępować był powinien niż Jehowa monarchiczny z Kronik i Apokalips.

Jeżeli spotkanie się z Janem wywarło tak stanowczy wpływ na Jezusa, to dla tego, że od téj chwili, uwierzywszy w zbliżanie się królestwa bożego, zaczął kombinować idee apokaliptyczne z pojęciami swemi o Jehowie, zastosowywać je, godzić i dla doprowadze-

nia do harmonii przetwarzać. W rok później (29 rok) gdy Jana za propagandę władza rządowa osadziła w więzieniu i następnie według tradycyi w tym więzieniu uśmierciła, Jezus wstąpił w jego ślady i zaczął opowiadać zbliżanie się królestwa bożego, lecz przetworzywszy istotę tego królestwa, a więc różnie od Jana, jeśli przypuścimy, że Jan stał na punkcie widzenia Apokaliptyków, na co żadnych jednakże dowodów niema.

Od chwili spotkania się z Janem Jezus występuje na widownią szerszą jak dotychczas. Oczy tłómów zwracają się na niego. Działalność jego przybiera charakter publiczny. Nic go już na drodze propagandy i reform, na którą wstąpił, niepowstrzymuje. Śmiało podążał ku Golgocie, świadom końca takiego. Legenda o nim tworzyć się zaczyna. Początkowo krąży ona w zakresie bieżących chwil życia lecz wkrótce dotyka się już dzieciństwa, dorabia odpowiednie genealogie, podnosi ród, wyjaśnia pochodzenie.

Bacząc zarówno na wypadki zewnętrzne jak na rozwój pojęć wewnętrznych i ich dojrzewanie, trzy główne momenta możemy odkryć w życiu publiczném Jezusa. Pierwszym będzie pobyt na pustyni.

Jakby uderzony światłem niespodziewaném, objawieniem w nowéj postaci rzeczy dobrze przedtem znanych, Jezus opuszcza gwarne zbiorowisko ludzi z nad Jordanu i udaje się na puszczę sąsiednią, by tam w samotności zupełnéj wejść w siebie, zlać w jedno swoje poglądy z tém co nowego usłyszał, ocenić swoje stanowisko, zrozumiéć misyę przyszłą, wzmocnić wolę rozmyślaniem, pokrzepić ducha postanowieniem powziętem. Przyroda miejscowości, wśród któréj się znalazł, odpowiadała całkowicie stanowi jego duszy. Dzikość otoczenia odźwierciadlała walki staczane wewnątrz. Roje niewidomych mieszkańców, któremi lud zaludnia pustynię, stykały się z goszczącą niepewnością w uczuciu, tajemniczą robotą umysłu. Twórczość fantazyi ludowéj, która na Jezusie już spoczęła, snując niewyczerpany nigdy wątek, przedstawia pobyt jego na puszczy jako walkę z pokusami, z szatanem. Raz szatan przeniósł go do Jerozolimy i postawiwszy na ganku kościelnym zachęcał, by się zeń rzucił. To znowu wzniosłszy na bardzo wysoką górę, ukazał mu królestwa świata, chwałę przyszłą, i obiecał mu to wszystko dać we władanie. Czyż nie mógł Jezus, czując w swém łonie siłę i zapał a w myśli błysk prawdy, zapragnąć akcyi jakiejś gwałtowniejszéj, tembardziéj, że obcowanie z Janem mogło go wtajemniczyć w sposoby oddziaływania na tłumy? Czyż nie mógł ujrzéć siebie na czele zbrojnych hufców, wydzierających obcemu żołdactwu prawo rozkazywania, moc ciemiężenia swoich? Lecz opuścił go szatan a aniołowie przystąpili doń i służyć mu zaczęli...

Jezus powrócił z pustyni innym poniekąd jak był wstąpił na nią. Istota królestwa bożego już się mu objawiła. Jehowa jako ojciec sprawiedliwy powoła do niego tych, którym dotychczas jeszcze nie oddał był ich dziedzictwa. Ci, którzy dawno je otrzymali i zeń używali, ustąpić miejsca mają tym, którzy je dopiero teraz otrzymają. Śpieszy więc do Galilei, by ziemi swéj rodzinnéj najpierwéj obwieści „dobrą nowinę.“ Wchodzi do rodzinnego Nazaretu. Lecz któż jest prorok i między swojemi? Obojętność doświadczona a nawet ironia, z którą go witano, zapytując siebie wzajemnie, izaż on nie jest synem Józefa? nie zraża go. Udaje się do wschodniéj części, nad morze, do ludności jeszcze uboższéj, do rybaków. Tam zgromadza w okół siebie wszystkich odrzuconych, pogardzanych, którym miejsca dotychczas brakło w społeczeństwie. Najobfitsze we wspomnienia chwile są związane z imionami nadbrzeżnych osad: Magdala, Dalmanuta, Kafarnahum, Betsaida, Chorazin, których śladu obecnie odszukać trudno.

Jeżeli przewodnią myśl Jezusa w peryodzie wstępnym zawierają te dwa przepisy: „bądźcie doskonali, jako wasz ojciec niebieski doskonałym jest,“ i „miłujcie się jako bracia“; w tym drugim momencie działalności jego publicznéj przedstawią ją następne: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie, błogosławieni którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni.“ Wyrażoną w tych słowach myśl uzupełnił przypowieścią o bogaczu i nędzarzu. Jakżeż blado i sztucznie w obec téj uroczystéj chwili w życiu ludzkości wydaje się ogłoszenie światu *praw człowieka*!

Wieść o nowym Mistrzu, a zwłaszcza o „dobréj nowinie“ przez niego głoszonéj szybko się rozbiegła po całym kraju. Cisną się doń uczniowie, gromadzą wokół słuchacze. Zaczyna go okrążać kilkutysięczny tłum. Przybycie do danéj miejscowości poprzedza pogłoska o dokonanym gdzieindziéj cudzie. Wiara w wyższość jego i moc już uzdrawia chorych, przywraca życie zmarłym, wzrok ślepym... Nastąpiła najpiękniejsza chwila w życiu Jezusa i społeczeństwa galilejskiego. Urok niewysłowiony téj chwili polegał właśnie na niczém nienaruszonéj harmonii pomiędzy nim a otoczeniem; stanowiła go naiwna a gorąca wiara w szczęśliwsze jutro, brak zupełny troski o dziś. Każdy uznawał i odczuwał prawdę tych słów mistrza: królestwo boże w was jest.

Lecz nietylko istota królestwa bożego objawiła mu się. Doszedłszy ją myślą, odgadłszy uczuciem, zarazem pochwycił znaczenie swe w mających nastąpić wypadkach, odkrył swą rolę w nich. Któż zaiste mógł to królestwo przygotować, jeśli nie ten, kto zrozumiał, na czém polegać ono powinno? A któż zrozumiał oprócz niego?

Jeżeli Mesyasz ma przygotować królestwo boże, on jest Mesyaszem, gdyż je przygotować może. Jeśli Mesyasz będąc zesłany przez Jehowę w celach specyalnych, lepiéj od innych ludzi znać może zamysły Jehowy, on je już poznał, a poznał bezpośrednio je od Jehowy przejmując, w chwili najwyższego natężenia pracy umysłowéj, zapomnienia o całém świecie, przejęcia się jedném, w chwili natchnienia. Poznawszy zamysły Jehowy, Jezus ma większe prawo od innych nazwać się synem Jehowy.

Pojęcia te o sobie samym zgadzały się z pojęciami, które zaczęły się formować o nim w kole uczniów i wśród całego otoczenia jego. Gdy na zapytanie jednego z bliższych, za kogo go miano, usłyszał odpowiedź: Tyś jest Mesyasz, syn boga żywego; uradowany odpowiedział: błogosławionyś jest, bo ciało twoje i krew nie objawiły tego tobie, ale ojciec mój, który jest w niebiesiech. Po miastach nauczał Jezus w świątyniach. Korzystając ze zwyczaju, który dozwalał każdemu odczytywać w synagodze i tłómaczyć przypadający na ów dzień tekst księgi świętéj, Jezus zabierał głos i opierając się na danym ustępie wykładał swoje pojęcia. Lecz bardziéj niż w mieście czuł się on w swoim żywiole, gdy otoczony gronem uczniów przebiegał z jednéj miejscowości do drugiéj; gdy nie gmachu sklepienie, lecz niebios nad nim się rozpościerało, a wzrok mógł sięgać również daleko jak wysoko. Najbardziéj natchnione słowa cisnęły mu się do ust nad brzegami jeziora Genezareckiego, na górach rozsianych opodal od niego. Również i forma, w którą rad był oblekać swoje pojęcia, bardziéj zastosować się dawała do przypadkowych zebrań, dorywczych pogadanek, niż do wykładów systematycznych i biegłego w dyalektyce audytoryum. Były to bowiem trafne uwagi, jędrne aforyzmy i przejrzyste przypowieści, do których przyroda i stosunki społeczne w najprostszych swych przejawach zwykle dostarczały obrazów.

Smutnym jest los człowieka! To, na co zdobyć się może jednostka pracą ducha, podniesieniem całéj swéj istoty, nigdy się nie stanie udziałem ogółu na czas dłuższy. I wówczas gdy jednostka daléj biedz będzie po raz wytkniętéj drodze, a biedz z coraz bardziéj wzrastającym zapałem, podbudzony chwilowo ogół obojętnieć zacznie, cofać się i stanie się nakoniec tém, czém był poprzednio. Doświadczył tego Jezus. Moment ten drugi działalności jego nie trwał więcéj nad lat dwa. Jedni już z obojętnością przysłuchiwali się natchnionym jego słowom i objawione sobie prawdy tuż obok nowinek dziennych we wspomnieniu dnia mieścili; drudzy zaczęli podejrzywać, zazdrościć, szperać po stosunkach, odkrywać rzeczy rażące rutynę, zwyczaje; jeszcze inni drżeli o siebie i swoje interesa:

nauka bowiem Jezusa wprowadzając nowy porządek do stosunków społecznych, podkopywała wszystko to, co dotychczas na tych stosunkach opartem było. Odkrył to Jezus i cisnąwszy przestrogę ulubionym miasteczkom: Biada tobie Chorozain, biada tobie Betsaido; bo gdyby się były w Tyrze i w Sydonie cuda stały, które się stały u was, dawno by byli w włosiennicy i w popiele pokutę czynili. A ty Kafarnaum, aż do nieba wyniesione, aż do piekła będziesz pogrążone... Powiadam wam, iż znośniéj będzie ziemi Sodomitów w dzień sądny, niżli sobie... udał się do Jerozolimy. Miało to miejsce prawdopodobnie w 31 roku.

Nastąpił moment trzeci—walki, walki boleśniejszéj i ważniejszéj od owej na puszczy, gdyż szło tylko wówczas o wybór drogi dla działalności przyszłéj, dla urzeczywistnienia ideałów; obecną zaś walkę staczały ideały jego z rzeczywistością. Dawną wiarę w możność bezpośredniego urzeczywistnienia królestwa bożego zastąpiło przekonanie, że do niego doprowadzić tylko może walka, cierpienie. Harmonia pomiędzy nim a społeczeństwem prysła. Idylla przetworzyła się w dramat.

Jeśli Galilea dostarczając uczniów wydała zarazem zastęp obojętnych lub nawet niechętnych, Jerozolima dostarczyła tylko szereg otwartych lub skrytych wrogów. Faryzeusze, stanąwszy na ich czele, zapłonęli ku niemu nienawiścią nietajoną, powzięli plan natchniony zemstą i interesem, przeciwdziałania mu. Czychali przeto na każde słowo Jezusa, któreby dwóznacznie dało się przedstawić przed rządem i duchowieństwem, zastawiali na niego zasadzki, by go pojmać na fakcie, który mógł go w oczach jego własnych uczniów poniżyć. Przed śmiercią, którą mu gotowali na podstawie zakonu, pragnęli zniszczyć urok jego osoby, podkopać wiarę w jego mesyanizm.

Otaczające ze wszech stron niebezpieczeństwa i zasadzki, konieczność ciągłego czuwania nad sobą, każdém swym słowem i postępkiem, rozbudzają w Jezusie coraz większą energię, podnoszą entuzyazm, lecz zarazem wzniecają w nim rozdrażnienie wyraźne, które częstokroć doprowadza nawet do scen gwałtownych (przypomnijmy sobie wypędzenie przekupniów z obrębu świątyni). Szersze koło stosunków, rozleglejsze pole działalności zmusza go do wypowiadania częstszego swych poglądów, do zastosowywania swych teoryi w rozmaitych wypadkach do życia. W skutek tego właśnie większa część ze znanych jego przemówień z tych mianowicie pochodzi czasów. Lecz nie dźwięczy już w nich owa melodya pogodna i cicha, która stanowi główny urok w dawniejszych, związanych ze wspomnieniami wzgórzy galilejskich i jeziora Genezaret. Błogosła-

wieństwa rozwiały się już nieziszczone w przestrzeni i czasie. Zapewnienia spokojne przeszły w groźby; napomnienia łagodne—w przekleństwa. Każde prawie słowo stało się wyrokiem potępienia większości narodu, jeśli nie całości jego. Garstka bowiem wyrwanych przezeń ze społeczeństwa uczniów, którzy go stale otaczali i swemi czynami wcielali jego ideały w życie codzienne, zbyt małą się wydawała w obec ogarniętego wieścią o nim ogółu, w obec wrogów jego, lub dlań obojętnych.

Oto jakie aforyzmy streszczają pojęcia Jezusa i naukę jego z tego czasu: „kto miłuje ojca albo matkę, syna albo córkę nademnie, nie jest mnie godzien (Mat. X, 17).“ „Jeśli kto idzie do mnie, a niema w nienawiści ojca swego i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, a także téż i duszy swojéj, nie może być uczuciem moim. Kto nie odstępuje wszystkiego co ma, nie może być uczuciem moim. Niechaj umarli grzebią umarłych; a ty idź i opowiadaj królestwo boże... Mniemacie żem przyszedł dawać pokój ziemi. Nie, mówię wam. Nie pokój, ale rozłączenie. Albowiem odtąd będzie pięciu w jednym domu rozłączonych; trzech przeciwko dwóm; dwóch przeciwko trzem: oddzielą się ojciec przeciwko synowi, matka przeciwko córce, świekra przeciw synowéj... Przyszedłem wzniecić ogień na ziemię; a czegoż chcę jeśli nie tego by był zapalon (Łuk. XIV, 26, 33; IX, 60; XII, 51—53, 49).“

Ponieważ Jezus odgadł, że prędzéj go spotkać może los Jana niż nadejdzie krolestwo boże, że tylko przez cierpienia i śmierć zdobędzie sobie znaczenie w tém królestwie, odnawia pomysły apokaliptyczne. Nie za życia swego rozpocznie on erę mesyaniczną, lecz dopiero po śmierci, gdy powtórnie zstąpi na ziemię w obłokach, aby osądzić wszystkich ludzi i narody. Zstąpi zaś, gdy „słońce się zaćmi, księżyc nie da światłości swojéj, gwiazdy zaczną spadać a moce niebieskie poruszone zostaną (Mat. XXIV, 29).“

Tak więc, Jezus porywał i unosił w sfery nie każdemu dostępne. Chciał, by poczucie własnéj godności i należnych praw zastąpiło w życiu posiadanie rzeczywiste tych praw. Chciał, by zerwanie ze wszystkiem, co przykuwało do rodziny, kraju, uczyniło ludzi swobodnymi, niezależnymi, a więc panami siebie, odpowiedzialnymi za siebie. Nie mogąc przekształcić życia, chciał je złamać, zatrzymać we wszystkich jego przejawach; pogardą życia zastąpić używanie jego według swych pojęć. Królestwo przeto jego nie miało być „z tego świata.“ Istota i cała treść życia przełożone zostały na czasy pośmiertne.

I ten peryod działalności nie trwał dłużéj od poprzedniego. Po kilkumiesięcznym pobycie w Jerozolimie powrócił do Galilei. Lecz

dawniejsza harmonia w stosunkach do społeczeństwa już nie powróciła. Rozdrażnienie wzrastało, lecz zarazem i entuzyazm, pomimo częstych chwil znużenia i zwątpienia, wzmagał się. Powrót do kraju rodzinnego, do swoich, bracia jego przyjęli za dowód bojaźni, chęci cofnięcia się. Przeto gdy nadeszły święta namiotów (w 32 r.) tak rzekli do niego: „Idź do ziemi judzkiéj... Żaden nic w skrytości nie czyni... oznajmij sam siebie światu... (Jan, VII, 2—10).“ Podbudzony słowy, z których zła wola i ironia dość wyraźnie przeglądały, udał się do Jerozolimy, lecz potajemnie. Miała to być ostatnia już wycieczka jego.

Wypadki szybko dobiegały swego kresu. Nie potrzeba już było czasu długiego, by zupełnie dojrzały. W pół roku potém stanął Jezus przed sanhedrynem żydowskim i przedstawicielem władzy rzymskiéj, Piłatem Ponckim, przez jednego z uczniów wydany, a przez wszystkich opuszczony. Przed wysłuchaniem wyroku skazującego na śmierć usłyszał słowa zaparcia się wszystkich ze sobą stosunków i znajomości nawet, pochodzące z ust tego, który go pierwszy uznać miał za Mesyasza. Mógł więc zamilknąć. Wszystko dla niego było już skończoném.

Obie skazujące Jezusa na śmierć władze brały za podstawę, że obalał on religią formalną, (oddzieloną od życia rytuałem i świątynią, najeżoną przepisami), gdyż uczył, że życie całe powinno się stać jednym aktem religijnym. Mógł grozić zburzeniem świątyni, pragnął bowiem z serca każdego człowieka uczynić świątynię. Mógł się zgadzać na tytuł króla żydowskiego, wynikający z przyznawanego mu przez legendę pochodzenia królewskiego od Dawida, lecz dodawał, że królestwo jego nie jest z tego świata, co mogło znaczyć, że co dotychczas miano za królestwo, w czém kładziono istotę władzy, upatrywano podstawę życia społecznego, stać się powinno dla ludzi rzeczą obojętną i upaść samo przez się przy nowym kierunku w życiu.

W piątek pod wieczór dnia 14 miesiąca Nizanu (3-go kwietnia 33 r.) skonał Jezus wśród dwóch złoczyńców, będąc zawieszony na krzyżu przez żołnierzy rzymskich, w ręce których oddali go kapłani i faryzeusze. Napis umieszczony nad głową jego obwieszczał światu, że ów, który tak sromotnie dogorywa na tém drzewie, jest królem żydowskim. Ogłupiony i podlony przez swoich przewodników lud patrzał obojętnie na straszną scenę i napis. Zaślepienie religijne nie dozwoliło mu dojrzeć w akcie samym okrucieństwa dzikiego i poniewierania ludzkiéj godności, a w napisie—srogiego naigrawania się potężnego zwycięzcy nad własną jego niedolą i ideałami politycznemi.

I. Radliński.

NOWE WYDANIE DZIEŁ
JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

Trzecie z kolei wydanie dzieł Józefa Supińskiego ukazało się w roku bieżącym w handlu księgarskim. Najważniejsze tu są tomy 2-gi i 3-ci, obejmujące wykład zasad ekonomii politycznéj, nazwany przez autora „szkołą polską gospodarstwa społecznego;“ tom 1-szy zawierający „myśl ogólną fizyologii wszechświata“ jest tylko wstępem filozoficznym do szkoły polskiéj; zadanie tego wstępu polega na tém, żeby zasadnicze pewniki ekonomiczne oprzéć na ogólnych prawach rządzących światem przyrodzonym. Trzy te tomy razem wzięte stanowią zatém pewną określoną całość, przedstawiającą nam naukowe poglądy autora na ekonomiczny i społeczny rozwój ludzkich społeczeństw wogóle, a społeczeństwa polskiego w szczególności. Naukowe znaczenie pozostałych dwu tomów (4-go i 5-go) jest już daleko mniejsze, gdyż obejmują one tylko szereg luźnych artykułów dotyczących przeważnie kwestyj ekonomicznych, popularyzujących niektóre punkty dzieł poprzednich, albo traktujących o rozmaitych sprawach bieżących.

Między pierwszém a trzeciem wydaniem dzieł Supińskiego upłynęło przeszło lat 20; w ciągu tego czasu nauka zrobiła wielkie postępy na polu badań socyologicznych, a zwłaszcza ekonomicznych; teoryą wolnéj konkurencyi, która jeszcze w szóstym dziesiątku bieżącego stulecia panowała niemal wszechwładnie w ekonomii politycznéj, w ostatnich czasach krytykowano ostro i gruntownie, wykazując w niéj niemało twierdzeń błędnych, a nadewszystko, zarzucając że w praktycznym swém zastosowaniu postulaty téj teoryi trudno się godzą z pojęciami spółczesnemi o sprawiedliwości i słuszności, co naturalnie osłabić musiało znaczenie jéj naukowe. Supiński tego postępu spółczesnéj wiedzy w później-

szych wydaniach nie uwzględniał; właściwie uwzględnić nie mógł; z powodu bowiem utraty wzroku i wieku podeszłego nie mógł na nowo rozpoczynać studyów i przerabiać swéj pracy; ostatnie więc wydanie jego ekonomii i fizyologii jest niemal dosłownem powtórzeniem pierwszego, gdyż drobne poprawki i dodatki w niczém nie zmieniają ogólnego charakteru dzieła, wskutek tego przyznać musimy, że obecne wydanie nie posiada już takiego naukowego znaczenia jak pierwsze, i że jest odbiciem raczéj tych poglądów, które panowały w literaturze ekonomicznéj zachodniéj Europy w 6-tym dziesiątku XIX w., niż spółczesnego stanu pojęć o stosunkach gospodarczych.

„Myśl ogólna fizyologii wszechświata — według myśli autora— „zawiera filozoficzne uzasadnienie poglądów,“ na których zbudowaną została „szkoła polska gospodarstwa społecznego,“ a które, w głównych zarysach są zupełnie zgodne z poglądami Adama Smitha, a zwłaszcza jego francuskich komentatorów. Całe rozumowanie układa się tu w dowodzenie: że pojęcia ekonomiczne, na których opiera się szkoła manczesterska „wolnéj konkurencyi,“ są jedynie zgodne z prawami przyrodzonemi i jedynie odpowiednie wszechstronnemu rozwojowi społeczeństwa ludzkiego. Zaraz w przedmowie autor zaznacza: „Prawa dostrzeżone przez Adama Smitha są w świecie czysto ludzkim prawami Ptolomeusza; ich przejście kiedyś w kalendarz ludowy rozpocznie dopiero nową erę ludzkości, krążącéj dotąd wśród świata, którego nie zna;“ z tą myślą przyjętą *à priori* przystępuje do rozpatrywania praw rządzących światem przyrodzonym i ludzkim, szukając w nich dowodów na jéj uzasadnienie. Każdéj niemal teoryi można nadać cechy prawdopodobieństwa, grupując i oświetlając odpowiednio zjawiska przyrodzone i społeczne. „Myśl ogólna“ nie jest wolna od podobnego zarzutu, uderza nas w niéj nieścisłość rozumowania i obfitość porównań, często nazbyt śmiałych,— ujemne te strony okupuje w części erudycya autora, styl okazały i talent w kombinowaniu faktów ze wszystkich działów wiedzy ludzkiéj, co wszystko nie nadaje jednak dziełu wartości naukowéj wedle dzisiejszych wymagań t. j. żądania, ażeby wnioski ogólne opierane były na faktach, badanych ściśle i opisanych dokładnie.

Zadanie „umiejętności powszechnéj“— powiada Supiński— polega na tém, żeby przenieść prawa zasadnicze przyrody w łono żywota społecznego i oprzéć na nich prawa ludzkie; ażeby wypełnić to zadanie, powinna ona przedewszystkiem poznać owe zasadnicze prawa przyrody, — rozbiorowi tych praw poświęcone są pierwsze rozdziały dzieła. Istnienie prawa powszechnego, jego jednolitość

i prostotę autor uzasadnia poprzestając na następującém zdaniu: „ruchowi powszechnemu przodkować musi prawo powszechne, a gdy wielkością dzieła jest jego prostota, prawo przeto powszechne musi być prostém, zwięzłém, jednolitém, ono jest dziełem jednéj myśli, jest myślą jednego Boga.“ Jest to obrazowe przedstawienie myśli, przyjętéj *á priori* jako pewnik niewymagający dowodów. Podobne pewniki często spotykamy w dziele; nieraz myśli, które wymagałyby uzasadnienia naukowego, pozostawione są bez żadnego dowodu: np. twierdzenia że prawa zasadniczego należy szukać nietylko w społeczności ludzkiéj, ale „w całym ogromie wszechjestestwa,“ autor nie stara się wcale dowieść, dodaje doń tylko następującą uwagę: „to prawo ogólne nie może się blisko nas samych skupiać, bo nie dla nas samych stworzone;“ na pytanie, dla czego prawem odwieczném mogło być tylko dobro, autor za całą odpowiedź przytacza następujące zdanie: „co dziś jest złém, wynikło z czegoś co było dobrém, bo Bóg złego stworzyć nie mógł“ i t. p.

Zastanawiając się nad tém, gdzie szukać należy prawa powszechnego, autor robi uwagę, że wszystko co istnieje przejawia się pod dwojakim względem: jako odrębna całość i jako część większéj całości; zatém w świecie powszechnym istnieć muszą dwie siły: jedna będąca zasadą istnienia części, druga zasadą istnienia całości, są to *siła rzutu* i *siła przyciągania*; zestawienie tych dwu sił jest prawem zasadniczem—*pra-prawem*. Siła przyciągania przejawia się dwojako: 1) jako rzeczywiste przyciąganie, dopóki utrzymuje daną całość, spajając jéj składowe części; 2) jako siła rozkładu, gdy przyciąga i łączy z sobą pierwiastki wchodzące w skład kilku odrębnych całości. Wewnętrzna siła przyciągania składowych części danego ciała, jako konieczny warunek ich samoistnienia jest częścią ich siły rzutu i dla tego z nią razem musi być rozpatrywana, natomiast siła rozkładu jest siłą samodzielną, niszczącą odrębny byt jednostek. Właściwie zatém siłę *rzutu* należy przeciwstawić *sile rozkładu* a nie sile przyciągania.

Dla czego mają być koniecznie dwie siły zasadnicze?—przecież „dwojakie stanowisko każdego istnienia“ może być rezultatem kilku lub kilkunastu sił odpowiednio skombinowanych, może być także rezultatem jednéj tylko siły, działającéj w rozmaitym stopniu. Nie rozumiemy również na czém autor opiera istnienie samodzielnéj siły rzutu i czém właściwie jest ta siła rzutu? — w ruchach ciał niebieskich siła rzutu przeciwdziałając sile przyciągania, nadaje im ruch kołowy, — w tym zatém wypadku odpowiada ona sile odśrodkowéj; w innem jednak miejscu autor mówi: „siła rzutu—to życie jednostek, to ich indywidualność, to jednostki same“ — możnaby

ztąd wnioskować, że siła rzutu ma oznaczać sumę warunków sprzyjających rozwojowi danéj całości, danego indywiduum; w tém rozumieniu rzeczywiście przeciwstawia się ona sile rozkładu, jeżeli pod tą ostatnią rozumiéć będziemy sumę warunków przeciwdziałających rozwojowi tejże całości. Tak jednak pojmowane siły rzutu i rozkładu nie są siłami pierwotnemi.

W dalszym ciągu autor robi uwagę, że istnienie każdéj istoty organicznéj zależy od dwu warunków: 1) możliwości istnienia i 2) pragnienia tegoż istnienia; możliwością jest zapas pierwiastków żywotnych znajdujących się w przyrodzie, pragnieniem istnienia jest siła rzutu. Jako konieczny wynik pragnienia istnienia występuje „usiłowanie" przechowania tegoż istnienia, które przejawia się w dwojakiéj postaci: jako instynkt samozachowawczy i jako żądza odrodzenia się w potomstwie; zasadniczą cechą tego usiłowania jest jego bezwzględność na resztę istnień, jego indywidualność. W rozwoju życia organicznego rozróżniać należy trzy stopnie: 1) roślinność; 2) organizm zwierzęcy; 3) człowiek—„żyjący siłą roślinną, przyjmujący wrażenia zwierzęcemi zmysłami, sądzący ducha potęgą;" ponieważ w człowieku łączą się wszystkie te trzy stopnie, przeto i jego siła rzutu, chociaż jedna i niepodzielna, składać się przecież musi z trzech części, miarą jéj zatém musi być iloczyn trzech ściśle spojonych czynników: ciała, zmysłów i ducha. Rozwój człowieka o tyle tylko jest zupełnym o ile jest wszechstronnym t. j. o ile dotyczy wszystkich stopni jego organizmu, nie wszystkie jednak stopnie odgrywają jednakową rolę w rozwoju ludzi, najważniejszym jest ten, któremu człowiek zawdzięcza swą przewagę i potęgę — duchowa strona, t. j. *wiedza* i nierozdzielnie z nią spojona *praca*. Wiedza i praca są narzędziem siły rzutu u człowieka, narzędziem właściwém tylko człowiekowi, wyróżniającém go z pomiędzy innych istot organicznych. „Jak niepodzielném jest człowieka istnienie t. j. jego siła rzutu, tak téż jego wiedza i praca odrębnie postępować nie mogą. Oto jest jądro, na którém się rozwija byt ludzi, ludów, ludzkości."

Określiwszy w ten sposób znaczenie wiedzy i pracy, autor przystępuje do rozpatrywania praw rządzących społecznością ludzką, przedewszystkiém zaś zwraca uwagę na to, że podczas gdy w świecie materyalnym wszystko postępuje podług praw odwiecznych w nieprzerwanéj zgodności i harmonii, społeczność tylko przedstawia odmienne cechy: wszystko w niéj wydaje się chwiejném wątłém, wysiloném, zmienném. Różnica ta czy nie ztąd bodaj pochodzi, że prawa rządzące światem materyalnym oddawna zostały zbadane i są przynajmniéj w ogólnych zarysach dokładnie znane, tym-

czasem prawa rządzące rozwojem społecznym dotychczas jeszcze są bardzo mało znane, zbadanie ich jest o wiele trudniejsze, chociażby z tego względu, że zjawiska społeczne są więcéj złożone. Gdzie nie znamy praw ogólnych rządzących szeregami zjawisk, tam wszystko wydaje się nam chwiejném i zmienném; dopókiśmy nie znali praw rządzących światem materyalnym, niepodobna było dostrzedz w jego rozwoju żadnéj prawidłowości, nie mamy zatém żadnych danych na uzasadnienie twierdzenia, że i rozwój społeczny nie ulega stałym prawom. Autor jednak uważa tę różnicę między światem przyrodzonym i ludzkim jako stanowczą i przyczyny jéj szuka w tém, że „społeczność jest wyrobem ludzkim, powstałym na prawach przyrodzonych.“ Dla czego jednak społeczność należy uważać za wyrób tylko ludzki, — na to nie znajdujemy u autora dostatecznéj odpowiedzi, ani wskazówki jaką rolę w kształceniu się stosunków społecznych odegrywa świadoma siebie wola człowieka, a jaka przypada okolicznościom zewnętrznym, od niego niezależnym.

Społeczność jako całość przyrodzona przejawia w sobie działanie obu sił naczelnych, siły rzutu i siły rozkładu, t. j. pra-prawo jest podstawą jéj istnienia, zarówno jak i istnienia świata fizycznego. Siła rozkładu przyjmuje tu jednak nową postać, mianowicie autor uważa ją jako konieczny warunek jednolitości ciała społecznego, jako rodzaj spójni społecznéj „bez organizmu wspólnego t. j. bez siły rozkładu ciało to jako zbiorowe istniéć by nie mogło.“ Dla czego autor siłę, która utrwala związki społeczne, nazywa siłą rozkładu, jakie podobieństwo zachodzi między tą siłą a siłą rozkładu, która łączy jednorodne pierwiastki chemiczne rozproszone po rozmaitych ciałach—nie rozumiemy.

Ponieważ i świat przyrodzony i świat ludzki podlega zasadniczemu pra-prawu, przeto powinny one — według zdania autora — ulegać tym samym prawom *drugorzędnym*, wynikającym bezpośrednio z prawa naczelnego. Wspólne te prawa drugorzędne są następujące:

1) Przyroda istnieje *darmo*, a zatém nie może stać się bezwarunkową własnością jednostek; jednakże ta część ziemi, w którą człowiek przelał swoję wiedzę i pracę, staje się częścią jego samego i pozostać powinna nazawsze jego wrodzoną własnością.

2) Powszechna *rozmaitość* istnień i zjawisk, uderzająca nas na każdym kroku, ma jednak „pewne palcem Przedwiecznego zakreślone granice“, granicami takiemi są w świecie fizycznym—miara (ilości, przestrzeni i wagi), w świecie ludzkim—umiarkowanie.

3) *Podział* powszechnéj przyrodzonéj *pracy* jako konieczne następstwo powszechnéj rozmaitości, wynika z różnorodności działalności i kierunków siły rzutu; temu podziałowi odpowiada *rozdział zajęć* w ludzkiém społeczeństwie.

4) Między wszystkiemi istotami organicznemi odbywają się bez ustanku *wyścigi przyrodzone* (walka o byt); są one koniecznym wynikiem téj nieodpowiedniości, jaka zachodzi między „pragnieniem“ istnienia z jednéj strony, a „możliwością“ istnienia z drugiéj strony, t. j. między ilością jestestw żyjących i środkami żywności. Wyścigi przyrodzone bywają dwojakiego rodzaju: *a*) zewnętrzne między oddzielnemi rzędami istot organicznych, *b*) wewnętrzne między jednostkami należącemi do tego samego rzędu; wyścigi zewnętrzne muszą poprzedzać wewnętrzne. Wyścigi wewnętrzne istnieją także w rzędzie ludzi: „dzikie dopóki opierają się na sile, stają się wzniosłem ludów skojarzeniem gdy przechodzą w dziedzinę wiedzy i pracy.“

5) Każda jednostka ulegając dwu przeciwnym wpływom (sile rzutu i sile rozkładu) znajduje się jednocześnie w dwojakim stanie: *czynnym* i *biernym;* pierwszy zadawala jéj pragnienia, drugiemu ulega z oporem. Społeczność ludzka, podlegając również temu podwójnemu stanowi, nazwała go „zestawieniem *praw* i *obowiązków.*“ W przyrodzonych prawach stan czynny poprzedza stan bierny i znajduje się doń w stałym stosunku; ogół stanów biernych w przyrodzie jest równy ogółowi stanów czynnych, „to powszechne równanie jest świata powszechnego równowagą, jest zrównaniem praw i obowiązków, jest znamieniem sprawiedliwości odwiecznéj.“ Stopniowanie, wzajemność i równowaga praw i obowiązków pozostać muszą społecznemi prawami, dotyczą one zarówno jednostek, jak i zbiorowego ciała społecznego.

6) Dwie części ludzkiéj siły rzutu: *wiedza* i *praca* odpowiadają dwu częściom, składającym przyrodę *materyi* z jéj właściwościami i *prawom odwiecznym*, podług których istnieje materya; wiedza staje naprzeciwko praw (t. j. człowiek poznaje prawa), praca działa na materyą i wytwarza z niéj wyroby ludzkie, których właściwością jest użyteczność.

Przyrodzone te prawa powoli tylko wrastały w tworzącą się społeczność, nadając jéj stopniowo coraz większą trwałość i jednolitość. Pierwotny stan dziki długo trwać nie mógł; niósł on człowiekowi zagładę, od któréj ocaliła go wiedza i praca; opierając się na wiedzy i pracy człowiek dochodzi do pojęcia *zapasu*, *własności*, *rodziny*. Zbieranie zapasów było pierwszym zawiązkiem stosunków między ludźmi; widząc zapasy u innych i pragnąc owoców pracy

bez pracy, człowiek napada i rabuje; napady i zabory były pierwszą stycznością człowieka z człowiekiem. Z tego stanu niemal zwierzęcego człowiek przechodzi powoli w stan inny, wyższy; tém przejściem była *zamiana*." Zamiana jest własnym tworem człowieka, płodem jego wiedzy i dla tego nie może ona istnieć po za obrębem społeczności ludzkiéj; „jest ona najbliższą prawdy odwiecznéj, bo jest bezpośrednim wypływem jednego z 6 praw naczelnych, jest stanem czynnym i biernym." Przedmiotem zamiany jest to samo, co było przedmiotem gwałtów i rozbojów t. j. praca ludzka, a właściwie jéj owoce; przy zamianie, praca ludzka i użyteczność ludzka stają na przeciwległych krańcach; powszechne usiłowanie ludzi skierowywa się ku temu, żeby zwiększyć użyteczność dla drugich, zmniejszając pracę dla siebie. Za pomocą wiedzy człowiek zaprzęga do swych robót siły przyrody, ponieważ jednak przyroda istnieje darmo, przeto to, co w wyrobie ludzkim jest dzielem przyrody, musi przy wymianie przejść darmo w ręce nabywcy wyrobu. Zamiana jednak nie wystarcza jeszcze do stanowczego utrwalenia społeczeństwa jako jednolitéj całości; musi ono mieć jeszcze „swój własny pierwiastek żywotny, odpowiedni swojemu powstaniu, wspólny w skład jego wchodzącym jednostkom, ale im samym tylko właściwy;" takim pierwiastkiem musi być wyrób czysto ludzki, zatém mający swoje źródło w wiedzy i pracy, jest nim nagromadzona wiedza i praca, t. j. *zasób społeczny*.

Autor rozwodząc się szeroko nad znaczeniem zamiany i zasobu społecznego, przechodzi z pola teoretycznych rozumowań na pole historyi, by w niéj znaleść dowody na potwierdzenie swych wniosków. Końcowe rozdziały dzieła zawierają w sobie bardzo wiele faktów historycznych, niekiedy bardzo ciekawych, ale po większéj części sztucznie zestawionych; przytaczać tych faktów nie możemy dla braku miejsca, ograniczymy się za tém tylko na przedstawieniu tych głównych poglądów autora, które—według jego zdania—wynikają z nagromadzonego dziejowego materyału.

Siłą, która związała pierwotne społeczeństwa, była trwoga, uczucie wrodzone, niezależne od woli ludzkiéj; trwoga bywa dwojaka: wywołana przez niebezpieczeństwa fizyczne i trwoga „nadziemska", ta ostatnia jest daleko silniejszym cementem społecznym niż pierwsza. Bezpośrednim wynikiem trwogi nadziemskiéj jest *wiara*, która wsparta na cudowności i poezyi staje się najwyższą ustawą, jedynem prawem regulującém postępowanie jednostek. Przeważający wpływ wiary wywołuje ten skutek, że kapłani stają się naczelnikami drobnych niezawisłych plemion. Z biegiem czasu wspólna potrzeba, tożsamość stanowiska lub wspólne z zewnątrz nie-

bezpieczeństwo sprowadzały porozumienia, walki i zwycięstwa, a *rada starców* musiała być pierwszym węzłem, pierwszym kształtem rządu w społeczności liczniejszéj od gromady.“ Wskutek przyrodzonéj dążności jednostek do wywyższenia się, społeczeństwo przybiera kształt ściętego ostrosłupa; ostrosłup ten coraz bardziéj rozszerza się u spodu a zwęża u góry; przeciwległe płaszczyzny stają się coraz odleglejsze i coraz bardziéj sobie obce; nakoniec wyścigi wewnętrzne między osobami stojącemi u szczytu doprowadzają do panowania jednostki: ścięty ostrosłup staje się zupełnym. Wszystko to są przejawy wybujałéj siły rzutu, która stara się nad wszystko wywyższyć, wszystkie siły społeczne przytłumić lub skierować do swoich indywidualnych celów; stanąwszy jednak na szczycie traci równowagę i ulega przyrodzonéj sile rozkładu, téj sprawiedliwości odwiecznéj, do któréj wzdychają wszędzie i zawsze wszyscy słabi i pokrzywdzeni.

Jako przejawy działającéj siły rozkładu autor przytacza chrześcijaństwo, upadek państwa rzymskiego, wędrówki narodów i t. p. w ostateczności jednak dochodzi do wniosku, że główną siłą rozkładu jest teorya Adama Smitha, która poddaje społeczność pod panowanie praw przyrodzonych i która ma być „tém słońcem społeczném, którego nie dostrzeżono przez 40 wieków, a które wszechwładną siłą rozkładu nurtowało zdawna żywot ludzkości; dzięki téj teoryi epoka urządzeń sztucznych, sprzecznych z prawami przyrodzonemi zniknąć musi niepowrotnie, społeczeństwo znajdzie swój rzetelny środek ciężkości, który da jemu wszelkie rękojmie trwałości i spoczynku. O ile takie zapatrywanie na teoryą Adama Smitha potrzebowałoby jeszcze uzasadnienia, przekonamy się przy rozbiorze „Szkoły Polskiéj“; teraz zwrócimy uwagę na to, że społeczeństwo nie tylko nie znalazło w téj teoryi gwarancyj trwałości i spoczynku, ale przeciwnie stanęło na tak niestałym fundamencie jak nigdy dotychczas; systemat wolnéj konkurencyi istnieje zaledwie 100 lat, a już wywołał potężną opozycyą, która z najrozmaitszych punktów widzenia, w mniéj lub więcéj energiczny sposób, domaga się zmian dowodząc ich konieczności.

Pomijając dalsze szczegóły o działaniu siły rozkładu, zanotować jeszcze musimy, że autor rozróżnia trzy wielkie momenty w zbiorowém życiu ludzkości: 1) wiara czyli religia, 2) ład społeczny czyli rząd; 3) indywidualność czyli wolność; każda z tych historycznych potęg ma swoje okresy świetności, powodzenia i przewagi. Obecnie sfera wiary zwęża się coraz bardziéj, ciążenie ładu społecznego słabnie, natomiast indywidualność się rozwija.

„Szkoła polska gospodarstwa społecznego“ opracowaną była przez autora jako dopełnienie „Myśli ogólnéj fizyologii wszechświata“; rozwija ona bardziéj szczegółowo część teoryi ogólnéj, wyłożonéj w poprzednim dziele, a mianowicie te prawa, które dotyczą wyłącznie gospodarstwa społecznego; odpowiada ona zatém w zupełności téj nauce, która wogóle nosi nazwę „ekonomii politycznéj.“ Autor odstąpił od utartéj nazwy, jako nieodpowiedniéj, ponieważ zaś filozoficzną teoryą, na któréj oparte są ekonomiczne poglądy, uważa on za swoję wyłączną własność i ponieważ poglądy te rozwija na tle narodowém polskiém, wykład swój nazywa „szkołą polską.“

Główne zasady zawarte w szkole polskiéj są zgodne z temi zasadami, które Adam Smith wyłożył w swém znakomitém dziele „o bogactwie narodów“; autor sam to przyznaje i ustawicznie powołuje się na to dzieło; jakkolwiek zatém w niektórych miejscach stara się w odmienny, oryginalny sposób, wyłożyć niektóre prawdy ekonomiczne i zastosować je do tych warunków, w których znajduje się (a właściwie znajdowało się przed 20 laty) społeczeństwo polskie, nie nadaje mu to jeszcze prawa do uważania swojéj teoryi za nową szkołę ekonomiczną. Szkoła ekonomiczna powstała z nauki Adama Smitha, zwana pospolicie „szkołą wolnéj konkurencyi“ opiera się na następujących zasadach: 1) przyjmuje ona, że istnieją pewne przyrodzone prawa, rządzące sferą ekonomicznych stosunków, które są właściwe i odpowiednie dla wszystkich społeczeństw niezależnie od tego, na jakim stopniu cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa te się znajdują; 2) urzeczywistnieniu tych rządów przyrodzonych stoi na przeszkodzie działalność władz państwowych, które w celach politycznych starają się wszelkiemi sposobami kierować gospodarczą działalnością całego narodu, kierunek ten jest szkodliwy i dla tego wszelka interwencya państwa w stosunki ekonomiczne powinna być stanowczo usuniętą; 3) interesy indywidualne znajdują się w zupełnej harmonii z interesami społecznemi i nieograniczona wolna konkurencya najskuteczniéj przyczynia się do zapewnienia ogólnego dobrobytu. Nasz autor wszystkie te zasady przyjmuje jako prawdy niezaprzeczone, mamy zatém wszelkie prawo uważać go za przedstawiciela szkoły wolnéj konkurencyi, nie przywiązując zbyt wielkiego znaczenia do drobniejszych różnic, zachodzących między jego wykładem i teoryami innych ekonomistów téj saméj szkoły.

Naukę gospodarstwa społecznego autor dzieli na dwie główne części: 1) organizm społeczny i 2) mechanizm społeczny; w pierwszéj części rozbiera on „ruchy życia społecznego w ich stanie przy-

rodzonym, niezależnym, zatém prawa wyższe, rządzące społecznością bez niéj i mimo niéj“; w drugiéj części miał zamiar opisać te szczegóły, które leżą niejako po za obrębem praw przyrodzonych. Podział taki wynika konsekwentnie z teoryi, którą autor przeprowadza w swoim wykładzie; podług téj teoryi istnieje jedna tylko „naturalna“ organizacya gospodarstwa społecznego, wynikająca z praw przyrodzonych, wszystkie zaś inne są sztucznym wyrobem ludzkim; główne zasady téj organizacyi nie ulegają żadnym zmianom, są prawdziwe wszędzie i zawsze, dlatego stanowią one t. z. organizm społeczny, oprócz jednak tych zasad koniecznych stosunki ekonomiczne podlegają jeszcze innym prawom, nieposiadającym już tak niezmiennego charakteru i zależnym od woli ludzkiéj, które stanowią t. z. mechanizm społeczny; z tego widzimy, że główna różnica między organizmem i mechanizmem społecznym polega na tém, że prawdy wyrażone w pierwszym mają charakter bezwzględny, niezależny od miejsca i czasu, teorye zawarte w drugim są względne i zmienne. Podział ten dzisiaj traci dużo ze swego znaczenia, bo dzisiaj przeważa pomiędzy uczonymi myśl, że niema takiego ustroju ekonomicznego, któryby się dał zastosować przy wszelkich warunkach, że teorya Adama Smitha i oparty na niéj systemat wolnéj konkurencyi, był tylko koniecznym wynikiem danych historycznych warunków, również naturalnym jak i poprzednie starożytny i średniowieczny systematy gospodarcze i że niema najmniejszéj racyi uważać go za ostateczny wynik dziejowego rozwoju. Nie przywiązujemy zatém wielkiéj wagi do przeprowadzonego podziału, tém bardziéj że właściwie autor opracował tylko pierwszą część zamierzonéj pracy t. j. organizm społeczny; część druga pozostała nazawsze projektem, nie możemy zatém wygłaszać o niéj żadnego zdania; ostatni tylko rozdział 3-go tomu „węzły społeczne“ stanowi przejście od organizmu do mechanizmu społecznego.

Wykład prawd, zawartych w organizmie społecznym, autor rozpoczyna od określenia znaczenia ekonomii politycznéj i zbija zarzuty, któremi niechętne społeczeństwo witało nowopowstającą naukę; przytém słusznie bardzo dowodzi, że stosunki ekonomiczne mają przeważające znaczenie w rozwoju społeczeństw, a jako takie nie powinny pozostawać obcemi dla żadnego myślącego człowieka; obiecuje o ile można rozszerzyć granice, które dotychczas stawiano nauce gospodarstwa społecznego, uwzględnia jednak tylko w swoich badaniach szczupłą sferę gospodarstw prywatnych. Ale obok tego, zanadto już może przypisuje znaczenia teoryi ekonomicznéj swobody. „Ekonomia — powiada — nie przyjmuje niewoli, poddań-

stwa, przywilejów i ucisku, ona z pogardą odsuwa podstępy, łupieże, gwałty i wszelkie zyski jednych zdobyte kosztem drugich;" prawdy jéj wykrywają podstępne działania i prostują zakorzenione błędy; jéj odkryciom zawdzięczamy to, że „już dziś nikt nie śmie utrzymywać z Wolterem, że pewna część narodu musi być ubogą, by nie brakło robotników lub za przykładem Rousseau, że aby jedni byli doskonale wolnemi, drudzy muszą być doskonale niewolnikami." Dzisiaj pomiędzy uczonymi znajduje się wielu wyznawców poglądów Woltera i Rousseau, a realistyczny kierunek w nauce oddalił nas znacznie od czasów kiedy wierzono powszechnie, że zniesienie feudalnych przywilejów i zapewnienie każdemu indywidualnéj swobody doprowadzi do powszechnéj wolności i dobrobytu. Przywileje prawne zostały usunięte lub ograniczone, ale natomiast znaczenie przeważne uzyskał faktyczny przywiléj posiadania; prawa zapewniają ludziom swobodę w wyborze zajęcia, ale nie dają gwarancyi znalezienia zajęcia; robotnik został wolnym ale ekonomiczna zależność jego od kapitału coraz bardziéj wzrasta, zamiast obiecywanego powszechnego dobrobytu otrzymano w rezultacie mnożenie się proletaryatu i niezadowolenie mas. Ta nieodpowiedniość między oczekiwanemi i otrzymanemi rezultatami, te ujemne strony nieograniczonéj wolności w sferze gospodarczéj nikną zupełnie w wykładzie autora. Opisując dodatnie następstwa ekonomicznego postępu, autor dochodzi do wniosku, że wywarł on wpływ dobroczynny na położenie robotników, a to do tego stopnia, że żyją oni obecnie w daleko większym dobrobycie, niż królowie za czasów Homera. Jednakże król Homera był w każdym razie królem, nie zajmował się on pracą ręczną, miał zaspokojone wszystkie swoje potrzeby, cieszył się dobrobytem największym w porównaniu ze swymi poddanymi; tymczasem robotnik stoi na niższych szczeblach społecznéj drabiny, pracować musi dzień cały, nie zawsze jest w stanie zaspokoić najniezbędniejszych nawet swoich potrzeb, widzi otaczający go ale niedostępny dlań zbytek i nakoniec nigdy nie może być pewny, czy zastój w przemyśle lub nagła choroba nie pozbawią go środków do życia; król Homera czuł, że jest osobą uprzywilejowaną, robotnik czuje, że mu gorzéj się dzieje niż innym.

O ile jednak autor jest jednostronnym przy wykładzie swéj teoryi, o tyle słusznie zupełnie a energicznie zwalcza wszystkie pozostałości średniowiecznych urządzeń gospodarczych i surowo potępia tych wszystkich, którzy zasłaniając swoje prywatne interesy pozorami dobra publicznego, szerzą zdania fałszywe, przekręcają teorye dla siebie niekorzystne, lub nakazują im zupełne milczenie, dowodząc że podkopują one najświętsze społeczne ogniwa: religią,

rodzinę, własność i obyczaje; takiéj taktyki trzymali się zwolennicy feudalno-arystokratycznego ustroju w swéj walce z przedstawicielką nowych ekonomicznych stosunków—burżuazyą, nie waha się używać jéj i ta ostatnia w walce ze swemi przeciwnikami.

Wykład „organizmu społecznego“ polega na tém, że autor rozpatruje kolejno zasadnicze pojęcia ekonomiczne, objaśniając je tak nazwanemi przez siebie prawami przyrodzonemi. Zasadnicze te pojęcia są następujące: bogactwo i mienie, wartość i cena, zasób, praca, dochód, zamiana, kredyt, ziemia i ludność; zanim przystąpimy do szczegółowszego ich rozbioru, zastanowić się musimy nad temi prawami przyrodzonemi, które najbliżéj dotyczą zjawisk ekonomicznych i służą jako podstawa całéj teoryi; praw tych jest pięć: 1) człowiek nie jest w stanie stworzyć lub zniszczyć ani jednego atomu materyi, może ją tylko przetwarzać; 2) przy przetwarzaniu materyi człowiek musi się stosować do praw przyrodzonych; 3) nieskończona rozmaitość jest jedném z głównych znamion ziemi; 4) ograniczoność jest powszechną i wspólną własnością wszystkiego co jest i co być może; jest ona trojakiego rodzaju: co do ilości lub rozmiaru, co do miejsca i co do czasu; następstwem tego prawa jest „trudność dojścia do posiadania,“ trudność ta jest tém większą im większą jest ograniczoność przyrodzona; 5) wszystko co jest tworem Boga, zatém świat i wszystko co na nim powstaje i działa przyrodzonym popędem, istnieje i działa *darmo*. Ostatnie to prawo uzasadniane przez Carey'a, wymownie bronione przez Bastiat'a, nie mogło dotąd zająć w nauce stanowiska poważnego;—nie mamy bowiem dotąd środków sprawdzenia jego wpływu na stosunki ludzkie, ani rozciągłości jego działania. Pozostanie ono bodaj nazawsze tylko pomnikiem usiłowań szlachetnych około utrwalenia spokoju społecznego i uśmierzenia namiętności ludzkich. W praktyczném swém przystosowaniu spotykałoby się co chwila z tysiącem trudności nierozwiązalnych, przynajmniéj w obec panujących pojęć o własności i w obec kodeksów regulujących stosunki majątkowe. Sprzedają i kupują ludzie kawałki ziemi nietknięte ręką ludzką, nawet nieurodzajne nieużytki, można wydzierżawić siłę spadającéj wody, codziennie wynajmują siłę roboczą tysięcy i milionów robotników; przecież wszystko to są dary przyrodzone, do wytworzenia których ani praca ani wiedza ludzka się nie przyczyniła. W obec tych faktów jakież znaczenie mieć może dla ludzi, pojęcie metafizyczne, że co Bóg stworzył tego człowiek sprzedać nie może, chociażby ono było najwymowniéj objaśnione i uzasadnione wedle wszelkich prawideł logiki formalnéj.

Bogactwo i mienie—wartość i cena. Autor rozróżnia pojęcia bogactwa i mienia w następujący sposób: „bogactwem“ nazywa on wszystkie dary przyrodzone t. j. istniejące bez udziału człowieka, „mieniem“ zaś to tylko, co przeszło w posiadanie człowieka dzięki zastosowaniu jego pracy i wiedzy; bogactwa przyrodzone“ nie przestają istnieć darmo, służyć darmo każdemu, w czyje posiadanie przejdą i darmo przechodzić z jednego posiadania w drugie;“ mienie jest „właściwą człowieka i narodów zamożnością, jest ich jedyną potęgą.“ Charakterystyczną cechą bogactwa przyrodzonego jest jego *użyteczność* t. j. zdolność zaspakajania potrzeb naszych (np. użyteczność powietrza, wody, i t. p.) charakterystyczną cechą przedmiotów stanowiących mienie ludzkie jest ich *wartość*; użyteczność istnieje darmo, wartość jest skutkiem pracy użytecznéj, „użytecznością wypracowaną pod kierunkiem wiedzy.“ Wartość nie ma miary sama w sobie; wspólną miarą wszystkich wartości jest *cena*. „Wartość jest przymiotem, cena miarą i wagą ludzkiego świata.“ Cena nie jest zależną od wartości; przeciwnie wartość może być wielką w przedmiotach mających nizką cenę, cena może być wysoką w przedmiotach nieposiadających wielkiéj wartości; napływ wartości jest znamieniem cywilizacyi i dobrego bytu, wysokość cen jest skutkiem wysilenia nieudolnéj pracy, ciemnoty, zbytków szczegółowych i powszechnego niedostatku. Ponieważ cena jest zestawieniem dwu wartości, a wartość jestto wypracowana użyteczność, przeto cena zależną jest od dwu czynników: pracy i użyteczności; praca jest źródłem ceny nakładowéj, użyteczność źródłem ceny „targowéj.“ Cena nakładowa (a właściwie mówiąc cena nakładowa więcéj średni zysk) jest możliwie najniższą ceną, gdyż jeżeli cena nie pokrywa wyłożonéj pracy, produkcya danego przedmiotu ustaje. Cena targowa zwykle jest wyższa od ceny nakładowéj; zależy ona od tego, jak wysokie wynagrodzenie nabywający gotów jest ofiarować za użyteczność, którą mu oddaje strona przeciwna; cenę nakładową określa zbywający, cenę targową stanowią głównie nabywający, powodując się zamiłowaniem, próżnością, modą a niekiedy rzeczywistą konieczności, niezbędną potrzebą. „Cena nakładowa zwiększona średnim zyskiem jest źródłem pomyślności powszechnéj: ona zapewnia utrzymanie, mienie i słuszne wynagrodzenie ludziom, pracującym dla innych;“ ruch ceny targowéj sprowadza odwrotne następstwa. Podnoszenie się cen targowych jest zjawiskiem bardzo niepomyślném, dowodzi bowiem, że ludzie mogą zaspakajać po dawnemu swe potrzeby tylko w takim razie, jeżeli zużyją na to daleko więcéj pracy. Ceny ulegają ciągłym zmianom; przyczyny tych zmian są rozmaite: jedne wynikają z praw przyrodzonych, z saméj natury rzeczy, (nieurodza-

je, wylewy, pomory itp.) inne sztuczne są skutkiem „wdawania się władzy w kierunek wyrobnictwa krajowego“ (przywileje i zakazy, zdzierstwa i nagrody, utrudnienia i wspierania). Cena nie da się porównać z niczém istniejącém po za nią, nie może zatém mieć miary, która dałaby możność porównywania cen w rozmaitych miejscach i rozmaitych epokach; niéma takiego przedmiotu, któregoby cena pozostała niezmienną zawsze i wszędzie.

Widzimy ztąd, że zapatrywania autora na bogactwo, wartość i cenę różnią się od poglądów innych ekonomistów. Przedewszystkiém używa on zupełnie odmiennéj nomenklatury, a właściwie mówiąc, terminom, używanym przez ekonomistów Zachodniéj Europy, nadaje inne znaczenie, bardziéj zgodne z duchem języka polskiego. Używany przez ekonomistów termin „bogactwo“ odpowiada u naszego autora pojęciu „mienie;“ pojęcie „wartości“ w szkole polskiéj stoi zupełnie odrębnie i nie ma odpowiedniego terminu w literaturze ekonomicznéj, gdyż z pomiędzy przyjętych tam terminów „wartość użytkowa“ obejmuje w sobie i „użyteczność“ i „wartość“ wedle szkoły polskiéj, a „wartość zamienna“ odpowiada zupełnie pojęciu „ceny.“ Utarte w dziełach ekonomistów pojęcie „ceny,“ jako wartości wyrażonéj w pieniądzach, nie ma w szkole polskiéj żadnego odpowiedniego terminu. Wskutek tego wszystkie te uwagi, które autor robi o „cenie“ należy stosować w części do „wartości zamiennéj,“ i w części do „ceny“ zachodnich ekonomistów. Sądzimy przytém, że przypisuje on użyteczności zbyt wielkie znaczenie przy określaniu ceny przedmiotów: rozumie się, że przedmioty bezużyteczne nie mogą mieć żadnéj ceny, co się jednak tyczy ceny użytecznych przedmiotów, to zależy ona od stopnia ich użyteczności tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy ilość poszukiwanych przedmiotów jest niewystarczającą i nie może być dowolnie powiększoną (np. podczas oblężenia, wielkiego nieurodzaju itp.); w normalnych jednak warunkach ceny tych przedmiotów, których ilość może być dowolnie powiększaną, nie są proporcyonalne do stopnia ich użyteczności: chleb jest daleko tańszy od kosztowności, dany kawałek mięsa nie zmieni swéj ceny, czy ma wybawić głodnego od śmierci głodowéj czy téż służyć na zaspokojenie jakiéj bezużytecznéj fantazyi. W normalnych zatém warunkach cena targowa nie może się bardzo różnić od ceny nakładowéj i możemy śmiało przyjąć jako ogólne prawidło, że wszystkie przedmioty sprzedają się po cenie nakładowéj, zwiększonéj o średni zysk (drobne wahania w obie strony zupełnie się równoważą), pomimo to jednak jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od powszechnéj pomyślności i słusznego wynagradzania ludzi pracujących dla innych.

Zasób społeczny. Przystępując do wyłożenia swoich poglądów na zasób społeczny, autor przedewszystkiém objaśnia, że pojęcie „kapitału“, w tém znaczeniu jakie mu nadają ekonomiści Zachodniéj Europy, nie wydało mu się odpowiedniém dla szkoły polskiéj i dla tego postanowił w odmienny sposób rozwiązać tę ważną kwestyą. Zapatrywania jego dadzą się streścić w następujących wyrazach.

Wszystkie ciała w naturze stanowią ogromny „przyrodzony zapas“ pierwiastków pożywnych; zapas ten istnieje darmo, jako wspólna własność wszystkich ludzi. Gromadząc na własną potrzebę użyteczne nam dary natury dochodzimy do „zapasów szczegółowych;“ zbieranie zapasów szczegółowych stanowi właściwość nietylko ludzi, ale i niektórych gatunków zwierząt np. pszczół, mrówek itp. Wyższość człowieka polega jednak na tém, że gromadzi on nietylko takie przedmioty, które znajdują się w przyrodzie gotowe; ale dzięki swéj wiedzy i pracy wytwarza on nową użyteczność tj. „wartość“, zbiór takich wartości stanowi to, co autor nazywa „zasobem społecznym“. Zasób społeczny—to nagromadzona pr[illegible] agromadzona wiedza to „zapas wypracowanych użyteczności, bez względu czy te utkwiły w ciałach martwych, czy stały się potęgą myśli;“ powiększa się on ciągle w miarę postępowego rozwoju ludzkości. Zasób nie ma nic wspólnego z bogactwami przyrodzonemi np. urodzajnością ziemi, kopalniami złota i w ogóle wszelkiemi przedmiotami istniejącemi darmo; natomiast w zakres jego wchodzi to wszystko, co jest wynikiem wiedzy i pracy ludzkiéj, nietylko przedmioty materyalne, ale i przymioty duchowe, jakoto oświata, moralność, porządek publiczny i t. p. Ponieważ wiedza wchodzi w skład zasobu społecznego, a nawet stanowi przeważną jego połowę, przeto „człowiek jedyne wiedzy narzędzie... musi być częścią, a nawet główną częścią zasobu społecznego;“ wszystko co się przyczynia do umysłowego, moralnego i fizycznego rozwoju ludzi, jest także nagromadzaniem zasobu społecznego. Zasób społeczny podlega „spotrzebowaniu i zużyciu;“ spotrzebowanie ma miejsce wtedy, kiedy człowiek zaspakaja potrzeby swego organizmu; zużycie czyli reprodukcya polega na tém, że dany przedmiot przeznaczamy na jakiś cel użyteczny, tj. przelewamy w nowy wyrób siłę ludzką utkwioną w poprzednim; jest ono korzystném tylko w takim razie, gdy wartość otrzymanego wyrobu jest większą niż wartość zużytych przedmiotów. Zasób społeczny narasta tylko wtedy jeżeli ludność spotrzebowywa mniéj niż produkuje i zużywa przedmioty najkorzystniéj; przytém narasta tém prędzéj i obficiéj, im większym jest istniejący już zasób społeczny danego kraju.

Zasób społeczny, jakkolwiek jeden i niepodzielny, może być jednak dzielony z dwojakiego punktu widzenia: 1) na uwięziony, miejscowy i wymienny; 2) na prywatny, pospolity i narodowy. Pierwszy podział odpowiada podziałowi wszystkich przedmiotów na 3 kategorye: a) nieruchome z natury np. ziemia, budowle itp.; b) ruchome z natury, ale przywiązane przez człowieka do pewnego określonego miejsca np. narzędzia i materyały potrzebne do produkcyi: c) bezwzględnie ruchome, np. wyroby przeznaczone na zbycie itp.; pierwsza kategorya przedstawia zasób uwięziony, druga miejscowy, a trzecia wymienny. Różnica między zasobem miejscowym i wymiennym polega przeważnie na przeznaczeniu danych przedmiotów, często zatém to, co dziś jest częścią pierwszego, może jutro stać się częścią drugiego i naodwrót. Zasób uwięziony był dominującym czynnikiem ekonomicznym podczas wieków średnich, właściwie nawet dopiero w końcu wieku przeszłego, dzięki zmianom w stosunkach społecznych, zasoby wymienne zaczęły nabierać coraz większego znaczenia; obecnie zaś stanowczo biorą wszędzie górę nad zasobem uwięzionym. Stosunek zasobu uwięzionego do zasobu wymiennego nie powinien przewyższać pewnéj określonéj normy; przekraczanie téj normy pociąga za sobą smutne następstwa, gdyż zasób uwięziony nie może być obrócony na inny cel niż ten, do którego był pierwotnie przeznaczony; jeżeli zatém przestanie służyć temu celowi, ulega zmarnowaniu. Zasób miejscowy nie zawsze, ale często, posiada takąż samą właściwość. Jeżeli zasób danego kraju jest ograniczonym, przybywający zasób z zagranicy może go w części zastąpić i przyczynić się do podniesienia ekonomicznego stanu tego kraju.

Według drugiego podziału rozróżniamy zasób prywatny, narodowy i pospolity. Zasób narodowy jest to zbiór majątków prywatnych za wyłączeniem tego, co ludzie chciwi przechowują bez korzyści powszechnéj, oraz za potrąceniem wierzytelności posiadanych przez jednych obywateli kraju na drugich, z doliczeniem zaś tego, co służy ogółowi, chociaż nie przynosi korzyści osobom prywatnym. Ponieważ od zasobu narodowego zależy stanowisko danego państwa, ma ono zatém prawo i obowiązek czuwać nad jego losem, nie przekraczając jednak pewnéj ściśle określonéj granicy. Pod zasobem pospolitym należy pojmować wszystkie te przedmioty, które są przeznaczone na wspólny użytek wszystkich i stanowią własność publiczną, np. drogi, kanały, biblioteki i t. p.; zasób pospolity jest także składową częścią zasobu narodowego.

Ze wszystkiego, cośmy powyżéj przytoczyli, wynika, że pojęcie zasobu nie odpowiada temu znaczeniu, które w literaturze

ekonomicznéj Zachodniéj Europy przywiązaném jest do wyrazu „kapitał.“ Kapitałem w ekonomii jest zapas tych wartości gospodarczych, które służą jako środki techniczne dla tworzenia nowych wartości (tj. narzędzia produkcyi i materyały surowe); jest on zatem tylko częścią zasobu społecznego. Supińskiemu w ogóle niepodoba się takie pojmowanie kapitału, nazywa on je niepewném, wątłém i bez rdzenia. Nam by się zdawało przeciwnie, że wydzielenie pojęcia „kapitału“ jest koniecznem dla należytego pojmowania zasad ekonomii politycznéj. Kapitał ulega pod każdym względem prawom innym, niż ta część zasobu społecznego, która służy do zaspakajania potrzeb (tj. przeznaczoną jest na konsumcyą); do pewnego stopnia i sam autor uwydatnił tę różnicę, dzieląc swój zasób na uwięziony i miejscowy z jednéj strony, a wymienny z drugiéj. Przytém jakkolwiek ekonomia polityczna wyodrębnia pojęcie kapitału, nie odejmuje jednak wcale znaczenia temu, co autor nazywa zasobem, nadaje tylko temu pojęciu inną nazwę (ogółu bogactw, bogactwa wogóle itp.).

Motywując rozlegle wyższość swego zasobu nad kapitałem, autor między innemi zarzuca ekonomistom, że ci nie uważają człowieka za składową część kapitału i zadaje im przytém dosadne pytanie: „jeżeli jest pożytecznym nakładem, zatém kapitalizowaniem, wydatek tego co spożywa świnia dla słoniny, miałożby nie być równém przynajmniéj kapitalizowaniem to, co spożywa dziecię, by stać się użytecznym towarzystwa członkiem?“ Nam się wydaje, że pogląd ekonomistów w tym wypadku jest najzupełniéj uzasadniony; człowiek istnieje jako cel produkcyi, a nie jako jéj narzędzie, spożywa on na to, żeby żył, a nie dla tego żeby przynosić dochód, tymczasem nierogaciznę karmimy tylko dla tego, żeby mieć z niéj szynki, słoniny tj. pewien określony dochód; różnica zachodząca w tych dwu wypadkach jest widoczna. Zresztą sam nawet „duch języka,“ na który autor tak często się powołuje tym razem przemawia przeciwko niemu: o właścicielu nierogacizny możemy powiedziéé, że ulokował w niéj swój kapitał, nie możemy się zaś wyrazić o ojcu rodziny, że on lokuje swój kapitał w dzieciach.

Jeżeli jednak w teoryi przyznajemy zupełną słuszność poglądowi, że człowiek jest celem produkcyi, przyznać jednocześnie musimy, że w praktyce przy obecnych stosunkach często bardzo uważany on jest tylko jako jéj narzędzie; weźmy taki przykład: właściciel ziemski, przekonawszy się, że człowiek źle karmiony nie może dobrze pracować, zaczyna dawać lepszy pokarm swoim parobkom, przypuszczając, że przyniesie mu to w każdym razie znaczne zyski; w tym wypadku ten pokarm nosi wszystkie cechy kapitału, gdyż

celem jego jest nie zaspokojenie potrzeb, ale podniesienie produkcyi. Wychodząc z tego punktu widzenia niektórzy ekonomiści twierdzą, że wogóle wszystko to, co spożywa członek produkcyjny społeczeństwa, jest częścią kapitału; inni zwalczają takie zdanie z téj zasady, że nie człowiek istnieje dla produkcyi, ale produkcya dla człowieka; jednocześnie jednak przyznają, że płace robocze stanowią część kapitału, a ponieważ płace robocze reprezentują środki utrzymania najemnych robotników, wypadnie zatém konsekwentnie przyjąć, że przynajmniéj ci ostatni nie są celem produkcyi, ale jéj narzędziem. Wynik taki jest zupełnie niezgodny z naszemi pojęciami o słuszności i sprawiedliwości; Supiński unika go, dowodząc, że nie tylko środki utrzymania, ale nawet sam człowiek ze wszystkiemi swojemi przymiotami i zdolnościami jest składową częścią zasobu społecznego; jest to jednak raczéj ominięcie niż roztrzygnięcie kwestyi.

Autor znaczenie zasobu społecznego maluje w barwach jaskrawych; według jego zdania zasób jest potęgą, która usuwa nierówność dzielącą ludzi na potężnych i nikłych, wykształconych i zaniedbanych, rozkazujących i uległych, próżniaków i pracowitych, władców i niewolników, i wprowadza ludzkość na drogę równości, oswobadzając niższych od cierpień i zależności, zwalniając od pracy rubasznéj; łączy on ludzi w jednę całość, obudza wzajemną ufność, poszanowanie i życzliwość w miejsce dawnéj obawy i zawiści, służy wszystkim z ogólną korzyścią, choć należy do pojedynczych ludzi; jedném słowem cechą i naturą jego jest „pokój, bezpieczeństwo i wolność.“ Pogląd taki, na który dzisiaj mało ktoby się pisał bez zastrzeżeń, nie zawsze zgadza się z rzeczywistym stanem rzeczy. Zresztą i autorowi nie obce są ujemne skutki narastania zasobu; w Myśli Ogólnéj Fizyologii Wszechświata mówi on, że zasób społeczny „kupiąc się w szczupłym wybranych gronie, wysysa krew odsądzonych, wypycha ich z koła rodzinnego i wydziedzicza ze schedy, którą przeszłość cała sposobiła dla całéj przyszłości;“ przypisuje jednak owe skutki szkodliwe, niewłaściwéj interwencyi państwa w stosunki ekonomiczne. Nie możemy się zgodzić na takie tłómaczenie faktów. Kraje, w których obok pojedyńczych wielkich majątków znajdujemy niedostatek, ciemnotę i zepsucie, nie należą wcale do wyjątków; zgodzimy się z autorem, że stan taki „nie jest stanem przyrodzonym,“ ale nie możemy przyznać, żeby jego przyczyna leżała wyłącznie w „społecznych ustawach, nałogach i urządzeniach;“ prędzéj już możnaby uzasadnić twierdzenie, że jest ona koniecznym wynikiem bezwzględnego zastosowania tych praw, które autor nazywa przyrodzonemi. Weźmy dla przykładu stosunki an-

gielskie; w kraju tym przez cały prawie przeciąg XIX w., a głównie od czasu zniesienia praw zbożowych panowała większa niż gdzieindziéj swoboda sto sunków ekonomicznych, zasób społeczny wzrastał z niewypowiedzianą szybkością (np. ze sprawozdania kanclerza skarbu Gladstone'a przedstawionego parlamentowi d. 7 kwietnia 1864 r. widzimy, że wywóz i przywóz podniósł się do ogromnych rozmiarów i wynosił 444 miliony funtów szterlingów tj. niemal 3 razy więcéj, niż wynosił cały handel brytański w 1843 r.; daléj od 1842 do 1852 r. dochody ulegające opodatkowaniu wzrosły o 6%, a w ciągu zaś ośmiolecia od 1853 do 1861 r. o całe 20%), wszystko zatém zdawało się zapowiadać „pomyślność powszechną,“—a jednak nędza i wyzyskiwanie sił roboczych przybrały tak wielkie rozmiary, że parlament, chociaż z zasady przeciwny interwencyi państwowéj w stosunki ekonomiczne, zmuszony był choć w części zaradzić złemu przez wydanie praw fabrycznych. P. Gladstone w przytoczoném powyżéj sprawozdaniu wymownie rozprawiał o nędzy. „Pamiętajcie — zawołał— o tych, co stoją nad przepaścią nędzy, o płacach roboczych, których nie podwyższono, o życiu ludzkiém, które w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest tylko walką o byt.“

Trudno się spodziewać żeby swoboda bezwzględna w stosunkach ekonomicznych i nieograniczona wolna konkurencya doprowadziły do pomyślności powszechnéj; dla strony słabszéj, dla robotników, będzie ona zawsze niebezpieczną zarówno dla tego, że nie broni ich od zniżania się zarobków, jak i dla tego że nie daje im gwarancyi, iż stale znajdą możność zapracowania nawet tego szczupłego zarobku, który w danéj chwili otrzymują. Przesilenia przemysłowe, które są konieczném następstwem dzisiejszego systematu produkcyi, a które w ostatnich czasach powtarzają się peryodycznie niemal co lat 10, uniemożliwiają jakiś stały dobrobyt luźnéj klasy roboczéj. Supiński zdaje się o tém wszystkiem zapominać i dla tego samemu gromadzeniu się zasobu społecznego przypisuje wpływ, który rzeczywistym stałby się dopiero wtedy, gdyby, jednocześnie z narastaniem zasobu, zachodziły zmiany w podziale wytworzonych bogactw.

Źródłem z którego płynie zasób społeczny są cnoty towarzyskie, a między niemi przeważnie oszczędność, wolelibyśmy przypisać większe znaczenie przedsiębiorczości i pracowitości, które dopiero z zaoszczędzonych środków wytwarzają wartość nową. Chociaż jednak oszczędność nie wytwarza zasobów, jest jednak cnotą bardzo pożyteczną i autor słusznie zupełnie potępia zbytek i wykazuje bezzasadność, przytaczanego przez obrońców zbytku, argumentu, jakoby dawał on zarobek ludziom biednym; gdyby ta część

zasobu społecznego, która idzie na zaspokojenie zbytkownych wymagań, była zużytą z ogólną korzyścią na produkcyą przedmiotów pierwszéj potrzeby, biedni robotnicy znacznie większy mogliby mieć przytém zarobek.

Obok pojęcia zasobu społecznego, spotykamy w szkole polskiéj i termin „kapitał,“ ale w zupełnie odmienném znaczeniu, autor przyjmując pospolite rozumienie tego wyrazu, nazywa kapitalistą właściciela pieniędzy lub papierów publicznych, przytém ludzi żyjących wyłącznie z procentów od tych ostatnich uważa za pasorzytów społecznych.

Praca. Kwestya pracy została opracowaną w szkole polskiéj bardzo pobieżnie, autor poświęcił jéj tylko 38 stronic, tymczasem jest-to jedna z najważniejszych kwestyj ekonomicznych i w nowszych dziełach bardzo obszernie bywa rozpatrywaną, przytém i z tych 38-miu stronic pewną część oddzielić należy na filozoficzne poglądy o pracy przyrodzonéj i jéj stosunku do pracy ludzkiéj, które to poglądy nie przyczyniają się do wyjaśnienia ekonomicznego znaczenia tego czynnika.

Przedewszystkiém ustalić musimy terminologią szkoły polskiéj w téj kwestyi: „zajęcie“ jest wyrażeniem ogólném, „praca“ oznacza dzieło wykończone — skutek połączonych robót, „robota“ płynie bezpośrednio z sił fizycznych i oznacza część ogólnego działania, ztąd „robotnikiem“ nazywamy człowieka zajętego szczegółową czynnością. Robotami szczegółowemi należy kierować, kierunek ten jest rzeczą trudną, zatém „zatrudnieniem“ (np. zatrudnienie przemysłowca zarządzającego robotami); zatrudnieni są także lekarze, literaci, nauczyciele, wogóle ludzie z wykształceniem teoretyczném.

Autor uważa, że praca jest przeznaczeniem człowieka i że nikt nie powinien się od niéj usuwać, nawet ludzie posiadający znaczny majątek; nie jest ona jednak celem naszego istnienia, ale tylko środkiem. Praca sama w sobie nie ma ponęty i nawet staje się odrażającą, gdy odbywa się pod wpływem przemocy i uciemiężenia; pracy przymusowéj towarzyszy nieprzezwyciężone lenistwo; pracowitość może być tylko skutkiem nieograniczonéj własności mienia i pracy, a także moralności i oświaty. Oprócz pracy ludzkiéj istnieje jeszcze „praca przyrodzona,“ która obejmuje ruchy i właściwości materyi a także roślin i zwierząt; ponieważ zaś cały świat przyrodzony istnieje darmo, przeto i praca przyrodzona także istnieje darmo. Rzetelny postęp społeczeństwa polega na „wyręczaniu pracy ludzkiéj przyrodzoną pracą.“ Im bardziéj praca przyrodzona zastępuje pracę ludzką w produkcyi danego przedmiotu, tém bardziéj zniża

się wartość tego przedmiotu. Pracę przyrodzoną zaprzęgamy do naszych robót za pomocą narzędzi i maszyn.

Maszynom słusznie przypisuje autor wielki wpływ na rozwój produkcyi, ale pomija zupełnie ujemne strony, związane z produkcyą maszynową w tych warunkach, w jakich się ona obecnie znajduje; polemizuje nawet z ekonomistami, którzy dowodzą, że „maszyny stają się powodem spadającéj niekiedy nędzy na robotników“ i że „uwalniając człowieka od trudu, uwalniają go także od myślenia.“ Co do pierwszego powołuje się on na to, że maszyny wpływają na rozwój przemysłu i pomnożenie zasobu społecznego, a zatém wywołują coraz większe zapotrzebowanie sił roboczych; zapomina jednak o tém, że wprowadzenie maszyn umożliwiło zastosowanie do produkcyi pracy kobiet i dzieci na wielką skalę; nowi robotnicy byli daleko dogodniejsi dla fabrykantów, gdyż pobierali daleko mniejszą płacę, odznaczali się większą uległością i łatwiéj przyzwyczajali się do nowego rodzaju zajęć. Wskutek tego gdy do danéj gałęzi przemysłu wprowadzano maszyny, główny kontyngens robotników dostarczały kobiety a zwłaszcza dzieci, dorośli zaś mężczyźni, wykwalifikowani do ręcznéj roboty, pozostawali zupełnie bez zajęcia. Po upływie lat kilku wskutek wzrostu produkcyi praca ich stawała się znowu potrzebną; ale ileż to nędzy musiał wytrzymać robotnik żyjący z dnia na dzień i codzień potrzebujący zarobku, bo codzień organizm jego domaga się posiłku, więc i maszyny uznawane powszechnie za dobrodziejstwo dla ludzkości, wywierać mogą, czasowo przynajmniéj, wpływ zgubny i ostrożnie z zaprowadzeniem ich postępować należy. Zresztą i sam autor, w innych miejscach swego dzieła, przyznaje ujemny wpływ maszyn, mówiąc naprzykład o nieszczęsnym losie biednych szwaczek, które zmuszone są pracować 12 godzin dziennie za nędzne wynagrodzenie, zaledwie wystarczające im na życie i ubranie, wspomina, że wskutek wprowadzenia maszyn do szycia los ich jeszcze się pogorszył „dziś gdy maszyny do szycia wydzierają im ich ostatni zarobek“ i t. d.

Co się zaś tyczy wpływu maszyn na umysłowy rozwój robotnika, autor twierdzi, że im prostsze jest narzędzie. tém zajęcie człowieka jest bardziéj machinalném i naodwrót im doskonalszą jest machina, tém więcéj to, co pozostaje człowiekowi, musi być pojęciem, myślą, zrozumieniem. I to zdanie należałoby przyjmować z wielu zastrzeżeniami. Jeżeli narzędzie jest prostem, człowiek musi niém kierować, tymczasem wydoskonalona maszyna sama wykonywa niemal całą czynność i nie wymaga od pilnującego ją robotnika żadnych specyalnych zdolności; na potwierdzenie może-

my przytoczyć choćby ten fakt, że po wprowadzeniu maszyn miejsce wykwalifikowanych robotników zajęły kobiety i dzieci, często poniżéj 10 lat.

Nie zgadzamy się z Supińskim w jego polemice z ekonomistami zachodniéj Europy, nie uznajemy również tych motywów, któremi on usprawiedliwia pobieżne traktowanie w szkole polskiéj kwestyi wpływu maszyn i kapitałów na położenie robotników. Przyznaje on, że inni ekonomiści bardzo obszernie i szczegółowo zajmowali się tą kwestyą, uważa to jednak jako skutek tego stanu nienaturalnego i tych cierpień, które sprowadziła w zachodniéj Europie „produkcya przez długie lata sztuką pędzona;“ daléj sądzi, że szkoła polska może w krótkości tylko wyrazić swoje wnioski dla tego, że „kraje nasze nie ulegają tym starciom i prawdopodobnie już im nigdy nie ulegną.“ Autor nie przytacza żadnych dowodów na potwierdzenie tych swoich poglądów, tymczasem fakty przeczą im pod każdym względem. Do roztrząsania kwestyi, jakim jest wpływ maszyn na los robotników, pobudziło ekonomistów przeważnie rozpaczliwe położenie klas pracujących angielskich i nadmierne przedłużenie dnia roboczego nawet dla kobiet i dzieci w końcu XVIII i w początkach XIX w. t. j. właśnie w tym czasie kiedy maszynowa produkcya zawojowywała coraz nowe gałęzie przemysłu; o produkcyi zaś angielskiéj w żadnym razie nie można powiedziéć, żeby była „sztuką pędzona.“ Przeciwnie: prawa „przyrodzone“ odkryte przez Adama Smitha znalazły tam zastosowanie szersze niż gdzieindziéj, robotnik był zupełnie wolnym, państwo się nie mięszało do stosunków ekonomicznych, wolna konkurencya panowała wszechwładnie w sferze gospodarczéj, a pomimo to wszystko nędza i uciemiężenie robotników towarzyszyły rozwojowi wielkiego przemysłu.

Nie rozumiemy daléj dla czego kraj nasz ma uniknąć tych starć i cierpień, których widownią były kraje zachodniéj Europy; nie znajdujemy się przecież pod opieką żadnych szczególnych praw zabezpieczających nas od ujemnych skutków przesileń przemysłowych, a w dodatku produkcya u nas podlega bezwarunkowo większym ograniczeniom i sztucznym wpływom, niż na Zachodzie. Wogóle sądzimy, że co narody bardziéj posunięte w rozwoju cywilizacyi przecierpiały wczoraj, to nas czeka dzisiaj; powinniśmy zatém gruntownie badać przyczyny i przejawy tych cierpień u obcych, żebyśmy mogli przy odpowiedniém przygotowaniu się uniknąć ich, lub przynajmniéj osłabić ich smutne następstwa.

Podział pracy w świecie ludzkim—według zdania Supińskiego—powinien się opierać i na przyrodzonym podziale pracy w świecie

powszechnym (obszernie mówi o tém w „Myśli ogólnéj fizyologii wszechświata“), ale dzieje się to tylko tam, „gdzie męcząca sztuka i zuchwałe wysilenia nie mącą naturalnego rzeczy pochodu.“ Rozróżnia on: 1) rozkład pracy międzynarodowy, 2) rozkład pracy międzyokoliczny, 3) podział pomiędzy odrębne zajęcia, 4) rozdrobnienie robót pomiędzy pojedynczych ludzi wewnątrz fabryki, warsztatu i t. p. Rozkład międzynarodowy i międzyokoliczny opierają się wyłącznie na przyrodzonych właściwościach danéj miejscowości; rozwinęły się one dopiero w ostatnich czasach, dzięki ustaleniu bezpieczeństwa i rozwojowi dróg komunikacyjnych. W podziale pracy przejawia się wyraźnie „wspólność usiłowań“ łącząca ludzi w jednę zorganizowaną całość, dążącą do wspólnego celu (np. rolnika, młynarza, piekarza, pomimo odrębnych czynności łączy wspólność usiłowań, których celem otrzymanie chleba). Szczegółowy rozkład zajęć i rozdział robót zależy od wielu specyalnych warunków, w niektórych gałęziach przemysłu i handlu jest bardzo posuniętym, w innych nie znajduje jeszcze niemal żadnego zastosowania.

Dodatnie strony podziału pracy autor wylicza szczegółowo, wspomina i o większéj produkcyjności pracy, większém wydoskonaleniu się robotników w danéj czynności, zaoszczędzaniu czasu, ułatwieniu pomysłów i wynalazków, zamało zaś kładzie nacisku na te ujemne strony, które przy obecnych warunkach są nierozdzielnie z nim związane, jak np. wpływ podziału robót na powiększenie rozmiarów przesileń przemysłowych, częsty nadmiar produkcyi w poszczególnych cząstkowych działach danéj gałęzi przemysłu i t. p.

(dok. nast.) *K. P.*

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jana Kochanowskiego Dzieła wszystkie.—Wydanie pomnikowe. Tom pierwszy. W Warszawie. W drukarni Józefa Ungra. 1884, str. XI, 379.

Za miesięcy dziewięć przypadnie trzechsetna rocznica śmierci największego poety naszego z wieku odrodzenia. Ku uczczeniu tėj pamiątki przygotowują się od lat paru dwa wielkie wydawnictwa. Jedno, podjęte przez Akademią Umiejętności w Krakowie, ma objąć utwory poetów polsko-łacińskich, którzy przed Kochanowskim działalność swą humanistyczną rozwinęli; drugie zaś wsparte pomocą materyalną kilku osób prywatnych a prowadzone przez komitet pod naczelnem kierownictwem p. Józefa Przyborowskiego w Warszawie (1), ma zawrzéć wszystkie dzieła Jana z Czarnolasu, tak polskie, jak łacińskie, w krytycznėm opracowaniu. Z edycyi akademickiej nic jeszcze nie dostało się w ręce ogółu; z edycyi komitetu warszawskiego mamy właśnie tom pierwszy.

Tom ten przedstawia się bardzo poważnie i bardzo pięknie, przedewszystkiėm pod względem zewnętrznym. Dwadzieścia pięć arkuszy druku w sporėj ćwiartce na papierze welinowym koloru żółtawego, odbitych nader starannie wyraźnemi, czystemi czcionkami sprawia dobre wrażenie, przychylnie usposabiając swoją powierzchownością względem zawartości. Portret pięknie wykonany na początku dzieła, karty tytułowe do Psałterza i Pieśni w podobiźnie, oraz nuty do kilku psalmów przez p. Polińskiego według modły dzisiejszėj przepisane, zdobią i urozmaicają wydanie.

Pod względem wewnętrznym komitet redakcyjny i wydawniczy postawił sobie i wykonać się starał podwójne zadanie:

(1) Pierwszą myśl tego wydawnictwa rzucił p. Roman Plenkiewicz w artykule pomieszczonym w IV tomie „Ateneum" z r. 1878.

1) zastąpić tém nowém „pomnikowém“ wydaniem edycye pierwotne z wieku XVI będące już dzisiaj rzadkością, a więc dla ogółu pracowników na polu literatury polskiéj niedostępne;

2) ułatwić czytanie pism Kochanowskiego za pośrednictwem objaśnień gramatycznych i rzeczowych.

Ażeby spełnić pierwsze zadanie, komitet postanowił niemal przekopiować wydania pierwotne, oddając wiernie wszystkie szczegóły pisowni w nich zachowywanéj.

Różnie się można zapatrywać na zasadność i potrzebę takiéj wierności. Ci, którzy są jéj zwolennikami, przytaczają dla uzasadnienia poglądu swego tę okoliczność, że ścisłe badania językowe mogą być oparte jedynie na najwierniéj pod każdym względem odtworzonym tekście, że badacz lingwista musi poznać i uwzględniać najdrobniejsze nawet kreski, nie mające dla zwykłego czytelnika znaczenia, ale mogące dla badacza odkryć jakiś ciekawy fakt językowy;—za przykład przytaczają kreskowanie samogłosek *a*, *e*, *o*. Uwydatniają przytém trudność pociągnięcia granicy pomiędzy zjawiskami, należącemi do zakresu pisowni, a zjawiskami morfologicznemi. Argumenta przeciwników niewolniczéj względem wydań pierwotnych wierności opierają się na fakcie, że pisownia autorów różniła się dawniéj tak samo jak różni się dzisiaj od pisowni zachowywanéj przez pewne drukarnie, że zatém trzymając się pisowni wydań Łazarza drukarza krakowskiego poznamy właściwie system w niéj przyjęty nie zaś pisownią, któréj się trzymał Kochanowski. Powtóre kładą nacisk na niepodobieństwo prawie uchronienia się od licznych, a nieraz ważnych pomyłek, które sprawić mogą, że badacz ścisły zaufania mićć nie będzie nawet do edycyi pomnikowéj, lecz się zwróci do wydań dawnych, pierwotnych; a tym sposobem jeden z głównych celów, którego przeprowadzenie wiele kosztu pociąga za sobą, zostałby chybionym.

Od tych wywodów teoretycznych przechodząc do rozpatrzenia, jak w praktyce zasadę wierności wykonano, zaznaczmy naprzód, które wydania XVI-go stulecia posłużyły za podstawę dla edycyi pomnikowéj tomu I-go.

Największą część jego, bo stron 249, zajmuje *Psałterz*. Oddrukowano go wiernie według pierwszego wydania z r. 1579, które wyszło z drukarni Łazarzowéj, poprawiwszy tylko kilka błędów drukarskich i zaznaczywszy w przypisach między objaśnieniami niektóre odmiany napotykane w wydaniach późniejszych. Za Psałterzem pomieszczono *Pieśni*. Tu już nastręczyła się trudność w wyborze egzemplarza, według którego należałoby przedruku dokonać. Rok 1575 znaleziono aż na trzech odmiennych wydaniach dzieł Ko-

chanowskiego, pochodzących z téj saméj drukarni Łazarzowéj. Z początku poszedł komitet za jednym egzemplarzem i z niego przedrukował znaczną część pierwszych ksiąg pieśni (od strony 265 do 288); potém poszedł za drugim egzemplarzem, którego się trzymał od str. 289 do 379 tj. do końca. Ta okoliczność sprawiła, że w tomie pierwszym wydania pomnikowego zaimek *się* dwojako jest pisany i to w następnym porządku: w „*Psałterzu*“ *sye*, od str. 265 do 288 *śie*, a od str. 289 do końca znowuż *sye*. Czy to wahanie się, tak zastanawiające w wydaniu pomnikowém, odtwarza pisownią rzeczywistą Kochanowskiego? Bynajmniéj. W jedynym liście jego, jaki dotychczas odnaleziono, znajduje się zaimek ten tak samo pisanym, jak my go dzisiaj piszemy, tj. *się*. Cóż więc uwieczniło wydanie pomnikowe? Oto uwieczniło wahanie się korektorów drukarni Łazarzowéj.

Ale w tym szczególe wie przynajmniéj badacz napewno, czego się trzymać; w innych opanowuje go niejaka wątpliwość. Na końcu tomu znajduje się wykaz kilkunastu błędów drukarskich; odnoszą się one w przeważnéj części do kresek nad literami. Czy wykaz ten jest zupełny? czy poprawiwszy te omyłki można już spokojnie używać tekstu jako wiernie odtwarzającego edycye pierwotne? Wobec widocznych błędów tu i owdzie napotykanych niepodobna tego spokoju zachować; trzeba znowuż podejrzewać doskonałość korekty i ścisłość jéj wykonania przez drukarza. Wiadomo np. że w pismach Kochanowskiego odróżnia się rzeczownik „droga“ (*via*) od przymiotnika „droga“ (*chara*) kreską nad o (*dróga*), że słońce ma zazwyczaj *o* pochylone (*słóńce*), że zakończenia przymiotnikowe -ego, -emu mają e pochylone (*-égo*, *-ému*) itp. W wydaniu pomnikowém bywa rozmaicie: raz istnieje pochylenie, drugi raz go niéma; kiedy jest ono wierném wydaniom pierwotnym pod tym względem, a kiedy nie, rozstrzygnąć niepodobna bez zajrzenia do tychże wydań. Badacz będąc w takiéj niepewności, będzie wolał podobno zajrzéć wprost do wydań owych zamiast podejmować zmudną pracę porównywania.

Mamy wszakże coś ważniejszego jeszcze od tych wątpliwości do zaznaczenia. Niewolnicze trzymanie się tekstów poprowadziło nie tylko do powtórzenia błędów drukarskich, ale do uznania niektórych z nich za fakta językowe. Nieliczne wprawdzie można w téj mierze przytoczyć przykłady, ale samo ich istnienie jest już zjawiskiem trochę gorszącém. W poemaciku „O śmierci Jana Tarnowskiego“ czytamy w wierszu 90-tym: „*piekielne* jędze dobrze że z nim nie płakały.“ Zwrócenie uwagi na ogólne prawa etymologiczne wystarczyłoby, ażeby uznać w wyrazie *piekielne* prostą omyłkę

druku. Na wiedzy gramatycznéj niewątpliwie nie zbywało objaśniaczowi; ale przejęty poszanowaniem dla wydania pierwotnego, wolał uznać niezwykły, nie mający odpowiedniéj analogii fakt językowy niż przypuścić istnienie omyłki w tém wydaniu; dlatego téż dał objaśnienie następujące: „przymiotnik urobiony od rzeczownika: piekło, dziś: piekielny“ (str. 362). Drugi tego rodzaju przykład przytoczyć można z XI-éj pieśni ksiąg wtórych, gdzie znajduje się wiersz: „Także i góry nie radzęć wylatać.“ Objaśniacz i tę prawdopodobnie pomyłkę uważa za formę, która w języku Kochanowskiego istniała i znaczyła to, co dziś forma: górą (str. 317). Trzeci wreszcie dowód pewnego zaślepienia, z jakiém czczono pierwsze wydania, odszukać można w XXII pieśni tychże ksiąg wtórych. Są tam wiersze brzmiące tak:

Lutni złocona,
Mityleńskiego mieszkańca przed laty
Zabawo, który, choć w boju zębaty,
Przedslę śrzód mieczów, lub téż nawę w biegu
Przybył do brzegu.
Muzy Parnaskie......
Śpiewał.

Każdy nieuprzedzony co do nieomylności pierwszych wydań badacz łatwo dostrzeże, że najprzód w wierszach tych interpunkcya w głównem miejscu stanowiącém o sensie całości (... *do brzegu.*) jest fałszywa, gdyż jeżeli mamy jakieś gramatycznie poprawne zdanie otrzymać, to musimy w owém miejscu położyć nie kropkę, lecz przecinek. Powtóre bez trudności zauważy, że zdanie: *lub téż nawę w biegu przybył do brzegu*—jest zepsute i będzie się starał przypuszczalnie je poprawić. Ponieważ zaś pieśń ta jest przekładem z Horacego, więc zgodnie z oryginałem przyjmie formę *nawę* jako dobrą a modyfikacyą zaprowadzi w czasowniku *przybył* zmieniając go na *przybił*, co da gramatycznie poprawne połączenie wyrazów. Pozostanie jeszcze niewłaściwe połączenie zdań: *który*, *choć w boju zębaty*, *przedsię*... *nawę przybił*... *muzy*... *śpiewał*. Tu niepodobna już obmyślić prostéj modyfikacyi i trzeba przypuścić, że poeta nasz zbyt niewolniczo wpatrując się w oryginał, kopiował téż i konstrukcyą łacińską: *qui ferox bello*, *tamen*... *navim religarat*... *Musas*... *canebat*.

Objaśniacz téj pieśni, może ufny w niemylność pierwszego wydania, nie zwrócił najmniejszéj na powyższe szczegóły uwagi; interpunkcyą fałszywą zachował; braku związku w połączeniach gramatycznych nie zaznaczył, lubo sens całości pochwycił;—jedna go tylko zastanowiła forma, a mianowicie wyraz: *nawę*, którą objaśnia zwięzłém wyrażeniem: „dziś: nawą.“ Jakto? miałżeby dawniéj narzędnik

l. p. r. ż. mieć zakończenie biernika? Czy też ma to znaczyć, że słowo nieprzechodnie *przybył* (jak go czyta objaśniacz) dawniéj było przechodniém i miało biernik przy sobie?... Zarówno jedno jak drugie przypuszczenie jest niedorzecznością, a objaśnienie przez komentatora podane nic nie objaśnia, w dodatku zaś może czytelnika na manowce gramatyczne popchnąć. Tak-to skrępowanie swéj myśli drobiazgami formy zewnętrznéj i zbyt ufne powierzenie się przewodnictwu wydań pierwszych prowadzi do zacieśnienia horyzontu krytycznego. Podobno jak wszędzie tak i tu należy się opierać na faktach zewnętrznych, ale się nie dać niemi kierować.

Tak właśnie postąpił komentator „Pamiątki... Janowi hrabi na Tęczynie.“ Znalazł on w wierszu 198 tego utworu połączenie wyrazów pod względem gramatycznym niedokładne, zwrócił na nie uwagę, przytoczył usiłowanie poprawienia zepsutego wiersza, a jeżeli nie doszedł do zadawalniającego wyniku, spełnił przynajmniéj w zupełności komentatorskie zadanie i zwrócił baczność czytelników na miejsce niejasne. Czytelnicy mogą ze swéj strony robić przypuszczenia; a może połączonemi siłami uda się dojść do rekonstrukcyi zepsutego wiersza. W tym celu i my, jako czytelnicy, podajemy swój domysł. Ażeby go jednak rozwinąć, musimy cały ustęp przytoczyć. Z okrętu, na którym płynął Tęczyński, spostrzeżono dwa nieznane statki. Szyper nawołuje do baczności i gotowości zbrojnéj:

Ludzie mamy nad sobą, a nie wiedzieć kogo,
Co jeśli co Szwed umié, wątpliwa, nam błogo;
Jeśli też Duńczyk, czego się barziéj obawam,
Bez trudności nie będziem, wczas wam to znać dawam.

Idzie tu właściwie o wiersz drugi z kolei; brak w nim należytego połączenia myśli widoczny. P. Parylak, chcąc przywrócić jakiś ład gramatyczny, zaproponował poprawkę: *Co jeśli to Szwedowie, wątpliwa, nam błogo.* Poprawka ta wszakże grzeszy zbyt wielką dowolnością; przemienia *co* na *to*, *umié* na *owie*. Powtóre pozostawia wyrażenie: *wątpliwa*, bez żadnego gramatycznego połączenia, co wprawdzie niemożliwém nie jest, ale wobec wyrażenia w następnym wierszu (czego się barziéj obawam) jest niezręczném. Potrzecie zaś, podstawiając formę l. mnogiéj zamiast pojedyńczéj (*Szwedowie* zamiast *Szwed*), tworzy niestosowne przeciwstawienie z następną l. pojedyńczą *Duńczyk*. Ze względu na to, żeby za pomocą jak najmniejszych zmian dojść do pożądanego wyniku, proponowalibyśmy poprawkę następną:

Co jeśli Szwed, co u mie wątpliwa, nam błogo.

W téj poprawce jest tylko przestawienie zaimka *co* o jedno miejsce daléj, a potém oddzielenie litery *u* od następnych: *mie*—rzecz zatém bardzo możliwa, nie naruszająca ani jednéj litery w tekście przekazanym, a dająca i gramatycznie i stylistycznie sens zadawalniający. Gramatycznie: wyrażenie: co *u* mie (u mnie) wątpliwa—nie przedstawia poważnych zarzutów, mając za sobą wiele wyrażeń analogicznych. Stylistycznie toż wyrażenie jest niemal koniecznėm ze względu na odpowiedni frazes w następnym wierszu:

Jeśli téż Duńczyk, *czego się barziéj obawam.*

Kombinacyi powyższéj jeden tylko możnaby zrobić poważniejszy zarzut, a mianowicie, że formy zaimków *mię*, *cię* w pierwszych wydaniach Kochanowskiego mają prawie zawsze dźwięk nosowy (tj. nie pojawiają się w formie *mie*, *cie*). Reguła jednak nie wyklucza wyjątku, jakoż nie szukając przykładu zbyt daleko, dość przytoczyć, że w 22 wierszu psalmu 40 (str. 67) znajdujemy formę *cie* bez nosówki, jeżeli tylko w tém miejscu zgadza się przedruk z oryginałem, co wydaje się pewną niemal rzeczą, gdyż do tego wyrazu dodane jest objaśnienie, a zatém zwrócona nań była szczególna uwaga. Jeżeli więc mogło być *cie*, niéma niepodobieństwa, ażeby nie miało być *mie*. Zresztą omyłka druku, czy to przez opuszczenie *n* (*u mnie*), czy przez opuszczenie znaku nosowego brzmienia (*u mie*) łatwo dopuścić się daje.

Od tekstu przejdźmy do objaśnień. Mówiąc wogólności są one zwięzłe, jasne, trafnie dobrane i potrzebne tak, że istotnie przyczynić się mogą do gruntowniejszego rozumienia poety. Powtarzanie się wielu objaśnień było prawie rzeczą nieuniknioną przy spółpracownictwie wielu osób. Komitet redakcyjny mógł wprawdzie wykreślać w późniejszych komentarzach te objaśnienia, które już były poprzednio; ale ta zmudna i niewdzięczna praca nie opłacilaby się stosownym pożytkiem. Czytający pojedyńcze utwory potrzebuje objaśnień natychmiastowych; wyszukiwać ich według wskazań gdzieś w innėm miejscu już stanowi pewną trudność w czytaniu; a nadto odsyłacze zajęłyby nieraz tyleż miejsca, co i same objaśnienia; a w takim razie rugując je stałoby się zadość systematyczności, ale nie uczyniłoby się zadość ani dogodności czytelnika, ani względom na oszczędzenie miejsca. Jedynie chyba dłuższe objaśnienia rzeczowe mogłyby być raz tylko podane, o co się téż w wydaniu starano, zastawiszy jednakże w skutek niedopatrzenia dwukrotną wzmiankę o Orfeuszu, objaśnienie złotogłowu i parę innych.

Czy zrobiono wszystko, co zrobić było można, ażeby wyjaśnić gruntownie utwory wieszcza czarnoleskiego? Jestto pytanie, na które

możnaby było odpowiedzieć z całą dokładnością wówczas dopiero, gdyby się każdy wiersz po szczególe rozpatrzyło samodzielnie. Zrobić tego nie mogliśmy; zaznaczymy więc tylko wogólności widoczną sumienność badaczy, którzy się opracowania dzieł Kochanowskiego podjęli; a w poniższych uwagach spiszemy nasze wątpliwości lub życzenia, jakie się nam przy czytaniu nasuwały.

Psałterz opracował znany badacz języka polskiego A. A. Kryński. Komentarz swój poprzedził wstępem, w którym przedstawił historyą przekładów Psałterza na nasz język przed Kochanowskim, wykazał zwięźle wartość tłómaczenia dokonanego przez poetę z Czarnolesia, a następnie, w odpowiedniém zestawieniu, dowiódł, że Kochanowski podczas pracy nad psałterzem miał przed oczyma tłómaczenia Trzecieskiego, Reja, Lubelczyka, Wróbla; a nadto, że w przekładzie posługiwał się nie tłómaczeniem łacińskiém, przyjętém przez kościół, zawartém w Wulgacie, lecz jakiémś innéni, zgodniejszém z tekstem hebrajskim. Komentarz p. Kryńskiego ma przeważnie charakter lingwistyczny; napotykamy téż objaśnienia mitologiczne czy historyczne, oraz częste porównania przekładu Kochanowskiego z tekstem oryginalnym i tłómaczeniem Wulgaty. Co do zasadności samych objaśnień nie mamy nic do nadmienienia; zauważymy jedynie, że niektóre objaśnienia należało dać wcześniéj (np. wyrazów *miedzy*, *szczyry*, *chłubić* i in.) i że przemowa do biskupa Myszkowskiego przy posłaniu mu przekładu Psałterza powinna była zwrócić na siebie baczniejszą komentatora uwagę. Istotnie, to co mówi poeta o swych prawdopodobnie „wzgardzonych Muzach,“ o wdarciu się na skałę pięknéj Kalliopy „gdzie dotychmiast nie było znaku polskiéj stopy,“ albo o „nowych pieśniach polskich“ dołączonych do przekładu Psałterza, — należy do tych ustępów w utworach Kochanowskiego, które bez należytego objaśnienia albo zrozumiane być nie mogą, albo do fałszywych prowadzą wniosków. Jeżeli objaśnienie odpowiednie nie mogło być dane, wypadało rzucić jakiś domysł, albo przynajmniéj zaznaczyć niemożność rozwiązania zagadki. Co do formy należało zwrócić uwagę, że psalm piętnasty pisany jest tercyną; wiadomość ta byłaby może bardziéj dla czytelnika pożądaną, niż zwrócenie jego uwagi, iż zwrotka ostatnia psalmu VIII (powszechnie znanego) jest powtórzeniem pierwszéj.

Pieśni ksiąg pierwszych znalazły komentatora w Tadeuszu Włoszku, a ksiąg drugich w Romanie Plenkiewiczu, który prócz tego objaśnił luźnie stojącą pieśń o dobrodziejstwach Boga jako téż o śmierci Jana Tarnowskiego. Sobótkę obrobił Piotr Chmielowski, a Pamiątkę hrabi na Tęczynie Jan Karłowicz. Ci, którzy się nad pieśniami zastanawiali, mieli już po części ułatwioną pracę w jed-

nym przynajmniéj kierunku, to jest co do źródeł, z których natchnienie swe czerpał Kochanowski; sprawą tą bowiem zajmowali się mianowicie Józef Przyborowski i Parylak. Téj okoliczności zawdzięczamy obfite już dzisiaj wskazówki co do pożyczek od autorów rzymskich przez poetę naszego zaciągniętych. Najpierwszym w tym względzie autorem jest Horacy, od którego bierze Kochanowski i pomysł i obrobienie pieśni następnych: w księgach pierwszych: 1, 3, 6, 11, 14, 16; w księgach wtórych: 4, 16, 18, 22, 24. Co do myśli zaś i nastroju widać silne ślady wpływu tego poety we wszystkich pieśniach Jana. Daléj do tych wzorujących poetów należą Owidyusz (ks. I, pieśń 17), Propercyusz (ks. I, pieśń 25, oraz kilka zdań w Sobótce), Tybullus (wiele zdań w Sobótce). Z włoskich pisarzy Petrarka dostarczył naszemu poecie pomysłu do pieśni 21 ksiąg wtórych. Ściśle oryginalnemi nazwać się mogą, według dotychczasowych poszukiwań, te tylko pieśni, które powstały pod wpływem wypadków politycznych, a więc w księdze I, pieśń 13 („O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów"), w ks. II, pieśń 5 („Wieczna sromota i nienagrodzona"), 8-ma („Nie frasuj sobie, Mikołaju, głowy"), 13-ta („Panu dzięki oddawajmy"). Oprócz nich wymienić można wielce charakterystyczną satyrę na pijaństwo (ks. I, 18), pieśń gnomiczną: „Jest kto, coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy" (ks. II, 19), a wreszcie kilka pieśni Sobótkowych. W poszukiwaniu źródeł, z których poeta nasz czerpał wyrażenia, zamało uwydatniono wpływ pisma św. a mianowicie psalmów. Tak np. znana pieśń: „Czego chcesz od nas Panie, za twe hojne dary?", mogłaby co do treści i wyrażeń być zestawioną z psalmem 104, mianowicie wierszem 45—70, oraz z psalmem 136, mianowicie wiersz 9—18. Dla przykładu przytoczę choć drobną próbkę. W psalmie 104 czytamy:

Wszytko to, co jest w morzu, wszytko, co na ziemi
I co siecze powietrze pióry pirzchliwemi,
Oczy ku tobie wznosi, który siedzisz w niebie,
I oczekawa zwykłéj żywności od ciebie.

W psalmie znów 136, w. 47 i 48:

Który ciału wszelkiemu jego żywność daje,
Bo jego szczodrobliwość nigdy nie ustaje.

Wobec tych wyrażeń nie znajdziemyż parafrazy w wierszach owéj pieśni:

Z twéj łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z twoich rąk wszelkie zwierzę patrza swéj żywności,
A ty każdego żywisz z twéj szczodrobliwości.

Podobnież wyrażenia „złote gwiazdy“, „niska ziemia“ znajdują się i w tłómaczeniu psałterza (psalm 19, w. 8; ps. 136, w. 17; ps. 104, w. 26). Tak samo w Sobótce dwuwiersz: „Pracuj we dnie, pracuj w nocy, Prózno bez Pańskiéj pomocy“ przypomina słowa psalmu 127-go: „Jeśli domu sam Pan nie zbuduje, Prózno człowiek o nim się frasuje.“

Niektóre objaśnienia są po prostu niezrozumiałe; np. w pieśni 9, ks. II znajdujemy w tekście wyrazy *przykriły* a do niego dodane objaśnienie: „dla rymu (?) zamiast *pokryły*. Niektóre przytoczenia z pisarzów rzymskich są tak zwięzłe, że nie dają żadnego sensu; np. w pieśni 4, ks. II do słów tekstu: „podolskie pasieki“ dodano odpowiednie wyrażenie Horacego: *calabrae mella* zamiast *Calabrae apes mella ferunt*. Czasami nie dodano potrzebnego przypomnienia, np. że w 12 pieśni Sobótkowéj wiersze 41 do 44 są dosłownem powtórzeniem z Pieśni ks. II, w 37—40.

Co do języka i stylu możnaby wytknąć tu i owdzie mniéj poprawne zwroty; zanotujemy wszakże jeden najbardziéj rażący, któryby się w tém wydaniu, ze względu na jego pomnikowość, znajdować nie powinien; odczytać go można na stronie VIII w słowach: „egzemplarz A. odznacza się *więcéj czystszym i wyrazistszym drukiem*, niż egzemplarz B.“

Wykazaliśmy tu drobne usterki wydania pomnikowego, ażeby pilniejszym rozbiorem dowieść, jak wysoko cenimy pracę badaczów, którzy w niém brali udział. Wydawnictwo zasługuje niewątpliwie na jaknajszersze rozpowszechnienie i gorące poparcie ze strony publiczności, mającéj sposobność uwydatnić czynem t. j. kupowaniem dzieł Kochanowskiego w krytycznéj edycyi, swoje zamiłowanie do literatury ojczystéj.

Sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. Rok I, 1882 (wydanie z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. 1883, str, III, 187).

Chęć zestawienia wiadomości o pracach naukowych polskich z zakresu matematyki i nauk przyrodniczych, czy to wydanych oddzielnie, czy też ogłoszonych w wydawnictwach peryodycznych, pobudziła pewne „kółko pracowników“ na odpowiedniém polu do „zupełnie objektywnych, ściśle przedmiotowych“ przedstawień treści prac „po polsku ogłoszonych, jakąkolwiek wartość naukową posiadających.“ Przytaczamy umyślnie niektóre wyrażenia z przedmowy, aby wypowiedzieć parę uwag, które one nasuwają.

Wydawnictwo ogranicza się do prac po polsku wydanych, choć chce wogóle przeciwdziałać „obojętności względem działalności naukowéj rodaków.“ To pominięcie prac naukowych ogłoszonych w językach obcych przez polaków jest — jak obecnie — niesłuszne. Jakiekolwiek są pobudki, faktem jest niezaprzeczonym, że najważniejsze z prac naukowych Polaków są często ogłaszane w wydawnictwach zagranicznych. Dla niektórych niema nawet u nas miejsca. Weźmy np. prace ściśle astronomiczne dr. Jędrzejewicza, które sprawiły, iż wszyscy astronomowie wiedzą o obserwatoryum płońskiém i wielu z niém się liczy; gdzież tedy te prace, jak tego często ich natura wymaga, będą u nas *prędko* i dla kogo ogłoszone? Inny przykład. Dr. D. . . .ski nie może, a przynajmniéj przez pewien czas nie mógł niektórych swych prac publikować gdzie indziéj, tylko w wydawnictwach obcéj nam instytucyi, która mu zasiłku na nie udzielała. Czyż takie prace powinny być pomijane w „Sprawozdaniach“? czy brak wzmianki o nich nie ujmuje wartości temu obrazowi „działalności naukowéj rodaków“? Trudno może wiadomości takie zebrać, to prawda, ale choćby się nawet coś opuściło, to bądź-co-bądź „Sprawozdania“ nabrałyby większéj wartości dla ludzi pracujących naukowo, ku których wygodzie są one ostatecznie przeznaczone.

Nie będziemy na podstawie tego sprawozdania obliczać ani ilości autorów ani ich prac ogłoszonych w roku ubiegłym; a to dlatego, że pośród prac naukowych są pomieszczone artykuły popularne nic nie wnoszące do nauki, ani nie przedstawiające wyczerpująco kwestyi poruszonéj (np. N. 127), a za to na str. 162 osiem prac jest objętych jednym numerem, a ich autorowie nie pomieszczeni w spisie, co tém więcéj razi, że np. co do szóstéj z tych prac, wobec ważności zadania, należało pomieścić jéj streszczenie. Widocznie nadto wydawnictwo nie zamierza, prócz wymienienia tytułu, podawać obszerniejszych wzmianek o podręcznikach szkolnych, choćby zaznaczając uwzględnienie w nich ciągłych postępów nauki. Za to pomieszczenie w tonie seryo napisanego sprawozdania o ramocie naukowéj, opatrzonéj numerem 249, sprzeciwia się założeniu uwzględniania tylko prac „jakąkolwiek wartość naukową“ posiadających.

Co do ścisłéj przedmiotowości sprawozdań, to nie możemy winić autorów, że niekiedy mimowoli z zakreślonych szranek objektywności wyjść musieli (np. N. 4, 196, 155 i t. d.); za to jednak koniecznem jest nadal wyróżnianie tych sprawozdań, które są przez autorów samych zrobione, wzmianką, iż to są streszczenia autorskie. Jest-to niezbędne, ze względu na czytelników.

Zwracamy dalej uwagę na konieczność staranniejszego nadal redagowania przedmowy, w przedostatnim np. ustępie obecnéj nie możemy zrozumiéć, co to ma znaczyć, iż „nauka dotychczas nie przestała rozwijać się na gruncie miejscowym.“ Nadto trafiają się rusycyzmy, np. kilkakrotnie „*ten elipsoid*“ zamiast: elipsoida lub elipsojda i t. d.

Umyślnie wytknęliśmy to, co nas najwięcéj w tym zbiorku raziło. Chcielibyśmy bowiem, aby to wydawnictwo trwało i rozwijało się tak, iżby stało się istotnie pożyteczném dla każdego z pracujących w odpowiedniéj dziedzinie. Jeden, dwa tomiki mogą mniejszy lub większy budzić interes, — zbiór zaś takich sprawozdań za cały lat dziesiątek lub za większy okres, informujący należycie o *wszystkich* pracach naukowych Polaków, posiadać będzie doniosłą wartość dla każdego, co pracując na polu naukowém, rad możności zaznaczenia poważnych prac swych ziomków w tym kierunku, lub w szczególności jako przyrodnik pragnie miéć wskazówkę, co w naszym kraju i przez kogo było badane.

M. A. Baraniecki.

= W Lejdzie od dnia 10 do 16 września roku bieżącego odbywał się *zjazd oryentalistów*. Był to już *szósty* z kolei. Pierwszy miał miejsce w Paryżu przed laty dziesięciu (1873). Na prezydenta do komitetu organizacyjnego, utworzonego na ostatnim zjeździe w Berlinie, został powołany profesor uniwersytetu lejdejskiego A. Kuenen, autor kilku naukowych dzieł z dziedziny historyi religii i egzegietyki biblijnéj. Na członków rzeczywistych tego zjazdu było zapisanych osób 448. Najwięcéj dostarczyła Holandya, gdyż 156; następnie Anglia 55, Niemcy i Austrya 45, Francya 40, Włochy 18, z Azyi przybyć miało 24, w téj liczbie kilku Indusów, z Ameryki 6, z Afryki 2 (Algier i Tunis). Na członków honorowych komitet zaprosił 19. Honor ten spotkał i Don Pedra, cesarza brazylijskiego. W obradach przyjęła udział połowa zapisanych. Wśród nich przedstawicieli rządów zagranicznych było 11, rozmaitych instytucyj naukowych 21.

Członkowie zjazdu rozdzielili się na pięć sekcyj: semicką, aryjską, afrykańską (właściwie egipską), azyatycką, obejmującą Azyą centralną i wschodnią, i malajsko-polinezyjską. Sekcya semicka ze względu na zakres zbyt obszerny, rozpadła się na dwie: *a*) arabską i *b*) innych języków semickich oraz pisma klinowego. Trzy języki: holenderski, francuski i łaciński, były uznane za oficyalne na kon-

gresie. Członkowie jednak mogli zabierać głos i składać opracowania jeszcze w trzech innych: angielskim, niemieckim i włoskim. Wycieczki gromadne do Hagi i do Amsterdamu urozmaiciły zajęcia naukowe.

Wszystkie prace członków kongresu, na posiedzeniach sekcyjnych odczytane lub tylko w sekcyach złożone, utworzą Pamiętnik zjazdu i zostaną opublikowane. Nim jednakże to nastąpi, sprawozdania ogłaszane codziennie zaspokoić mogą ciekawość ogółu co do biegu rozpraw na posiedzeniach ogólnych i sekcyjnych.

Posiedzeń ogólnych było dwa: otwierające i zamykające zjazd. Na pierwszém minister spraw wewnętrznych J. Heemskerk, prezydent zjazdu honorowy, powitał zgromadzonych w imieniu rządu i wyraził podziękowanie za obiór na zjazd Lejdy, miasta, które oddawna uznawszy konieczność i ważność studyów oryentalnych interesowało się niemi i wydało tylu uczonych oryentalistów. Po nim zabrał głos prezydent rzeczywisty zjazdu, Kuenen, i podniósł znaczenie Holandyi, jako państwa kolonialnego dla wschodoznawstwa.

Na posiedzeniu zamykającém zjazd zebrani uchwalili wnioski, które, pomijając już ich praktyczną stronę, są ważne z tego powodu, że wskazują drogę zgromadzeniom prywatnym kołatania oficyalnego do rządów państw rozmaitych. Mianowicie we wniosku pierwszym zanoszą prośbę do królowéj angielskiéj Wiktoryi, by raczyła wyznaczyć i uposażyć specyalną komisyą, złożoną z synologów znakomitszych wszystkich krajów, dla zredagowania słownika chińsko-angielskiego i angielsko-chińskiego. W drugim upraszają Zarząd Muzeum Brytańskiego w Londynie o pożyczanie rękopismów niemogącym udawać się do Londynu i pracować w Muzeum specyalistom rozmaitych narodowości. Na tém również posiedzeniu członkowie zjazdu na zaproszenie rządu austryackiego odpowiedzieli obraniem Wiednia na miejsce zjazdu 7-go oraz wybrali komitet organizacyjny tego zjazdu.

Posiedzenia sekcyjne odbywały się każde osobno, po dwakroć codziennie. Najpracowitszą okazała się sekcya aryjska, odbyła bowiem posiedzeń pięć; semickie i malajsko-polinezyjska po cztery, nakoniec dwie pozostałe odbyły po trzy. Oprócz kwestyj czysto specyalnych tyczących się języka lub pomników piśmiennych danego narodu, w każdéj sekcyi podjęte były rozprawy mające znaczenie ogólniejsze dla historyi, etnografii, lingwistyki, kultury. I tak: Na sekcyi aryjskiéj R. Cust z Londynu odczytał memoryał (*On the asoka inscriptions and the origin of indian alphabet*), w którym dowodził na podstawie nowo odkrytych napisów, że abecadło sanskryckie nie sięga wyżéj nad IV-e stulecie przed erą naszą, a więc

jest późniejsze nie tylko od wielu nowo-semickich lecz także od greckiego i łacińskiego, i że pochodzi od himyaryckiego. Ponieważ abecadło himyaryckie stanowi gałąź abecadła staro-semickiego utworzonego z pisma hieroglificznego egipskiego, przeto wznowienie kwestyi pochodzenia abecadła sanskryckiego w téj nowéj formie z nowemi dowodami może ostatecznie obniżyć starożytność i oryginalność tyle wynoszoną cywilizacyi indyjskiéj. W obradach téj sekcyi przyjął udział nasz ziomek dr. Jan Karłowicz. Odczytał on rzecz p. t. *Sur l'influence des langues orientales sur la langue polonaise.* W sekcyi azyatyckiéj H. Howorth, w rozprawie p. t. *A note on the affinities of the Huns*, rzucił nowe światło na pochodzenie Hunów. W sekcyi semickiéj Sayce i Oppert, z okazyi odcyfrowanego przez pierwszego z nich napisu z pod Suzy, rozprawiali o nazwie i pochodzeniu ludów, którym Semici mezopotamscy zawdzięczają swoję cywilizacyą. Tam również odczytał Tiele rozprawę z dziedziny historyi religii p. t. *Sur la déesse Istar surtout dans le mythe babylonien.*

Zapowiedziane wydanie wszystkich tych prac pozwoli poznać bliżéj ich treść, zrozumiéć znaczenie.

---

† Dnia 16 października r. b. zmarł we Lwowie jeden z najzacniejszych obywateli, a nadto niepospolitych zasług historyk Henryk Schmitt. Można było nie podzielać jego poglądów na zadania życia społecznego, tak samo jak można odrzucać jego zapatrywania historyozoficzne i metodę dziejopisarską; lecz uznać w nim trzeba charakter silny, od czasu wyrobienia się i ustalenia zawsze wierny sobie, poddany kierunkowi myśli jasno i wybitnie sformułowanéj.

Czasy jego wychowania i wykształcenia przypadły na okres rozkwitu poezyi romantycznéj i rozszerzania się ujętych już w pewne określone formy dążności demokratycznych. Jako natura nie tyle artystyczna, ile refleksyjna wpływom poezyi ulegał tylko; wpływy natomiast demokratyczne przeszedłszy w rdzeń jego charakteru uwydatniły się następnie w całéj działalności społeczno-politycznéj jako też literackiéj.

Urodzony r. 1817 we Lwowie, tu się wychowywał i kształcił przez lat dwadzieścia. Od r. 1837 rozpoczyna się dziesięcioletnia przeszło nauka w ciężkiéj szkole cierpień, którą rządy Metternicha w Austryi dla młodzieży obmyśliły. Ciągle odnawiające się stowarzyszenia, których hasłem była idea narodowości i dobro ludu,

dostarczały rok-rocznie nowych ofiar. Schmitt w r. 1837 dostał rozkaz opuszczenia Lwowa. Z początku był nauczycielem domowym na prowincyi, potém gospodarował w dobrach Franciszka Wiesiołowskiego, z którym go łączyła przyjaźń. Tu go aresztowano w r. 1841 i odstawiono do więzienia we Lwowie, gdzie przebył aż do początków r. 1845. W skutek częściowéj amnestyi uwolniony, bawił przez rok na wsi; zamieszany w krwawych wypadkach r. 1846 dostał się do więzienia nanowo. Skazano go na śmierć, lecz cesarz Ferdynand karę tę zamienił na 20-letnie więzienie w Spilbergu. Na mocy amnestyi z r. 1848 wyszedł z téj fortecy.

W więzieniu dopełniał swe wiadomości, uczył się obcych języków, pisał poemata (*Sowa*, *Więzień*, *Żebrak*, *Sąd w piekle*) i tragiedye (*Wacław*, *Bracia niezgodni*). Temi utworami, które się zresztą w druku nie ukazały, złożywszy niejako świadectwo wpływowi prądu poetyckiego, porywającego z sobą umysły zdolniejsze, zwrócił się Schmitt do badań historycznych. Lwów w owych czasach był najważniejszém i najświetniejszém ogniskiem poszukiwań dziejowych. Pomijając osobistości podrzędne, dość wspomnieć takich mężów jak August Bielowski, jak Karol Szajnocha. I Schmitt miał być niebawem razem z niemi wymienianym. Objąwszy w r. 1850 posadę bibliotekarza zbiorów naukowych Mieczysława Pawlikowskiego, korzystał z nagromadzonych tu materyałów do kreślenia monografij historycznych. Zanim jednak zabrał się do ich ogłaszania, sprobował, pierwszy po Moraczewskim i w tym samym mniéj więcéj duchu, opracować całość dziejów Polski. Dzieła tego p. n. „Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów znanych do r. 1763“ wyszło w przeciągu lat pięciu (1855 do 1860) tylko trzy wielkie tomy, obejmujące historyą naszę doprowadzoną do roku 1391. Pracy téj Schmitt nie dokończył; lecz natomiast wydał krótkie jednotomowe opowiadanie dziejów naszych dla użytku szkolnego (1861—63; przerobione w r. 1869). Podczas ogłaszania owéj obszernéj pracy, był on niestrudzonym spółpracownikiem kilku pism, a szczególniéj *Dziennika Literackiego* lwowskiego i *Gazety Warszawskiéj*. Zdawał on pilnie sprawę z wszystkich ważniejszych pojawów na polu dziejopisarstwa, szerzył wiedzę historyczną wśród ogółu, ogłaszał materyały dziejowe, opracowywał monografie: o rokoszu Zebrzydowskiego, o Hugonie Kołłątaju; zabierał głos w kwestyach społecznych jako to: żydowskiéj (1859) i rusińskiéj (1861).

Rok 1863 chwilowo odrywa go od studyów. Potém wraca Schmitt do zajęć naukowych, poświęcając się szczególniéj zbadaniu dziejów wieku XVIII i początków XIX-go (w 4-ch tomach

1866—1868 r.), dwukrotnie przerabiając opowiadanie swoje o czasach Stanisława Augusta a w roku 1872 wydając szkic popularny o panowaniu tegoż króla. Prac publicystycznych nie zaniedbuje również: pisze o ustroju społeczno-politycznym Rzeczypospolitéj (1868 r.), o Unii Litwy , z Koroną (1869), o ulepszeniu szkół ludowych (1872). Wobec dążności politycznéj tak zwanych „Stańczyków" zachowuje stanowisko krytyczne, które zaznacza z całą siłą i otwartością w broszurze p. n. „Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych" (r. 1877), polemizując z poglądami Szujskiego. Zdaniem jego każdy Polak, począwszy od Kołłątaja, Ignacego Potockiego, Kościuszki.... pojmował zawsze potrzebę i ważność prac organicznych, lecz nie widząc prawdopodobieństwa, ażeby wśród danych okoliczności prace te owocować mogły, chciał zdobyć pomyślniejsze dla działania warunki. Schmitt nie widzi dobra kraju ani w „konsorcyach różnoimiennych," ani w „szumnych frazesach, któremi zdobywa się wziętość i oklaski, a następnie i zyskowne stanowiska" ani w „zgiełkliwych manifestacyach, wymyślanych najczęściéj na to, aby tanim kosztem spłacić dług ojczyźnie, nabyć rozgłosu i tym sposobem wypłynąć na wierzch"; pragnie on pracy połączonéj z poświęceniem dla kraju, dla idei.

Od r. 1870 zasiadał Schmitt w „Radzie szkolnéj" galicyjskiéj jako jeden z najgorliwszych jéj członków. Czynności jego, poświęcone przeważnie sprawie szkół ludowych, były bardzo liczne, a pochłaniając czas, nie dozwalały przedsiębrać poszukiwań rozleglejszych. To téż oprócz wydrukowania 3-go tomu Panowania Stanisława Augusta w nowém obrobieniu, ogłaszał tylko broszury publicystyczne i krytyczne, poddając szczegółowemu rozbiorowi dzieła Walewskiego i Bobrzyńskiego.

Cześć dla jego działalności obywatelskiéj, dla jego nauki i prawego charakteru wyraziła się we wspaniałym pogrzebie i w projekcie wystawienia mu pomnika we Lwowie.

Od autora artykułu „O matematyce starożytnych Egipcyan" otrzymujemy następujące dopełnienia:

Do str. 138 (zeszytu Paźdz.). Przy końcu wstępu należy dodać: „Ale pomyślawszy trochę nad jednym z tych systematów, czytelnik mniéj biegły w matematyce niezawodnie prędko dojdzie do wniosków, które mu się tak paradoksalnemi wydadzą, iż się przed przyjęciem ich zawaha."

Do str. 274 (zeszytu Listop.). Po słowach: „Geodozyą z 18-go wieku przed Chr. i naukę nowożytną łączy jedno tylko właściwie ogniwo—Heron z Aleksandryi“ — należy dodać następny przypisek: „Nie chcemy bynajmniéj rozbierać tu t. zw. „kwestyi heronowéj.“ Nie dotkniemy nawet kontrowersyi, aby czytelników nie znudzić. Dla obznajomionych ze stanem rzeczy zauważymy tylko, że w tém, co następuje, idziemy za opinią Venturi - Chasles - Cantor, uważającą Herona starszego za właściwego autora (co do treści przynajmniéj) pism noszących imię Heronowe a składających pierwotnie jedno wielkie dzieło geodetyczne.“

= Druk litery **K.** w **Słowniku Geograficznym** już jest na ukończeniu, i dla tego Redakcya tegoż „Słownika“ wzywa wszystkich współpracowników w kraju i zagranicą, jak niemniéj wszystkich, których los wydawnictwa „Słownika“ obchodzi, o nadesłanie artykułów lub materyałów do litery **L** i **Ł** się odnoszących, a to pod adresem: *Administracya Słownika Geograficznego, Warszawa, Długa N. 47.*

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Października 1883 r.

---

1. **Acta historica res gestas Poloniae illustrantia**. Tomus VI. Acta Joannis III regis Poloniae ad A. D. 1683, edidit *Franciscus Kulczycki* (Fasciculus I). Cracoviae 1883, 4-o, str. 464.
2. **Dr. Leon Kulczycki. Wykształcenie nauczycieli gimnazyalnych** (odbitka z Przewodnika Naukowego i literackiego z roku 1883), Lwów, 8-o, str. 112.
3. **Organizacya statystyki w Austryi** przez *Dr. Józefa Kleczyńskiego* Lwów 1883, 8-o, str. 88.
4. **Marcin Kromer historyk polski XVI wieku**. Rozbiór krytyczny. Napisał *Ludwik Finkel*. Kraków 1883, 8-o, str. 208.
5. **Magdalena**. Powieść, przez *Walerego Przyborowskiego*. Warszawa. Gebethner i Wolf, 1883, 8-o, str. 112.
6. **Pamiętnik Fizyograficzny** wydawany staraniem *E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza*. Tom III, rok 1883, 8-o major. str. VI i 536. Cena tomu rs. 7 kop. 50.
7. **Die Beschikung des Tridentinums durch Polen** und die Frage vom Nationalconcil. Erster Theil. Inaugural-Dissertation von *Bronislaus v. Dembinski*. Breslau 1883, 8-o, str. 68.
8. **Firduzi**, obraz dramatyczny w jednéj odsłonie na tle dziejowém p. *Juliana Łętowskiego*. Warszawa u M. Orgelbranda. 1884.
9. **Kalendarz powszechny** na rok 1884. Warszawa, nakład T. Paprockiego, Chmielna 8, str. 88 i ogłoszenia.
10. **Teorya jestestw idiodynamicznych**. Napisał *Ludwik Natanson*, doktór medycyny. Warszawa 1883, 8-o, str. 112 i IV.
11. **O strasznym zbóju**, powiastka ze zdarzeń prawdziwych, z 10-ciu obrazkami. Napisał *Kazimierz Promyk* (wydawnictwo Księgarni Krajowéj). Warszawa 1883, str. 35. Cena kopiejek 6.
12. **Pod wyrokiem**. Opowiadanie z lat 1706—1713 przez *Kajetana Kraszewskiego*. Dwa tomy w jednym. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1883. str. 114 i 100.
13. **Klasztor**. Powieść *Józefa Ignacego Kraszewskiego*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1883.
14. **Syn przemytnika**, powieść oryginalna przez *Jerzego Myriela*. 2 t. Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1884, str. 225 i 328.
15. **Gawędy w listach Jordana do pana Jana** przez autora *Wędrówek Delegata*. Warszawa, nakł. Gebeth. i Wolffa. 1883, str. 347.
16. **Komedye** jednoaktowe i monologi *Maryana Gawalewicza*. Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1884, str. 318.
17. **Ostatnie dni Pompeji**, powieść *E. Bulwera* przerobiona dla użytku młodzieży. Przekład polski Maryana Gawalewicza, z 6 rycinami. Warszawa, nakł. Geb. i Wolffa. 1883, str. 459.
18. **Kto był Karol hr. Brzostowski**, opowiedział dla braci wieśniaków *ks. St. Mazurek*. Warsz. Nakł. Geb. i Wolffa. 1883, str. 50.
19. **Pogląd na dzisiejszy stan duchowny** przez *X. M. z J.* 1883. str. 60.
20. **Gramatyka polska** dla uczącéj się młodzieży w sposób łatwy i przystępny opracowana przez *Teofilę Radońską*. Wyd. 2 przejrzane i poprawione przez autorkę. Poznań, nakład J. K. Żupańskiego. 1883, str. 114.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою, Варшава, 18 Октября 1883 г.